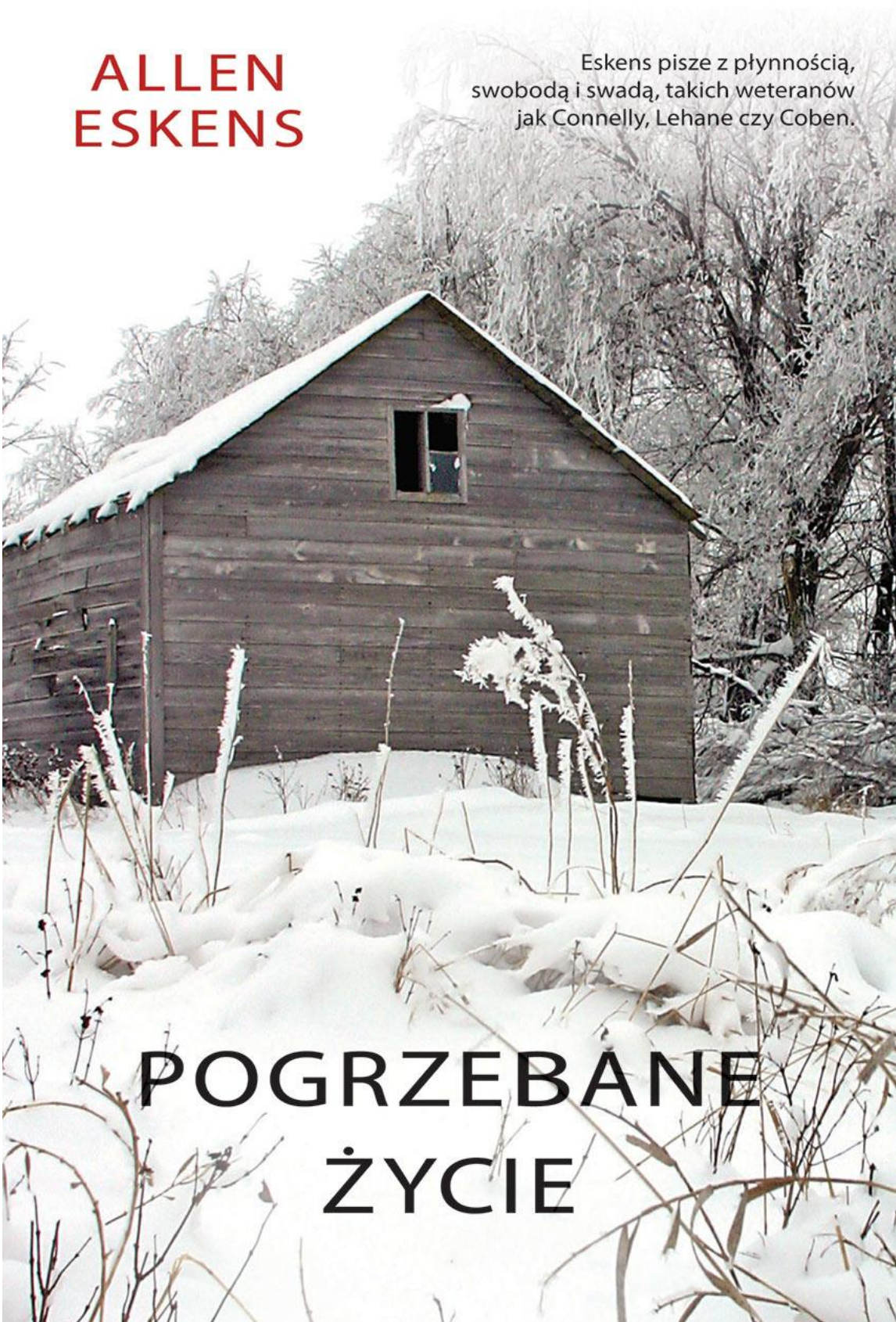


**ALLEN  
ESKENS**

Eskens pisze z płynnością,  
swobodą i swadą, takich weteranów  
jak Connelly, Lehane czy Coben.



**POGRZEBANE  
ŻYCIE**

## Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4  
Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11  
Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17  
Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22 Rozdział 23  
Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28 Rozdział 29  
Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35  
Rozdział 36 Rozdział 37 Rozdział 38 Rozdział 39 Rozdział 40 Rozdział 41  
Rozdział 42 Rozdział 43 Rozdział 44 Rozdział 45 Rozdział 46 Rozdział 47  
Rozdział 48 Rozdział 49 Rozdział 50 Rozdział 51 Rozdział 52 Rozdział 53  
Rozdział 54 Podziękowania O autorze

ALLEN ESKENS

# POGRZEBANE ŻYCIE

Przełożył  
Robert P. Lipski



Tytuł oryginału: The Life We Bury

Copyright © 2014 by Allen Eskens  
All rights reserved.

Copyright for the Polish Edition © 2016 by Burda Publishing Polska Sp. z  
o.o.

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 41–42  
faks 22 360 38 49

Sprzedaż wysyłkowa:  
Dział Obsługi Klienta, tel. 22 360 37 77

Redakcja: Joanna Zioło-Werstler  
Korekta: Małgorzata Grudnik-Zwolińska  
Projekt okładki: Jacqueline Nassocooke  
Zdjęcie na okładce: Jarek Wyganowski  
Redakcja techniczna: Mariusz Teler

ISBN: 978-83-8053-068-3

Skład i łamanie: Beata Rukat/Katka

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Skład wersji elektronicznej: [pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Dedykuję tę książkę mojej żonie Joely, najbardziej zaufanej doradczyni i najlepszej przyjaciółce.*

*Dedykuję także tę książkę mojej córce Mikayli za jej ciągłą inspirację oraz moim rodzicom Pat i Billowi Eskensom za wiele lekcji życia, jakie od nich otrzymałem.*

Pamiętam dziwny niepokój, jaki przepełnił mnie, gdy szedłem wtedy do swojego samochodu, a zaraz potem falę złowieszczych przeczuć, która skłębiła się wokół mojej głowy i rozbiła na mniejsze fale w zderzeniu z wieczorem. Niektórzy ludzie na tym świecie określiliby ten rodzaj doznań jako prorocstwo, ostrzeżenie wysłane przez tajemny szósty zmysł, który dostrzega zdarzenia z bardziej lub mniej odległej przyszłości. Muszę jednak przyznać, że gdy powracam myślami do tamtego dnia, czasami zastanawiam się, czy faktycznie to prądkie losu szeptały mi do ucha i czy wiedząc, jak to, co wówczas uczynię, wpłynie na moje życie i tyle odmieni, wybrałbym inną, bezpieczniejszą drogę. Czy zamiast skręcić w prawo, skręciłbym w lewo? Czy mimo wszystko nadal podążałbym ścieżką, która doprowadziła mnie do Carla Iversona?

Drużyna Minnesota Twins, której kibicowałem, miała w tamten chłodny wrześnieowy wieczór zmierzyć się z Cleveland Indians w meczu wieńczącym rozgrywki mistrzowskie centralnej ligi. Światła stadionu Target Field miały zaraz zalać zachodni horyzont Minneapolis, strzelając w niebo niczym promienie chwały, lecz nie mogłem tego zobaczyć. Skromny studencki budżet nie pozwalał mi na to. Miałem pracować na bramce w pubie Molly i śledzić rozgrywkę na ekranie telewizora nad barem, a właściwie zerkać na niego raz po raz, sprawdzając prawa jazdy i kładąc kres pijackim burdom – nie była to moja wymarzona kariera, ale przynajmniej mogłem opłacić czynsz.

Może to dziwne, ale w liceum doradczynie do spraw dalszego rozwoju zawodowego nie wspominała podczas naszych spotkań ani słowem o studiach. Może czuła przytęchły zapaszek beznadziei bijący z moich ciuchów ze szmateksu. Może usłyszała, że dzień po osiemnastych urodzinach podjąłem pracę w barze dla zmotoryzowanych o dumnej nazwie Piedmont Club. Albo – i stawiałbym raczej na to – wiedziała, kim jest moja matka, i uznała, że dzieci powinny pójść w ślady swoich rodziców. Tak czy owak nie miałem jej za złe, że nie dostrzegła we mnie materiału na przyszłego studenta. Tak naprawdę czułem się lepiej w obskurnej knajpie niż w wyłożonych marmurami salach wyższej uczelni, gdzie potykałem się co krok, jakbym włożył lewy but na prawą stopę i na odwrót.

Tamtego dnia wskoczyłem do swojego auta – dwudziestoletniej przeżartej rdzą hondy accord – wrzuciłem bieg i wyjechałem z kampusu, kierując się na południe. Włączyłem się do ruchu na zakorkowanej o tej porze autostradzie międzystanowej I-35 i jechałem, słuchając Alicii Keys z samochodowych japońskich głośników. Gdy dotarłem do Crosstown, sięgnąłem na fotel pasażera

i gmerałem w plecaku, aż znalazłem kartkę z zanotowanym na niej adresem domu starców. – Nie nazywaj go domem starców – powiedziałem do siebie. – To dom spokojnej starości, centrum seniora czy jakoś tak. Kluczyłem wśród labiryntu uliczek podmiejskiego Richfield, by ostatecznie odnaleźć wjazd na teren Hillview Manor, który był moim punktem docelowym. Szczytna nazwa tej placówki zakrawała na ironię albo sztubacki żart. Nie było stąd żadnej panoramy wzgórz, a i „rezydencja” była określeniem na wyrost. Już od frontu rzucał się w oczy ruchliwy czteropasmowy bulwar, a na tyłach budynku rozciągał się zaniedbany i zapuszczony kompleks mieszkalny. Chybiona nazwa stanowiła najpogodniejszy element Hillview Manor, którego szare ceglane ściany były pokryte zielonymi wstęgami mchu; wokoło rosły bujne, nieprzycinane krzewy, a miękkie drewno uchylanych do góry staroświeckich okien otaczała śniedź. Budynek zdawał się nisko osadzony na fundamentach jak zawodnik na linii ataku i robił takie samo wrażenie.

Gdy wszedłem do holu, w moje nozdrza wdarła się drażniąca woń moczu i maści antyseptycznej, sprawiając, że do oczu napłynęły mi łzy. Siedząca na wózku inwalidzkim staruszka w przekrzywionej peruce patrzyła w przestrzeń poza mną, jakby spodziewała się, że od strony parkingu nadjedzie jakiś amant z odległej przeszłości i zabierze ją daleko stąd. Gdy ją mijałem, uśmiechnęła się, ale nie do mnie. W jej świecie nie istniałem, tak jak w moim egzystowały jedynie mgliste duchy jej wspomnień.

Zanim podszedłem do recepcji, zatrzymałem się, po raz ostatni przysłuchując się pełnym wątpliwości szeptom rozbrzmiewającym w moich uszach, buńczucznym myślom, które nakazywały mi, żebym rzucił zajęcia z angielskiego i zastąpił je czymś sensowniejszym, geologią lub historią.

Miesiąc temu opuściłem mój dom w Austin w Minnesocie, wymykając się cichcem jak chłopiec, który pragnie załapać się do cyrku. Żadnych kłótni z matką, żadnych szans na to, by mogła spróbować nakłonić mnie do zmiany zdania. Spakowałem torbę, powiedziałem młodszemu bratu, że wyjeżdżam, a mamie zostawiłem liścik. Kiedy dotarłem do biura rejestracji na uniwersytecie, nie było już wolnych miejsc na najlepszych zajęciach z angielskiego, zapisałem się więc na zajęcia z biografii. Na zaliczenie miałem przeprowadzić wywiad z zupełnie obcą mi osobą. W głębi duszy wiedziałem, że powodem tego, iż zimny pot zrosił moje skronie, gdy stałem niepewnie w holu Hillview, była przydzielona mi praca domowa, której wykonanie odwlekałem zbyt długo. Wiedziałem, że to beznadziejne zadanie.

Recepcjonistka, kobieta o kanciastej twarzy, mocnej szczęce, ciasno upiętych włosach i głęboko osadzonych oczach, przywodząca na myśl strażniczkę gułagu, nachyliła się nad kontuarem i spytała:

– Mogę w czymś pomóc?

– Tak – odparłem. – Mam taką nadzieję. Czy zastałem kierownika tej placówki?

– Akwizytorom dziękujemy – odparła, świdrując mnie przenikliwym spojrzeniem.

– Akwizytorom? – odpowiedziałem wymuszonym śmiechem i wyciągnąłem przed siebie ręce w błagalnym geście. – Proszę pani, nie byłbym nawet w stanie sprzedać ognia jaskiniowcowi.

– Cóż, nie jest pan rezydentem ani gościem i co oczywiste, nie pracuje pan tutaj. Co wobec tego zostaje?

– Nazywam się Joe Talbert. Jestem studentem na Uniwersytecie Minnesoty.

– I?

Spojrzałem na identyfikator z jej nazwiskiem.

– I... Janet... chciałbym porozmawiać z kierownikiem, o projekcie, który mam do zrealizowania.

– Nie mamy tu kierownika – odparła Janet, wciąż mrużąc oczy. – Mamy dyrektora, panią Lorngren.

– Bardzo przepraszam – usiłowałem zachować resztki przyjaznego nastawienia – czy mogę pomówić z panią dyrektorem?

– Pani Lorngren jest bardzo zajęta, a mamy porę kolacji...

– To zajmie tylko chwilę.

– Może opowie mi pan o swoim projekcie, a ja zdecyduję, czy sprawa jest warta tego, żeby zawracać głowę pani Lorngren.

– Chodzi o zadanie, które mam wykonać w ramach moich studiów – wyjaśniłem. – Na fakultet z angielskiego. Mam przeprowadzić wywiad z kimś starym, to znaczy z osobą w podeszłym wieku, i napisać jej biografię. No wie pani, żeby opowiedzieć o trudach życia i zawłóściach losu, które sprawiły, że ta osoba jest tym, kim jest.

– Pan jest pisarzem? – Janet otaksowała mnie wzrokiem od stóp do głów, jakby mój wygląd mógł odpowiedzieć na jej pytanie, a ja wyprostowałem się do swojej pełnej wysokości metra siedemdziesiąt pięć.

Miałem dwadzieścia jeden lat i pogodziłem się już z faktem, że nie będę wyższy – dzięki ci, Joe Talbercie seniorze, gdziekolwiek się podziewasz, u diabła. I choć pracowałem jako bramkarz, to nie byłem typowym mięśniakiem, jakiego zwykle można spotkać przy wejściu do knajpy, właściwie jak na wykidajłę byłem raczej mikrusem.

– Nie – odparłem. – Nie jestem pisarzem, tylko studentem.

– I w ramach studiów każą panu napisać książkę?

– Nie, chodzi tylko o zarys ogólny i przedstawienie najważniejszych faktów – wyjaśniłem z uśmiechem. – Muszę napisać jedynie niektóre rozdziały, początek, zakończenie i te, które dotyczą ważnych punktów zwrotnych. Ogólnie rzecz biorąc,



to zwykle streszczenie. Ale projekt jest dość duży.

Janet zmarszczyła szeroki, gruby nos i pokręciła głową. A potem, najwyraźniej przekonana, że nie mam nic do sprzedania, sięgnęła po słuchawkę telefonu i powiedziała coś do niej, zniżając głos do szeptu. Niebawem z korytarza za recepcją wyłoniła się kobieta w zielonym kostiumie i stanęła obok Janet.

– Jestem dyrektor Lorngren – oznajmiła, trzymając głowę sztywno, jakby postawiła na niej filiżankę z herbatą. – Mogę w czymś pomóc?

– Mam nadzieję, że tak. – Wziąłem głęboki oddech i powtórzyłem od początku wszystko, co powiedziałem przed chwilą.

Pani Lorngren przełknęła moje wyjaśnienia z wyrazem lekkiego zakłopotania, po czym spytała:

– Ale dlaczego pan przyszedł tutaj? Nie ma pan rodziców ani dziadków, z którymi mógłby przeprowadzić wywiad?

– Nie mam w tej okolicy żadnych krewnych.

Skłamałem. Moja matka i brat mieszkali dwie godziny drogi na południe od Twin Cities, ale nawet krótka wizyta w domu mogła przerodzić się w drogę przez mękę. Ojca nigdy nie poznałem i nie miałem pojęcia, czy jeszcze żyje. Znałem jednak jego imię. Mama wpadła na genialny pomysł, aby nadać mi takie samo w nadziei, że wzbudzi w ten sposób u Joego Talberta seniora poczucie winy i przekona go, żeby został z nią dłużej, może nawet ją poślubił iłożył na utrzymanie jej i Joego juniora. Nie wyszło. Próbowwała tego samego, kiedy urodził się mój młodszy brat Jeremy, z takim samym skutkiem. Dorastając, musiałem tłumaczyć, że moja mama nazywa się Kathy Nelson, ja jestem Joe Talbert, a mój brat to Jeremy Naylor.

Jeżeli chodzi o dziadków, poznałem jedynie ojca mojej mamy. Kochałem dziadzia Billa. Był cichym, spokojnym mężczyzną, potrafił przykuwać uwagę samym tylko spojrzeniem lub skinieniem głowy, emanował siłą i łagodnością, które stanowiły jego drugą skórę.

Bywały dni, kiedy potrzebowałem jego mądrości, by radzić sobie z falami przyboju miotającymi moim życiem. Bywały noce, gdy bębnienie kropel deszczu o szybę wsączało się w moją podświadomość i dziadek odwiedzał mnie w snach, z których budziłem się gwałtownie, siadając na łóżku zlany zimnym potem i z dygoczącymi dłońmi. Dreszcze wywołane były wspomnieniem tego, że byłem świadkiem, jak umierał.

– Rozumie pan, że to jest dom opieki, prawda? – spytała pani Lorngren.

– Właśnie dlatego tu przyszedłem – odparłem. – Są tu ludzie, którzy żyli w naprawdę wyjątkowych czasach.

– To prawda – przyznała, opierając się o rozdzielający nas blat. Z tak bliska mogłem zobaczyć kurze łapki rozchodzące się od kącików jej oczu i popękane wargi przywodzące na myśl dno wyschniętego jeziora. W jej oddechu wyczułem

słaby, ale niewątpliwie obecny charakterystyczny zapach whisky. Mówiła dalej, zniżając głos: – Rezydenci żyją tutaj, bo nie są w stanie sami o siebie zadbać. Większość z nich cierpi na alzheimera, demencję lub jakąś inną chorobę neurologiczną. Nie pamiętają swoich dzieci, a co dopiero szczegółów ze swojego życia.

O tym nie pomyślałem. Zdałem sobie sprawę, że mój plan zaczyna się sypać. Jak mógłbym napisać biografię bohatera wojennego, skoro nie pamiętał on swoich czynów?

– Nie ma tu nikogo, kto nie miałby kłopotów z pamięcią? – spytałem tonem znacznie bardziej żalnym, niż mogłem sobie tego życzyć.

– Moglibyśmy pozwolić mu, żeby porozmawiał z Carlem – wtrąciła Janet.

Pani Lorngren spiorunowała ją wzrokiem; takie spojrzenie można rzucić kumpłowi, który pokrzyżował ci szyki i popsuł misternie uknute kłamstwo.

– Z Carlem? – podchwyciłem.

Pani Lorngren skrzyżowała ramiona i cofnęła się od kontuaru.

– Co to za Carl? Kim on jest? – poszedłem za ciosem.

Janet spojrzała na panią Lorngren, poszukując u niej aprobaty. Kiedy pani Lorngren w końcu pokiwała głową, Janet oparła się o blat.

– Nazywa się Carl Iverson. To skazaniec. Morderca z wyrokiem – odparła szeptem jak uczennica, która zdradza sekretną historię. – Wydział więziennictwa przysłał go do nas trzy miesiące temu. Uzyskał zwolnienie warunkowe ze Stillwater, bo umiera na raka.

Pani Lorngren parsknęła:

– Najwyraźniej rak trzustki stanowi doskonały substytut rehabilitacji penitencjarnej.

– To morderca? – spytałem.

Janet rozejrzała się wokoło, by mieć pewność, że nikt nie mógł jej podsłuchać.

– Trzydzieści lat temu zgwałcił i zamordował czternastolatkę – wyszeptała. – Czytałam o tym w jego aktach. Gdy ją zabił, próbował ukryć dowody, paląc jej ciało w składziku na narzędzia.

Gwałciciel i morderca. Przybyłem do Hillview w poszukiwaniu bohatera, a odnalazłem złoczyńcę. Na pewno będzie miał do opowiedzenia historię, czy jednak taką, jaką chciałbym usłyszeć? Moi koledzy z roku przeleją na papier opowieści o tym, jak babcia rodziła na klepisku w starej chacie albo jak dziadek widział Johna Dillingera w holu hotelu, a ja zajmę się człowiekiem, który zgwałcił i zabił dziewczynkę, a potem spalił jej ciało w składziku. Pomysł przeprowadzenia wywiadu z mordercą w pierwszej chwili nie przypadł mi do gustu, ale zacząłem się do niego przekonywać. Musiałem nadrobić zaległości, miałem spore opóźnienie. Za długo zwlekałem z wykonaniem zadania. Kończył się wrzesień i za kilka

tygodni musiałem przedstawić notatki z przeprowadzonego wywiadu. Moi koledzy z roku wyprowadzili już swoje konie z bloków startowych, podczas gdy moja chabeta wciąż w najlepsze przeżuwała siano. Carl Iverson musiał zostać obiektem mojej pracy – jeżeli wyrazi zgodę.

– Chyba chciałbym przeprowadzić wywiad z panem Iversonem – powiedziałem.

– Ten człowiek to potwór – rzekła pani Lorngren. – Nie dałabym mu tej satysfakcji. Wiem, że to nie po chrześcijańsku, ale najlepiej byłoby, gdyby został w swoim pokoju i spokojnie wyzionął ducha.

Pani Lorngren aż się wzdrygnęła na dźwięk własnych słów, słów, które przychodzą, ale których nie wypowiada się na głos, zwłaszcza w obecności nieznajomego.

– Proszę posłuchać – powiedziałem. – Jeżeli zdołam go nakłonić, żeby opowiedział mi swoją historię, może... uda mi się mu uświadomić, jak wielkiego zła się dopuścił, i może przyzna się i wyrazi skruchę. – Jestem jednak akwizytorem, pomyślałem w duchu. – A poza tym ma prawo do przyjmowania gości, prawda?

Pani Lorngren wyglądała na osobę przypartą do muru. Nie miała wyboru. Carl nie był więźniem Hillview, lecz rezydentem tej placówki i podobnie jak wszystkim innym przysługiwało mu prawo do odwiedzin. Pani Lorngren rozłożyła ręce i ponownie oparła dłonie na kontuarze między nami.

– Będę musiała go zapytać, czy zechce pana przyjąć – odparła. – W ciągu kilku miesięcy, odkąd tu jest, odwiedził go tylko jeden gość.

– Czy mógłbym sam pomówić z Carlem? – nalegałem. – Może zdołam...

– Z panem Iversonem – poprawiła mnie pani Lorngren, zawsze chętna do okazania wyższości z racji swojej pozycji.

– Oczywiście. – Wzruszyłem ramionami w przeproszającym geście. – Mógłbym wyjaśnić panu Iversonowi, na czym polega ten projekt, i może...

Nie dokończyłem, bo nagle rozległ się świergoczący sygnał mojej komórki.

– Przepraszam – powiedziałem – myślałem, że ją wyłączyłem. – Uszy mi poczerwieniały, gdy wyjąłem telefon z kieszeni i zobaczyłem na wyświetlaczu numer mojej matki. – Przepraszam – powtórzyłem, odwracając się plecami do Janet i pani Lorngren, co pozornie miało mi zapewnić odrobinę prywatności. – Mamo, nie mogę teraz rozmawiać, jestem...

– Joey, musisz po mnie przyjechać – wychrypiała do telefonu moja matka, a pijacki bełkot sprawiał, że wypowiedane przez nią słowa zlewały się i trudno było je zrozumieć.

– Mamo, muszę...

– Oni mnie, kurwa, zakuli w kajdanki.

– Co? Kto...

– Joey, oni mnie aresztowali... oni... te ćwoki. Pozwę ich. Zatrudnię najlepszego pieprzonego adwokata. – Zawołała do kogoś, kto stał blisko niej: – Tak, dobrze słyszałeś... ty ćwoku! Podaj mi zaraz swój numer służbowy, dopilnuję, żebyś wyleciał z roboty.

– Mamo, gdzie jesteś? – zapytałem głośno i wyraźnie, starając się na powrót zwrócić jej uwagę.

– Oni zakuli mnie w kajdanki, Joey.

– Czy jest tam jakiś policjant? – spytałem. – Mogę z nim rozmawiać?

Zignorowała moje pytanie i przeskakiwała od jednej niezbornej myśli do drugiej:

– Gdybyś mnie kochał, przyjechałbyś po mnie. Jestem twoją matką, do cholery. Zakuli mnie... Rusz swój leniwy tyłek... Nigdy mnie nie kochałeś. Ja nie... Powinnam była podciąć sobie żyły. Nikt mnie nie kocha. Byłam prawie w domu... Pozwę ich.

– Dobrze, mamo – powiedziałem. – Przyjadę po ciebie, ale muszę porozmawiać z gliniarzem.

– Masz na myśli pana Ćwoka?

– Tak, mamo, pana Ćwoka. Muszę pomówić z panem Ćwokiem. Oddaj mi na chwilę telefon, a potem po ciebie przyjadę.

– Panno Nelson – rzucił policjant – ma pani prawo do rozmowy telefonicznej, więc sugerowałbym, żeby zadzwoniła pani do adwokata, a nie do syna.

– Funkcjonariusz Ćwok nie chce z tobą gadać. – Mama czknęła do słuchawki.

– Mamo, powiedz, że grzecznie go o to proszę.

– Joey, musisz...

– Mamo, do cholery – krzyknąłem szeptem – powiedz, że go o to proszę. – Nastąpiła cisza, aż wreszcie mama powiedziała: – No dobra! – Odsunęła telefon tak, że prawie jej nie słyszałem. – Joey bardzo prosi.

Po dłuższej chwili rozległ się głos funkcjonariusza:

– Halo.

Mówiłem szybko i cicho:

– Bardzo za to wszystko przepraszam, panie władzo, ale mam brata, który cierpi na autyzm. On mieszka z mamą. Muszę wiedzieć, czy mama zostanie dziś zwolniona, bo jeżeli nie, muszę zająć się bratem.

– Cóż, sprawa przedstawia się tak: pańska matka została aresztowana za jazdę po pijanemu.

Słyszałem, jak w tle matka klnie i zawodzi.

– Przewiozłem ją do komendy policji hrabstwa Mower, żeby przeprowadzić badanie alkomatem. Powołała się na prawo do wezwania adwokata przed

poddaniem się badaniu, powinna więc była skontaktować się teraz ze swoim obrońcą, a nie dzwonić do pana, żeby ją stąd wyciągnął.

– Rozumiem – powiedziałem. – Musiałem się jednak dowiedzieć, czy ją dziś wypuścicie.

– Nie sądzę.

Funkcjonariusz sformułował odpowiedź tak, żeby matka nie zorientowała się, co dla niej szykują.

– Trafi na odtrucie? – pytałem dalej.

– Tak.

– Na ile dni?

– Dwa do trzech.

– A potem ją wypuścicie?

– Nie.

Zamyśliłem się przez chwilę.

– Z odtrucia trafi do więzienia?

– Zgadza się, aż do czasu pierwszej rozprawy w sądzie!

Mama usłyszała słowo „sąd” i znów zaczęła się wydzierać. Ponieważ była w stanie upojenia alkoholowego i wyczerpania, jej słowa falowały i drżały jak rozsypujący się most linowy:

– Niech to szlag, Joey... masz tu przyjechać! Nie kochasz mnie... ty niewdzięczny... jestem twoją matką. Joey, oni... oni... Przyjedź tu! Zabierz mnie stąd!

– Dzięki – powiedziałem do funkcjonariusza. – Naprawdę jestem panu wdzięczny za pomoc. I powodzenia w radzeniu sobie z moją mamą.

– Panu też życzę powodzenia – odparł.

Zakończyłem rozmowę i gdy się odwróciłem, zobaczyłem Janet i panią Lorngren patrzące na mnie jak na uczące się chodzić dziecko, które właśnie się dowiedziało, że pies może ugryźć.

– Bardzo przepraszam – odezwałem się. – Moja matka... nie czuje się najlepiej. Nie będę w stanie zobaczyć się dziś z Carlem... ee... panem Iversonem. Mam coś do załatwienia.

Oczy pani Lorngren złagodniały, srogi wyraz jej twarzy złagodziło współczucie.

– W porządku – rzekła. – Pomówię z panem Iversonem. Proszę zostawić u Janet swoje nazwisko i numer telefonu. Dam panu znać, czy zgodził się na spotkanie.

– Byłbym wdzięczny – odparłem, po czym zapisałem swoje dane na świstku papieru. – Mogę mieć przez pewien czas wyłączoną komórkę, gdybym więc nie odbierał, proszę zostawić wiadomość.

– Nie omieszka – zapewniła pani Lorngren.

\*

Przecznicę od Hillview zajechałem na parking i z całych sił zacisnąwszy dłonie na kierownicy, mocno nią potrząsałem.

– Niech to szlag! – wrzasnąłem. – Niech to jasna cholera! Do licha ciężkiego! Dlaczego nie możesz po prostu zostawić mnie w spokoju?

Kłykcie mi zbieleły i zadygotałem, gdy fala gniewu przepłynęła przez moje ciało. Wziąłem głęboki oddech i czekałem, aż pulsowanie w gardle ustanie, a wzrok odzyska ostrość. Dopiero gdy się uspokoilem, zadzwoniłem do Molly i powiedziałem jej, że nie będę mógł dziś stanąć na bramce. Nie była zadowolona, ale zrozumiała. Kiedy się rozłączyłem, cisnąłem komórkę na fotel pasażera i wyruszyłem w długą drogę na południe po mojego młodszego brata.

Większość ludzi nigdy nie słyszała o Austin w Minnesocie, a jeśli ktoś słyszał, to z powodu mielonki konserwowej będącej solonym produktem z wieprzowiny, który nigdy się nie psuje, a którym są karmieni żołnierze i uchodźcy na całym świecie. To klejnot koronny Hormel Foods Corporation i od niej też wzięła się nieformalna nazwa mojego rodzinnego miasta – Mielonkowo. W Austin powstało nawet muzeum poświęcone wspaniałej mielonce. Jeżeli jednak to nie mielonka była nieusuwalnym piętnem Austin, odpowiednikiem więziennego tatuażu, z pewnością okazał się nim strajk. Wydarzył się cztery lata przed moim narodzeniem, ale dzieciaki dorastające w Austin dowiadywały się o nim tak, jak inne uczyły się o Lewisie i Clarku czy o Deklaracji Niepodległości. Recesja na początku lat osiemdziesiątych bardzo osłabiła przemysł przetwórstwa mięsnego, firma Hormel zwróciła się więc do związków zawodowych, żeby zgodziły się na poważne cięcia płacowe. Oczywiście związki potraktowały to jak obraźliwy kopniak w czułe miejsce i wszczęły strajk. Przepychanki na pikietach doprowadziły do zamieszek. Przemoc zwróciła uwagę mediów, a jedna z ekip telewizyjnych zginęła, gdy ich śmigłowiec rozbił się na polu kukurydzy w pobliżu Ellendale. Ostatecznie gubernator posłał Gwardię Narodową, ale do tego czasu przemoc i animozje pozostawiły w całym mieście nieusuwalny ślad. Niektórzy uważają, że nadało mu charakter. Ja zawsze postrzegałem to jako szpetną bliznę.

Jak każde miasto Austin miało swoje uroki, choć większość ludzi nie dostrzegła ich pośród natłoku wad. To trochę jak z twarzą, na której przede wszystkim widzi się szpetne pryszcze. W miasteczku były parki, basen, przyzwoity szpital, klasztor karmelitów, lotnisko państwowe, a rzut kamieniem stąd, w Rochester, znajdowała się słynna Klinika Mayo. Była tu także wyższa uczelnia, college, gdzie chodziłem na zajęcia, pracując równocześnie na pół etatu w dwóch różnych miejscach. Przez trzy lata zaoszczędziłem dość pieniędzy, żeby rozpocząć studia na Uniwersytecie Minnesoty. Było tu także trzynaście knajp, nie licząc barów hotelowych i klubów, a przy liczbie mieszkańców oscylującej w granicach dwudziestu trzech tysięcy Austin miało jeden z najwyższych współczynników tego typu lokali przypadających na jednego mieszkańca w całej Minnesocie. Dobrze znałem te miejsca, bo bywałem w każdym z nich w tym czy innym okresie swojego życia. Do pierwszego baru zawitałem, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, miałem wtedy nie więcej niż dziesięć lat. Matka zostawiła mnie w domu, żebym pilnował Jeremy'ego, a sama poszła się napić. Byłem dwa lata starszy od mojego autystycznego brata, który z uwagi na swoją chorobę był raczej cichym

i spokojnym dzieciakiem, ale mama uznała, że jestem wystarczająco duży, by się nim opiekować.

Tamtego wieczoru Jeremy siedział w salonie w fotelu i oglądał na wideo swój ulubiony film – *Króla Lwa*. Miałem do odrobienia pracę domową z geografii, zamknąłem się więc na klucz w niewielkiej sypialni mojej i brata. Nie pamiętam większości pokoi, które przez lata dzieliliśmy, ale ten zapamiętam na zawsze: ściany cienkie jak wafelek pomalowane na jasnoniebieski kolor, na jaki malowano baseny miejskie na całym świecie. Słysząc było każdy dźwięk dochodzący z sąsiedniego pokoju, w tym piosenki z *Króla Lwa*, którego Jeremy oglądał raz po raz, na okrągło. Siedziałem na górnej pryczy naszego piętrowego łóżka, używanej tandety ze sprężynami tak zniszczonymi, że materace spoczywały praktycznie na samej sklejce, i zakrywałem dłońmi uszy, żeby wytłumić hałas. Ale nie byłem w stanie zagłuszyć niecichnącej ani na chwilę powtarzającej się muzyki przebijającej się przez nieszczelną ścianę mojego skupienia. Nie jestem pewien, czy to, co było potem, wydarzyło się naprawdę, czy stanowi wytwór mojej wyobraźni, pamięci podkoloryzowanej przez poczucie winy, w każdym razie poprosiłem Jeremy'ego, żeby ściszył dźwięk, i mógłbym przysiąc, że on jeszcze bardziej go podkreślił. Ludzka wytrzymałość ma swoje granice.

Wparowałem do pokoju i wyszarpnąłem Jeremy'ego z fotela, aż ciężko wpadł na ścianę. Impet uderzenia strącił mu na głowę zdjęcie, które przedstawiało mnie jako trzylatka trzymającego na rękach młodszego braciszka, wtedy jeszcze niemowlaka. Spadło z gwoźdźca na jasnowłosą głowę Jeremy'ego i szkło rozsypało się w drobny mak.

Kiedy Jeremy otrzepał się z odłamków, które miał na nogach i ramionach, popatrzył na mnie. Jeden odłamek sterczał z czubka jego głowy jak moneta, która utknęła w zbyt małym otworze skarbonki. Przymrużył oczy, nie ze złości, lecz w wyrazie konsternacji. Jeremy rzadko patrzył mi w oczy, ale tego dnia wpatrywał się we mnie, jakby był o krok od rozwiązania jakiejś wielkiej tajemnicy.

I nagle, jakby znalazł odpowiedź, jego spojrzenie złagodniało, a wzrok skierował się na krew zbierającą mu się na ramieniu.

Zgarnąłem z łazienki ręcznik, ostrożnie wyjąłem szkło z głowy Jeremy'ego – na szczęście odłamek nie wbił się tak mocno, jak się obawiałem – i owinąłem mu głowę ręcznikiem jak turbanem. Zmoczyłem ścierkę, zmyłem krew z jego ramienia i czekałem, aż krwawienie ustanie. Dziesięć minut później rana wciąż broczyła, a na białym ręczniku pojawiły się dwie jasnoczerwone plamy. Raz jeszcze owinąłem głowę Jeremy'ego, przycisnąłem jego dłoń do jednego końca ręcznika, żeby tak go przytrzymał, po czym wybiegłem z domu, by przyprowadzić matkę.

Mama nie musiała zostawiać śladu okruszków, abym mógł ją znaleźć. Nasz samochód stał na podjeździe przed bliźniakiem, z dwóch opon zeszło powietrze, a więc mama musiała wybrać się gdzieś niedaleko, dokąd można było dojść na



piechotę. To ograniczało możliwości wyboru miejsca do zaledwie kilku barów. Nie uznałem za dziwne, że matka zostawiła mnie samego z autystycznym bratem i nawet słowem nie wspomniała, dokąd się wybiera, ani że wiedziałem, iż powinienem jej szukać w knajpach. Niemniej duża część tego, co uważałem za normalne dzieciństwo, wydaje mi się teraz, gdy patrzę na to z perspektywy lat, kompletnie pokrecona. Znalazłem matkę już w pierwszej spelunie, w Odyssey.

Zdziwiłem się, że w barze było pusto. Zawsze wyobrażałem sobie, że matka wychodzi, by spędzać czas wśród tłumu wspaniałych ludzi, którzy śmiali się, żartowali i tańczyli jak w reklamach telewizyjnych. Tymczasem z tanich głośników leciała kiepska muzyka country, podłoga była nierówna, całe miejsce aż cuchnęło tandetą. Od razu ją dostrzegłem, gawędziła z barmanem. W pierwszej chwili nie wiedziałem, czy na jej twarzy maluje się gniew, czy troska. Zrozumiałem, gdy chwyciła moje ramię tak mocno, że odcięła mi dopływ krwi, i wyprowadziła mnie z baru. Wróciliśmy do domu szybkim krokiem i zastaliśmy Jeremy'ego oglądającego film i przytrzymującego jedną dłoń ręcznik. Na widok zakrwawionego ręcznika, mama wpadła w szal.

– Coś ty zrobił, do cholery! Chryste! Spójrz na ten bałagan!

Zdjęła ręcznik z głowy Jeremy'ego, po czym szarpnięciem za ramię zmusiła go, aby wstał z podłogi, zaprowadziła do łazienki i wstawiła do pustej wanny. Krew zlepiała jego delikatne jasne włosy. Matka wrzuciła zakrwawiony ręcznik do zlewu i wróciła do pokoju, żeby zetrzeć trzy małe plamki krwi z rdzawobrazowej wykładziny dywanowej.

– Musiałeś użyć najlepszego ręcznika – zawołała. – Nie mogłeś sięgnąć po szmatę? Spójrz na krew na wykładzinie. Możemy stracić kaucję na pokrycie szkód. Ale czy ty choć przez chwilę o tym pomyślałeś? Nie. Ty nigdy nie myślisz. Ty tylko bałaganisz, a potem muszę po tobie sprzątać.

Wszedłem do łazienki, po pierwsze dlatego, żeby uwolnić się od matki, a po drugie, żeby być z Jeremym, na wypadek gdyby się wystraszył. Ale on nie był przestraszony; nigdy się nie bał. W każdym razie nie okazywał tego. Spojrzał na mnie, a jego twarz, dla reszty świata pozbawiona wyrazu, dla mnie była aż nadto wymowna – dostrzegłem cień mojej zdrady w jego oczach. Niezależnie jak bardzo starałem się puścić tę noc w niepamięć, pogrzebać ją gdzieś w głębi siebie i pozostawić, by tam umarła, wspomnienie Jeremy'ego patrzącego na mnie noszę w sobie.

Jeremy miał teraz osiemnaście lat, był na tyle duży, że mógł zostać sam w mieszkaniu kilka godzin, ale nie parę dni. Kiedy podjechałem tej nocy pod dom mamy, Twins i Indians osiągnęli akurat remis w trzeciej kwarcie meczu. Otworzyłem zapasowym kluczem i zastałem Jeremy'ego oglądającego swój nowy ulubiony film – *Piratów z Karaibów*. Tylko przez moment wydawał się zaskoczony, po czym wlepił wzrok w podłogę między nami.

– Cześć, kolego – powiedziałem. – Jak tam mój młodszy braciszek?

– Cześć, Joe – odparł.

Kiedy Jeremy poszedł do szkoły średniej, okręg przyznał mu asystenta do spraw nauki nazwiskiem Helen Bollinger. Znała się na autyzmie, rozumiała potrzebę wzorców zachowań i rutynowych działań u Jeremy'ego, jego zamiłowanie do samotności, niechęć do dotykania i bycia dotykanym oraz niezdolność zrozumienia większości rzeczy poza podstawowymi potrzebami i wyraźnymi, konkretnymi poleceniami. Podczas gdy pani Bellinger uporczywie starała się wydobyć Jeremy'ego z jego ciemności, matka zachęcała go, by był widoczny, ale żeby nie było go słychać. Ten niemal zapaśniczy pojedynek ciągnął się od siedmiu lat, a pani Bellinger odniosła w nim więcej zwycięstw niż porażek. Zanim mój brat skończył szkołę średnią, potrafił nawiązać ze mną jaką taką rozmowę, chociaż toczył walkę, by wtedy na mnie popatrzeć.

– Może myślałem że jesteś w college'u – rzucił w charakterystyczny dla niego sposób, z kadencją staccato, jakby każde słowo układał starannie na pasie transmisyjnym.

– Wróciłem, żeby się z tobą zobaczyć – odrzekłem.

– No dobrze. – Odwrócił się, by powrócić do oglądania filmu.

– Mama do mnie zadzwoniła – powiedziałem. – Ma spotkanie i nie wróci do domu przez pewien czas.

Łatwo było okłamać Jeremy'go, jego ufna natura nie była w stanie pojąć oszustwa. Nie okłamywałem go, żeby się na nim wyżyć. To był mój sposób wyjaśniania mu różnych rzeczy bez wikłania się w złożoność i niuanse prawdy. Gdy po raz pierwszy matka trafiła na odtrucie, wymyśliłem kłamstwo, że była na spotkaniu. Potem za każdym razem, gdy dawała nogę do jednego z indiańskich kasyn albo spędzała noc u jakiegoś mężczyzny, mówiłem Jeremy'emu, że jest na spotkaniu. Nigdy nie zapytał o te spotkania, nigdy nie zastanawiał się, dlaczego niektóre z nich trwały kilka godzin, a inne kilka dni, nigdy też nie dziwił się, czemu te spotkania odbywały się tak nagle.

– To spotkanie może trwać długo – dodałem. – Dlatego będziesz ze mną przez kilka dni.

Jeremy przestał oglądać film i zaczął błędzić wzrokiem po podłodze. Na jego czole ponad brwiami pojawiła się cienka bruzda. Widziałem, że szykował się, aby nawiązać ze mną kontakt wzrokowy, co nie było u niego naturalne.

– Może zostanę tutaj i zaczekam na mamę – powiedział.

– Nie możesz tu zostać. Muszę jutro iść na zajęcia. Muszę zabrać cię ze sobą do mojego mieszkania.

Moja odpowiedź nie była tym, co chciał usłyszeć. Wiedziałem o tym, bo przestał patrzeć mi w oczy, a to oznaczało, że narastał w nim niepokój.

– Może zostaniesz tutaj i rano pójdziesz na zajęcia – odezwał się znowu.

– Mam zajęcia na uczelni. To kilka godzin drogi stąd. Nie mogę tu zostać, kolego – odparłem spokojnie, lecz stanowczo.

– Może zostanę tu sam.

– Nie możesz tu zostać, Jeremy. Mama kazała mi po ciebie przyjechać. Możesz zostać w moim mieszkaniu na kampusie.

Zaczął rozcierać lewym kciukiem kłykcie prawej dłoni. Robił tak, gdy fundament jego świata zaczynał się walić.

– Może zostanę tutaj.

Usiadłem na kanapie obok Jeremy'ego.

– Będzie super – przekonywałem. – Będziemy tylko ty i ja. Przyniosę odtwarzacz DVD i będziesz mógł obejrzeć każdy film, jaki zechcesz. Będziesz mógł oglądać swoje filmy na okrągło. – Uśmiechnął się. – Ale mamy nie będzie przez kilka dni – kontynuowałem – i muszę cię zabrać do siebie. Dobrze?

Jeremy zamyślił się przez chwilę, po czym zapytał:

– Mogę wziąć *Piratów z Karaibów*?

– Jasne – odparłem. – Będzie super. To będzie prawdziwa przygoda. Ty możesz być kapitanem Jackiem Sparrowem, a ja będę Willem Turnerem. Co ty na to?

Jeremy uniósł wzrok i naśladując kapitana Jacka Sparrowa, powiedział:

– Ten dzień zapamiętajcie na zawsze jako dzień, kiedy prawie udało wam się złapać kapitana Jacka Sparrowa.

A potem zaczął się śmiać, aż poczerwieniały mu policzki, ja również się zaśmiałem, tak jak zwykle, gdy Jeremy mówił coś zabawnego albo opowiadał dowcip.

Zgarnąłem parę worków na śmieci i dałem jeden z nich Jeremy'emu, by włożył do środka swoje DVD i trochę ciuchów; dopilnowałem, by spakował zapas na kilka dni na wypadek, gdyby mama nie uzyskała zwolnienia za kaucją.

Gdy ruszałem z podjazdu, myślałem o swojej pracy i grafiku zajęć; próbowałem znaleźć luki, które pozwoliłyby mi sprawować opiekę nad Jeremym. Przez głowę przelatywały mi dziesiątki pytań. Jak on odnajdzie się w nieznanym świecie mojego mieszkania? Gdzie znajdzie czas lub pieniądze na kaucję, żeby wyciągnąć mamę z aresztu? I jak, u licha, stałem się rodzicem w tej pokręconej, dysfunkcyjnej rodzinie?

W drodze powrotnej do Twin Cities widziałem w oczach brata niepokój, to przybierający na sile, to słabnący, i zmarszczki pojawiające się co chwila na jego czole, gdy usiłował zrozumieć, co się dzieje. W miarę jak zostawialiśmy za sobą kolejne kilometry, powoli zaczął wczuwać się w naszą przygodę i ostatecznie rozluźnił się przy wtórze głośnego głębokiego wydechu, tak jak to robią psy, kiedy opuszcza je czujność i poddają się ogarniającej je senności. Jeremy, chłopiec, który sypiał na dolnej pryczy naszego piętrowego łóżka i dzielił ze mną pokój, szafę oraz szuflady komódki przez osiemnaście lat, znowu był ze mną. Całe życie nie rozstawaliśmy się na dłużej niż jeden czy dwa wieczory, aż miesiąc temu wyprowadziłem się z domu i przeniósłem na kampus, pozostawiając go pod opieką kobiety, która pograżała się w chaosie.

Odkąd pamiętam, mama miała gwałtowne zmiany nastroju, w jednej chwili śmiała się i tańczyła po całym pokoju, a w następnej ciskała talerzami. Zdołałem się zorientować, że to klasyczny przykład choroby dwubiegunowej. Oczywiście nikt oficjalnie nie postawił takiej diagnozy, bo matka odmawiała przyjęcia pomocy specjalisty. Zamiast tego żyła, wiecznie zakrywając dłońmi uszy, jakby nie chciała usłyszeć prawdy ani słów wypowiedzianych na głos. Dodajmy do tego buzującego kotła regularnie zwiększającą się liczbę kieliszków taniej wódki – w celach leczniczych, żeby uciszyły wewnętrzny krzyk, lecz on tylko potęgował zewnętrzne szaleństwo – i oto otrzymujemy pełen obraz mojej matki, dlatego postanowiłem ją zostawić.

Nie zawsze była taka zła. W początkowym okresie matka miała skrajne wahania nastrojów, więc sąsiedzi i opieka społeczna nie mieszała się w nasze życie. Bywały nawet przyjemne chwile. Pamiętam, jak kiedyś we trójkę wybraliśmy się do Muzeum Nauki, na Festiwal Renesansu i do lunaparku Valleyfair. Pamiętam, jak matka pomagała mi odrabiać prace domowe z matematyki, gdy uczyłem się mnożenia liczb dwucyfrowych. Zdarzało mi się niekiedy znaleźć szczelinę w murze, który wyrósł między nami, i pamiętam, jak mama śmiała się z nami, a nawet nas kochała. Jeśli się postarałem, byłem w stanie przypomnieć sobie matkę, która potrafiła być ciepła i łagodna, zanim świat zbytnio jej jeszcze nie przytłoczył.

Wszystko się zmieniło, gdy zmarł dziadek Bill. Tego dnia nasze małe trio ogarnął dziki niepokój, jego śmierć zerwała ostatnią nić stabilizującą życie mojej matki. Straciła resztki opanowania i dała się ponieść falom swoich nastrojów. Więcej płakała, więcej krzyczała i atakowała za każdym razem, kiedy świat był

przeciwno niej. Sprawiała wrażenie, że postanowiła dotrzeć do mroczniejszych granic życia i przyjąć je za normę. Jako pierwszą nową zasadę wprowadziła bicie. Zaczęło się stopniowo, ale uderzała mnie otwartą dłonią w twarz za każdym razem, gdy jej mózg przypominający pozostawiony na gazie czajnik zaczynał się przegrzewać. Kiedy podrosłem i stałem się mniej wrażliwy na policzkowanie, zmieniła cel i zaczęła tłuc mnie po uszach. Nie znosiłem tego. Czasami dla lepszego efektu posiłkowała się drewnianą łyżką albo packą na muchy. Raz w siódmej klasie musiałem odpuścić turniej zapaśniczy, bo na moich udach widać było pręgi od uderzeń i kazała mi zostać w domu. Przez wiele lat oszczędzała Jeremy'ego, wyładowując całą frustrację na mnie. Jednak z czasem zaczęła tracić panowanie tak, że pokrzykiwała również na niego i obrzucała go przekleństwami.

Aż wreszcie pewnego dnia miarka się przebrała. Miałem osiemnaście lat i skończyłem liceum; po powrocie do domu zastałem matkę pijaną, wściekłą i okładającą Jeremy'ego trampkiem po głowie. Zawlokłem ją do sypialni i rzuciłem na łóżko. Podniosła się i próbowała mnie uderzyć. Złapałem ją za przeguby, obróciłem i ponownie obaliłem na łóżko. Jeszcze dwukrotnie próbowała się na mnie rzucić i za każdym razem łądowała twarzą na materacu. Po ostatniej próbie zrobiła przerwę na złapanie oddechu i koniec końców film jej się urwał. Następnego ranka zachowywała się tak, jakby nic się nie stało, jakby nie pamiętała swojego szaleństwa, a nasza mała rodzina nie znalazła się na krawędzi nieuchronnego rozpadu. Nic nie powiedziałem, ale swoje wiedziałem, zrozumiałem, że matka była już w stanie usprawiedliwić to, iż podniosła rękę na Jeremy'ego. Wiedziałem też, że gdy pójdę na studia, sytuacja się pogorszy. Te myśli sprawiły, że zrobiło mi się ciężko na sercu. I tak jak matka udawała, po tym gdy urwał jej się film, że nic się nie stało, tak ja pogrzebałem moje myśli głęboko, by nikt ich nie mógł wydobyć.

Kiedy wracałem tego wieczoru z Jeremym do mojego mieszkania, życie było wspaniałe; po drodze słuchaliśmy transmisji z meczu – a przynajmniej ja jej słuchałem. Jeremy też się przysłuchiwał, ale nie potrafił skupić się na przebiegu rozgrywki. Gawędziłem z nim, wyjaśniając szczegóły gry, lecz on prawie nie odpowiadał. A gdy już to robił, włączał się do rozmowy jak ktoś, kto właśnie przyszedł z sąsiedniego pokoju. Zanim zjechaliśmy z I-35 w pobliżu kampusu, Twins nieźle dołożyli Cleveland, zaliczając cztery przyłożenia, i pod koniec meczu prowadzili sześć do czterech. Wydawałem triumfalny okrzyk przy każdym zdobytym przyłożeniu, a Jeremy starał się mnie naśladować i śmiał się z mojego entuzjazmu. Po przyjeździe na miejsce zaprowadziłem Jeremy'ego po schodach do mojego mieszkania na pierwszym piętrze. W ręce trzymałem worek na śmieci z jego rzeczami. Zdążyliśmy wejść do mieszkania i włączyć telewizor, by zobaczyć, jak Twins przeprowadzają ostatnie rozegranie piłki i kończą mecz zwycięstwem. Uniosłem dłoń, by przybić z Jeremym piątkę, ale on obracał się

powoli, lustrując wzrokiem moją klitkę. Kuchnia i pokój znajdowały się po przeciwnych stronach kawalerki, sypialnia była niewiele większa od dwuosobowego łóżka, które w nim stało, łazienka znajdowała się na zewnątrz. Patrzyłem, jak Jeremy ogląda mieszkanie raz po raz, jakby spodziewał się, że przy następnej próbie odkryje ukryte drzwi do łazienki.

– Może muszę do łazienki – rzekł.

– Chodź – powiedziałem, skinąwszy na niego ręką. – Pokażę ci.

Łazienka mieściła się po drugiej stronie korytarza, naprzeciwko. Dom został zbudowany w latach dwudziestych dwudziestego wieku na potrzeby jednej z tych licznych rodzin z przełomu stuleci płodzących dzieci rok w rok, by obniżyć współczynnik śmiertelności niemowląt. W latach siedemdziesiątych na parterze urządzono apartament z trzema sypialniami, a na piętrze dwa mieszkania z pojedynczymi sypialniami, ale tylko jedno z nich było na tyle duże, by mogło mieć własną łazienkę. Dlatego też na szczycie stromych, wąskich schodów po prawej stronie znajdowały się drzwi do mojego mieszkania, po lewej do łazienki, a drzwi na wprost wiodły do drugiego mieszkania na tym piętrze.

Wyjąłem z worka na śmieci szczoteczkę do zębów należąca do Jeremy'ego i smakową pastę do zębów, po czym ruszyłem w stronę drzwi do łazienki, a brat podążył za mną w stosownej odległości.

– Tu jest łazienka – powiedziałem. – Jeżeli chcesz skorzystać, wystarczy, że przekręcisz zasuwkę.

Pokazałem mu, jak się zamyka. Nie wszedł do łazienki. Przyglądał się jej, stojąc w korytarzu.

– Może powinniśmy wrócić do domu – oznajmił.

– Nie możemy, kolego. Mama jest na spotkaniu. Pamiętasz?

– Może już wróciła.

– Nie ma jej w domu. I nie wróci przez kilka dni.

– Może powinniśmy do niej zadzwonić i to sprawdzić.

Jeremy znów zaczął rozmasowywać kłykcie kciukami. Dostrzegłem lekkie drżenie wywołane niepokojem. Chciałem objąć go ramieniem i uspokoić, ale to tylko spotęgowałoby jego reakcję. Taka była ta odmiana autyzmu, którą miał. Odwrócił się w stronę schodów i kontemplując ich stromiznę, wbijał kciuk jeszcze mocniej w dłoń i ugniatał kłykcie, jakby wyrabiał ciasto. Podeszedłem, by odciągnąć Jeremy'ego od schodów. Był ode mnie wyższy o pięć centymetrów i o dobre sześć kilogramów cięższy. Mniej więcej wtedy, gdy skończył czternaście lat, zrobił się wyższy ode mnie, cięższy i ładniejszy: jasne włosy na jego głowie wyglądały jak piękne nordyckie kędziory, tymczasem moje, w kolorze brudnego blondu, sterczały jak strzecha i nie byłem w stanie nad nimi zapanować bez odrobiny żelu; on miał kanciastą szczękę, z uroczym dołeczkiem w podbródku, a moja żuchwa raczej nie wyglądała imponująco; jego oczy miały barwę

roziskrzonego morza, zwłaszcza gdy się uśmiechał, odcień brązu moich oczu przypominał słabą kawę. Mimo że fizycznie mnie przewyższał, pozostawał moim młodszym braciszkiem, a tym samym był podatny na mój wpływ. Stałem na stopniu poniżej, zaciskając dłoń na bicepsie Jeremy'ego, i lekko popchnąłem go do tyłu, aby odwrócić jego uwagę od schodów i skierować go z powrotem do mieszkania. Za sobą u podnóża schodów usłyszałem dźwięk otwierających się i zamykających drzwi do holu, a potem kroki kobiety. Rozpoznałem ten odgłos, bo słyszałem, jak przechodziła obok moich drzwi każdego dnia przez cały poprzedni miesiąc. Znałem ją jako L. Nash, takie bowiem nazwisko widniało na kawałku taśmy naklejonym na jej skrzynce na listy. Miała metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i krótkie czarne włosy, które okalały łobuzersko jej twarz niczym fale rozbijające się o kamienisty brzeg. Miała ciemne oczy, zadarty nos i emanowała chłodem, jakby chciała, by wszyscy zostawili ją w spokoju. Mijaliśmy się wielokrotnie w korytarzu, holu i na schodach. Kiedy próbowałem zagaić rozmowę, uśmiechała się uprzejmie, odpowiadała życzliwie, ale nie zatrzymywała się, zawsze starała się skracać nasze spotkania do minimum, w taki sposób jednak, żebym nie poczuł się urażony.

Przystanęła w połowie schodów i zobaczyła, jak przytrzymuję Jeremy'ego za ramiona i wyraźnie próbuję go powstrzymać przed wyjściem z domu. Jeremy zobaczył L. Nash i zatrzymał się, po czym wlepił wzrok w podłogę. Zszedłem na bok, by ją przepuścić, a ściany klatki schodowej jakby się zacieśniły; kiedy mnie minęła, poczułem zapach żelu do kąpieli i pudru.

– Cześć – przywitałem się.

– Cześć – odparła, unosząc brew, i w kilku krokach pokonała odległość dzielącą ją od drzwi mieszkania.

Chciałem powiedzieć coś więcej, rzuciłem więc pierwsze słowa, jakie przyszły mi do głowy, i przyznam, że nie były one zbyt mądre.

– To nie to, na co wygląda – powiedziałem. – Jesteśmy braćmi.

– Taa – mruknęła, przekręcając klucz w zamku. – Jestem pewna, że Jeffrey Dahmer też powiedział coś takiego.

Weszła do swojego mieszkania i zamknęła drzwi.

Jej riposta kompletnie zbiła mnie z tropu. Chciałem odpowiedzieć czymś równie celnym, ale mój mózg odmówił współpracy. Był jak zardzewiały mechanizm domagający się naoliwienia. Jeremy nie patrzył na L. Nash tak jak ja. Stał w milczeniu u szczytu schodów, niemniej nie rozcierał już kłykci kciukami. Sytuacja kryzysowa minęła. Upór w jego oczach zastąpiło zmęczenie, bądź co bądź o tej porze zwykle dawno leżał w łóżku. Zaprowadziłem go do łazienki, żeby umył zęby, a potem do sypialni, gdzie wstawiłem swój stary telewizor, by mógł obejrzeć ulubiony film na DVD.

Potem zgarnąłem koc i umościłem się na kanapie.

Słyszałem, jak Jeremy ogląda film; znajome dialogi i muzyka ukończyły go do snu, tłumiąc niepokoje wywołane zmianą otoczenia. Musiałem przyznać, że mimo zdarzenia na schodach Jeremy bardzo dobrze odnalazł się w nowym miejscu. Nawet drobne zmiany w jego rutynowych działaniach, typu nowa szczoteczka do zębów czy inne płatki śniadaniowe, mogły go wytrącić z równowagi. A jednak był tutaj, w nieznanym mu zupełnie mieszkaniu, o połowę mniejszym od tego, które nazywał domem, w mieszkaniu, gdzie nie miał własnej łazienki i po raz pierwszy zasypiał w łóżku, nad którym nie było górnej pryczy.

Wcześniej wyłączyłem telefon, by uniknąć zalewu połączeń od matki, którego się spodziewałem, ale teraz wyjąłem komórkę z kieszeni. Miałem dwadzieścia siedem nieodebranych połączeń wykonanych z telefonu o numerze z prefiksem 507, bez wątplenia to matka dzwoniła do mnie z ośrodka detoksykacji. W myślach słyszałem, jak wydziera się na mnie, że wyłączyłem komórkę i pozostawiłem ją na odtruciu w areszcie, chociaż ta decyzja nie była zależna ode mnie.

Pierwszych dziewięć wiadomości było od niej:

„Joey, nie mogę uwierzyć, że tak traktujesz własną matkę...”. (usuń)

„Joey, nie wiem, co zrobiłam, że zasłużyłam...”. (usuń)

„Wiem, że jestem okropną matką...”. (usuń)

„Nie kochasz mnie...”. (usuń)

„Przepraszam, Joey. Chciałabym umrzeć. Może wtedy...”. (usuń)

„Uważasz się za wymuskanego studencika...”. (usuń)

„Odbierz, kurwa, telefon...”. (usuń)

„Joey, mówi Mary Lorngren z Hillview Manor. Dzwonię, by cię poinformować, że rozmawiałam z panem Iversonem o twoim projekcie i że zgodził się z tobą spotkać, aby to omówić. Chciał, żebym ci uświadomiła, że nie wyraził na to zgody... co to, to nie. Najpierw chce się z tobą zobaczyć. Możesz zadzwonić jutro do Janet i zapytać, kiedy mógłbyś przyjechać. Nie lubimy, gdy przeszkadza się naszym gościom w porach posiłków. Tak więc, zadzwoń. Pa, pa”.

Wyłączyłem telefon i zamknąłem oczy, a na moich policzkach pojawiły się bruzdy od uśmiechu wyrażającego osobliwą ironię, że już wkrótce mogę przeprowadzić wywiad z brutalnym mordercą, człowiekiem, który bez zastanowienia odebrał życie młodziutkiej dziewczynie, zbrodniarzem, który przeżył ponad trzydzieści lat w najcięższym zakładzie karnym w Minnesocie, a jednak nie obawiałem się tej rozmowy tak bardzo jak ponownego spotkania z matką. Poczulem, że nabieram wiatru w żagle, i potraktowałem tę sytuację jako uśmiech losu oraz nadzieję na uzyskanie dobrej oceny z angielskiego. Takie nastawienie pomogło mi przełamać wszelkie opory związane z realizacją tego projektu. I gdy tak leżałem na kanapie, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że nabranie wiatru w żagle może mieć katastrofalne skutki. Wiatr może okazać się



niszczycielską siłą i pozrywać żagle.

Kiedy w końcu zasnąłem, wciąż w błogiej nieświadomości wierzyłem, że moje spotkanie z Carlem Iversonem nie będzie miało żadnych negatywnych skutków i że uczyni moje życie lepszym – i łatwiejszym. Patrząc na to z perspektywy czasu, muszę przyznać, że byłem co najmniej naiwny.

Carl Iverson nie miał na nogach butów, kiedy go aresztowano. Wiem to, ponieważ znalazłem jego zdjęcie, na którym bosy był prowadzony obok szczątków spalonego składziku do czekającego radiowozu. Ręce miał skute za plecami, ramiona obwisłe, był zgarbiony, pochylony do przodu. Śledczy ubrany po cywilnemu przytrzymał go za jedno ramię, a funkcjonariusz w mundurze za drugie. Ciemne falujące włosy miał przylepione z jednej strony do głowy, jakby gliniarze właśnie wyciągnęli go z łóżka.

Odnalazłem to zdjęcie w podziemiach Biblioteki Wilsona Uniwersytetu Minnesoty, w przeszklonym archiwum obejmującym tysiące gazet przechowywanych na mikrofilmach; niektóre pochodzą aż z odległych czasów wojny o niepodległość. W przeciwieństwie do reszty biblioteki, gdzie półki były wypełnione opowieściami o wspaniałych wyczynach wielkich bohaterów, archiwa zawierały artykuły gazetowe pisane przez facetów z ołówkami zatkniętymi za ucho i z wrzodami na żołądku, artykuły o zwyczajnych ludziach – spokojnych, jakich spotyka się na co dzień. Nigdy by im się nie śniło, że te historie przetrwają dekady, a nawet stulecia, by mógł przeczytać je ktoś taki jak ja.

Archiwum emanowało specyficzną aurą jak tabernakulum, z milionami dusz uwiecznionych na mikrofilmie niczym kadzidła w maleńkich słoiczkach czekające, by ktoś uwolnił ich esencję, rozsmakował się w nich i znów nimi nasycił, choćby tylko przez chwilę.

Zacząłem od wyszukania nazwiska Carla Iversona w internecie. Uzyskałem tysiące trafień, a na jednej ze stron odkryłem fragmenty dokumentu prawnego odnoszącego się do decyzji sądu apelacyjnego w jego sprawie. Nie rozumiałem prawniczego żargonu, jednak dowiedziałem się, że do morderstwa doszło 29 października 1980 roku. Poznałem też inicjały zamordowanej dziewczyny: C.M.H. Tyle informacji powinno mi wystarczyć, bym znalazł tę historię w gazetach.

Zabrałem się do pracy z werwą, działałem szybko i wydajnie zmotywowany niespodziewanym pojawieniem się w moim życiu młodszego brata i lekko wytracony z równowagi koniecznością zonglowania dodatkową piłeczką. Zacząłem myśleć o Jeremym i zastanawiać się, jak sobie radzi sam w moim mieszkaniu. Zastanawiałem się, czy do piątku zostanie załatwiona kwestia kaucji za moją mamę. W piątek miałem pracować u Molly, a nie chciałem iść do roboty i zostawić brata samego. Musiałem jeszcze przed weekendem odwiedzić go z powrotem do Austin.

Obudziłem Jeremy'ego rano przed pójściem na zajęcia, zrobiłem dla niego

porcję płatków i raz jeszcze pokazałem mu, jak działa pilot. Jeremy miał osiemnaście lat i właściwie sam mógłby zalać sobie płatki mlekiem. Jednak nieznanne miejsce, jakim było dla niego moje mieszkanie, mogło przytępić mu umysł. Wolał głodować niż otworzyć obcy kredens w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Rozważałem zrezygnowanie z zajęć tego dnia, ale straciłem już zbyt wiele czasu, odkładając pewne rzeczy na później. Wyjąłem z worka kilka ulubionych płyt DVD Jeremy'ego i powiedziałem, że wrócę za kilka godzin. Miałem nadzieję, że mogę go zostawić samego, ale mój niepokój narastał z każdą mijającą minutą.

Podszedłem do regału z mikrofilmami, znalazłem rolkę „Minneapolis Tribune” z 29 października 1980 roku, włożyłem ją do czytnika i przejrzałem artykuły z pierwszej strony. Nie znalazłem tam tego, czego szukałem. Przewinąłem kolejne strony, lecz na nich również nie napotkałem wzmianki o morderstwie, a w każdym razie nie o tym, którego ofiarą padła czternastolatka o inicjałach C.M.H. Przeczytałem całą gazetę i nie natrafiłem na nic istotnego. Usiadłem wygodniej na krześle i przeczesałem palcami włosy. Zacząłem podejrzewać, że data ustalona przez sąd była mylna. I wtedy do mnie dotarło: artykuł musiał pojawić się w gazecie następnego dnia. Przewinąłem więc szpulkę; najważniejszy artykuł na pierwszej stronie wydania z 30 października 1980 roku dotyczył traktatu pokojowego zawartego między Hondurasem a Salwadorem. Wreszcie znalazłem to, czego szukałem: informację o dziewczynie zamordowanej i spalonej w północno-wschodnim Minneapolis. Tekst w pionowej kolumnie był uzupełniony zdjęciem przedstawiającym pożar: zastępy strażaków próbowały gasić coś, co wyglądało jak szopa lub składzik wielkości garażu na jeden samochód. Płomienie strzelały w górę na dobre pięć metrów powyżej dachu, co sugerowało, że fotograf przystąpił do pracy, kiedy strażacy dopiero rozpoczynali walkę z ogniem. Artykuł brzmiał następująco:

### **Wśród zgliszczy przy Pierce Street odnaleziono ludzkie szczątki**

*Policja z Minneapolis prowadzi śledztwo w sprawie zwęglonych szczątków ludzkich odkrytych wczoraj w zgliszczach spalonego składziku na narzędzia w parku Windom, w północno-wschodnim Minneapolis. Strażacy odebrali zgłoszenie i o godz. 16.18 zjawili się na miejscu pożaru przy Pierce Street, w północno-wschodniej części tej ulicy, gdzie odkryli stojącą w płomieniach szopę albo składzik na narzędzia. Policja ewakuowała mieszkańców okolicznych domów, podczas gdy zastępy strażaków podjęły walkę z ogniem. Komendant straży pożarnej John Vries donosi, że podczas przeszukiwania zgliszczy wśród pogorzelska znaleziono zwęglone zwłoki. Ciała jak dotąd nie zidentyfikowano. Policja nie wyklucza udziału osób trzecich.*

Kolejne akapity zawierały informacje o mało istotnych szczegółach dotyczących szacowanych strat i reakcji sąsiadów.

Wydrukowałem tę stronę, a potem przewinałem mikrofilm do gazety z dnia następnego. W kolejnym artykule policja potwierdziła, że ciało znalezione dzień wcześniej zidentyfikowano jako należące do czternastoletniej Crystal Marie Hagen. Było spalone, a władze podejrzewały, że dziewczynka już nie żyła, kiedy wybuchł pożar. Spalony składzik mieścił się obok domu, w którym Crystal mieszkała z matką Danielle Hagen, ojczymem Douglasem Lockwoodem i przyrodnim bratem Danem Lockwoodem. Danielle powiedziała dziennikarzom, że cała rodzina zwróciła uwagę na nieobecność Crystal, gdy zaczęły się rozchodzić plotki, że w zgliszcach składziku odnaleziono ciało. Dziewczynka została zidentyfikowana na podstawie danych z kartoteki stomatologicznej. Artykuł kończył się wzmianką, że zatrzymano trzydziestodwuletniego Carla Iversona w celu przesłuchania. Iverson był sąsiadem Hagenów i właścicielem składziku, w którym znaleziono ciało Crystal.

Artykuł opatrzone zdjęciem przedstawiającym dwóch policjantów, którzy aresztowali Iversona i odprowadzili go bosego do radiowozu. Gałką czytnika mikrofilmów powiększyłem fotografię. Gliniarze mieli na sobie płaszcze i rękawiczki, a Iverson był w samym podkoszulku i dżinsach. Mundurowy patrzył na coś, co znajdowało się za fotografem. Sądząc po smutku w jego oczach, uznałem, że mógł spoglądać na rodzinę Crystal Hagen, obserwującą aresztowanie potwora, który zabił i spalił ich córkę. Gliniarz ubrany po cywilnemu miał otwarte usta, lekko przekrzywione, jakby coś mówił albo krzyczał do aresztowanego.

Z trzech mężczyzn na zdjęciu jedynie Carl Iverson patrzył w obiektyw aparatu. Nie wiem, co spodziewałem się dostrzec w jego twarzy. Jak powinien się zachowywać morderca po dokonaniu zbrodni? Czy ma stąpać dumnie, przechodząc obok zwęglonych szczątków składziku, gdzie spalił ciało swojej ofiary? Czy przywdziać maskę nonszalancji, mijając zgliszczka beznamiętnie, jakby szedł do sklepiku za rogiem kupić mleko? A może szaleć ze strachu, mając świadomość, że został schwytyany i wie, iż właśnie syci się ostatkiem swojej wolności, a resztę życia przyjdzie mu spędzić za kratkami? Kiedy skupiłem wzrok na powiększonej twarzy Carla Iversona i na jego oczach spoglądających na fotografa, nie dostrzegłem dumy, fałszywego spokoju ani strachu. Ujrzałem w nich zagubienie.

W starych kamienicach czuć zwykle charakterystyczną woń. Jako dziecko widziałem, jaką reakcję wywołuje ona u ludzi, którzy odwiedzali mieszkanie mojej matki – trwający ułamek sekundy kontakt z zepsuciem, gdy smród zgnilizny wdzierał się im do nosa, aż się odruchowo krzywili, mrugali powiekami, lecz zaraz się opanowywali, odzyskując fason. Kiedy byłem mały, sądziłem, że to normalne, że wszystkie domy cuchną stęchlizną. Nie zapachowymi świeczkami czy świeżo upieczonym chlebem, ale brudnymi trampkami i niepozmywanymi talerzami. Zanim trafiłem do liceum, odwracałem już wzrok z konsternacją, słysząc dzwonek do drzwi. Poprzysiągłem sobie wtedy, że gdy dorosnę i będę miał własne mieszkanie, zadbam o to, by pachniało starym drewnem, a nie kocimi sikami.

Jak się okazało, przy moim budzecie nie było to proste. Trzykondygnacyjny budynek, w którym mieszkałem, miał starą piwnicę, skąd przez szpary w podłodze biła woń wilgoci wypełniająca całą kamienicę wonią wilgotnej ziemi zmieszaną z odorem butwiejącego drewna. Ten smród był najostrzejszy tuż przy głównym wejściu, gdzie wisiały skrzynki na listy. W holu znajdowały się schody prowadzące na prawo, do mojego mieszkania, a drzwi na parterze po lewej wiodły do mieszkania greckiej rodziny Kostasów.

Niekiedy zza tych drzwi dochodził aromat mocno przyprawionych potraw i mieszając się ze smrodkiem z piwnicy, kompletnie otumaniał zmysły.

Postawiłem sobie za punkt honoru, by dbać o porządek w mieszkaniu, odkurzałem je więc co tydzień i zmywałem naczynia po każdym posiłku. Raz pościerałem wszędzie kurze. Nie mam obsesji na punkcie czystości. Po prostu nie chciałem dopuścić do tego, żeby moje mieszkanie poddało się naturalnej entropii. Posunąłem się nawet do tego, że włożyłem do gniazdka odświeżacz, który za każdym razem witał mnie aromatem jabłka i cynamonu. Jednak gdy tego dnia wróciłem do domu i przestąpiłem próg, mojej uwagi nie zwrócił znajomy zapach odświeżacza powietrza, lecz Jeremy siedzący na kanapie obok dziewczyny, którą znałem tylko jako L. Nash, i to, że oboje chichotali.

– I to jest właśnie ironia – powiedziała L. Nash.

– I to jest właśnie ironia – powtórzył mój brat.

A potem on i L. Nash znów wybuchnęli śmiechem. Rozpoznałem fragment z ulubionego filmu Jeremy’ego *Piraci z Karaibów* i jeden z jego ulubionych cytatów. Oglądali film razem. Jeremy siedział jak zwykle na środku kanapy, naprzeciwko telewizora, ze stopami płasko na podłodze, plecami opartymi o nieco wygięte oparcie kanapy i dłońmi złożonymi na udach, zaciśniętymi w pięści tak, by

mógł nimi wyrazić emocje w razie konieczności.

L. Nash usadowiła się w rogu kanapy, z nogą założoną na nogę, ubrana w dżinsy i niebieski sweter. Miętko mrużyła ciemne oczy, gdy śmiała się wraz z Jeremym. Nigdy dotąd nie widziałem jej uśmiechu, co najwyżej zdawkowe uniesienie kącików ust, kiedy mijaliśmy się w korytarzu. Teraz jednak uśmiech ją odmienił, jakby urosła, przefarbowała włosy czy coś w tym stylu. Na jej policzkach pojawiły się dołeczki, usta wydawały się czerwieńsze i bardziej miękkie na tle bieli zębów. A niech to, była ładniutka.

Jeremy i L. Nash spojrzeli na mnie, jakbym był rodzicem, który zjawił się znieścacka na piżamowym party.

– Cześć – powiedziałem, a ton mojego głosu zdradzał, że jestem zmieszany. Chciałem raczej zapytać: Jeremy, jak, u licha, zdołałeś zwabić L. Nash do mojego mieszkania, a potem posadzić ją na mojej kanapie?

L. Nash musiała dostrzec zmieszanie na mojej twarzy, bo pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Jeremy miał mały problem z telewizorem. Przyszłam mu pomóc.  
– Problem z telewizorem? – spytałem.  
– Może telewizor nie chciał działać – powiedział Jeremy, a jego twarz znów stała się beznamiętna.

– Jeremy nacisnął niewłaściwy przycisk – wyjaśniła L. Nash. – Przez pomyłkę przełączył odbiornik na inny tryb.

– Może nacisnąłem nie ten przycisk – przyznał mój brat.  
– Przykro mi, kolego – mruknąłem. Sam kilkakrotnie popełniłem błąd, przełączając odbiornik z wewnętrznego trybu DVD na magnetowid, co sprawiło, że z telewizora zaczął się wydobywać głośny biały szum, co dla Jeremy’ego musiało być piekielną udręką. – Ale jak on... To znaczy, kto...

– Może Lila to naprawiła – rzekł Jeremy.  
– Lila – powtórzyłem, przez chwilę smakując to imię. W ten sposób dowiedziałem się, co oznacza L. – Ja jestem Joe, no i najwyraźniej poznałaś już mojego brata Jeremy’ego.

– Taa – powiedziała Lila. – Jeremy i ja zakumplowaliśmy się.  
Jeremy ponownie skupił uwagę na filmie, traktując Lilę równie obojętnie jak ścianę za plecami. Niczym idiota, którym byłem – obecność kobiet często wprawiała mnie w ten stan – postanowiłem, że moim następnym posunięciem będzie uchronienie Lili przed Jeremym, przesadzenie jej do stolika dla dorosłych, oszołomienie jej moją erudycją i urokiem osobistym, tak by zważyło ją z nóg. A przynajmniej taki był plan.

– Jesteś zdziwiona, że nie jestem seryjnym zabójcą? – zapytałem.  
– Seryjnym zabójcą? – Lila spojrzała na mnie zdziwiona.  
– Wczoraj wieczorem... ee... porównałaś mnie do Jeffreya Dahmera.

– Och... zupełnie zapomniałam.

Uśmiechnęła się półgębkiem, a ja rozpaczliwie zacząłem szukać nowego tematu do rozmowy, bo ten spaliłem, siłąc się na dowcip.

– Co robisz, kiedy nie naprawiasz telewizorów? – spróbowałem.

– Studiuję na uniwersytecie. – Wymówiła te słowa bardzo wolno, dając mi do zrozumienia, że muszę wiedzieć, iż jest studentką. Minęliśmy się na schodach wielokrotnie, trzymając w dłoniach podręczniki.

Jednak jakkolwiek kulawy był mój pierwszy krok, musiałem uznać go za spory sukces, bo przecież mogliśmy po raz pierwszy normalnie porozmawiać. Często starałem się tak zgrać w czasie moje wejścia i wyjścia z budynku, aby się minąć z Lila, oczywiście nie nachalnie ani ostentacyjnie, żeby jej nie wystraszyć ani nie spłoszyć, mimo to nie mogłem skłonić jej do niczego więcej jak tylko do zwyczajowej towarzyskiej wymiany grzeczności. A teraz rozmawialiśmy jedynie dlatego, że Jeremy wcisnął niewłaściwy guzik.

– Dzięki za pomoc – powiedziałem. – Naprawdę to doceniam.

– To zwykła sąsiedzka uprzejmość – odparła i zaczęła się podnosić.

Zamierzała wyjść, a ja nie chciałem, żeby wyszła.

– Chciałbym się odwdziaczyć – zacząłem. – Może mógłbym zaprosić cię na kolację...

Moje słowa zabrzmiały niezręcznie.

Lila złączyła dłonie i wzruszyła ramionami.

– Naprawdę, to nic takiego – powiedziała. Jej pogodny nastrój prysnął w jednej chwili jak entuzjazm elektrycznej zabawki, której wyczerpały się baterie. Z jej oczu znikły iskierki, a z policzków dołeczki. Zupełnie jakby moje słowa rzuciły na nią mroczny cień. – Powinnam już iść.

– Nie możesz pójść.

Ruszyła w stronę drzwi.

– Chciałem powiedzieć, że nie powinnaś tak po prostu odejść – poprawiłem się nie bez trudu. – Poczucie obowiązku nakazuje mi odpłacić ci za dobry uczynek.

Podszedłem do drzwi i nieznacznie zagroziłem jej drogę.

– Powinnaś przynajmniej zostać na lunch.

– Muszę iść na zajęcia – odparła, wymijając mnie i lekko ocierając się ramieniem o moje ramię.

Przy drzwiach przystanąła, a przynajmniej tak to odebrałem. Może ponownie rozważała moje zaproszenie. A może bawiła się ze mną lub, co równie prawdopodobne, wyobraźnia płatała mi figle, może Lila wcale się nie zatrzymała. Oczywiście nie odpuściłem i próbowałem pójść za ciosem, biorąc moją ewentualną pomyłkę za dobrą monetę.

– Pozwól, że przynajmniej odprowadzę cię do domu – zaproponowałem.

– To tylko dwa i pół metra stąd.

– Powiedziałbym, że więcej niż trzy – zaproponowałem, wychodząc z nią na korytarz i zamykając za sobą drzwi.

Moje nieudolne próby znowu spełzły na niczym, postanowiłem więc zmienić taktykę i spróbować szczerego podejścia.

– Naprawdę doceniam to, co zrobiłaś dla Jeremy’ego. On bywa trochę... jakby to powiedzieć... dziecinny. Bo widzisz, on jest...

– Autystyczny? – spytała. – Tak, wiem. Mam kuzyna cierpiącego na to samo. Bardzo przypomina Jeremy’ego.

Lila oparła się o drzwi i przekręciła klamkę.

– Może dołączysz do nas dziś wieczorem przy kolacji – rzekłem, odrzucając wszelkie pozory subtelności. – Niech to będzie forma podziękowania dla ciebie. Przyrządzę spaghetti.

Weszła do mieszkania i odwróciła się, by spojrzeć mi w oczy, a jej twarz nagle spoważniała.

– Posłuchaj, Joe. Wydajesz się miłym chłopakiem i w ogóle, ale ja nie mam ochoty na kolację. Nie teraz. Nie tego w tej chwili szukam. Chcę jedynie...

– Doskonale cię rozumiem – przerwałem jej. – Pomyślałem po prostu, że mógłbym cię zaprosić. Nie chodzi o mnie. To dla Jeremy’ego – skłamałem. – Źle znosi pobyt z dala od domu, a najwyraźniej cię polubił.

– Naprawdę? – Lila uśmiechnęła się. – Zamierzasz posłużyć się bratem, żeby móc przyrządzić dla mnie kolację?

– To zwykła sąsiedzka uprzejmość – odpowiedziałem, również się uśmiechając.

Zaczęła przymykać drzwi, ale zawahała się, jakby zastanawiała się w duchu nad moją propozycją.

– No dobra – odparła. – Jedna kolacja i to wszystko. Dla Jeremy’ego.



Janet, recepcjonistka w Hillview Manor, tym razem uśmiechnęła się do mnie, gdy wszedłem frontowymi drzwiami. Zapunktowałem tym, że zadzwoniłem wcześniej, by zapytać o godziny posiłków i sjesty pana Iversona. Powiedziała, żebym przyjechał około drugiej, i zjawiłem się punktualnie, spodziewając się woni mentholatum, która uderzyła mnie w nos, gdy tylko przestąpiłem próg. Staruszka w przekrzywionej peruce wciąż czuwała przy wejściu. Nie zwróciła na mnie uwagi, kiedy ją mijałem. Zanim opuściłem swoje mieszkanie, usadowiłem Jeremy'ego na kanapie, włączyłem mu film i raz jeszcze pokazałem, które guziki na pilocie może naciskać, a których nie powinien. Gdyby wszystko dobrze poszło i Iverson zgodziłby się współpracować, miałbym jeszcze czas, żeby poznać szerszy kontekst potrzebny do napisania pracy.

– Cześć, Joe. – Janet wstała i wyszła zza stołu recepcyjnego.

– Czy przychodzę w porę? – spytałem.

– O tyle, o ile. Pan Iverson miał wczoraj ciężką noc. Rak trzustki to straszna choroba.

– Czy jest w stanie...

– Czuje się lepiej. Pewnie jest trochę zmęczony. Czasami ból się nasila i musimy aplikować mu środki nasenne, żeby mógł odpocząć kilka godzin.

– Nie ma naświetlań, chemioterapii czy czegoś takiego?

– Może i są, ale w tym stadium i tak nic by już nie dały. W najlepszym razie chemioterapia odwleklaby nieuniknione. On mówi, że tego nie chce. Wcale mu się nie dziwię.

Janet przeszła ze mną do sali rekreacyjnej i wskazała mężczyznę na wózku inwalidzkim przy jednym z wielkich okien na tyłach budynku.

– Siedzi tak codziennie i patrzy przez okno. Bóg wie na co, bo przecież nie ma tam nic do oglądania. Po prostu siedzi. Pani Lorngren uważa, że hipnotyzuje go krajobraz pozbawiony metalowych krat przesłaniających widok.

Spodziewałem się, że Carl Iverson będzie potworem przypiętym skórzanymi pasami do wózka inwalidzkiego dla ochrony otaczających go rezydentów, człowiekiem o zimnym, przenikliwym spojrzeniu szaleńca zdolnego do najokrutniejszych rzeczy lub emanującym aurą zła łotrem zepsutym do szpiku kości, ale niczego takiego nie zauważyłem. Carl Iverson powinien być dobrze po sześćdziesiątce, jeżeli dobrze obliczyłem. Kiedy spojrzałem na niego, pomyślałem, że Janet się pomyliła i przyprowadziła mnie do niewłaściwej osoby. Z czubka głowy tego mężczyzny zwieszało się kilka cienkich pasemek siwych włosów,

zapadnięte policzki opinały wystające kości, cienka skóra o niezdrowym, żółtawym odcieniu była wokół szyi pomarszczona, a sama szyja tak cienka, że chyba mógłbym objąć ją jedną dłonią. Na wysokości tętnicy szyjnej miał paskudną bliznę, przedramiona wychudzone jak patyki, ze sterczącymi ścięgnami otaczającymi kości bez odrobiny mięśni czy tłuszczu. Byłem przekonany, że gdybym uniósł jego rękę do światła jak liść, w promieniach słońca mógłbym ujrzeć każdą biegnącą pod skórą żyłę i naczynia włosowate. Gdybym nie wiedział, jak jest naprawdę, uznałbym, że mam przed sobą osiemdziesięciolatka.

– Czwarte stadium – wyjaśniła Janet. – Naprawdę bardzo z nim źle. Próbuje łagodzić jego stan, ale nie umiemy czynić cudów. Mamy morfinę, lecz on odmawia jej przyjęcia. Twierdzi, że woli ból i zdolność zachowania trzeźwego umysłu.

– Ile mu zostało?

– Nie założyłabym się, że dożyje do świąt – odparła. – Niekiedy nawet mi go żal, ale wtedy przypominam sobie, kim jest i co zrobił. A potem myślę o dziewczynie, którą zabił, i o tym, że odebrał jej wszystko: chłopaków, miłość, małżeństwo i możliwość posiadania rodziny. Gdyby jej nie zamordował, mogłaby mieć teraz dzieci w twoim wieku. Myślę o tym, gdy zaczynam mu współczuć.

Zadzwoił telefon i Janet wróciła do recepcji, odczekałem minutę lub dwie w nadziei, że wróci i dokona prezentacji. Ponieważ nie wróciła, ostrożnie podszedłem do tego, co pozostało z Carla Iversona, mordercy.

– Pan Iverson? – spytałem.

– Tak? – Odwrócił uwagę od kowalika, którego obserwował, jak dokazuje na pniu uschniętej sosny za oknem.

– Jestem Joe Talbert – powiedziałem. – Chyba pani Lorngren zapowiedziała panu, że się zjawię?

– Ach, mój gość... przybył – rzekł na wpół szeptem, przerywając zdanie w połowie, by wziąć długi świszczący oddech. Skinął głową w stronę pobliskiego fotela.

Usiadłem.

– A więc jesteś tym uczonym.

– Nie – zaoponowałem – nie jestem uczonym, tylko studentem.

– Lorngren mówiła... – Przymknął oczy, żeby przeczekać falę bólu. – Mówiła... że chcesz spisać moją historię.

– Mam do napisania biografię na zajęcia z angielskiego.

– No dobrze – powiedział, unosząc brew i nachylając się do mnie z pełną powagą twarzy. – Najbardziej oczywiste pytanie, jakie się nasuwa, brzmi: dlaczego ja? Czemu zawdzięczam... ten zaszczyt?

– Pańska historia wydała mi się interesująca – odparłem, bo to było pierwsze, co mi przyszło do głowy, ale w moich słowach pobrzmiwał fałsz.

- Interesująca? Pod jakim względem?
- Cóż, nie na co dzień spotyka się... – Przerwałem, szukając uprzejmego sposobu na dokończenie zdania: mordercę, gwałciciela dzieci? To było zbyt ostre.
- ... Osobę, która trafiła do więzienia – dokończyłem.
- Nie mówisz tego, co myślisz, Joe – mruknął, cedząc słowa powoli, żeby nie musiał łapać oddechu.
- Proszę pana...
- Nie zainteresowałeś się mną dlatego, że siedziałem w więzieniu. Zainteresowało cię morderstwo małej Hagen. Dlatego ze mną rozmawiasz. To ma ci pomóc w zdobyciu zaliczenia, prawda?
- Przyszło mi na myśl – powiedziałem – że coś takiego... to znaczy zabicie kogoś nie zdarza się codziennie.
- Przypuszczalnie częściej, niż myślisz – odburknął. – W tym budynku jest zapewne dziesięć, może nawet piętnaście osób, które kiedyś kogoś zabiły.
- Pana zdaniem w tym budynku jest jeszcze dziesięciu innych morderców? – spytałem.
- Mówisz o zabójstwie czy o morderstwie?
- A jest jakaś różnica?

Iverson wyrżał przez okno, zastanawiając się nad moim pytaniem, i nie tyle szukał odpowiedzi, ile rozważał, czy mi jej udzielić. Zauważyłem, że drobne mięśnie jego żuchwy napięły się kilka razy, zanim odpowiedział.

– Tak. Jest zasadnicza różnica. Popełniłem jedno i drugie. Zabiłem... i zamordowałem.

- Ale na czym polega ta różnica?
- To jak różnica między tym, że masz nadzieję, iż wszędzie słońce, a nadzieją, że wschód słońca jednak nie nastąpi.
- Nie rozumiem. Co pan ma na myśli?

– To oczywiste, że nie rozumiesz – mruknął. – Bo niby skąd? Jesteś tylko dzieciakiem, szczeniakiem z college’u, który przepuszcza forszę tatuśka na piwo i dziewczyny, starając się, by nie wyrzucono go z uczelni, bo dzięki temu jeszcze kilka kolejnych lat nie musi imać się prawdziwej roboty. Pewnie nie interesujesz się niczym innym oprócz tego, że w sobotę masz randkę, której nie chciałbyś przegapić.

Gwałtowność wypowiedzi tego wysuszonego staruszka zbiła mnie z tropu i, szczerze mówiąc, wkurzyła. Pomyślałem o Jeremym siedzącym w moim mieszkaniu i o tym, że od kryzysowej sytuacji dzieliło mnie naciśnięcie jednego niewłaściwego przycisku na pilocie. Pomyślałem o mojej matce w areszcie na przemian błagającej mnie o pomoc i przeklinającej na czym świat stoi. Pomyślałem o cienkiej granicy, jaka dzieliła mnie od tego, że dziś jestem studentem, a jutro mogłem nie mieć już na to niezbędnych funduszy, i miałem ochotę wywalić tego

aroganckiego, pełnego uprzedzeń palanta z jego wózka inwalidzkiego na podłogę. Poczulem narastający gniew, ale wziąłem głęboki oddech – nauczyłem się tego, gdy Jeremy doprowadzał mnie do białej gorączki – i poczekałem, aż złość minie.

– Nic pan o mnie nie wie – powiedziałem. – Nie ma pan pojęcia, kim jestem ani z czym muszę się borykać. Ni cholery nie wie pan, ile musiałem przejść, żeby tu dotrzeć. To, czy zechce mi pan opowiedzieć swoją historię, czy nie, to pańska sprawa. Ma pan prawo odmówić. Ale niech się pan nie waży mnie osądzać.

Pohamowałem chęć, by wstać i wyjść, udało mi się to tylko dlatego, że mocno zacisnąłem dłonie na podłokietnikach fotela.

Iverson popatrzył na moje pobieliałe z wysiłku palce, a potem w moje oczy. Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu, delikatny jak płatek śniegu; Iverson pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział.

– Co, dobrze?

– Że rozumiesz, że nie należy osądzać kogoś, zanim nie poznasz całej jego historii.

Zrozumiałem, co chciał mi uświadomić, ale byłem zbyt rozdrażniony, by odpowiedzieć.

On tymczasem mówił dalej:

– Mogłem opowiedzieć swoją historię wielu ludziom. W więzieniu dostawałem listy od osób, które pragnęły zbić fortunę na historii mojego życia. Nie odpowiedziałem na żaden z nich, bo wiedziałem, że mógłbym dać stu autorom te same informacje, a oni na tej podstawie napisaliby sto różnych historii. Dlatego jeśli zdecyduję się opowiedzieć ci moją historię, jeżeli wyjawię ci całą prawdę, muszę wiedzieć, kim jesteś, mieć pewność, że nie mam do czynienia ze smarkaczem, któremu chodzi tylko o łatwe zaliczenie, i jeśli będziesz wobec mnie szczery, ja będę fair wobec ciebie.

– Rozumie pan – zacząłem – że to tylko zadanie, praca domowa. Nie przeczyta jej nikt oprócz mojego wykładowcy.

– Wiesz, ile jest godzin w miesiącu? – zapytał z głupia frant Carl.

– Mógłbym to policzyć.

– W listopadzie siedemset dwadzieścia. W październiku i grudniu po siedemset czterdzieści cztery.

– Dobra – przytaknąłem w nadziei, że wyjaśni, o co mu chodzi.

– Widzisz, Joe, mogę już liczyć swoje życie w godzinach. Jeżeli mam poświęcić część tych godzin tobie, muszę wiedzieć, że jesteś wart mojego czasu.

Nie brałem czegoś takiego pod uwagę. Janet spodziewała się, że Carl nie dożyje do świąt. A ponieważ do końca września pozostał jeszcze tydzień, Carl miał około trzech miesięcy życia. Policzyłem to z grubsza w myślach i zrozumiałem. Jeżeli Janet się nie myliła, Carlowi Iversonowi zostało mniej niż trzy tysiące godzin

życia.

– To wydaje się mieć sens – zgodziłem się.

– Zatem posłuchaj, i będę wobec ciebie absolutnie szczery, odpowiem na każde twoje pytanie. Będę jak otwarta księga, ale muszę wiedzieć, że nie marnuję swojego ograniczonego czasu. Ty także musisz być szczery wobec mnie. To wszystko, o co proszę. Możesz się na to zdobyć?

Zamyśliłem się przez chwilę.

– Będzie pan absolutnie szczery? We wszystkim?

– Absolutnie. – Carl wyciągnął rękę, żeby ucisnąć moją, przypieczętowując nasz pakt, i przyjąłem ją. Czułem, jak kości jego dłoni przesuwają się pod skórą, jakbym dotykał woreczka ze szklanymi kulkami. – A więc – zapytał – dlaczego nie napiszesz pracy o swoich rodzicach?

– Powiedzmy, że moja mama nie stanowi wdzięcznego tematu do takiej pracy.

Carl przyglądał mi się z uwagą.

– Mówiliśmy o uczciwości, pamiętasz? – powiedział.

– Dobra. Uczciwość, tak? Obecnie moja matka jest na odtruciu w zakładzie w Austin. Jutro stamtąd wyjdzie, by trafić do aresztu, gdzie pozostanie aż do pierwszej rozprawy w sądzie za prowadzenie auta po pijanemu.

– Wygląda na to, że miałyby co opowiedzieć.

– Ja nie opowiem tej historii.

Iverson pokiwał głową z wyrozumiałością.

– A twój tata?

– Nigdy go nie poznałem.

– A dziadkowie?

– Babcia ze strony mamy zmarła, kiedy mama była jeszcze nastolatką, a dziadek zmarł, kiedy miałem jedenaście lat.

– Jak umarł? – Carl zadał to pytanie jakby od niechcienia, ale dotknął najgłębszej z moich ran. Otworzył drzwi do rozmowy, której nie chciałem podjąć nawet z samym sobą.

– Nie chodzi o mnie – uciąłem ostro. – Ani o mojego dziadka. Chodzi o pana. Przyjechałem poznać pańską historię. Pamięta pan?

Rozsiadł się na wózku i przyglądał mi się, gdy usiłowałem wyciszyć rozszalałe emocje. Nie chciałem, żeby dostrzegł w moich oczach poczucie winy ani gniew w zaciśniętych mocno ustach.

– Dobra – powiedział. – Nie chciałem cię urazić.

– Nie uraził pan – zapewniłem. – To nie tak. – Starałem się udawać, że moja reakcja była tylko przejawem łagodnego zniecierpliwienia. I aby zmienić temat, rzuciłem jakby mimochodem: – Chciałbym o coś zapytać, mogę?

– Śmiało, wal.

– Skoro zostało panu kilka miesięcy życia, dlaczego zgadza się pan wykorzystać je na rozmowę ze mną?

Carl poprawił się na wózku, wyglądając przez okno na suszące się ręczniki i ruszty barbecue rozstawione na sąsiednich balkonach. Widziałem, jak palcem wskazującym gładzi podłokietnik wózka. Skojarzyło mi się to z Jeremym, gdy zaniepokojony rozmasowywał palcami kłykcie.

– Joe – odezwał się w końcu. – Wiesz, czym jest oświadczenie umierającego?

Nie wiedziałem, ale zaryzykowałem odpowiedź:

– To oświadczenie składane przez umierającą osobę?

– To termin prawniczy. Jeżeli ktoś wypowie imię swojego zabójcy i zaraz potem umrze, sąd uznaje takie zeznanie, ponieważ powszechnie przyjmuje się, że osoba konająca nie chce umrzeć z kłamstwem na ustach. Nie ma większego grzechu niż ten, z którego nie można się oczyścić, z którego nie można się wyświadczyć. Dlatego... rozmowa z tobą... jest dla mnie odpowiednikiem oświadczenia umierającego. Nie obchodzi mnie, czy ktokolwiek przeczyta to, co napiszesz. Nie obchodzi mnie nawet, czy w ogóle spiszysz moje słowa.

Carl wydał wargi, przepatrując przestrzeń, jakby czegoś szukał, a w jego głosie dało się wyczuć delikatne drżenie.

– Muszę wypowiedzieć te słowa na głos. Muszę wyjawić komuś prawdę o tym, co się stało przed trzydziestoma laty. Muszę powiedzieć komuś prawdę o tym, co zrobiłem.

W pewnym momencie w okresie dorastania odkryłem, że nie jestem ani przystojny, ani brzydki. Zasiłłem niezmierny ocean takich sobie facetów, którzy stanowią tło dla tych bardziej atrakcyjnych. Byłem gościem, którego zaprasza się na bal, gdy ten, z którym naprawdę chciało się pójść, był już zajęty. Odpowiadało mi to. Zresztą odnoszę wrażenie, że gdybym był przystojniejszy, nie umiałbym tego wykorzystać. Nie zrozumcie mnie źle, w liceum umawiałem się z dziewczynami, ale z reguły z żadną nie spotykałem się dłużej niż kilka miesięcy, z wyjątkiem Phyllis.

Phyllis była moją pierwszą dziewczyną. Miała kręcone brązowe włosy, które tak okalały jej głowę, jakby były mackami morskiego anemona. Myślałem, że wygląda dziwnie, aż do dnia naszego pierwszego pocałunku. Od tej pory uważałem jej fryzurę za śmiałą i awangardową. Byliśmy żółtodziobami z liceum podążającymi wydeptaną ścieżką młodzieńczych umizgów, testowania granic, potajemnie wymienianych pocałunków, trzymania się za rękę pod stolikiem w kafeterii i wszystkich tych rzeczy, które wydawały mi się cudownie podniecające. Wreszcie któregoś dnia uparła się, żebym przedstawił ją mojej matce.

– Wstydzisz się mnie? – spytała Phyllis. – Jestem kimś, z kim spotykasz się, kiedy jest ci wygodnie?

Chociaż bardzo się starałem, nie potrafiłem jej przekonać, że moje intencje są szczerze, dopóki nie zaprosiłem jej do domu i nie dokonałem formalnej prezentacji. Patrząc na to z perspektywy czasu, stwierdzam, że równie dobrze mogłem z nią zerwać i pozwolić, by uznała mnie za palanta.

Powiedziałem matce, że po szkole przyprawdę Phyllis. Mówiłem o jej wizycie tego ranka tak często, jak tylko mogłem, w nadziei, że przekonam matkę, by przynajmniej przez godzinę zachowywała się jak należy. Wystarczyło, żeby okazała odrobinę serdeczności i przez godzinę była trzeźwa i normalna. Niekiedy proszę o zbyt wiele.

Gdy szliśmy wzdłuż podjazdu, poczułem zapach jedzenia, albo raczej czegoś, co przypalało się na kuchni. Phyllis uśmiechała się całą drogą ze szkoły do mojego domu, nerwowo ściskając mnie za rękę, w miarę jak zbliżaliśmy się do celu. Zatrzymałem się przed frontowymi drzwiami, bo usłyszałem, jak moja matka wydziera się na jakiegoś Kevina. Nie znałem żadnego Kevina.

– Niech cię diabli, Kevin, nie mogę ci teraz zapłacić – niósł jej bełkotliwy głos.

– No pięknie – odkrzyknął męski głos. – Ja się tu gimnastykuję, żeby ci pomóc, a kiedy potrzebuję forsy, to mnie rolujesz.

– Nie moja wina, że nie potrafisz utrzymać się w robocie – zawołała mama.  
– Nie zrzucaj winy na mnie.

– Nie, ale to twoja wina, że nie masz pieniędzy – odrzekł tamten. – Ja nie mam opóźnionego w rozwoju dzieciaka, na którego muszę łożyć tak jak ty. Wisisz mi stówę. Wiem, że dostajesz zasiłek na szczeniaka. Z tego mi zapłać.

– Goń się. Jesteś zupełnym gnojem. Precz z mojego domu.

– Gdzie moja forsa?

– Dostaniesz swoją cholerną forszę. A teraz spieprzaj.

– Kiedy? Kiedy dostanę pieniądze?

– Wynoś się, zanim wezwę gliny i powiem im, że znów prowadzisz bez prawa jazdy.

– Ty pieprzona suko.

Kevin wyszedł tylnymi drzwiami, zatraskując je za sobą z hukiem, i mniej więcej w tej samej chwili włączył się czujnik dymu, ostrzegając przed palącym się na kuchence jedzeniem. Spojrzałem na Phyllis i zauważyłem, że się wyłączyła, za późno jednak, by to doznanie nie wywołało u niej wstrząsu, który później będzie z pewnością przedmiotem specjalistycznej terapii. Chciałem przeprosić, wyjaśnić, albo jeszcze lepiej – zniknąć, prześlizgując się przez szpary między deskami podłogi na ganku. Zamiast tego ująłem Phyllis za ramiona, odwróciłem, odprowadziłem do rogu i pożegnałem się z nią. Następnego dnia w szkole ostentacyjnie mnie unikała, co mi odpowiadało, bo i tak nie chciałem się z nią widzieć. Od tamtej pory nigdy nie spotykałem się z żadną dziewczyną dłużej niż dwa miesiące. Nie mógłbym znieść upokorzenia, jakie czekałoby mnie, gdybym przyprowadził do domu kolejną dziewczynę, żeby przedstawić ją mamie.

Myślałem o Phyllis, szykując makaron na kolację z Lilą. Po raz pierwszy w życiu przyprowadzę do domu dziewczynę i nie musiałem martwić się tym, co czeka mnie za progiem. Ale właściwie nie przyprowadzałem dziewczyny do domu. To nie była randka mimo czasu, jaki poświęciłem na przyszykowanie się, uczesanie, spryskanie się odrobiną wody kolońskiej i popsikanie dezodorantem oraz wybranie ciuchów mówiących zarazem „spójrz na mnie” i „mam to gdzieś”. Przekonałem nawet Jeremy’ego, żeby wziął prysznic w łazience w korytarzu. Tyle zachodu dla dziewczyny, która potrafiła zatrzymać moje zapędy z wprawą zawodowego futbolisty. Ale co tam, była naprawdę ładna.

Lila zjawiała się o siódmej ubrana w te same dżinsy i sweter, które miała na sobie rano, kiedy szła na zajęcia. Przywitała się, rozejrzała po kuchni, zobaczyła, że wstawiłem wodę, aby się zagotowała, po czym podeszła do siedzącego na kanapie Jeremy’ego.

– Jaki dziś mamy film w programie, przystojniaku? – zapytała.



Jeremy lekko się zaczerwienił.

– Może *Piraci z Karaibów* – odparł.

– Doskonale. – Uśmiechnęła się. – Uwielbiam ten film.

Jeremy uśmiechnął się ujmująco i skierował pilota w stronę telewizora, a Lila wcisnęła przyciski, żeby włączyć film.

Poczułem się dziwnie zazdrosny, widząc Jeremy'ego i Lilę na mojej kanapie, ale przecież o to mi chodziło. Wykorzystałem brata, by zwabić Lilę do mojego mieszkania, więc ona przyszła, żeby zobaczyć się z nim, a nie ze mną. Powróciłem do przyrządzania spaghetti, raz po raz zerkając na Lilę, która z kolei popatrywała to na ekran telewizora, to na plik papierów z moją pracą domową na stoliku do kawy.

– Zajmujesz się wojną w Salwadorze? – spytała.

– Wojną w Salwadorze? – zdziwiłem się, oglądając się przez ramię. Czytała artykuł, który skopiowałem w bibliotece.

– Masz tu tekst o traktacie pokojowym między Salwadorem i Hondurasem.

– Ach, to – powiedziałem. – Nie. Spójrz na kolumnę poniżej.

– Ten o dziewczynie?

– Tak. Przeprowadzam wywiad z facetem, który ją zabił.

Zamilkła na chwilę, żeby doczytać skopiowane przeze mnie artykuły. Zauważyłem, że się skrzywiła, gdy dotarła do fragmentów, które zawierały bardziej okrutne szczegóły śmierci Crystal Hagen. Zamieszałem makaron i czekałem cierpliwie, co powie. W końcu się odezwała:

– Żartujesz, prawda?

– Co?

Znów przejrzała artykuły.

– Przeprowadzasz wywiad z tym psychopatą?

– A co w tym złego? – spytałem.

– Wszystko – odparła Lila. – Zdumiewa mnie to, jak męty z więzienia są w stanie przywabić do siebie różnych frajerów. Jak zwracają na siebie ich uwagę. Znałam dziewczynę, która zaręczyła się z jakimś popaprańcem z więzienia. Przysięgała, że jest niewinny, że niesłusznie go oskarżono i skazano, czekała dwa lata, aż go wypuszczą. Pół roku później znów trafił za kratki, po tym jak pobił ją niemal na śmierć.

– Carl nie siedzi w więzieniu – odparłem, wzruszając ramionami.

– Nie siedzi w więzieniu? Jak to możliwe po tym, co zrobił tej dziewczynie?

– Umiera na raka w domu starców. Zostało mu tylko kilka miesięcy.

– A ty przeprowadzasz z nim wywiad, bo...

– Piszę jego biografię.

– Pisziesz jego historię? – spytała z nutą pogardy w głosie.

– To na zajęcia z angielskiego – wyjaśniłem niemal przepraszącym tonem.

– Dzięki tobie będzie sławny.

– To tylko praca na zajęcia z angielskiego. Dla jednego wykładowcy i dwudziestu pięciu studentów. Trudno to nazwać sławą.

Lila odłożyła papiery na stół. Spojrzała na Jeremy'ego i zniżyła głos.

– Nieważne, że to tylko praca na zaliczenie. Powinieneś napisać o dziewczynie, którą zabił, albo o dziewczynach, które mógłby zabić, gdyby nie trafił za kratki. To one zasługują na uwagę, nie on. Powinno się go pogrzebać po cichu, bez stawiania mu nagrobka, tak by zaginął po nim wszelki ślad, by pamięć o nim minęła bezpowrotnie. Kiedy spiszesz historię jego życia, stworzysz nagrobek, który nie powinien istnieć.

– Nie hamuj się – powiedziałem. – Powiedz mi wszystko, co myślisz.

Wyjąłem nitkę spaghetti z gotującej się wody i cisnąłem na lodówkę. Odbiła się od drzwiczek lodówki i spadła na podłogę.

– Co ty wyprawiasz, u licha? – spytała, spoglądając na nitkę makaronu na podłodze.

– Sprawdzam makaron. – Byłem zadowolony ze zmiany tematu.

– Rzucając nim po kuchni?

– Jeśli przylepi się do lodówki, to znaczy, że jest ugotowany.

Schyliłem się, podniosłem makaron z podłogi i wrzuciłem do kosza.

– Jeszcze nie jest ugotowany – wyjaśniłem.

Gdy opuszczałem tego dnia Hillview, byłem nastawiony pozytywnie do mojego projektu. Iverson obiecał wyjawić mi prawdę o śmierci Crystal Hagen. Miałem być jego spowiednikiem. Nie mogłem się doczekać kolacji, żeby opowiedzieć Lili o Carlu. Wyobrażałem sobie, że będzie podzielać moją ekscytację i zechce dowiedzieć się wszystkiego na jego temat. Ale teraz, ujrawszy jej reakcję, wolałem przez resztę wieczoru unikać tego tematu.

– Powiedział ci, co zrobił, a może stwierdził, że został wrobiony? – zapytała.

– Nic jeszcze o tym nie mówił.

Wyjąłem trzy talerze z kredensu i podszedłem z nimi do stolika kawowego w pokoju, gdzie mieliśmy zjeść kolację.

Lila wstała, wzięła kilka szklanek z kredensu i pospieszyła za mną. Zdjąłem ze stolika swój plecak, notatki i artykuły prasowe.

– Jeszcze do tego nie doszliśmy – powiedziałem. – Na razie opowiedział mi, że dorastał jako jedynak w South St. Paul. Ee... muszę sobie przypomnieć... jego ojciec miał sklep żelazny, a matka... – szukałem w pamięci – pracowała w sklepie spożywczym w centrum St. Paul.

– A więc spisując historię tego gościa, zamierzasz po prostu napisać wszystko, co od niego usłyszysz? – Lila postawiła szklanki na stoliku obok talerzy.

– Będę musiał dotrzeć do innych źródeł – powiedziałem, wracając do kuchni.

– Ale jeżeli chodzi o to, co zrobił...

– A przez „co zrobił” rozumiesz zgwałcenie i zamordowanie czternastolatki,

a następnie spalenie jej zwłok – wtrąciła.

– Tak... Jeżeli o to chodzi, nie ma innych źródeł. Będę musiał napisać to, co on mi powie.

– Aby mógł wcisnąć ci kit, a ty puścisz tę bajeczkę dalej?

– Odsiedział swoje. Czemu miałby kłamać?

– Czemu nie miałby kłamać? – spytała Lila z niedowierzaniem w głosie. Stała przy kuchennym blacie, opierając dłonie o kontuar, ręce miała wyprostowane, zeszywniałe, palce rozczapierzone. – Postaw się na jego miejscu. Facet gwałci nieletnią dziewczynę, zabija ją i odsiaduje wyrok w więzieniu, opowiadając wszystkim kumplom w celi, klawiszom i adwokatom, którzy tylko zechcą go wysłuchać, że jest niewinny. Nie zrezygnuje z tego. Nie zamierza przestać. Naprawdę liczysz na to, że przyzna się do zabicia tej dziewczyny?

– On umiera – odparłem, pstrykając kolejną nitką makaronu w stronę lodówki; ta już przywarła do drzwiczek.

– To dowód na to, że ja mam rację, a nie ty – powiedziała Lila z wystudiowaną miną wprawnej uczestniczki debat. – Nakłania cię do napisania tego artykułu...

– Biografii...

– Nieważne. Teraz będzie miał to jeszcze na piśmie w charakterze pracy akademickiej odmalowującej go jako ofiarę.

– Chce w ten sposób przekazać oświadczenie umierającego – wytłumaczyłem, przerzucając makaron na durszlak.

– Co chce przekazać?

– Oświadczenie umierającego... tak to określił. To wyznanie, które musi zostać uznane za prawdziwe, bo osoba umierająca nie chce odejść z tego świata z kłamstwem na ustach.

– Czyż nie jest to przeciwieństwo śmierci z morderstwem ciężącym na sumieniu? – spytała. – Nie pojmujesz ironii tej sytuacji?

– To nie to samo – odparłem.

Nie miałem argumentu, że to nie było jedno i to samo. Nie byłem w stanie obalić logiki jej rozumowania. Próbowałem, lecz skutecznie mi to utrudniała, i w końcu poddałem się, zaniósłem makaron do stolika i wyłożyłem go na talerze. Lila podeszła do mnie z rondelkiem sosu marinara. Gdy zaczęła serwować sos, wyprostowała się i uśmiechnęła jak Grinch w Wigilię Bożego Narodzenia.

– Wiesz co, mam pewien pomysł – oznajmiła.

– Aż się boję zapytać.

– Został uznany za winnego przez ławę przysięgłych, prawda?

– Tak.

– Co oznacza, że musiał się odbyć proces.

– Przypuszczam, że tak – odparłem.

– Mógłbyś rzucić okiem na akta z jego procesu. W ten sposób dowiesz się, co się wydarzyło. Będziesz dysponował dowodami, a nie tylko jego wersją zdarzeń.

– Jego akta? Mogę to zrobić? Mogę je jakoś zdobyć?

– Moja ciotka pracuje w kancelarii prawniczej w St. Cloud. Ona będzie wiedziała, jak to zrobić.

Lila wyjęła z kieszeni komórkę i odnalazła w kontaktach numer ciotki. Podałem Jeremy'emu papierowy ręcznik, żeby mógł go użyć jako serwetki i żeby mógł zacząć jeść, po czym przez chwilę przysłuchiwałem się rozmowie Lili.

– A więc akta należą do klienta, nie do adwokata? – spytała. – Jak mogę się tego dowiedzieć?... Czy wciąż powinni je mieć?... Możesz przesłać mi to mejlem?... Doskonale. Wielkie dzięki. Muszę kończyć... Nie omieszkam. Na razie. Pa, pa. – Rozłączyła się. – To proste – powiedziała, odwracając się do mnie. – Jego adwokat powinien mieć te akta...

– Minęło trzydzieści lat – przypomniałem.

– Ale to sprawa o morderstwo, więc moja ciotka uważa, że nadal powinien je mieć.

Wziąłem do ręki plik artykułów prasowych i przeglądałem je, aż odnalazłem nazwisko adwokata.

– Nazywał się John Peterson. Był obrońcą publicznym z Minneapolis.

– No i proszę – powiedziała Lila.

– Ale jak zdobędziemy te akta od jego obrońcy? – dopytywałem.

– I to jest właśnie najlepsze – odrzekła. – Akta nie należą do obrońcy, lecz do Carla Iversona. Są własnością Carla i adwokat musi mu je wydać. Ciotka prześle mi mejlem formularz, który będzie musiał wypełnić, dokument z żądaniem wydania akt, i zostaną przekazane jemu osobiście lub osobie, której zleci ich odebranie.

– Zatem wystarczy, że nakłonię Carla do podpisania tego dokumentu?

– Będzie musiał go podpisać. Jeżeli tego nie zrobi, zyskasz pewność, że chce ci wcisnąć kit. Albo podpisze te papiery, albo wszystko, co powie, będzie jedną wielką ściemą, a on sam jest załganym mordercą i gwałcicielem, który chce zamydlić ci oczy i ukryć przed tobą prawdę o tym, czego się dopuścił.

Widowałem matkę, jak budzi się rano z rozmazanymi na włosach pozostałościami ubiegłonocnej hulanki; widowałem ją, jak zataczając się, patrząc dokoła tępym wzrokiem, wchodzi do mieszkania z butami w jednej ręce i zwiniętą w kłębek bielizną w drugiej, ale nigdy nie wyglądała żałośniej niż tego dnia, gdy powłócząc nogami, weszła do sali sądu hrabstwa Mower w pomarańczowym więziennym kombinezonie, ze skutymi nadgarstkami i skórzanymi, spiętymi łańcuchem opaskami na kostkach. Trzy dni bez makijażu i prysznicza okazały się dla niej nie lada męczarnią. Skórę miała szorstką i zaczerwienioną. Jasne włosy z ciemnymi odrostami zwisały całe w strąkach, przetłuszczone i upstrzone drobinami łupieżu. Ramiona miała obwisłe, jakby obciążone kajdankami przeguby ściągały jej ręce w dół. Przed przybyciem do sądu odwiozłem Jeremy'ego do mieszkania matki, a potem czekałem na rozpoczęcie postępowania.

Weszła do sali z trzema innymi osobami w pomarańczowych kombinezonach. Na mój widok zamachała, żebym podszedł i stanął przy barierce obok stanowiska obrońcy zamiast na galerii z drewnianymi ławkami jak w kościele. Wykonałem jej polecenie, ale woźny sądowy wyciągnął rękę, zakazując mi zbliżyć się bardziej, żebym nie mógł przekazać nikomu w pomarańczowym kombinezonie broni ani jakiegokolwiek kontrabandy.

– Musisz wpłacić za mnie kaucję – szepnęła rozpaczliwie mama.

Z bliska dostrzegłem, że trudy aresztu i odtrucia wycisnęły na jej twarzy piętno w postaci ciemnych worków pod oczami i przekrwionych gałek ocznych. Wyglądała, jakby nie spała od wielu dni.

– Jaką kwotę? – zapytałem.

– Klawisz mówi, że zostanie wyznaczona kaucja w wysokości co najmniej trzech tysięcy dolarów. W przeciwnym razie będę musiała zostać w więzieniu.

– Trzy tysiące! – powiedziałem. – Potrzebuję tych pieniędzy na studia.

– Nie mogę pójść do więzienia, Joey. – Rozpłakała się. – Tam się roi od wariatów. Przez całą noc nic, tylko się drą. Nie mogę zasnąć. Ja też oszaleję. Nie zmuszaj mnie, żebym tam wróciła. Proszę cię, Joey.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Było mi jej żal, bo przecież to moja matka, dała mi życie. Gdybym jednak oddał jej trzy tysiące dolarów, w połowie przyszłego semestru zabrakłoby mi pieniędzy. Moja wizja pozostania na studiach kłóciła się z wizją mojej zdesperowanej matki. Nie byłem w stanie wykrztusić z siebie słowa. Niezależnie, co powiem, i tak będzie źle. Z opresji wybawiły mnie dwie kobiety, które weszły

do sali przez drzwi znajdujące się za ławą sędziowską, a woźny sądowy nakazał, aby wszyscy wstali. Zadowolony z takiego obrotu spraw, wziąłem głęboki oddech. Zjawił się sędzia i polecił wszystkim usiąść, a woźny sądowy odprowadził moją matkę na miejsce dla podsądnych, żeby usiadła obok innych osób w pomarańczowych kombinezonach.

Gdy pisarz sądowy wezwał aresztantki przed oblicze sądu, zacząłem przysłuchiwać się dialogowi między sędzią a adwokatem – obrończynią publiczną pełniącą funkcję mecenasa całej czwórki podsądnych. Przypominało mi to trochę katolicką mszę pogrzebową, w której uczestniczyłem, gdy zmarł jeden z moich trenerów z liceum. Litania wygłaszana przez księdza i parafian była tak długa i monotonna, że dla ludzi z zewnątrz brzmiała kompletnie obco i beznamiętnie.

Sędzia pytał:

– Czy nazywa się pani...? Czy mieszka pani...? Czy rozumie pani swoje prawa? Pani mecenas, czy pani klientka rozumie oskarżenie?

– Tak, wysoki sędzie, i zrzekamy się dalszego czytania powództwa.

– O co pani wnosi, pani mecenas?

– Wysoki sędzie, wnosimy o zwolnienie mojej klientki, aby mogła występować przed sądem z wolnej stopy.

Następnie sędzia ustalał wysokość kaucji, dając każdej z aresztantek wybór między zapłatą wyższej kaucji bez żadnych warunków, kaucji niższej – albo nawet żadnej – w zależności od tego, czy podsądne zdecydują się przystać na warunki postawione przez sędziego.

Kiedy przyszła kolej na moją mamę, cała procedura powtórzyła się raz jeszcze, sędzia ustalił wysokość kaucji na trzy tysiące dolarów, jednak zaraz zaproponował drugie rozwiązanie:

– Panno Nelson, może pani wpłacić trzy tysiące dolarów albo może pani zostać zwolniona, aby odpowiadać z wolnej stopy, pod następującymi warunkami: będzie pani utrzymywać kontakt z adwokatem, przestrzegać prawa, nie będzie pani posiadać ani spożywać alkoholu i zostanie pani założona opaska mająca monitorować poziom alkoholu w pani organizmie. W razie spożycia choćby najmniejszej ilości alkoholu trafi pani natychmiast za kratki. Czy rozumie pani te warunki?

– Tak, wysoki sędzie – odparła matka, doskonale odgrywając rolę nędznej, udręczonej duszy.

– To wszystko – powiedział sędzia.

Mama, powłócząc nogami, dołączyła do aresztantek, które wstały i ruszyły jak kolumna kajdaniarek w stronę drzwi, przez które miały wrócić do więzienia. Gdy mnie mijała, posłała mi spojrzenie, którego nie powstydziałaby się Meduza.

– Przyjedź do więzienia i wpłać kaucję – wyszeptwała.

– Ale, mammo, sędzia właśnie powiedział...

– Nie kłóć się ze mną – wysyczała, opuszczając salę sądową.

– No i... wróciła – wymamrotałem pod nosem.

Kiedy wyszedłem z sądu, przystanąłem na chodniku, żeby zastanowić się, w którą stronę mam pójść: w lewo, do więzienia i do matki, czy w prawo, do mojego samochodu. Sędzia powiedział, że matka może zostać zwolniona z więzienia. Usłyszałem dobrze jego słowa. Jedyne, co musiała zrobić, to nie pić.

Poczułem, jak coś mrocznego rozlewa się z moich żyłach niczym jad po ukąszeniu węża. Przez dłuższą chwilę borykałem się z podjęciem decyzji, aż w końcu skręciłem w lewo, przewyciężając w sobie pragnienie, by rzucić się do ucieczki.

Po wejściu do więzienia pokazałem swoje prawo jazdy siedzącej za szybą z kuloodpornego szkła kobiecie. Skierowała mnie do niewielkiego pokoiku, gdzie podobna szklana tafla oddzielała mnie od pomieszczenia, do którego miała zostać przyprowadzona matka. Kilka minut później wprowadzono ją uwolnioną już z kajdanek na przegubach i kostkach. Usiadła na krześle po drugiej stronie szyby i sięgnęła po czarną słuchawkę wiszącą na ścianie. Zrobiłem to samo; skrzywiłem się, gdy przykładalem słuchawkę do ucha, wyobrażając sobie rzesze nieszczęśników, którzy przede mną oddychali do niej. Wydawała się lepka w dotyku.

– Wpłaciłeś kaucję?

– Nie muszę wpłacać za ciebie kaucji. Możesz stąd wyjść i odpowiadać z wolnej stopy. Tak powiedział sędzia.

– Powiedział, że mogę stąd wyjść, jeśli zgodzę się, żeby założyli mi opaskę kontrolną. Nie zgadzam się na nic takiego.

– Ale mogłabyś stąd wyjść, byłabyś wolna. Wystarczyłoby po prostu nie pić.

– Nie dam sobie założyć żadnej choleryjnej opaski! – krzyknęła. – Masz dość pieniędzy. Mógłbyś raz w życiu mi pomóc. Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej.

– Mamo, to, co mam, ledwie mi starczy, żeby przetrwać do końca semestru. Nie mogę...

– Zwrócę ci te pieniądze, do cholery.

Zaczynała się stara śpiewka. Kiedy skończyłem szesnaście lat, podjąłem pracę jako pomocnik w warsztacie samochodowym, gdzie zajmowałem się między innymi wymianą oleju. Pierwszą pensję wydałem na ciuchy i deskę skateboardową, a mama wpadła w taki szał, że sąsiedzi z góry wezwali właściciela domu i policję. Kiedy się uspokoiła, zmusiła mnie, żebym założył konto oszczędnościowe, a ponieważ szesnastolatek nie może otworzyć konta bez zgody rodzica, w formularzu jako osoba upoważniona do korzystania z konta została wymieniona moja matka. Przez następne dwa lata pożyczala z tego konta pieniądze, za każdym razem, gdy brakowało jej na czynsz albo trzeba było naprawić samochód, i choć zawsze zapewniała, że zwróci mi tę forszę, na obietnicach się kończyło.

W dniu, gdy skończyłem osiemnaście lat, otworzyłem nowe konto osobiste, do którego tylko ja miałem dostęp. Kiedy matka straciła źródło stałych dochodów, zmieniła taktykę i zaczęła posuwać się do szantażu, bo przecież mieszkalem w jej domu, więc za wikt oraz dach nad głową powinienem dorzucać się co miesiąc do rodzinnego budżetu. Zacząłem co tydzień odkładać pewną sumę na mój prywatny fundusz na studia, chowając ją w sekretnym miejscu na poddaszu. Podejrzewała, że chowam przed nią pieniądze, ale nie była w stanie tego udowodnić i nigdy ich nie znalazła.

W jej wyobraźni kilka tysięcy, które zachomikowałem, urosło do kwoty dziesięciokrotnie większej. A ponieważ otrzymałem pożyczkę studencką, zasiłki i nagrody, matka była przekonana, że dysponuję fortuną.

– Czy nie moglibyśmy wnieść o kaucję z poręczeniem? – spytałem. – Nie trzeba byłoby wówczas wpłacać całych trzech tysięcy.

– Myślisz, że nie brałam tego pod uwagę, i masz mnie za idiotkę? Nie spełniam warunków poręczenia. Nie zgodzą się na poręczenie.

Uderzała w dobrze mi znaną nutę gniewu i złości przebijających z jej słów równie wyraźnie, jak we włosach widać było odrosty. Postanowiłem, że będę niewzruszony.

– Mamo, nie mogę wpłacić kaucji za ciebie. Nie mogę. Jeżeli zapłacę trzy tysiące, nie będę miał pieniędzy na następny semestr studiów. Nie mogę tego zrobić.

– Dobrze więc... – Usiadła wygodniej na plastikowym krześle. – Wobec tego będziesz musiał zająć się Jeremym przez ten czas, który spędzę w więzieniu, bo nie zgadzam się na założenie opaski.

I to była ostatnia karta, jaką jeszcze mogła zagrać, ale udowodniła w ten sposób, że jest dobrą pokerzystką. Miała mnie w garści. Mogłem oczywiście blefować, że zostawię Jeremiego w Austin, ale byłby to kiepski blef i matka doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Patrzyła na mnie z absolutnym spokojem, a mięśnie wokół moich oczu drżały z wściekłości. Jak mógłbym zająć się Jeremym? Kiedy zostawiłem go na kilka godzin, z pomocą musiała mu pospieszyć Lila. Poszedłem na studia, żeby uwolnić się od tego bagna. A matka znów mnie w nie wciągała, zmuszając, żebym wybierał między studiami a bratem. Miałem ochotę sięgnąć rękami przez szybę i ją udusić.

– Nie do wiary, jaki z ciebie egoista – odezwała się. – Powiedziałam, że zwrócę ci te pieniądze.

Kiedy złość mi minęła, wyjąłem z kieszeni książeczkę czekową i zacząłem wpisywać kwotę. Uśmiechnąłem się pod nosem, gdy wyobraziłem sobie, jak po wypełnieniu czeku przykładam go do szyby, pokazuję matce, a potem drę ostentacyjnie na drobne kawałeczki. Ale w głębi duszy znałem prawdę: potrzebowałem jej – nie tak jak syn potrzebuje matki, lecz jak grzesznik potrzebuje



diabła. Mnie potrzebny był kozioł ofiarny, ktoś, kogo mógłbym wskazać palcem i powiedzieć: Ty za to odpowiadasz, nie ja. Musiałem podsycać czymś swoje urojenia, że nie jestem stróżem mojego brata, że obowiązek spada na matkę. Potrzebowałem miejsca, w którym mógłbym złożyć życie Jeremy'ego i troskę o niego, czegoś w rodzaju szkatułki, którą mógłbym zamknąć na klucz i wmawiać sobie, że Jeremy przebywa tam, gdzie powinien, chociaż czułem, że to wszystko jest jednym wielkim kłamstwem. Potrzebowałem czegoś, co ukołoby moje wyrzuty sumienia. Tylko wtedy mogłem opuścić Austin.

Wyrwałem czek i pokazałem go matce. Posłała mi pusty uśmiech.

– Dziękuję, kochanie. Jesteś aniołem.

W drodze powrotnej z Austin zatrzymałem się w Hillview, mając nadzieję na dokonanie postępu w związku z moją pracą zaliczeniową i na nakłonienie Carla do podpisania dokumentów, które pomogłyby mi pozyskać jego akta z kancelarii obrońcy publicznego. Miałem także nadzieję, że ta wizyta zdoła odwrócić moją uwagę od palącego bólu w piersiach wywołanego przez matkę. Wczłapałem do Hillview, czując na barkach przytłaczające brzemienie poczucia winy.

Miałem wrażenie, jakby jakaś niewytłumaczalna siła ściągała mnie z powrotem na południe, do Austin. Myślałem, że ucieczka na studia pozwoli mi się znaleźć poza zasięgiem matki, ale wciąż byłem za blisko, zbyt łatwo można było mnie zdjąć z nisko zwieszającej się gałęzi, na którą się wspiałem. Czego potrzeba, abym umył ręce, jeżeli chodziło o moją matkę... i mojego brata? Jaką cenę miałbym zapłacić za ich porzucenie? Przynajmniej dziś, skonstatowałem, wynosiła ona trzy tysiące dolarów.

Janet uśmiechnęła się do mnie ze swojego stanowiska w recepcji, gdy ją mijalem. Poszedłem do sali rekreacyjnej, gdzie rezydenci, w większości na wózkach, tkwili zbici w niewielkie grupki jak figury szachowe w na wpół zakończonej rozgrywce. Carl siedział w tym samym miejscu co zwykle, na wózku inwalidzkim, zwrócony w stronę panoramicznego okna, i wpatrywał się w pranie rozwieszane na balkonie kamienicy naprzeciwko. Zatrzymałem się w pewnej odległości od niego, gdy zobaczyłem, że ma gościa – mężczyznę po sześćdziesiątce, o krótkich szpakowatych włosach, zaczesanych do tyłu i kołyszących się lekko jak trzcina poruszana wiatrem. Mężczyzna dotykał przedramienia Carla; on także był odwrócony w stronę okna. Rozmawiali.

Wróciłem do recepcji, zastałem Janet pochylającą się nad jakimiś papierami i zapytałem ją o gościa.

– Ach, to Virgil – odparła. – Nie pamiętam jego nazwiska. To jedyny gość Carla... Oprócz ciebie.

– Są spokrewnieni?

– Nie sądzę. Myślę, że są po prostu przyjaciółmi. Może poznali się w więzieniu. A może są... no wiesz... szczególnie przyjaciółmi.

– Nie wydaje mi się, żeby Carl miał takie skłonności – odparłem.

– Spędził w więzieniu trzydzieści lat. Mógł nabrać takich skłonności z wiadomych względów.

Janet przyłożyła dłoń do ust i zachichotała w przypiływie grzesznego zmieszania.

Uśmiechnąłem się do niej bardziej w celu przypodobania się jej niż przyłączenia do żarciku.

– Powiniennem tam wrócić? – zapytałem. – Nie chcę im przeszkadzać, jeżeli... – Nie dokończyłem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Zasuwasz. Jeżeli nie zechce się z tobą spotkać, na pewno powie ci to wprost. Carl może się rozpuszczać jak śniegowy bałwan na patelni, ale lepiej go nie lekceważ.

Wróciłem do Carla, który chichotał, rozbawiony czymś, co usłyszał od swojego gościa. W mojej obecności nawet się nie uśmiechał, ale teraz wydał mi się dużo młodszy. Zauważył, że wszedłem do sali, i jego uśmiech przygasł. Wyglądał jak dziecko, któremu przerwano beztróską zabawę.

– O, szczeniak przyszedł – powiedział.

Mężczyzna, który odwiedził Carla, uniósł wzrok i spojrzał na mnie z dziwną obojętnością, po czym wyciągnął rękę na przywitanie.

– Cześć, szczeniaku – odezwał się.

– Niektórzy mówią mi Joe – odparłem.

– Zgadza się – mruknął Carl. – To Joe pisarz.

– Właściwie Joe student – poprawiłem. – Nie jestem pisarzem, mam do napisania pracę na zaliczenie.

– Ja jestem Virgil... malarz – powiedział mężczyzna.

– Malarz jak holenderski mistrz czy holenderski chłopak na puszcze z farbą? – zapytałem.

– Raczej holenderski chłopak – odparł. – Maluję domy i takie tam. Ale dla przyjemności maznę też od czasu do czasu coś na płótnie.

– Joe, nie pozwól, żeby Virgil zamydlił ci oczy – wtrącił Carl. – To prawdziwy Jackson Pollock. Szkoda, że tylko wtedy, gdy stara się malować domy.

Carl i Virgil skwitowali to stwierdzenie śmiechem, ale ja nie zrozumiałem aluzji. Później wygooglowałem Jacksona Pollocka w internecie i zobaczyłem jego obrazy, które wyglądały jak coś, co mogłoby stworzyć małe dziecko mające do dyspozycji talerz spaghetti i dające upust złości. Dopiero wtedy zrozumiałem dowcip.

– Panie Iverson... – zacząłem.

– Mów mi Carl.

– Carl, mam nadzieję, że podpiszesz ten dokument.

– Co to takiego?

– Dokument urzędowy. Prośba o wydanie akt z twojego procesu – wyjaśniłem z wahaniem. – Do biografii potrzebuję materiału z dwóch odrębnych źródeł.

– Ach, szczeniak nie wierzy, że jestem wobec niego szczery – rzekł do Virgila Carl. – Uważa, że skrywam w sobie potwora.

Virgil pokręcił głową i odwrócił wzrok.

– Nie chciałem cię urazić – powiedziałem. – Moja przyjaciółka... a raczej nie tyle przyjaciółka co sąsiadka uważa, że mógłbym cię lepiej zrozumieć, gdybym rzucił okiem na materiały z procesu.

– Twoja przyjaciółka się myli – wtrącił Virgil. – Jeżeli faktycznie chcesz poznać prawdę o Carlu, dokumenty z procesu to ostatnie miejsce, w którym powinieneś jej szukać.

– Dobrze już, Virg – rzekł Carl. – Nie mam nic przeciw temu. Co mi tam, te stare akta już od trzydziestu lat pokrywają się kurzem. Kto wie, czy w ogóle jeszcze istnieją.

Virgil wychylił się do przodu, po czym wstał powoli, przytrzymując się dłońmi wózka, jakby miał znacznie więcej lat, niż mogło się wydawać. Wygładził załamania na spodniach i sięgnął po podniszczoną laskę z hikory stojącą przy ścianie nieopodal.

– Idę po kawę. Przynieść ci?

Nie odpowiedziałem, bo domyśliłem się, że nie mówił do mnie. Carl wydał wargi, pokręcił przecząco głową, a Virgil oddalił się wystudiowanym, choć nienaturalnym krokiem; jego prawa noga ugięła się i prostowała z mechaniczną sztywnością. Przyjrzałem się uważniej nogawce jego spodni tuż ponad butem i dostrzegłem błysk metalu w miejscu, gdzie powinna znajdować się kostka.

Odwróciłem się do Carla z poczuciem, że jestem winien temu człowiekowi przeprosiny, jakbym zarzucił mu kłamstwo, chcąc porównać jego wersję z tą zawartą w aktach sądowych – a przecież właśnie to zamierzałem uczynić.

– Przepraszam, panie Iver... to znaczy, Carl. Nie chciałem cię urazić.

– Nic nie szkodzi, Joe – odrzekł. – Virgil bywa wobec mnie nadopiekuńczy. Znamy się od bardzo dawna.

– Jesteście spokrewnieni? – spytałem.

Carl zamyślił się, po czym odparł:

– Jesteśmy braćmi... połączonymi więzami ognia, nie krwi.

Przeniósł wzrok za okno, jego oczy zmętniały, a policzki pobrały. Po chwili zapytał:

– Masz długopis?

– Długopis?

– Żeby podpisać papiery, które przyniosłeś.

Podąłem Carlowi formularz i długopis. Patrzyłem, jak podpisuje dokument; kłykcie niemal przebijały się przez jego skórę, przedramiona miał tak chude, że widać było każdy ruch mięśni towarzyszący tej czynności. Oddał mi dokument, a ja złożyłem kartkę i wsunąłem do kieszeni.

– Jeszcze jedno – rzekł, wlepiając wzrok w swoje palce, spoczywające teraz na udach. Kontynuował, nie unosząc wzroku: – Kiedy zapoznasz się z tymi aktami,

natkniesz się tam na mnóstwo różnych rzeczy, strasznych rzeczy, które sprawią, że mnie znienawidzisz. Ława przysięgłych mnie znienawidziła. Ale pamiętaj, że to nie jest cała moja historia.

– Wiem – odparłem.

– Nie, nie wiesz – zaprzeczył półgłosem, skupiając uwagę na barwnych ręcznikach trzepoczących na balkonie kamienicy naprzeciwko. – Nie znasz mnie. Jeszcze nie.

Czekałem, aż dokończy tę myśl, ale on tylko patrzył przez okno.

Pozostawiłem Carla z jego wspomnieniami, kierując się w stronę frontowych drzwi, gdzie stał czekający na mnie Virgil. Wyciągnął rękę z wizytówką wciśniętą między dwa palce. Wziąłem ją. „Virgil Gray – usługi malarskie”.

– Jeżeli chcesz dowiedzieć się czegoś o Carlu Iversonie – powiedział – powinieneś porozmawiać ze mną.

– Siedział pan razem z nim w więzieniu?

Virgil odezwał się do mnie tonem, jaki często słyszałem w knajpach, kiedy faceci opowiadali o kłopotach w pracy albo nieznośnych żonach – z rozdrażnieniem i rezygnacją wynikłą z okoliczności, na które nic nie można było poradzić:

– On nie zabił tej dziewczyny. A to, co robisz, to bzdury.

– Co? – spytałem.

– Wiem, co robisz – wycedził.

– A co takiego robisz?

– Mówię ci: on nie zabił tej dziewczyny.

– Był pan tam?

– Nie, nie byłem. Nie zgrywaj cwaniaka.

Teraz to ja poczułem narastające rozdrażnienie. Dopiero poznałem tego faceta, a on już uważał, że zna mnie wystarczająco dobrze, by mnie obrażać.

– O ile dobrze zrozumiałem – zacząłem powoli – tylko dwie osoby wiedzą, co się stało: Crystal Hagen i osoba, która ją zamordowała. Każdy inny mówi tylko to, w co chce wierzyć.

– Nie musiałem tam być, aby wiedzieć, że on jej nie zabił.

– W niewinność Teda Bundy’ego też niektórzy wierzyli.

Nie wiedziałem, czy tak było, ale zabrzmiało to dość przekonująco.

– On tego nie zrobił – uciał Virgil. Wskazał numer telefonu na wizytówce. – Zadzwoń. Porozmawiamy.

Zmarnowałem większą część tygodnia i odbyłem aż osiem rozmów telefonicznych, próbując wydobyć akta Carla Iversona z kancelarii obrońcy publicznego. Początkowo recepcjonistka miała kłopot ze zrozumieniem, o co mi chodzi, a gdy to w końcu pojęła, wyraziła przypuszczenie, że dokumentacja prawdopodobnie została zniszczona wiele lat temu.

– Tak czy owak – rzekła – nie jestem władna wydać akta w sprawie o morderstwo każdemu, kto o nie poprosi.

Później po prostu przełączała moje telefony na pocztę głosową Berthela Collinsa, głównego obrońcy publicznego, gdzie moje wiadomości najwyraźniej przepadały. Piątego dnia, gdy Collins wciąż nie odpowiedział na moją prośbę, opuściłem popołudniowe zajęcia i pojechałem autobusem do centrum Minneapolis.

Kiedy recepcjonistka poinformowała mnie, że szef jest zajęty, odparłem, iż mogę poczekać, i usiadłem na krześle dostatecznie blisko jej biurka, by usłyszeć, co szeptala do telefonu. Dla zabicia czasu przejrzałem kilka czasopism, aż w końcu szepnęła do kogoś, że wciąż tu siedzę. Kwadrans później złamała się i wprowadziła mnie do gabinetu Berthela Collinsa, mężczyzny o bladej skórze, ze zmierzwionymi, sterczącymi na wszystkie strony włosami i nosem wielkości dojrzałego owocu kaki. Berthel uśmiechnął się do mnie i uściśnął moją dłoń, jakby chciał sprzedać mi samochód.

– A więc to ty jesteś tym dzieciakiem, który mnie prześladowuje – odezwał się.

– Zakładam, że odebrał pan moją wiadomość – powiedziałem.

Przez chwilę wyglądał na zbitego z tropu, po czym gestem zaprosił mnie, abym usiadł.

– Musisz zrozumieć, nieczęsto zdarza się, że ktoś prosi nas o wygrzebanie akt sprzed trzydziestu lat. Przechowujemy je w innym miejscu.

– Ale wciąż je macie?

– O tak – odparł. – Mamy. Akta spraw o morderstwo przechowujemy bezterminowo. Kurier przywiózł je do nas wczoraj. Są tam.

Wskazał na przesyłkę kurierską stojącą pod ścianą za moimi plecami. Nie spodziewałem się takiej ilości materiałów. Zakładałem, że będzie to gruba teczka, ale nie całe pudło. Obliczałem w myślach, ile godzin zajmie mi zapoznanie się z aktami, ich liczba rosła w zastraszającym tempie. Dorzuciłem do tego czas potrzebny na wykonanie prac na inne zajęcia, fakultety i ćwiczenia. Nagle zakręciło mi się w głowie. Jak miałem sobie z tym wszystkim poradzić? Zacząłem

już żałować, że zdecydowałem się zdobyć te akta – przecież to miało być tylko proste zaliczenie z angielskiego.

Sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem formularz i podałem panu Collinsowi.

– A więc mogę je zabrać? – spytałem.

– Nie wszystko – odparł. – Jeszcze nie. Jedyne część. Musimy przygotować resztę akt przed ich wydaniem. Usunąć z nich notatki i zapiski procesowe, zanim pozwolimy, żeby opuściły tę kancelarię.

– Jak długo to potrwa?

Poruszyłem się na krześle, próbując znaleźć pozycję, w której sprężyny nie będą wpijać mi się w pośladki.

– Jak już wspomniałem, część akt przygotowaliśmy już na dzisiaj – uśmiechnął się. – Pracuje nad tym nasz stażysta. Reszta akt powinna być gotowa w miarę szybko, powiedzmy, za tydzień lub dwa.

Collins rozsiadł się swobodnie w miękkim, głębokim, wiktoriańskim fotelu, który, jak zauważyłem, był o dobre dziesięć centymetrów wyższy od wszystkich krzeseł w tym pokoju i wydawał się znacznie wygodniejszy. Znow zacząłem się wiercić, próbując poprawić krążenie krwi w nogach.

– Dlaczego zainteresowałeś się tą sprawą? – zapytał Collins, zakładając nogę na nogę.

– Powiedzmy, że interesuję się życiem i losami Carla Iversona.

– Ale dlaczego? – drażył z niezmaconą szczerością Collins. – Sprawa była oczywista.

– Zna pan tę sprawę?

– Tak, znam – odparł. – Byłem wtedy na trzecim roku prawa, pracowałem tu jako praktykant. Główny adwokat Carla John Peterson zatrudnił mnie do pomocy przy zbieraniu materiałów do tej sprawy. – Collins przerwał, patrząc poza mnie na pustą ścianę i wspominając szczegóły związane ze sprawą. – Kilkakrotnie spotkałem się z Carlem w więzieniu, a podczas jego procesu siedziałem na galerii. To była moja pierwsza sprawa o morderstwo. Tak, pamiętam go. I pamiętam też dziewczynę. Crystal...

– Hagen.

– Zgadza się, Crystal Hagen. – Z twarzy Collinsa powiało chłodem. – Wciąż widzę zdjęcia, które pokazano nam podczas procesu. Nigdy wcześniej nie widziałem zdjęć z miejsca zbrodni. To nie jest tak, jak widzimy w telewizji, gdzie ofiary mają zamknięte oczy i wyglądają, jakby spały. Bynajmniej. Zdjęcia były brutalne i chwytaly za serce. Na widok dziewczyny wszystko aż się przewracało w żołądku. Do dziś mam ją przed oczami.

Wzdrygnął się, po czym dodał:

– Właściwie on mógł pójść na układ, powinien był na to przystać.

– Układ?

– Zaproponowano mu ugodę. Zmianę kategorii czynu na morderstwo drugiego stopnia. Mógłby dostać warunkowe zwolnienie po ośmiu latach. Ale się nie zgodził. Odrzucił tę propozycję. Facet stoi przed groźbą bezwarunkowego dożywocia, gdyby został uznany za winnego morderstwa pierwszego stopnia, a mimo to odrzuca ugodę i przyznaje się do morderstwa drugiego stopnia.

– To nasuwa pytanie – powiedziałem. – Skoro groziło mu bezwarunkowe dożywocie, jak mógłby uzyskać zwolnienie warunkowe?

Collins wychylił się do przodu i przetarł dłonią podbródek pokryty jednodniowym zarostem.

– Dożywocie niekoniecznie oznacza pobyt w więzieniu aż do śmierci – wyjaśnił. – W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku dożywocie oznaczało, że o prawo do zwolnienia warunkowego można było ubiegać się po odsiedzeniu siedemnastu lat za kratkami. Potem okres ten wydłużono do trzydziestu lat. Później zmieniono prawo raz jeszcze, aby osoba, która popełniła morderstwo podczas porwania lub gwałtu, nie mogła ubiegać się o zwolnienie warunkowe po zasądzeniu dla niej wyroku dożywocia. Teoretycznie Iverson został skazany według starych przepisów, mógł zatem ubiegać się o zwolnienie warunkowe po siedemnastu latach, ale nikt o to nie dbał. Kiedy wprowadzono przepisy, zgodnie z którymi mordercy i gwałtciiele mieli trafić za kratki na dożywocie, bez prawa do wcześniejszego zwolnienia, perspektywy wyjścia Iversona na warunkowe błyskawicznie zmaleły do zera. Prawdę mówiąc, kiedy do mnie zadzwoniłeś, przejrzałem akta Iversona na stronie internetowej wydziału więziennictwa i omal nie padłem, gdy dowiedziałem się, że wypuszczono go na wolność.

– Umiera na raka – powiedziałem.

– To wszystko tłumaczy – mruknął. – Więzienne hospicjum to problematyczna sprawa. – Kącki jego ust opadły i pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Co zdaniem Carla zdarzyło się tej nocy, kiedy zginęła Crystal Hagen? Co powiedział na ten temat?

– Nic – odparł Collins. – Powiedział, że tego nie zrobił, że tego popołudnia pił, aż film mu się urwał, i nic więcej nie pamięta. Okazało się to niezbyt pomocne dla jego linii obrony, tak jak jego zachowanie podczas procesu. Po prostu siedział i śledził przebieg rozprawy, jakby oglądał telewizję.

– Uwierzył mu pan, kiedy powiedział, że jest niewinny?

– To nieważne. Byłem tylko pomocnikiem adwokata. Podjęliśmy walkę i stoczyliśmy dobry pojedynek. Twierdziliśmy, że Crystal została zabita przez swojego chłopaka. Taka była nasza teoria. Jako ostatni widział ją żywą. Miał okazję, no i była to zbrodnia namiętności. Chciał ją przelecieć, ona odmówiła, sytuacja wymknęła się spod kontroli. To była całkiem dobra teoria, nic dodać, nic ująć. Ale ława przysięgłych nie dała jej wiary, a tylko to się liczy.



– Są ludzie, którzy wierzą w niewinność Carla – powiedziałem, mając na myśli Virgila.

Collins spuścił wzrok i pokręcił głową, lekceważąc moje słowa.

– Jeżeli tego nie zrobił, to musi być naprawdę żalostną łajzą. Jej ciało znaleziono w jego składziku. A na stopniach ganku na tyłach jego domu jeden z jej paznokci.

– Zerwał jej paznokcie? – spytałem, wzdrygając się.

– To był sztuczny paznokieć, taki z akrylu, naklejony. Zrobiła sobie paznokcie na szkolną potańcówkę kilka tygodni wcześniej. Prokurator sugerował, że paznokieć oderwał się, kiedy sprawca prznosił zwłoki dziewczyny do składziku.

– Wierzy pan, że Carl ją zabił?

– W pobliżu nie było nikogo innego. Iverson powiedział tylko, że jej nie zabił, ale z drugiej strony przyznał, że był zbyt pijany i nie pamiętał, co się zdarzyło tamtego wieczoru. Brzytwa Ockhama.

– Brzytwa Ockhama?

– To zasada, zgodnie z którą w wyjaśnianiu jakichś kwestii należy dążyć do prostoty. Zbrodnie takie jak morderstwo rzadko bywają skomplikowane, a większość morderców trudno byłoby określić mianem geniuszów. Poznałeś go już?

– Kogo? Carla? Tak, podpisał te dokumenty.

– Fakt. – Collins zmarszczył brwi niezadowolony z niewychwyconego, choć oczywistego wniosku.

– Co mówił? Czy powiedział, że jest niewinny?

– Jeszcze nie rozmawialiśmy o sprawie. Staram się tego nie przyspieszać.

– Spodziewam się, że tak właśnie powie. – Collins przecesał wielkimi dłońmi włosy, aż płatki łupieżu posypały mu się na ramiona. – A gdy to powie, zechcesz mu uwierzyć.

– Ale pan mu nie uwierzył.

– Może uwierzyłem. Wtedy. Nie jestem pewien. Z facetami takimi jak Carl nigdy nie wiadomo.

– Z facetami takimi jak Carl?

– To pedofil, a nikt nie kłamie lepiej niż pedofile. Oni są w tym najlepsi. Żaden oszust nie dorówna w kłamstwie pedofilowi.

Spojrzałem na Collinsa, dając mu do zrozumienia, że czekam na dalsze wyjaśnienia.

– Pedofile to potwory, które kroczą wśród nas. Mordercy, złodzieje, włamywacze, handlarze narkotyków zawsze potrafią usprawiedliwić swoje czyny. Większość przestępstw i zbrodni jest popełniana z prostych pobudek, takich jak chciwość, gniew czy zazdrość. Ludzie są w stanie zrozumieć te emocje. Nie

wybaczamy ich, ale potrafimy je zrozumieć. Każdy kiedyś je odczuł. Większość ludzi, gdyby faktycznie wykazała się odrobiną uczciwości, przyznałaby, że w myślach planowała takie czy inne przestępstwo, obmyślała zbrodnię doskonałą i zastanawiała się, jak mogłaby uniknąć kary za swój czyn. Każdy z przysięgłych odczuwał gniew lub zazdrość. Każdy z nich rozumie uczucia kryjące się za zbrodnią taką jak morderstwo i wymierza sprawcy karę za to, że nie był w stanie ich pohamować.

– Pewnie tak – przyznałem.

– A teraz pomyśl o pedofilu. Takiego faceta podnieca seks z dziećmi. Kto to rozumie? Takich czynów nie sposób wytłumaczyć ani usprawiedliwić. Nie ma wytłumaczenia dla takich ludzi – są potworami i zdają sobie z tego sprawę. Jednak nie potrafią tego przyznać nawet przed sobą. Dlatego ukrywają prawdę, grzebią ją głęboko w sobie, aż w końcu zaczynają wierzyć we własne kłamstwa.

– Ale niektórzy mogą być niewinni, prawda? – spytałem.

– Miałem kiedyś do czynienia z pewnym facetem... – Collins wychylił się do przodu, opierając łokcie na blacie. – Oskarżono go o molestowanie dziesięcioletniego dziecka. Ten facet przekonał mnie, że to jego była żona wbiła dziecku do głowy całą tę z gruntu zmyśloną historię. Uwierzyłem mu bezgranicznie. Przygotowałem dokładnie przesłuchanie, które miało podważyć wersję dzieciaka. I w końcu, miesiąc przed procesem zjawili się technicy komputerowi. Prokurator wezwał mnie do swojego biura, żeby pokazać mi nagranie wideo, które zrobił ten dupek. Zarejestrował wszystko, co wedle zeznań dziecka miało się wydarzyć. Kiedy pokazałem mu to nagranie, facet wybuchnął płaczem, ryczał jak bóbr, ale nie dlatego, że zgwałcił własne dziecko i został złapany, tylko dlatego, że zaklinał się, iż to nie on. Prokurator miał tego sukinsyna na taśmie, jego twarz, głos, tatuaże, a mimo to gość starał się mnie przekonać, że zrobił to ktoś ładząco podobny do niego. Jego sobowtór.

– A więc zakłada pan, że wszyscy pańscy klienci oskarżeni o pedofilię kłamią?

– Nie, nie wszyscy.

– Czy zakłada pan, że Carl kłamał?

Collins przerwał i zamyślił się przez chwilę.

– Z początku chyba chciałem mu wierzyć. Myślę, że wtedy nie byłem tak zrezygnowany jak teraz. Jednak dowody wykazały, że zabił tę dziewczynę. Przysięgli dali się przekonać i dlatego Iverson trafił do więzienia.

– Czy to prawda, co mówi się o pedofilach przebywających w więzieniu? – spytałem. – Że są bici i tak dalej?

Collins wydał wargi i powiedział, kiwając głową:

– Tak, to prawda. Więzienie rządzi się własnymi prawami. Obowiązuje tam wewnętrzna, nieformalna hierarchia wartości. Moi klienci zatrzymani za

prorowadzenie po pijanemu pytają, czemu to ich spotkało. Przecież nikogo nie okradli. Złodzieje i włamywacze mówią: przecież nikogo nie zabiłem. Mordercy mogą powiedzieć: przynajmniej nie jestem pedofilem, nigdy nie zgwałciłem dziecka. Faceci tacy jak Iverson nie mają żadnego punktu odniesienia. Nie ma nikogo gorszego od nich i choćby z tego powodu znajdują się na samym końcu więziennego łańcucha pokarmowego. Co więcej, Iverson odsiadywał karę w więzieniu Stillwater. Chyba nie mógł trafić gorzej.

Darowałem sobie dalsze próby swobodniejszego usadowienia się na tandetnym krześle, uświadamiając sobie, że było niewygodne z założenia, by skrócić do minimum wizytę w gabinecie. Wstałem i roztarłem zdrętwiałe uda. Collins także się podniósł i wyszedł zza biurka. Wyjął z pudła dwie teczki i mi je podał. Jedna była opisana jako „Wybór przysięgłych”, a druga jako „Sentencja wyroku”.

– Te można już wydać – powiedział. – Chyba mogę ci też przekazać transkrypcję procesu.

– Transkrypcję procesu?

– Tak, sprawy o morderstwo pierwszego stopnia podlegają automatycznej apelacji. Protokolant sądowy przygotowuje transkrypcję procesu, czyli wszystkiego, co zostało powiedziane, słowo po słowie. Kopie tych transkrypcji powinny znajdować się w sądzie najwyższym, więc dziś możesz otrzymać nasz egzemplarz.

Collins podszedł do pudła i wyjął sześć woluminów w miękkiej oprawie, a następnie przekazał je, jeden po drugim, na moje ręce, aż utworzyły wysoki na ponad trzydzieści centymetrów stos.

– To powinno cię zająć na pewien czas.

Spojrzałem na teczki i dokumenty, które trzymałem, czując ich ciężar, gdy Collins wyprowadzał mnie z gabinetu. Przy drzwiach odwróciłem się.

– Co miałbym znaleźć w tych księgach? – spytałem.

Collins westchnął, ponownie potarł palcami podbródek i wzruszył ramionami.

– Podejrzewam, że nie znajdziesz tam nic, czego już byś nie wiedział.

Wracając autobusem do domu, przejrzałem sześć tomów transkrypcji, klnąc przy tym, na czym świat stoi. Do tej pracy zaliczeniowej z angielskiego udało mi się zdobyć więcej lektur niż na wszystkie inne zajęcia razem wzięte. Było już za późno na rezygnację, jeśli nie chciałem stracić dobrej średniej ocen. Musiałem wkrótce złożyć notatki i pierwszy rozdział biografii Iversona, a także oddać wszystkie inne prace i nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić, że zdołam na czas przejrzeć te wszystkie materiały.

Po długim marszu z przystanku do mieszkania tomiszczka w plecaku wydawały się ciężkie jak kamienne tablice. Wyjąłem klucze i już miałem otworzyć drzwi, gdy usłyszałem dźwięki gitary klasycznej dochodzące z mieszkania Lili. Transkrypcje dały mi pretekst, żeby do niej zajrzeć i się przywitać. Bądź co bądź stanowiły jej wkład w mój donkiszotowski projekt pracy. Poza tym naprawdę chciałem znów ją zobaczyć. W jej nastawieniu mówiącym „zostaw mnie, kurwa, w spokoju” było coś, co mnie kręciło. Otworzyła drzwi. Była boso, miała na sobie za dużą dżersejową bluzkę Twins i szorty, które ledwie wystawały spod bluzki. Nie mogłem się powstrzymać przed popatrzeniem na jej nogi; zerknąłem tylko, ale i tak to zauważyła. Spojrzała na mnie i uniosła brew. To zbiło mnie z tropu.

– Ee... byłem dziś... u adwokata – wykrztusiłem. – Mam transkrypcję procesu. – Sięgnąłem do plecaka i pokazałem jej wynik moich starań.

Wciąż stała w drzwiach, przyglądając mi się, nie zaprosiła mnie do środka ani nie zrobiła nic więcej poza uniesieniem brwi. Patrzyła, jakby chciała oszacować, czy się jej narzucam, po czym wzruszyła ramionami i weszła do mieszkania, pozwalając, by drzwi same zaczęły się zamykać. Podążyłem za nią.

Jej mieszkanie przepełnione było słabym zapachem talku i wanilii.

– Czytałeś je już? – spytała.

– Dopiero je dostałem. – Upuściłem pierwszy tom na stół, pozwalając, żeby towarzyszący temu dźwięk podkreślił jego wagę. – Nie mam pojęcia, od czego zacząć.

– Zaczynaj od mowy wstępnej – odparła.

– Od czego?

– Od mowy wstępnej.

– To powinno być gdzieś na samym początku? – spytałem z uśmiechem.

Wzięła do ręki jeden z tomów i zaczęła przerzucać strony.

– Co wiesz o mowach wstępnych i tego typu rzeczach? Zamierzasz studiować prawo? – zaciekałem się.

– Może – odparła krótko. – W liceum uczestniczyłam w inscenizacji procesu. Mecenas, który nas przygotowywał, mówił, że mowa wstępna powinna zawierać historię sprawy, opowiadać ją tak, jakbyś ją relacjonował, siedząc w salonie z przyjaciółmi.

– Brałaś udział w inscenizacji procesu?

– Taa – mruknęła, oblizując palce i przewracając kolejne strony. – Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, będę kiedyś studiować prawo. Chciałabym.

– Ja jeszcze o tym nie myślałam, ale chyba zajmę się dziennikarstwem. Tyle tylko, że...

– O, mam. – Wstała, otwierając transkrypcję na właściwej stronie i ujmując wolumin w jedną rękę. – Ty będziesz przysięgłymi. Usiądź na kanapie. Ja odegram rolę prokuratora.

Usiadłem pośrodku kanapy, rozkładając ramiona na boki na oparciu. Lila stanęła przede mną i odczytała kilka linijek, by wczuć się w rolę. Potem wypięła pierś, ściągnęła ramiona i zaczęła mówić. Zobaczyłem, że tkwiący w niej chochlik zniknął, że z jego cienia wyszła kobieta pewna siebie, władcza i domagająca się uwagi ławy przysięgłych.

– Panie i panowie przysięgli, dowody w sprawie wykażą, że dwudziestego dziewiątego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku oskarżony – Lila płynnym gestem machnęła ręką z gracją modelki, wskazując na wolne krzesło w rogu – Carl Iverson zgwałcił i zamordował czternastoletnią Crystal Marie Hagen.

Przeszła powoli przede mną, unosząc wzrok znad tekstu i, tak często jak tylko mogła, nawiązując ze mną kontakt wzrokowy, jakbym naprawdę był jednym z przysięgłych.

– Jeszcze rok temu Crystal Hagen była pełną życia, radosną czternastolatką, piękną dziewczynką, kochaną przez rodzinę, z oddaniem ćwiczącą jako główna cheerleaderka w Liceum Edisona.

Lila przerwała i dla lepszego efektu zniżyła głos.

– Ale, szanowni państwo, przekonacie się, że życie Crystal Hagen nie było tylko pasmem radości i szczęścia. Przedstawimy wam fragmenty z jej pamiętnika, w którym pisze o mężczyźnie nazwiskiem Carl Iverson, nazywając go „zbokiem z sąsiedztwa”. Napisała, że Carl Iverson gapił się na nią i obserwował przez okno, gdy trenowała na podwórzu za domem do układu cheerleaderek. Z pamiętnika dowiedziecie się, panie i panowie, o zdarzeniu, do którego doszło, gdy przebywała w towarzystwie swojego chłopaka, niejakiego Andy’ego Fishera, którego poznała w liceum na zajęciach z maszynopisania. Któregoś wieczoru ona i Andy zaparkowali samochód w zaułku na tyłach domu Hagenów i Carla Iversona. Zatrzymali się w głębi, z dala od oczu ciekawskich, jak to robią nastolatki. Właśnie wtedy oskarżony Carl Iverson podszedł do samochodu jak potwór z filmu grozy i zaczął gapić się na nich przez szybę. Zobaczył, jak Crystal i Andy... no cóż,

powiedzmy, że eksperymentowali... z seksem. Ot, para dzieciaków obściskujących się potajemnie. A Carl Iverson ich zobaczył... obserwował. Może się to nie wydawać niczym złym, ale dla Crystal Hagen było równoznaczne z końcem świata. Bo, widzicie państwo, Crystal miała ojczyzna, żarliwie religijnego mężczyznę nazwiskiem Douglas Lockwood. On także będzie zeznawał w tym procesie. Pan Lockwood nie aprobował tego, że Crystal jest cheerleaderką. Nie podobało mu się, że Crystal w wieku lat czternastu spotyka się z chłopakami. Dlatego ustalił dla niej listę zasad mających chronić reputację rodziny i cnotę Crystal. Powiedział, że jeśli Crystal nie zechce przestrzegać tych zasad, on zabroni jej udziału w treningach cheerleaderek. A gdyby w jego odczuciu zrobiła coś naprawdę złego, zamierzał posłać ją do prywatnej katolickiej szkoły. Panie i panowie, to, co tamtego wieczoru Crystal zrobiła w samochodzie z Andym Fisherem, było naruszeniem tych zasad. Dowody wykażą, że Carl Iverson wykorzystał to, co ujrzał tego wieczoru w zaułku, by szantażować Crystal i zmusić ją..., by... mu uległa. Widzicie państwo, niedługo po wydarzeniach tego wieczoru w zaułku Crystal napisała w swoim pamiętniku, że mężczyzna zmusił ją do robienia rzeczy, na które nie miała ochoty. Mowa o czynnościach o charakterze seksualnym. Powiedział, że jeśli nie zrobi tego, czego on chce, wyjawia jej tajemnicę. Crystal nie wymieniła otwarcie Carla Iversona z nazwiska, nie napisała, że to właśnie Carl Iverson jej groził, ale gdy zobaczycie państwo treść zapisków w jej pamiętniku, nie będziecie mieć najmniejszych wątpliwości, kogo one dotyczą.

Lila zwolniła tempo i dla lepszego efektu dramatycznego zniżyła głos do szeptu. Przeniosłem dłonie na kolanach, gdy wychyliłem się do przodu, by jej słuchać.

– Tego popołudnia, kiedy doszło do morderstwa, Andy Fisher odwiózł Crystal po szkole do domu. Pożegnali się czułym pocałunkiem i Andy odjechał. Crystal została całkiem sama w pustym domu sąsiadującym z domem Carla Iversona. Może poszła tam, by się z nim rozmówić. Widzicie państwo, tego popołudnia Crystal Hagen odwiedziła szkolnego psychologa i dowiedziała się, że to, co robił jej Carl Iverson, kwalifikowało się, by posłać go do więzienia. A może poszła tam pod groźbą pistoletu, bo wiemy, że rankiem w dniu, kiedy zginęła, Carl Iverson nabył broń wyprzedawaną przez armię. Nie wiemy, w jakich konkretnie okolicznościach trafiła do domu Iversona, wiemy jednak, że tam była, gdyż dysponujemy dowodami, które za chwilę przedstawię. A gdy tam trafiła, sytuacja gwałtownie zmieniła się na jej niekorzyść. Crystal zamierzała rozmówić się z Iversonem, posłać go za kratki, jeżeli nie przestanie jej szantażować i molestować. Oczywiście Carl Iverson miał inne plany.

Lila zatrzymała się, nie udawała już prokuratora. Usiadła na kanapie obok mnie z wzrokiem utkwionym w transkrypcji. Kiedy znów się odezwała, w jej głosie pojawił się przejmujący smutek.

– Carl Iverson zgwałcił Crystal Hagen. A gdy z nią skończył – gdy zabrał jej wszystko, co tylko chciał – odebrał jej również życie. Uduślił ją, używając przewodu elektrycznego. Panie i panowie przysięgli, uduszenie człowieka trwa dość długo. To powolna, potworna śmierć. Carl Iverson musiał owinąć przewód wokół szyi Crystal Hagen, zaciągnąć go mocno i przytrzymać w ten sposób co najmniej dwie minuty. Z każdą upływającą sekundą mógł zmienić zdanie. Mógł się rozmyślić, lecz on tylko mocno ściągał końce przewodu, wpijając go głębiej w jej szyję, aż nie tylko straciła przytomność, ale i życie.

Lila przestała czytać i spojrzała na mnie zbolalym wzrokiem, jakbym był w pewien sposób przedłużeniem Carla, jakby żyło we mnie ziarno jego potwornego czynu. Pokręciłem głową. Wróciła do lektury.

– Crystal walczyła o życie. Wiemy to, ponieważ jeden z jej sztucznych paznokci odłamał się w trakcie szarpaniny. Ten paznokieć znaleziono na schodach domu Carla Iversona. Spadł tam, gdy Carl Iverson prznosił ciało Crystal do składziku. Iverson rzucił jej ciało na podłogę jak worek śmieci. Próbuując ukryć swoją zbrodnię przed światem, podpalił składzik w przekonaniu, że żar i ogień zniszczą dowody jego czynu. Potem wrócił do swojego domu i pił na umór whisky, aż stracił przytomność. Zanim na miejsce dotarła straż pożarna, cały składzik stał w płomieniach. Kiedy policja odnalazła ciało Crystal w dymiących zgliszczach, zapukała do drzwi Iversona, ale on nie odpowiadał. Uznali, że nikogo nie ma w domu. Detektyw Tracer wrócił następnego ranka z nakazem rewizji i zastał Iversona wciąż nieprzytomnego, leżącego na kanapie z pustą butelką whisky w jednej ręce i czterdziestkąpiątką w drugiej. Szanowni państwo, zobaczycie zdjęcia, które was zbulwersują. Już teraz przepraszam was za to, co będziecie musieli oglądać, ale to konieczne, żebyście zrozumieli, co spotkało Crystal Hagen. Ogień spalił dolną połowę jej ciała tak bardzo, że niektóre jego części były nie do rozpoznania. Dach z blachy falistej spadł na nią, zakrywając górną część torsu i chroniąc tę jej część przed płomieniami. Tu także, na wysokości piersi, ujrzyście jej lewą dłoń, przyciśniętą do ciała i nietkniętą przez ogień. Na lewej ręce zobaczycie akrylowe paznokcie, którymi tak się szczyciła, paznokcie, które zrobiła na swój pierwszy szkolny bal z Andym Fisherem. Przekonacie się, że jednego paznokcia brakuje, tego, który oderwał się podczas jej szamotaniny z Carlem Iversonem. Panie i panowie, kiedy zapoznacie się z dowodami w sprawie, znów zwrócę się do was i będę was prosił o uznanie Carla Iversona za winnego morderstwa pierwszego stopnia.

Lila odłożyła transkrypcję na uda, pozwalając, by echo jej słów wybrzmiało w ciszy.

– Co za chory łajdak – wycedziła. – Nie do wiary, że możesz siedzieć obok tego faceta i nie mieć ochoty go zabić. Nie powinni byli wypuścić go z więzienia. Powinien zgnić w najciemniejszej, cuchnącej celi, jaką mają w tym zakładzie

karnym.

Nachyliłem się lekko w jej stronę, naśladowując postawę, jaką przyjęła, i opierając jedną rękę na poduszce obok jej nogi. Gdybym rozszerzył palce, mógłbym jej dotknąć. Ta myśl przyćmiła wszystkie inne w mojej głowie, ale Lila o tym nie wiedziała.

– Jak to jest... rozmawiać z nim? – spytała.

– To stary człowiek – odparłem. – Schorowany, słaby i wychudzony na wiór. Trudno go dostrzec w tym wszystkim, co właśnie przeczytałaś.

– Kiedy będziesz o nim pisał, dopilnuj, żebyś w pełni zrelacjonował jego historię. Nie pisz tylko o słabym, starym człowieku umierającym na raka. Opowiedz o zapijaczonym degeneracie, który spalił czternastoletnią dziewczynę.

– Obiecałem, że napiszę całą prawdę. I tak właśnie zrobię.



Październik minął jak z bicza trząsał. Jedna z barmanek musiała odejść z pracy, bo mąż przyłapał ją, jak flirtuje z klientami, by otrzymywać wyższe napiwki, więc Molly poprosiła, żebym stanął za barem, dopóki nie znajdzie nowej pracownicy. Nie mogłem odmówić, bo musiałem odzyskać trzy tysiące dolarów, które wydałem na kaucję za mamę. Dlatego przez większą część miesiąca od wtorkowego do czwartkowego wieczoru stałem za barem, a w weekendy na bramce. Co więcej, zbliżała się sesja, a z nią zaliczenia z ekonomii i socjologii. Nabrałem nawyku czytania tylko podkreślonych linijek w moich podręcznikach – używanych – i miałem nadzieję, że ich poprzedni właściciele wiedzieli, co było warte zaznaczenia dla potrzeb semestralnych testów.

W sentencji wyroku Carla znalazłem dokument, który wydał mi się darem niebios. Był to raport zawierający w skrócie cały życiorys Carla Iversona dorastającego w South St. Paul: informacje o jego rodzinie i grzeszkach młodości, zamięłowaniach i wykształceniu. Była tam też wzmianka o jego służbie wojskowej i o tym, że został z honorami zwolniony do cywila po odbyciu służby w Wietnamie, za co został nagrodzony dwoma medalami: Purpurowego Serca oraz Srebrną Gwiazdą. Postanowiłem w duchu, że przyjrę się uważniej służbie wojskowej Carla. Odwiedziłem go w październiku dwukrotnie, tuż przed złożeniem notatek i pierwszego rozdziału pracy. Dokończyłem rozdział, dorzucając informacje z raportu przeniesione ze szczegółami z notatek, odrobinę przeze mnie ubarwione.

Kiedy dostarczyłem materiały wykładowcy, do Hillview wróciłem dopiero po Halloween, którego nie znośłem. Z okazji święta włożyłem strój wykidajły, bo odkąd skończyłem osiemnaście lat, każdego roku pracowałem tego dnia na bramce w barze Molly. Tamtego wieczoru zapobiegłem tylko jednej rozróbie: Superman złapał za tyłek Szmacianą Lalę – co innego, gdyby Szmaciana Lala była striptizerką – więc chłopak Lali się wkurzył i rozłożył człowieka ze stali na łopatki. Wyprowadziłem chłopaka Szmacianej Lali za drzwi; ona podążyła za nim, a mijając mnie, uśmiechnęła się filuternie, jakby od początku ta rozróżba była częścią jej planu, rodzajem nagrody, na jaką liczyła, kiedy wciskała swoje krągłe ciało w obcisły, skąpy kostium. Nie cierpiałem Halloween.

Chłody nadeszły wraz z początkiem listopada, w dniu, w którym wróciłem do Hillview. Temperatura oscylowała w granicach zera, zaschłe liście wały się wokół budynków i śmietników, gdzie usypywano z nich całe sterty. Tego ranka zadzwoniłem do Hillview, żeby upewnić się, czy mogę odwiedzić Carla, bo nie

wiedziałem, jak się czuje. Zostałem go w tym samym miejscu co zwykle, wyglądającego przez okno. Nogi miał przykryte ciepłym kocem, na nogach kapcie i grube skarpety, a prócz niebieskiego szlafroka nosił też kalessy. Spodziewał się mnie i poprosił jedną z pielęgniarek, żeby przystawiła fotel obok jego wózka. Odruchowo, a może z przyzwyczajenia, uściśniętem mu dłoń i usiadłem; jego chude palce wyślizgnęły się z mojej dłoni zimne i wilgotne jak zeschnięte wodorosty.

– Myślałem, że o mnie zapomniawsz – powiedział.

– Miałem ciężki semestr – odparłem, wyjmując mały cyfrowy dyktafon. – Mogę nagrywać, prawda? To prostsze niż robienie notatek.

– To twoje przedstawienie. Ja tylko zabijam czas – zachichotał rozbawiony tym przejawem wisielczego humoru.

Włączyłem dyktafon i poprosiłem Carla, żeby podjął opowieść przerwana podczas naszego poprzedniego spotkania. Gdy opowiadał swoją historię, ja skrętnie rozdzielałem ją na pojedyncze informacje, rozkładając na stole niczym fragmenty układanki. Potem próbowałem je poskładać tak, by wyjaśniło to narodziny i życie potwora. Co takiego było w jego dzieciństwie lub okresie dojrzewania, że zasiało nasiono, które pewnego dnia zdefiniuje Carla jako mordercę? Musiała gdzieś tkwić tajemnica. Musiało się stać coś, co sprawiło, że Carl Iverson różnił się od reszty rasy ludzkiej, co różniło go ode mnie. Pierwszego dnia, gdy się poznaliśmy, urządził mi wykład o uczciwości, a teraz snuł historię o dzieciństwie i wychowaniu w duchu idealistycznych wartości, a jednak musiał skrywać mroczny punkt, w którym jego droga życiowa zmieniła kierunek, w jakim reszta z nas nigdy nie potrafiłaby pójść. Miałem ochotę mu zarzucić, że wciska mi kit. Tymczasem tylko kiwałem głową i słuchałem z uwagą, jak relacjonuje swoje życie, wybielone niczym świeżo otynkowany budynek.

W drugiej godzinie naszego spotkania powiedział:

– I właśnie wtedy rząd Stanów Zjednoczonych zaprosił mnie do wyjazdu do Wietnamu.

Wreszcie jakiś epizod, który mógł tłumaczyć genezę potwora, pomyślałem. Carl bardzo osłabł od długiego mówienia. Oparł dłonie na kolanach, usiadł wygodniej na wózku i zamknął oczy. Patrzyłem, jak blizna na jego szyi pulsuje w rytmie krwi przepływającej przez tętnicę.

– Ta blizna to pamiątka z Wietnamu? – spytałem.

Dotknął odbarwionej skóry.

– Nie. Z więzienia. Jeden porąbaniec z Bractwa Aryjskiego próbował urznąć mi łeb.

– Z Bractwa Aryjskiego? Czy on nie są biali?

– Są – odparł.

– Myślałem że poszczególne rasy w więzieniu raczej się wspierają.

– Nie, jeśli jesteś pedofilem skazanym prawomocnym wyrokiem tak jak ja.

Poszczególne gangi mają własne sposoby, żeby przecwelić zboczeńców seksualnych należących do tej samej rasy co oni.

– Przecwelić?

– Zboczeńcy seksualni i pedofile to najgorsze męty stojące najniżej w więziennej hierarchii. Jeżeli chcesz się na kimś wyżyć, wyładowujesz się na cwelach. Jeżeli chcesz zarobić na tatuaż, pokazać, że twardy z ciebie zakapior, to czemu nie zabić cwela, a jeśli chcesz mieć własną sukę, parowę, czy jak to nazwiesz, no to... sam rozumiesz.

Byłem zbulwersowany, ale trzymałem fason, by nie okazać odrazy, jaka mnie przepełniła.

– Któregoś dnia, mniej więcej trzy miesiące po tym, jak trafiłem do Stillwater, szedłem na kolację. To najniebezpieczniejsza pora dnia. Wysyłają do stołówek dwustu facetów naraz. W takim tłumie zdarza się, że ktoś sprzeda komuś kosę. Nie sposób się zorientować, kto kogo chlasnął i dlaczego.

– Nie ma możliwości, żeby temu zaradzić? Postarać się o odizolowanie od reszty więźniów? To się chyba nazywa areszt ochronny?

– Segregacja – odparł. – Owszem, mógłbym poprosić o segregację, ale nie zrobiłem tego.

– Dlaczego?

– Bo w tym momencie życie niewiele dla mnie znaczyło.

– A jaka jest historia tej blizny?

– Był tam wielki goryl nazwiskiem Slattery, który chciał, żebym... no, powiedzmy, że brakowało mu bliższego towarzystwa. Powiedział, że poderżnie mi gardło, jeśli nie zrobię tego, czego ode mnie żąda. Odparłem, że wyświadczyłby mi przysługę.

– I on podciął ci gardło?

– Nie. To tak nie działa. Był szefem, nie wykonawcą. Zlecił robotę jakiemuś śmieciowi, dzieciakowi, który chciał się zasłużyć. Nawet nie zauważyłem, kiedy to się stało. Poczulem ciepłą strugę ściekającą mi po ramieniu. Uniosłem dłoń do szyi i krew trysnęła mi z gardła. Omal nie umarłem. Kiedy mnie połatali, przymusowo zostałem umieszczony w izolatce. Spędziłem w niej większość z trzydziestu lat, które odsiedziałem. To hałaśliwe miejsce, otoczone betonem, niemal kompletnie odcięte od świata. Można oszaleć.

– Czy to w więzieniu poznałeś swojego „brata”? – spytałem.

– Mojego brata?

– Virgila, tak ma na imię, prawda?

– Ach, Virgila.

Wziął głęboki oddech, jakby chciał westchnąć, ale fala bólu sprawiła, że wyprężył się na fotelu jak struna. Krew odpłynęła mu z palców, gdy ścisnął mocno podłokietniki wózka inwalidzkiego.

– Myślę że... – powiedział, wyrzucając z siebie krótkie, urywane oddechy, jakby szykował się do porodu albo chciał stłumić ból. – Ta historia... będzie musiała poczekać... na inny dzień.

Przywołał pielęgniarkę i poprosił o leki.

– Chyba... niedługo... zasnę.

Podziękowałem mu za poświęcony czas, zabrałem plecak i dyktafon, po czym wyszedłem. Zatrzymałem się na chwilę przy recepcji, żeby wyjąć z kieszeni portfel i znaleźć wizytówkę, którą wręczył mi Virgil Gray. Nadszedł czas, żebym usłyszał, co ma do powiedzenia jedyny człowiek na świecie wciąż wierzący w niewinność Carla Iversona, jedyny głos jawnie przeczący mojej opinii, że Carl Iverson otrzymał słuszną, sprawiedliwą i zasłużoną karę.

Gdy wyłuskałem wizytówkę, Janet nachyliła się nad kontuarem w moją stronę i powiedziała szeptem:

– Nie wziął dziś leków. Chciał mieć czysty umysł, kiedy się zjawisz. Jutro pewnie prześpi cały dzień.

Nie odpowiedziałem Janet. Nie wiedziałem, co mam jej powiedzieć.

Minęło kilka tygodni, odkąd otrzymałem telefon z kancelarii obrońcy publicznego zawiadamiający mnie, że reszta akt Carla została przygotowana. Miałem poczucie winy, bo wciąż ich nie odebrałem. Gdyby nie spotkanie z Virgilem Grayem pułdo zapewne nadal czekałoby w kancelarii obrońcy publicznego. Moje zadanie było dostatecznie czasochłonne bez konieczności zapoznawania się z wysokim na pół metra stosem akt. Kiedy jednak zadzwoniłem do Virgila, zaproponował, żebyśmy się spotkali na niewielkim dziedzińcu przed centrum rządowym w śródmieściu Minneapolis. I tam go znalazłem; siedział na granitowej ławeczce na obrzeżach dziedzińca, z laską opartą o zdrową nogę. Obserwował mnie, jak podchodzę przez plac, ale nie pomachał ani w żaden inny sposób nie dał do zrozumienia, że mnie rozpoznał.

– Dzień dobry, panie Gray. – Wyciągnąłem rękę, a on uściśnął ją z entuzjazmem dziecka niejadka, które ma przed sobą talerz szpinaku. – Dziękuję, że zechciał pan spotkać się ze mną.

– Dlaczego spisujesz jego historię? – zapytał oschle Virgil.

Nie spojrzał na mnie; wzrok miał utkwiony w fontannę pośrodku placu.

– Słucham? – zapytałem.

– Dlaczego spisujesz jego historię? Co ci to da?

Usiadłem na ławce obok Graya.

– Już mówiłem. To zadanie z angielskiego.

– Tak, ale dlaczego on? Czemu Carl? Mógłbyś napisać o kimkolwiek. A niech to, mógłbyś nawet coś zmyślić. Twój wykładowca na pewno by się nie połapał.

– Dlaczego nie Carl? – odparłem. – Ma do opowiedzenia ciekawą historię.

– Wykorzystujesz go – rzekł Virgil. – Carl był wykorzystywany bardziej niż ktokolwiek inny. Uważam, że to, co robisz, jest nie w porządku.

– Skoro go wykorzystano, jak pan twierdzi, to czy nie powinien opowiedzieć komuś swojej historii?

– A ty właśnie to robisz? – zapytał z sarkazmem. – Chcesz opowiedzieć tę historię? Napiszesz o tym, jak Carl został wykorzystany, wrobiony i skazany za zbrodnię, której nie popełnił?

– Nic jeszcze nie napisałem. Wciąż próbuję dociec, o czym właściwie ma być ta historia. Dlatego się z panem spotkałem. Bo uważa pan, że on jest niewinny.

– On jest niewinny.

– Jak na razie tylko pan tak twierdzi. Przysięgli, prokurator, a nawet jego

adwokat byli przekonani o jego winie.

– Co nie znaczy, że mieli rację.

– Nie opowiedział się pan za Carlem podczas procesu. Nie złożył pan zeznań.

– Nie pozwolono mi na to. Chciałem zeznawać, ale mi nie zezwolono.

– Kto panu nie zezwolił?

Virgil spojrzał w górę, na niebo barwy popiołu. Drzewa wokół placu były ogołoczone z liści, jak to bywa jesienią, a chłodny wiatr, który powiał nad brukiem, zmroził mi kark.

– Jego adwokaci – rzekł Virgil – nie pozwolili, żebym opowiedział o nim ławie przysięgłych. Stwierdzili, że gdybym złożył zeznania, mogłyby rzutować na postrzeganie oskarżonego w procesie. Ja im na to, że tak powinno być. Przysięgli powinni poznać prawdziwego Carla, a nie jego zakłamany wizerunek wykreowany przez prokuratora. Stwierdzili, że gdy zacznę mówić o Carlu takim, jaki jest, prokurator też to zrobi i będzie odmalowywał go w jeszcze czarniejszych barwach niż dotychczas.

– Co by pan powiedział, gdyby mógł zeznawać?

Virgil odwrócił się, spojrzał mi w oczy i raz jeszcze otaksował mnie wzrokiem; jego zimne szare tęczęwki miały odcień pochmurnego nieba.

– Poznałem Carla Iversona w Wietnamie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku. Byliśmy głupimi dzieciakami świeżo po obozie dla rekrutów. Odsłużyłem z nim turę w dżungli, robiąc rzeczy i oglądając rzeczy, których nie da się tak po prostu wyjaśnić ludziom, którzy tam nie byli.

– I podczas tej tury poznał go pan na tyle dobrze, żeby móc bez żadnych wątpliwości stwierdzić, że Carl nie zabił Crystal Hagen? Był pacyfistą?

Virgil przymrużył oczy, jakby zamierzał mi przyłożyć.

– Nie – odparł. – Carl Iverson nie był pacyfistą.

– A więc zabijał ludzi w Wietnamie.

– Tak, zabijał. Zabił wielu ludzi.

– Rozumiem, dlaczego nie chcieli, żeby pan zeznawał w procesie.

– Była wojna. Na wojnie zabija się ludzi.

– Wciąż nie rozumiem, jak wyjaśnienie przysięgłym, że Carl zabijał ludzi podczas wojny, miałyby mu pomóc. Wydaje mi się, że gdybym brał udział w wojnie i zabijał ludzi – wielu ludzi, jak sam pan stwierdził – zabijanie przychodziłoby mi łatwiej.

– Nie rozumiesz wielu rzeczy.

– To proszę mi to wyjaśnić – powiedziałem z narastającą frustracją. – Po to tu jestem.

Virgil zamyślił się chwilę, po czym opuścił ręce i podwinął prawą nogawkę spodni khaki, odsłaniając lśniąca metalową protezę, którą dostrzegłem pierwszego

dnia, kiedy się poznaliśmy. Sztuczna noga sięgała aż do połowy uda, biały plastikowy nakolannik zasłaniał sprężynowy zawias stawu wielkości pięści. Virgil postukał w metalową goleń.

– Widzisz? – zapytał. – To robota Carla.

– Przez niego stracił pan nogę?

– Nie. – Uśmiechnął się. – To dzięki Carlowi mogę być tu teraz i opowiadać ci, jak straciłem nogę. To dzięki Carlowi wciąż żyję.

Virgil opuścił nogawkę spodni, wychylił się do przodu i oparł łokcie na udach.

– Był maj sześćdziesiątego ósmego. Stacjonowaliśmy w niewielkiej bazie wypadowej w górach na północny zachód od Doliny Que Son. Otrzymaliśmy rozkazy, żeby przeszukać pobliską wioskę, skupisko trzciniowych chat o nazwie, której nie sposób wypowiedzieć ani tym bardziej zapamiętać. Wywiad doniósł o wzmożonej aktywności Wietkongu w tej okolicy, posłali więc nasz pluton, żeby to sprawdzić. Szedłem na szpicy razem z tym dzieciakiem... – Na twarzy Virgila pojawił się nostalgiczny uśmiech. – Taterem Davisem. Ten głupi dzieciak nie odstępował mnie na krok jak wierny psiak.

Virgil na chwilę pograżył się we wspomnieniach, po czym mówił dalej:

– Tak więc ja i Tater szliśmy na szpicy...

– Na szpicy? – spytałem. – Czyli z przodu?

– Taa, wystawia się jednego, dwóch ludzi, którzy idą z przodu w pewnej odległości od reszty kolumny. To się nazywa szpica. Niezły plan. W razie kłopotów traci się co najwyżej dwóch ludzi zamiast całego plutonu.

Spojrzałem na nogę Virgila.

– Zakładam, że nie obyło się bez kłopotów?

– No – mruknął. – Pokonaliśmy niewielkie wzniesienie, gdzie szlak wiódł przez kamienisty pagórek. Po drugiej stronie na stoku, między rozrzuconymi z rzadka drzewami, można już było zobaczyć wioskę. Tater, ujrawszy wioskę, przyspieszył kroku, ale coś było nie tak. Nie potrafię powiedzieć co, bo nie zauważyłem niczego podejrzanego, może to zwykłe przeczucie albo podświadomość dały o sobie znać, w każdym razie zorientowałem się, że coś nie gra. Dałem plutonowi sygnał, żeby się zatrzymał. Tater mnie zauważył i uniósł karabin do strzału. Szedłem sam, pokonałem ze dwadzieścia, trzydzieści kroków. Już miałem zasygnalizować, że wszystko w porządku, kiedy dżungla eksplodowała hukiem wystrzałów. Mówię ci, było jak w piekle. Przede mną, za mną i obok mnie cała dżungla rozjarzyła się błyskami. Pierwsza kula, która mnie dosięgła, roztrzaskała mi obojczyk. Mniej więcej w tym samym momencie oberwałem dwie kolejne, w nogę. Jedna zgruchotała mi kolano, druga rozłupała kość udową. Upadłem, nie oddawszy ani jednego strzału. Usłyszałem, jak mój sierżant, palant nazwiskiem Gibbs, kawał sukinsyna, wydaje chłopakom z plutonu rozkaz

wycofania się poza grzbiet pagórka, by zająć tam pozycje obronne. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, jak moi kumple wycofują się pospiesznie, kryjąc się za gałkami i pniami drzew. Tater pędził co siłą, by dołączyć do plutonu. I właśnie wtedy ujrzałem Carla biegnącego w moją stronę.

Virgil zamilkł i przez chwilę znów oglądał tę scenę mimo łez, które napłynęły mu do oczu. Sięgnął do kieszeni, wyjął chustkę i otarł nią oczy, a jego dłoń drżała leciutko. Odwróciłem wzrok, by dać mu odrobinę prywatności. Ludzie w idealnie dopasowanych garniturach mijali nas, wchodząc do centrum rządowego i wychodząc z niego, zupełnie ignorując jednonogiego mężczyznę siedzącego obok mnie. Czekałem cierpliwie, aż Virgil weźmie się w garść, a gdy to się stało, zaczął mówić dalej:

– Carl nadbiegł wzdłuż ścieżki, wrzeszcząc jak oszalały i strzelając w kierunku linii drzew, skąd prowadzony był ostrzał. Usłyszałem, jak sierżant Gibbs krzyczy na Carla, każąc mu wracać. Kiedy Tater zobaczył Carla, przestał się wycofywać i ukrył się za drzewem. Carl dobiegł do mnie i opadł na jedno kolano, ustawiając się między mną a jakimś czterdziestoma AK-47. Naciskał spust, aż zabrakło mu naboji.

Virgil wziął głęboki oddech, bo znów był bliski łez.

– Powinieneś być go widzieć. Ujął mój karabinek w lewą rękę, a w prawej trzymał swój i opróżnił cały magazynek, strzelając z dwóch M-16 naraz. Potem upuścił swój karabinek na moją klatkę piersiową i strzelał dalej z mojej broni. Ja wbiłem nowy magazynek do jego karabinka i oddałem mu, a potem załadowałem drugi do mojego M-16, po czym on wystrzelał z niego wszystkie naboje.

– Czy Carl oberwał?

– Dostał jedną kulę w lewy biceps, druga odbiła się od jego hełmu, a jeszcze inna urwała mu obcas buta. Ale ani przez chwilę się nie ugiął. To był dopiero widok.

– Nie wątpię – przyznałem.

Virgil spojrział na mnie po raz pierwszy, odkąd zaczął opowiadać.

– Widziałeś stare filmy – zapytał – w których pomocnik zostaje ranny i mówi bohaterowi, żeby szedł dalej sam, żeby ratował siebie, a jego zostawił, bo i tak jest już po nim?

– Tak – mruknąłem.

– Cóż, ja byłem takim pomocnikiem. Byłem praktycznie martwy i miałem tego świadomość. Otworzyłem usta, by powiedzieć Carlowi, żeby się ratował, ale zamiast tego wychrypiałem: Nie zostawiaj mnie tu.

Virgil spojrział na moje palce złożone na udach.

– Bałem się – wyznał. – Jeszcze nigdy nie byłem aż tak przerażony. Carl, patrząc na to z wojskowego punktu widzenia, robił wszystko, czego nie powinien być robić. Ratował mi życie. Był gotów za mnie umrzeć, a ja byłem w stanie



powiedzieć tylko: Nie zostawiaj mnie tu. Nigdy nie czułem większego wstydu.

Chciałem jakoś pocieszyć Virgila, choćby poklepać po ramieniu, żeby poczuł się przez to lepiej, ale nie zrobiłem tego. Nie chciałem go urazić. Nie byłem z nim w dżungli. Nie wiedziałem, jak powinienem się zachować.

– Kiedy strzelanina rozpętała się na dobre – kontynuował – cały pluton włączył się do walki. Wietkong utrzymywał zmasowany ostrzał, nasi odpowiadali ogniem, a Tater, Carl i ja byliśmy w samym środku tej wymiany ognia. Uniosłem wzrok i patrzyłem na szatkowane pociskami liście i drzazgi lecące z drzew, sypiące się jak konfetti, na przelatujące raz po raz nad naszymi głowami pociski smugowe, czerwone naszych i zielone tamtych, na zamęt, rozbryzgi ziemi i dym. To zdumiewające, ale czułem się, jakbym był obok tego wszystkiego. Ból zniknął, strach również. Byłem gotów umrzeć. Zobaczyłem Tatera kulącego się za drzewem, chłopak, najlepiej jak potrafił, prowadził ostrzał pozycji nieprzyjaciela. Opróżnił magazynek i sięgnął po nowy. W tej samej chwili dostał kulę prosto w twarz i padł martwy. To było ostatnie, co zapamiętałem, zanim straciłem przytomność.

– Nie wie pan, co stało się potem? – spytałem.

– Powiedziano mi, że dostaliśmy wsparcie lotnicze. Eskadra zrzuciła napalm na pozycje Wietkongu. Carl osłonił mnie własnym ciałem jak kocem. Jeżeli przyjrzy się uważnie, dostrzeżesz na jego ramionach i szyi blizny od oparzeń, jakich się wtedy nabawił.

– Czy to był koniec wojny dla was obu? – zapytałem.

– Dla mnie tak – odparł Virgil i odchrząknął. – Najpierw połatali mnie w bazie, a potem przetransportowali do Da Nang. Wysłali mnie do Seulu, ale Carl nie opuścił Da Nang. Spędził tam pewien czas na rekonwalescencji, a następnie wrócił do kompanii.

– Przysięgli nie poznali tej historii?

– Niestety nie.

– Jest niezwykła – stwierdziłem.

– Carl Iverson to bohater przez duże B. Był gotów oddać za mnie życie. Nie jest gwałcicielem. Nie zamordował tej dziewczynki.

Zawahałem się, zanim wyraziłem głośno swoją kolejną myśl:

– Ale... ta historia nie dowodzi niewinności Carla.

Virgil posłał mi spojrzenie tak lodowate, że aż poczułem je w skroniach, ścisnął gałkę laski tak mocno, jakby zamierzał zdzielić mnie nią po głowie.

– Siedzisz tu sobie bezpieczny, w ciepélku – rzucił drwiąco. – Nie masz pojęcia, co znaczy spojrzeć śmierci w twarz.

Mylił się. Nie było mi ciepło, a widok jego kłykci zbielejących na uchwycie laski sprawiał, że nie czułem się bezpiecznie, lecz faktycznie nigdy dotąd śmierć nie zajrzała mi do oczu.

– Ludzie się zmieniają – powiedziałem.

– Człowiek nie rzuca się jednego dnia na ratunek innemu pod gradem kul, aby następnego zamordować nieletnią dziewczynkę – zauważył.

– Ale nie był pan z nim do końca tury, zgadza się? Pan wrócił do domu, a on tam został. Może wydarzyło się coś, co namąciło mu w głowie i zmieniło go w kogoś, kto mógłby zabić tę małą. Sam pan powiedział, że Carl zabijał w Wietnamie. Był zabójcą.

– Owszem, zabijał w Wietnamie. Był zabójcą, ale to nie to samo co zamordować dziewczynkę.

Słowa Virgila przypomniały mi pierwszą rozmowę z Carlem i jego zagadkowe rozróżnienie między zabójstwem a morderstwem. Uznałem, że Virgil pomoże mi to zrozumieć, więc spytałem:

– Carl powiedział że jest zasadnicza różnica między zabójstwem a morderstwem. O co mogło mu chodzić?

Chyba znałem odpowiedź, ale chciałem ją usłyszeć od Virgila, zanim pomówię o tym z Carlem.

– To jest tak – zaczął – w dżungli zabijasz żołnierza i popełniasz zabójstwo. Jesteś zabójcą. Ale nie jesteś mordercą. Nie popełniłeś morderstwa. Pomiędzy armiami istnieje swego rodzaju umowa, że zabijanie się nawzajem jest dopuszczalne. Jest dozwolone. Na wojnie się zabija. Nawet trzeba zabijać. Carl zabijał ludzi w Wietnamie, ale nie zamordował tej dziewczynki. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Rozumiem, że zawdzięcza pan życie Carlowi Iversonowi i zawsze będzie pan stał za nim murem. Ale Carl mi mówił, że popełnił jedno i drugie. Że zabił i zamordował. Że ma na sumieniu jedno i drugie.

Virgil wlepił wzrok w ziemię, a jego twarz złagodniała jakby pod wpływem jakiejś myśli błakającej się w jego głowie. Potarł nieogolony policzek wierzchem palca wskazującego, a potem pokiwał głową, jakby coś sobie przypomniał.

– Jest jeszcze jedna historia – powiedział.

– Zamieniam się w słuch – odparłem.

– Nie mogę ci jej opowiedzieć – stwierdził. – Obiecałem Carlowi, że nigdy jej nie wyjawię. Nie uczyniłem tego do tej pory i nic tego nie zmieni.

– Ale jeśli to mogłoby...

– Ja nie mogę jej opowiedzieć. Carl musi o tym zdecydować, to jego historia. Nigdy nikomu jej nie zdradził, ani swojemu adwokatowi, ani przysięgłym. Błagałem go, żeby ją wyjawiał podczas procesu, ale odmówił.

– To się stało w Wietnamie?

– Tak.

– I czego ona dowodzi?

Virgil aż zjeżył się, usłyszawszy moje pytanie.

– Z jakiegoś powodu Carl jest zainteresowany rozmowami z tobą. Ja tego nie rozumiem, ale on ewidentnie chce wyjawić ci prawdę. Może ci opowie, co go spotkało w Wietnamie. Wtedy się dowiesz. I zrozumiesz. To niemożliwe, że Carl Iverson zamordował tę dziewczynkę. To absolutnie wykluczone...

Po spotkaniu z Virgilem poszedłem do kancelarii obrońcy publicznego, żeby odebrać resztę akt, które potem zawiozłem pod pachą do domu, rozważając w myślach dwie postawy Carla Iversona. Z jednej strony Carl był facetem, który w dżungli oberwał kulkę za przyjaciela. Z drugiej był chorym łajdakiem zdolnym odebrać życie nieletniej dziewczynie, aby zaspokoić swoje zboczony popędy seksualne. Dwa oblicza – jeden człowiek. Gdzieś w pudle, które taszczyłem, musiało kryć się wyjaśnienie, jak pierwszy z tych mężczyzn stał się tym drugim. Pudło wydawało się niewiarygodnie ciężkie, gdy wchodziłem po schodach do swojego mieszkania.

Kiedy znalazłem się na najwyższym stopniu, Lila otworzyła drzwi. Zobaczyła mnie, wskazała na to, co dźwigałem, i spytała:

– Co tam masz?

– Resztę akt Carla – odparłem. – Właśnie je odebrałem.

Oczy aż rozbłysły jej z podniecenia.

– Mogę je obejrzeć?

Odkąd Lila przeczytała mowę wstępną z transkrypcji, sprawa Carla stała się przynętą, której mogłem użyć, by ściągnąć Lilę do siebie i dzięki temu trochę z nią pobyc. Skłamałbym, mówiąc, że moje głębsze zainteresowanie sprawą Carla Iversona ma niewiele wspólnego z tym, że Lila mnie pociąga.

Weszliśmy do mojego mieszkania i zaczęliśmy przeglądać zawartość pudła; znajdowało się w nim dwanaście teczek różnej grubości, każda zawierała nazwisko innego świadka lub opis w rodzaju: „Analiza biegłych sądowych”, „Zdjęcia” albo „Badania”. Lila wyjęła teczkę zatytułowaną „Pamiętnik”, ja wybrałem tę z podpisem „Zdjęcia z autopsji”. Pamiętałem ostrzeżenie prokuratora z mowy wstępnej, że zdjęcia są wstrząsające. Pamiętałem też słowa obrońcy publicznego Carla, Berthela Collinsa, i jego reakcję, gdy zobaczył je pierwszy raz. Musiałem je obejrzeć – nie dlatego, że musiałem, ale dlatego, że chciałem zrozumieć, co spotkało Crystal Hagen. Potrzebowałem przypisać nazwisku twarz, nadać idei konkretną postać. A poza tym chciałem się przekonać, czy dam radę to oglądać.

Teczka ze zdjęciami z autopsji była najcieńsza ze wszystkich, zawierała raptem kilkadziesiąt fotografii formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć. Wziąłem głęboki oddech, zamknąłem oczy i przygotowałem się na najgorsze. Uniosłem okładkę, zrobiłem to szybko, jakbym zrywał bandaż, i gdy otworzyłem powieki, zobaczyłem uśmiechającą się do mnie piękną nastoletnią dziewczynę. To było szkolne zdjęcie Crystal Hagen. Miała długie jasne włosy z przedziałkiem pośrodku

– fryzurę w stylu Farrah Fawcett jak większość dziewcząt w tamtych czasach. Uśmiech miała idealny, śnieżnobiałe zęby i miękkie, pełne wargi, a w jej oczach migotały figlarne iskierki. Była piękną dziewczyną, taką, jaką młody mężczyzna mógłby pragnąć pokochać, a starszy chciałby ochraniać. Zapewne to zdjęcie prokurator zaprezentował ławie przysięgłych, aby jej członkowie poczuli więź z ofiarą. Aby ją polubili. Potem użył innych zdjęć, żeby wywołać w przysięgłych pogardę i gniew wobec oskarżonego.

Przez kilka minut wpatrywałem się w portret Crystal. Próbowałem wyobrazić ją sobie żywą, przejmującą się ocenami, chłopcami czy niezliczonym mnóstwem innych trosk, które dla nastolatki stanowią poważny powód do zmartwień, a dla osoby dorosłej są nieistotne. Próbowałem wyobrazić ją sobie jako dorosłą, na obraz nastoletniej cheerleaderki o długich falujących włosach nałożyć twarz kobiety w średnim wieku, matki ze skromną, praktyczną fryzurą i minivanem. Zrobiło mi się przykro, że nie żyje.

Spojrzałem na następne zdjęcie i aż wstrzymałem oddech, gdy serce niemal zamarło mi w piersi. Zamknąłem teczkę i czekałem, aż odzyskam oddech. Lila czytała swoją teczkę, zapiski w pamiętniku, z takim przejęciem, że nawet nie zauważyła mojego drżenia. Widziałem ten obraz tylko przez sekundę, ale to wystarczyło, żeby na zawsze utrwalił się pod moimi powiekami. Znow otworzyłem teczkę.

Spodziewałem się, że nie będzie miała włosów; nie potrzeba silnego żaru, by je spalić. Nie wiedziałem jednak, że straci także usta. Jej zęby, śnieżnobiałe na szkolnym zdjęciu, wystawały teraz pożółkłe od ognia. Leżała na prawym boku, widać było stopione tkanki tego, co pozostało z jej lewego ucha, policzka i nosa.

Jej twarz była tylko czarną maską zwęglonej skóry. Gdy płonące mięśnie w jej szyi ściągnęły się, głowa obróciła się, jakby Crystal chciała obejrzeć się przez lewe ramię, a groteskowo rozwarte usta zastygły w niemym krzyku. Nogi miała zgięte i podciągnięte do pozycji płodowej, tkanki ud i łydek przywarły do kości, spalone i pomarszczone jak suszona wołowina. Obie stopy miała całkiem spalone, zostały z nich tylko kikuty. Palce prawej dłoni złożyły się do nadgarstka, a ten z kolei do bicepsu i klatki piersiowej. Wszystkie stawy pokurczyły się, gdy żar ognia spowodował wyschnięcie chrząstek i ścięgien.

Mogłem zobaczyć, gdzie arkusz blachy falistej spadł na jej ciało, ponieważ ochronił większą część torsu przed ogniem. Przełknąłem gulę w gardle i przeszedłem do następnego zdjęcia, które ukazywało Crystal ułożoną na wznak i zastygłą w skurczonej pozycji. Koroner trzymał jej lewy nadgarstek dłonią w lateksowej rękawiczce. Skóra na jej lewej ręce zachowała się, osłonięta przez resztę ciała. W drugiej ręce, między kciukiem a palcem wskazującym, koroner trzymał za brzegi odłamany paznokcieć, porównując go z innymi paznokciami lewej dłoni Crystal. To był ten sztuczny paznokcieć, który znaleziono na schodach

prowadzących z domu Carla do składziku.

Zamknąłem teczkę.

Czy rodzina Crystal widziała te zdjęcia? Na pewno tak. Była przecież na procesie. Zdjęcia zaprezentowano jako dowody w sprawie przypuszczalnie powiększone, żeby można było je zobaczyć z drugiego końca dużej sali sądowej. Jak musieli czuć się członkowie rodziny Crystal, oglądając zmasakrowane ciało córki? Jak mogli nie rzucić się na oskarżonego, nie przeskoczyć przez barierkę, by rozszarpać mu gardło? Gdyby to była moja siostra, żaden uzbrojony w pałkę strażnik sądowy by mnie nie powstrzymał.

Wziąłem głęboki oddech i ponownie otworzyłem teczkę, by znów ujrzeć szkolną fotografię Crystal. Poczuję, że moje serce spowalnia, a oddech się normuje. Łał, pomyślałem, jeszcze nigdy żadne zdjęcie nie wywołało u mnie tak silnej reakcji. Nakładający się na portret rzutki, ślicznej cheerleaderki obraz jej spalonych zwłok sprawił, że ucieszyłem się, iż Carl przez dziesięciolecia gnął w więzieniu, i pożałowałem, że stan Minnesota wprowadził zakaz orzekania kary śmierci. Skoro te zdjęcia zrobiły na mnie silne wrażenie, podobny wstrząs musiały wywołać u przysięgłych. Nie było mowy, żeby Carl opuścił salę sądową jako wolny człowiek. Ława przysięgłych mogła jedynie pomścić śmierć Crystal.

Właśnie wtedy zadzwoniła moja komórka, wyrrywając mnie z zamyślenia. Rozpoznałem kierunkowy z Austin, ale numeru nie znałem.

– Halo? – powiedziałem.

– Joe? – rozległ się męski głos.

– Przy telefonie.

– Mówi Terry Bremer.

– Witam, panie Bremer. – Uśmiechnąłem się, słysząc znajome nazwisko. Terry Bremer był właścicielem bliźniaka, w którym mieszkała mama i Jeremy, a do niedawna także ja. I nagle uśmiech znikł z mojej twarzy. – Czy coś się stało?

– Mielśmy tu mały wypadek – odparł. – Twój brat próbował podsmażyć w tosterze kawałek pizzy.

– Nic mu nie jest?

– Chyba nie. Uruchomił czujniki dymu. Sąsiadka, pani Albers, przyszła sprawdzić, co się dzieje, bo alarm nie chciał się wyłączyć. Znalazła twój brata zwiniętego w kłębek w jego pokoju. Nielicho się wystraszył. Teraz siedzi, kołysząc się w przód i w tył, i zaciera ręce.

– Gdzie jest moja matka?

– Tu jej nie ma – odrzekł Bremer. – Twój brat wspomniał coś, że wybierała się wczoraj na jakieś spotkanie. Jeszcze nie wróciła.

Miałem ochotę w coś przywalić. Zacisnąłem dłoń w pięść i zamachnąłem się. Moje oczy skupiły się na gładkim fragmencie ściany, która aż mnie korciła, bym w nią rąbnął. Wiedziałem jednak, że tylko obję sobie kłykcie i stracę kaucję

na poczet szkód w mieszkaniu. Nie zmuszę w ten sposób mojej matki, żeby dojrzała. Ani nie uwolnię Jeremy'ego od ataku paniki. Wziąłem głęboki oddech, opuściłem głowę i rozwarłem pięść.

Odwrociłem się do Lili, która patrzyła na mnie z wyrazem zmartwienia na twarzy. To, co zdołała usłyszeć z tej rozmowy, pozwoliło jej domyślić się, co się stało.

– Jedź – powiedziała.

Pokiwałem głową, zabrałem kurtkę, kluczyki i wyszedłem.

Terry Bremer miał kabłąkowate nogi i nosił puszkę z tytoniem do żucia w tylnej kieszeni spodni, ot, swój chłop, który był właścicielem kręgielni, dwóch barów i kilkudziesięciu mieszkań pod wynajem w Austin. Był jednym z tych facetów, który mógłby stać u steru wielkiej korporacji, gdyby miał na ścianie dyplom Harvardu, a nie liceum w Austin. Jak na kamienicznika przystało, był porządnym gościem, miłym, życzliwym, ugodowym. Załatwił mi pierwszą posadę wykidajły w niewielkiej knajpie Piedmont Club, która należała do niego. Było to kilka tygodni po moich osiemnastych urodzinach.

Zjawił się po czynsz – czynsz, który moja mama przepuściła w kasynie tydzień wcześniej. Zamiast wrzeszczeć albo grozić, że nas wyrzuci, wynajął mnie, bym stał na bramce, sprzątał ze stołów, przynosił beczki z piwem z piwnicy. Mnie ten układ odpowiadał, bo wpadło mi trochę pieniędzy do kieszeni i nauczyłem się radzić sobie ze skłonnymi do bójek pijakami i kretynami. Jemu to odpowiadało, bo gdyby mama znów przepuściła pieniądze na czynsz, mógłby potrącić mi z wypłaty.

– Matka już wróciła? – spytałem, wchodząc do mieszkania.

Bremer stał przy drzwiach jak wartownik czekający na zakończenie swojej zmiany.

– Nie – odparł. – I wygląda na to, że od wczoraj jej tu nie było.

Zdjął czapkę i przetarł dłonią gładką skórę łysej czaszki.

– Pani Albers była bliska zadzwonienia do opieki społecznej. Jeremy mógł puścić cały dom z dymem.

– Wiem, panie Bremer, i to się już...

– Nie mogę pozwolić, by podano mnie do sądu. Gdyby doszło do pożaru, pozwaliby mnie. Twoja matka nie może zostawiać opóźnionego w rozwoju samego w domu.

– On nie jest opóźniony – odparowałem. – To autystyk.

– Nie miałem nic złego na myśli, Joe. Ale wiesz, o czym mówię. Teraz, kiedy poszedłeś na studia, nie ma tu nikogo, kto miałby sytuację pod kontrolą.

– Porozmawiam z nią – powiedziałem.

– To się nie może powtórzyć, Joe. W przeciwnym razie będę zmuszony ich wywalić.

– Porozmawiam z nią – powtórzyłem z nieco większym naciskiem.

Pan Bremer włożył płaszcz, przystanął, jakby chciał kontynuować rozmowę, upewnić się, że dobrze go zrozumiałem, ale zmitygował się i wyszedł.

Zastałem Jeremy'ego w jego pokoju.



– Cześć, kolego – przywitałem się.

Uniósł wzrok, spojrzął na mnie, spróbował się uśmiechnąć i nagle zmarkotniał, kierując wzrok w kąt, a jego czoło zmarszczyło się jak zwykle wtedy, gdy nie rozumiał praw kierujących życiem.

– Słyszałem, że miałeś dziś mały wypadek.

– Cześć, Joe – odparł.

– Próbowaleś zrobić sobie jedzenie?

– Może próbowałem odgrzać pizzę.

– Wiesz, że pizzy nie odgrzewa się w tosterze, prawda?

– Może nie wolno mi korzystać z kuchenki, kiedy mamy nie ma w domu.

– A skoro o tym mowa, gdzie jest mama?

– Może na spotkaniu.

– Tak powiedziała? Że ma spotkanie?

– Może powiedziała, że idzie na spotkanie z Larrym.

– Z Larrym? Kim jest Larry?

Jeremy znów wlepił wzrok w kąt. W ten sposób dawał do zrozumienia, że nie zna odpowiedzi na jakieś pytanie. Przestałem je zadawać. Dochodziła dziesiąta. Jeremy lubił kłaść się przed dziesiątą, kazałem mu się więc szykować i umyć zęby. Czekałem przy drzwiach do jego sypialni, gdy przebierał się w ciuchy do spania. Kiedy zdjął bluzę dresową, dostrzegłem słabo już widoczny siniak na jego plecach.

– Zaczekaj chwilę, kolego – powiedziałem, podchodząc, żeby lepiej się przyjrzeć. Siniak długości piętnastu centymetrów i szerokości kija od szczotki zaczął się poniżej barku i sięgał do kręgosłupa. – Co to jest?

Jeremy wciąż gapił się w kąt i nie odpowiedział. Czując krew napływającą do policzków i rozpalającą je, wziąłem głęboki oddech, by się uspokoić, bo wiedziałem, że jeśli się rozzłoszczę, brat zamknie się w sobie. Uśmiechnąłem się do niego, by dać mu do zrozumienia, że wszystko w porządku.

– Skąd masz tego siniaka? – spytałem.

Wciąż milczał, wpatrując się w kąt.

Usiadłem z Jeremym na brzegu łóżka, oparłem łokcie na kolanach i odczekałem chwilę, by się uspokoić.

– Jeremy – zacząłem – to bardzo ważne, żebyśmy nie mieli między sobą żadnych tajemnic. Jestem twoim bratem. Jestem tu dla ciebie. Nie musisz się niczego obawiać. Nie masz żadnych kłopotów. Ale nie możesz niczego przede mną zatajać. Nie możesz mieć przede mną sekretów. Musisz mi powiedzieć, co się stało.

– Może... – Wodził wzrokiem w przestrzeni, jakby nie wiedział, co ma zrobić. – Może Larry mnie uderzył.

Zacisnąłem pięści, lecz moja twarz pozostała spokojna.

– Widzisz? Nie zrobiłeś nic złego. Nie masz się czego bać. Jak cię uderzył?

- Może pilotem od telewizora.
- Uderzył cię pilotem? Od telewizora? Dlaczego?

Jeremy znów odwrócił wzrok. Zadałem o jedno pytanie za dużo. Chciałem ująć go za ramiona i dać mu do zrozumienia, że wszystko w porządku, ale z moim bratem tak się nie dało. Uśmiechnąłem się do niego i życzyłem mu spokojnej nocy oraz miłych snów. Włączyłem mu film, zgasilem światło i zamknąłem drzwi. Kimkolwiek był ten Larry, musiałem uciąć sobie z nim pogawędkę.

Następnym dniem była sobota. Obudziłem się przed Jeremym i zrobiłem naleśniki. Po śniadaniu pojechaliśmy do centrum kupić telefon komórkowy dla Jeremy'ego, jakiś tani, który pozwoliłby w razie potrzeby zyskać dodatkowe minuty. Po powrocie do domu wpisałem numer mojej komórki do listy kontaktów, bardzo krótkiej, bo zawierała tylko mój telefon. Pokazałem bratu, jak może do mnie zadzwonić: jak ma włączyć komórkę, odnaleźć mój numer i nawiązać połączenie. Nigdy wcześniej nie miał telefonu, musieliśmy więc potrenować. Powiedziałem mu, żeby ukrył komórkę za szafką. Później pozwoliłem, żeby dwa razy mnie ograł w warcaby i w ten sposób na pewien czas zapomniał o telefonie. Potem mu kazałem go znaleźć i zadzwonić do mnie, by upewnić się, że pamiętał, jak ma to zrobić. Pamiętał.

– Gdyby ktokolwiek próbował cię skrzywdzić... – powiedziałem. – Gdyby ten Larry cię uderzył albo coś, zadzwoń do mnie. Teraz masz własny telefon. Dzwoń do mnie. Dobrze, Jeremy?

– Może zadzwonię do ciebie z mojego nowego telefonu – przytaknął, uśmiechając się z dumą.

Po obiedzie pograliśmy jeszcze trochę w warcaby, a potem włączyłem mu film – jego film. Gdy Jeremy oglądał, obserwowałem ulicę, czekałem, kiedy pojawi się matka. Zerkalem też na zegar, bo od siódmej miałem rozpocząć zmianę u Molly. Kiedy ostatni raz poprosiłem o zastępstwo, powiedziała, że więcej nie będzie mi pobłażać i jeśli się nie pokażę, stracę robotę. Matka zostawiła swoją komórkę w szufladzie. Wiedziałem to, bo usłyszałem sygnał, gdy próbowałem do niej zadzwonić. Aby wrócić na czas do Twin Cities, musiałem wyjechać z Austin najpóźniej o wpół do piątej. Gdy zobaczyłem, że wskazówki zegara minęły trzecią po południu, spytałem Jeremy'ego:

– Czy mama mówiła, kiedy wróci ze spotkania?

Jeremy na chwilę oderwał wzrok od filmu i mocno się skupił, wodził oczami powoli z lewej strony do prawej, jakby czytał kolejne linijki tekstu.

– Może nie mówiła – odparł.

Znalazłem talię kart i zacząłem układać pasjansa na stoliku do kawy. Trzy razy mi nie wyszedł, bo nie mogłem się skupić; cały czas skupiałem uwagę na podjeździe. Gdy dochodziła czwarta, zacząłem rozważać różne możliwości. Mogłem zabrać Jeremy'ego do swojego mieszkania, ale kiedy byłbym w pracy albo na zajęciach, mógł napytać sobie biedy równie łatwo jak tutaj. Mogłem poprosić Lilę, żeby go popilnowała, ale nie miała takiego obowiązku – ja zresztą

też nie. Mogłem zostawić go tutaj samego, ale wystarczyłaby jeszcze jedna wpadka, a Bremer spełniłby swoją groźbę i wyrzucił stąd ich oboje. Mogłem też ponownie poprosić o zastępstwo i stracić przez to robotę u Molly. Potasowałem karty i znów zacząłem układać pasjansa.

Za pięć czwarta matka zajechała przed dom. Podkręciłem dźwięk w telewizorze, aby zagłuszyć krzyki na podjeździe, i wyszedłem na zewnątrz.

– Gdzie byłaś? – wycodziłem przez zęby.

Nie wiem, czy zbił ją z tropu ton mojego głosu, czy to, że byłem w jej mieszkaniu, czy może podwójna wódka, którą wypijała na obiad, ale spojrzała na mnie, jakby obudziła się właśnie z głębokiego snu.

– Joey – powiedziała. – Nie zauważyłam twojego auta.

Za nią stał wysoki mężczyzna o siwych włosach pozlepianych w strąki i posturze przypominającej kręgiel; jego górna warga unosiła się w gniewnym grymasie.

Rozpoznałem Larry'ego. Rok wcześniej wyrzuciłem go z Piedmontu, ponieważ po pijanemu uderzył kobietę.

– Zostawiłaś go samego – ciągnąłem. – Omal nie puścił całego domu z dymem. Gdzie się szlajałaś, do cholery?

– Chwila – rzucił Larry, stając przed moją matką. – Nie mów tak do swojej matki...

Uniósł prawą dłoń, jakby chciał mnie dźgnąć palcem wskazującym w pierś. Nie powinien był tego robić. Zanim zdążył mnie dotknąć, wyrzuciłem prawą rękę do przodu i chwyciłem go za dłoń, a konkretnie za wrażliwą jej część między kciukiem a palcem wskazującym. Jednym szybkim ruchem złapałem go za kciuk i obróciłem przeciwnie do kierunku wskazówek zegara, powalając Larry'ego na kolana. To była dźwignia na nadgarstek. Jeden ze stałych bywalców Piedmontu, gliniarz, którego nazywaliśmy Uśmieszkiem, pokazał mi ten chwyt. Był jednym z moich ulubionych.

Prawie bez wysiłku sprawiłem, że Larry zwinął się w kłębek, miał twarz tuż przy ziemi i rękę wykręconą niemal pionowo do tyłu. Z trudem powstrzymałem się przed kopnięciem go w zęby. Chwyciłem go za włosy. Jego uszy poczerwieniały, a twarz wykrzywił mu grymas wściekłości i bólu. Z tyłu za mną matka krzyczała coś bez ładu i składu, że to był wypadek i że Larry to w głębi duszy porządny facet. Jej błagania trafiały w pustkę, znaczyły dla mnie tyle co odgłosy ruchu ulicznego w oddali.

Wcisnąłem twarz i czoło Larry'ego w żwirowy podjazd i wycodziłem:

– Wiem, co zrobiłeś mojemu bratu.

Larry nie odpowiedział, więc wykręciłem mu rękę jeszcze trochę, aż jęknął z bólu.

– Wyjaśnijmy coś sobie – kontynuowałem. – Jeżeli jeszcze raz podniesiesz

rękę na Jeremy'ego, to tak ci dowalę, że cię rodzona matka nie pozna. Nikomu nie wolno tknąć mojego brata. Rozumiemy się?

– Wal się – warknął.

– Zła odpowiedź. – Uniosłem lekko jego głowę i uderzyłem nią o żwirową nawierzchnię; drobne kamyki rozcięły w kilku miejscach skórę Larry'ego do krwi.

– Pytałem, czy się rozumiemy?

– Tak – wysapał.

Szarpnięciem podniosłem Larry'ego na nogi i popchnąłem w stronę ulicy. Poczłapał w kierunku zakrętu, trzymając się za krwawiące czoło i nos. Cały czas mamrotał coś, czego nie mogłem już usłyszeć. Przeniosłem wzrok na matkę.

– Pan Bremer do mnie zadzwonił.

– Pojechaliśmy do kasyna – powiedziała. – Nie było nas tylko dwa dni.

– Co ci strzeliło do głowy? Nie możesz zostawiać go samego na dwa dni.

– Ma już osiemnaście lat – zauważyła.

– Nie ma osiemnastu lat. I nigdy nie będzie miał. Właśnie o to chodzi. Nawet jako czterdziestolatek nadal będzie miał tylko siedem lat. I dobrze o tym wiesz.

– Mam prawo trochę się zabawić, nie uważasz?

– Jesteś jego matką, na miłość boską – rzuciłem z pogardą w głosie. – Nie możesz ot tak wyjechać w nieznane, kiedy przyjdzie ci na to ochota.

– A ty jesteś jego bratem – odparowała, próbując znaleźć w tym sporze jakieś argumenty na swoją korzyść – ale jakoś nie powstrzymało cię to przed ucieczką z domu. Studencik się znalazł. Uczyć mu się zachciało!

Milczałem, aż palący ogień w moim wnętrzu przygasł, lecz cały czas patrzyłem na matkę. Moje spojrzenie było zimne i niewzruszone jak stal.

– Pan Bremer powiedział, że was wyrzuci, jeśli otrzyma kolejną skargę.

Odwróciłem się i poszedłem w stronę samochodu, a mijając Larry'ego, ani na chwilę nie spuszczałem z niego wzroku. Tylko czekałem, żeby dał mi pretekst, by znów mu dołożyć. Kiedy odjeżdżałem od krawężnika, zobaczyłem Jeremy'ego stojącego we frontowym oknie. Pomachałem do niego, jednakże nie odmachął. Po prostu tam stał i na mnie patrzył. Reszcie świata jego twarz mogła wydawać się pozbawiona wyrazu, ale nie mnie. Był moim bratem, łączyły nas więzy krwi i tylko ja mogłem dostrzec smutek kryjący się w jego spokojnych niebieskich oczach.

Następnego ranka pukanie do drzwi wyrwało mnie z koszmaru sennego.

We śnie znów byłem w liceum i brałem udział w turnieju zapaśniczym. Próbowałem wykonać prostą technikę pozwalającą uwolnić się z chwytu. Gdy szarpnąłem za rękę przeciwnika oplatającą mój brzuch, inna zacisnęła się na moim torsie, a jeszcze inna unieruchomiła mi ramię. Każde pociągnięcie za rękę przeciwnika sprawiało, że pojawiały się dwie nowe, wyrastające niczym głowy Hydry. Wkrótce mogłem już tylko wić się i krzyczeć pod naporem rąk szarpiących i oplatających mnie jak węże.

I właśnie wtedy obudził mnie hałas. Trochę trwało, zanim przejaśniło mi się w głowie i na dobre się rozbudziłem. Usiadłem na łóżku, nie mając pewności, co usłyszałem, czekałem, nasłuchując – i w końcu znów rozległo się pukanie. A więc jednak mi się nie przyśniło. Włożyłem szorty i bluzę od dresu, a gdy otworzyłem drzwi, ujrzałem Lilę trzymającą dwa kubki z kawą i teczkę z aktami.

– Przeczytałam pamiętnik – oznajmiła, mijając mnie i wręczając mi jeden z kubków. – Pijesz kawę?

– Tak, piję – odpowiedziałem.

Chwyciłem bejsbolówkę wiszącą na wieszaku na ścianie i wcisnąłem ją na głowę, żeby ukryć potargane włosy, i podążyłem za Lilą w stronę kanapy. Dwa dni temu, kiedy musiałem szybko pojechać do Austin, zostawiłem Lilę z całym pudłem teczek zawierających materiały z procesu Carla. Wzięła kilka do siebie, łącznie z tą podpisaną „Pamiętnik”, by ją przejrzeć pod moją nieobecność.

– Zeszłej nocy przeczytałam pamiętnik – powtórzyła.

– Pamiętnik Crystal?

Spojrzała na mnie, jakbym był skończonym idiotą. Na swoją obronę powiem tylko, że wciąż byłem trochę zaspany. Lila tymczasem kontynuowała:

– Pamiętnik zaczyna się w maju tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. – Położyła notatki przede mną na stoliku do kawy. – Przez pierwsze miesiące nie ma w nich nic prócz typowych głupot nastolatki. Jednego dnia cieszy się na myśl o rozpoczęciu nauki w liceum, a drugiego jest z tego powodu przerażona. Ogólnie rzecz biorąc, szczęśliwa dziewczyna. Zamieściła piętnaście wpisów dotyczących Carla, między czerwcem a wrześniem, i zazwyczaj określa go jako zboka z sąsiedztwa albo nazywa Odrażającym Carlem.

– Co o nim mówi? – spytałem.

Lila zaznaczyła kilka stron żółtymi karteczkami. Otworzyła pamiętnik na pierwszej oznakowanej stronie z datą 15 czerwca:

*15 czerwca – Ćwiczyłam na podwórzu za domem i zobaczyłam Odrażającego Carla, jak przygląda mi się przez okno. Pokazałam mu środkowy palec, ale on tylko tam stał i gapił się. Zbok jeden.*

– Tak jak mówił prokurator – ciągnęła Lila, przechodząc do kolejnego oznakowanego wpisu. – Znów mnie obserwuje. Patrzy na mnie, gdy ćwiczę. Jest tu jeszcze jeden...

Przekręciła kilka stron.

– Już mam.

*8 września – Odrażający Carl znów gapi się na mnie przez okno. Był bez koszuli. Założę się, że spodni też nie miał.*

Lila patrzyła na mnie, oczekując na reakcję.

Wzruszyłem ramionami.

– Rozumiem, dlaczego prokuratorowi tak się spodobał ten pamiętnik.

Myszę, że Lila spodziewała się bardziej zdecydowanej mojej opinii, ale ja tylko zapytałem:

– Masz jeszcze coś?

– Przez cały sierpień praktycznie nic się nie działo – odparła. – Kiedy zaczęła się szkoła, na zajęciach z maszynopisania poznała tego chłopaka Andrew Fishera. Pisze sporo o swoich planach nakłonienia go, by zaprosił ją na bal – i tak też się stało. Potem, mniej więcej w połowie września, wpisy stają się mroczniejsze. Przeczytaj ten.

*19 września – Zaparkowaliśmy z Andym w ciemnym zaułku. Już zaczęło się robić ciekawie, gdy pojawił się Odrażający Carl i zaczął zaglądać przez szybę jak jakiś Lurch.*

*Omal nie umarłam.*

– Znów tak jak prokurator przedstawił to przysięgłym – powiedziałem. – Carl przyłapał ich, gdy zabawiali się w ciemnej uliczce.

– Dwa dni później zaczyna wspominać, że zdarzyło się coś złego, ale pisze o tym jakimś szyfrem.

– Szyfrem?

– Tak. W kilku wpisach Crystal używa szyfru zastępczego, no wiesz, litery zastąpiła liczbami.

Lila wyjęła z teczki plik stronice pamiętnika. Zaznaczyła zaszyfrowane wpisy zielonymi naklejkami.

– Popatrz.

*21 września – Straszny dziś dzień. 4, 23, 26, 1, 13, 32, 2, 25, 4, 31, 30, 26, 9, 28, 1, 13, 23, 10, 11, 13, 18, 16, 30, 31, 12, 21, 20. Jestem przerażona. Jest bardzo, naprawdę bardzo źle.*

– Co to znaczy? – spytałem.

– Wspominałam, że to szyfr? – odparła Lila. – Może w ten sposób Crystal

chciała mieć pewność, że nawet jeśli jej ojczym znajdzie pamiętnik, nie odeśle jej do prywatnej szkoły.

– Tak, ale to szyfr czternastolatki – zauważyłem. – Próbowałaś przyporządkować litery liczbom?

– Chcesz powiedzieć, że A to jeden, B to dwa i tak dalej? – Lila wywróciła oczami i wyjęła swój notes z zapisanymi stronami, na których starała się dopasować liczby do liter. – Próbowałam przyporządkować alfabet normalnie i od tyłu, zastosowałam też szyk zmienny, gdzie A oznaczało dwa, potem trzy i tak dalej. Próbowałam zastąpić najczęściej występującą liczbę literą E lub T, które są najczęściej używanymi literami alfabetu. Szukałam jakichś wskazówek w jej pamiętniku. Bezskutecznie. Wychodziły same bzdury.

– Próbowałaś szukać pomocy w sieci? – spytałem. – Chyba istnieją strony internetowe, gdzie można znaleźć wskazówki na temat łamania szyfrów.

– O tym też pomyślałam. Crystal nie rozdzieliła poszczególnych wyrazów spacjami, więc mam do dyspozycji tylko pojedyncze ciągi liczb. Nic, co znalazłam w internecie, nie zdołało złamać tego szyfru. Jest osiem miliardów potencjalnych kombinacji liter i liczb.

– Osiem miliardów? – powtórzyłem. – A niech to. Kicha.

– No właśnie. Musiała mieć gdzieś ukryty klucz albo zapamiętała wzór przyporządkowujący liczby literom. Tak czy inaczej nie potrafię tego rozgryźć.

Lila rozłożyła kartki na stoliku.

– Zaszifrowanych wpisów jest tylko siedem, ostatni pochodzi z dnia, w którym została zamordowana. Zebrałam je – powiedziała, układając przepisaną przez siebie listę na stronicach z pamiętnika.

*21 września – Straszny dziś dzień. 4, 23, 26, 1, 13, 32, 2, 25, 4, 31, 30, 26, 9, 28, 1, 13, 23, 10, 11, 13, 18, 16, 30, 31, 12, 21, 20. Jestem przerażona. Jest bardzo, naprawdę bardzo źle.*

*28 września – 8, 22, 25, 4, 31, 30, 31, 25, 17, 1, 13, 22, 26, 13, 18, 16, 30, 31, 12, 5. Jeżeli nie zrobię tego, czego chce, on powie wszystkim. Zrujnuje mi życie.*

*30 września – 25, 12, 13, 6, 23, 17, 31, 1, 8, 22, 8, 13, 6, 12, 25, 26, 12, 2, 18, 7. Nienawidzę go. Jest mi niedobrze.*

*8 października – 8, 22, 4, 23, 26, 10, 11, 10, 26, 1, 23, 13, 8, 8, 31, 28, 13, 18, 16, 30, 31, 12, 21, 20. On wciąż mi grozi.*

*10, 11, 10, 26, 3, 26, 6, 5, 1, 25, 12, 13, 6, 23, 17, 31, 1, 16, 8, 13, 6, 12, 25, 26, 16, 24, 19, 31, 1, 23.*

*9 października – 25, 12, 13, 6, 23, 17, 31, 1, 10, 25, 26, 32, 13, 10, 11, 10, 23, 31, 17, 8, 22. Zmusił mnie. Chcę się zabić. Chcę zabić jego.*

*17 października – 8, 22, 25, 1, 16, 24, 23, 17, 1, 4, 23, 26, 3, 26, 6, 5, 1, 25, 4, 21, 20, 19, 13, 25, 12, 13, 6, 23, 17, 31, 6, 5, 17, 6, 12, 16, 19, 31, 30, 4, 5, 19, 13, 6, 13, 30, 31, 17, 13.*



29 października – 19, 13, 32, 20, 31, 17, 19, 8, 22, 1, 4, 23, 26, 32, 20, 31, 17, 10, 23.

*Pani Tate tak powiedziała. Mówiła, że ze względu na różnicę wieku on na pewno trafi do więzienia. To się dzisiaj skończy. Jestem taka szczęśliwa.*

– Dwudziesty dziewiąty października to dzień, w którym została zabita – stwierdziła Lila.

– Skąd wiemy, że mówiła o Carlu?

– Na wielu stronach Crystal pisze o Carlu jak o zbrodni, który obserwuje ją przez okno. Podkradł się, żeby patrzeć, jak uprawia seks z Andym. To nie zbieg okoliczności, że zaraz potem pojawiły się pogroźki.

– Szyfr mógł wszystko zmienić.

– Są wpisy, gdzie nie zastosowała szyfru. Spójrz na ten z dwudziestego drugiego września, nazajutrz po „straszonym dniu”, kiedy została przyłapana z Andym Fisherem.

*22 września – Jeżeli się dowiedzą, będzie po mnie. Poślą mnie do katolickiej szkoły. Koniec z byciem cheerleaderką, koniec z moim życiem.*

– Nie uważasz, że trochę dramatyzuje? – zauważyłem. – Przecież w katolickich szkołach też są cheerleaderki, prawda?

Lila spojrzała na mnie sceptycznie.

– Najwyraźniej nie rozumiesz, jak myślą nastolatki. Wszystko traktują jak koniec świata. Są emocjonalne do granic samobójstwa.

Przerwała, jakby ta myśl ją rozproszyła. Po chwili mówiła dalej:

– Niektóre rzeczy faktycznie wydają się końcem świata.

– Kim jest pani Tate? – spytałem, spoglądając na ostatni zapis.

– Nie czytałeś transkrypcji? – W głosie Lili dało się wyczuć rozdrażnienie.

– Przeglądałem – odparłem – ale nie przypominam sobie żadnej pani Tate.

– Była szkolnym psychologiem. – Lila wyjęła jeden z tomów transkrypcji z pudła i zaczęła wertować, aż znalazła zeznanie pani Tate. – Proszę.

Podawała mi wolumin, a ja przeczytałem wskazany fragment:

P: Gdy tego dnia Crystal Hagen przyszła do pani, czy coś ją dręczyło? O czym rozmawiałyście?

O: Mówiła bardzo niejasno. Chciała wiedzieć, czy seks oralny to stosunek seksualny. Pytała, czy jeśli ktoś zmusza kogoś do seksu oralnego, można to nazwać gwałtem.

P: Czy powiedziała pani, dlaczego chciała to wiedzieć?

O: Nie. Nie chciała tego wyznać. Powtarzała, że dopytuje się tego w imieniu swojej przyjaciółki. Często się z tym spotykam jako psycholog. Próbowałam ją nakłonić, żeby powiedziała coś więcej. Spytałam, czy ktoś ją zmuszał do seksu oralnego. Nie odpowiedziała. A potem zapytała, czy można uznać za przymuszenie, jeśli ktoś nakłania cię do zrobienia tego, grożąc, że ujawni jakiś twój

sekret.

P: I co jej pani powiedziała?

O: Powiedziałam, że można to uznać za przymuszenie. I wtedy ona spytała: A jeśli ten ktoś jest starszy?

P: Co pani odpowiedziała?

O: Jako psycholog szkolny mam za sobą specjalne szkolenie z przepisów prawnych dotyczących tego rodzaju przypadków. Powiedziałam, że ze względu na jej wiek, jeśli mężczyzna jest starszy od niej o ponad dwa lata, nie ma znaczenia, czy to zostanie uznane za przymuszenie, czy nie. Zgoda nie gra żadnej roli. Jeżeli starszy mężczyzna uprawia seks z czternastolatką, jest to gwałt. Powiedziałam jej, że jeśli doszło do czegoś takiego, powinna mi o tym powiedzieć, zgłosić to na policję albo powiadomić rodziców. Powiedziałam, że jeśli coś takiego się stało, ten mężczyzna pójdzie za to do więzienia.

P: I jak na to zareagowała?

O: Uśmiechnęła się tylko szeroko od ucha do ucha. A potem podziękowała mi i wyszła z gabinetu.

P: Jest pani pewna, że ta rozmowa odbyła się dwudziestego dziewiątego października ubiegłego roku?

O: Rozmawialiśmy w dniu, w którym zabito Crystal. Jestem tego pewna. Zamknąłem księgę transkrypcji.

– A więc Crystal wróciła do domu, zamieściła wpis w pamiętniku, a potem poszła do Carla, żeby się z nim rozmówić?

– Albo zabrała pamiętnik do szkoły – odrzekła Lila. – To ma sens, prawda? Crystal wiedziała, że ma przewagę. Że to jego życie będzie zrujnowane, a nie jej.

– I tego samego dnia, kiedy postanowiła to zakończyć, Carl kupił pistolet?

– Może on też zamierzał to zakończyć – stwierdziła Lila. – Może od początku zamierzał zabić ją właśnie tego dnia.

Spojrzałem na zaszyfrowane notatki, tajemnica kryjąca się w tych wpisach nie dawała mi spokoju.

– Chciałbym, żebyśmy złamali ten szyfr – powiedziałem. – Nie do wiary, że adwokat Carla nie postarał się o to.

– Próbował.

Lila wyjęła z akt pojedynczą kartkę papieru i mi ją podała. Była to kopia listu do Departamentu Obrony. Data wskazywała na to, że został napisany dwa miesiące przed procesem. Widniał na nim podpis adwokata Carla, Johna Petersona. Peterson zwracał się do Departamentu Obrony z prośbą o pomoc w złamaniu szyfru.

– Czy Departament Obrony odpowiedział? – spytałem.

– Nie znalazłam żadnej odpowiedzi. Nie natrafiłam też na żadną wzmiankę, że szyfr został przez kogokolwiek złamany.

– Można by się spodziewać, że poruszą niebo i ziemię, by rozszyfrować te zapiski jeszcze przed rozpoczęciem procesu.

– Chyba że... – Lila spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami.

– Chyba że co?

– Chyba że Carl wiedział, co tam było napisane. Może nie chciał, by złamano ten szyfr, bo wiedział, że treść tych wpisów okaże się dla niego ostatnim gwoździem do trumny.

Następnego dnia zadzwoniłem do Janet i umówiłem się na wieczór, żeby zobaczyć się z Carlem. Chciałem go zapytać o pamiętnik i szyfr. Chciałem wiedzieć, dlaczego tak ważna z punktu widzenia prokuratury część sprawy pozostała nierozwiązana. Chciałem zobaczyć jego twarz, kiedy mi powie, czy wie, co miała na myśli Crystal Hagen, kiedy napisała w dzienniku, że „to się dzisiaj skończy”. Chciałem sprawdzić jego uczciwość. Najpierw jednak musiałem porozmawiać z Berthelem Collinsem. Kilka razy zostawiłem mu wiadomość, a gdy w końcu oddzwonił, byłem w drodze do Hillview Manor.

– W czymś ci mogę pomóc, Joe? – zapytał.

– Dziękuję, że pan oddzwonił, panie Collins. W aktach sprawy natknąłem się na coś dziwnego, o co chciałem zapytać.

– To było dawno temu, ale postaram się odpowiedzieć.

– W aktach był pamiętnik Crystal Hagen. Częściowo zaszyfrowany. Pamięta pan to?

Collins zamilkł na chwilę, po czym odrzekł:

– Tak, pamiętam.

– Natknąłem się również na list do Departamentu Obrony, w którym pan Peterson prosił o pomoc w złamaniu szyfru. Co było dalej?

Po kolejnej krótkiej przerwie Collins odparł:

– Peterson podpisał ten list, ale to ja go sporządziłem. Między innymi był to mój wkład w tę sprawę. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku nie mieliśmy komputerów osobistych, a przynajmniej nie takie, jakimi dysponujemy dzisiaj. Uważaliśmy, że Departament Obrony ma technologię niezbędną do złamania szyfru, więc Peterson przydzielił mi zadanie skontaktowania się z nim. Długo szukałem kogoś, kto zechciałby ze mną porozmawiać. Po paru tygodniach udało mi się znaleźć faceta, który powiedział, że zobaczy, co da się zrobić.

– I co było dalej? Otrzymał pan jakąś odpowiedź?

– Nie. My działaliśmy błyskawicznie, ale współpraca z Departamentem Obrony przywodziła na myśl orkę na ugorze. Nie wiem, czy już do tego doszedłeś, ale Iverson zażądał przyspieszenia procesu.

– Przyspieszenia procesu? Co to znaczy?

– Oskarżony może zażądać, by jego sprawa trafiła do sądu w ciągu sześćdziesięciu dni. Rzadko się na to zgadzamy, bo im bardziej sprawa się przeciąga, tym lepiej dla obrony. Odkrywamy więcej szczegółów, mamy czas na przygotowanie się i przeprowadzenie gruntownego śledztwa, świadkowie stają się

mniej wiarygodni. Nie było powodu, żeby Iverson mógł domagać się przyspieszonego procesu, ale to zrobił. Byłem przy tym, jak Peterson próbował go przekonać do wycofania tego żądania. Potrzebowaliśmy czasu, żeby się przygotować. Czekaaliśmy na odpowiedź z Departamentu Obrony. Iverson o to nie dbał. Pamiętasz, wspominałem, że nie pomagał nam w sprawie, że zachowywał się, jakby oglądał przebieg procesu w telewizji? O tym właśnie mówię.

– A co z Departamentem Obrony? Dlaczego nie złamali szyfru?

– To nie była dla nich priorytetowa sprawa. To było, jeszcze zanim się urodziłeś, tamtego roku Irańczycy przetrzymywali jako zakładników pięćdziesięciu dwóch Amerykanów. Był to rok wyborów. Wszyscy skoncentrowali się na tej sytuacji kryzysowej i nie byłem w stanie nakłonić nikogo, żeby ze mną porozmawiał albo oddzwonił. Moja przesyłka zniknęła w jakiejś czarnej dziurze. Po procesie zadzwoniłem, by poinformować, że już jest za późno, że nie muszą pracować nad złamaniem szyfru. Okazało się, że nie mają pojęcia, o czym mówię.

– Czy prokurator kiedykolwiek próbował złamać ten szyfr? – dopytywałem.

– Nie sędzę. No bo niby po co? Wszystkie obciążające dowody wskazywały na Iversona. Nie potrzebował złamania tego szyfru. Wiedział, że przysięgli wyczytają w tym tekście to, co on im podsunie.

Zajechałem na parking przy Hillview Manor i zaparkowałem, po czym oparłem się potylicą o zagłówek. Chciałem zadać jeszcze jedno pytanie, lecz wahałem się. Chciałem uwierzyć, że Carl nie jest potworem, o którym mówił prokurator. Ale przede wszystkim chciałem poznać prawdę.

– Panie Collins, moja przyjaciółka uważa, że Carl nie chciał, by szyfr pamiętnika został złamany. Jest przekonana, że on wiedział, iż te wpisy będą wskazywać na niego. Czy to prawda?

– Twoja przyjaciółka jest bardzo bystra – odparł w zamyśleniu. – Rozmawialiśmy o tym trzydzieści lat temu. John Peterson zgodziłby się z twoją przyjaciółką. Odnoszę wrażenie, że John tak naprawdę nie chciał, by ten szyfr został złamany, i dlatego zlecił to zadanie mnie. Byłem wtedy praktykantem w kancelarii. Wydaje mi się, że chciał, by wyglądało, że próbowaliśmy, ale nie liczył na wymierny wynik, bo... no cóż... – Collins wziął głęboki oddech i westchnął. – Prawda jest taka, że czasami trudno bronić z pełnym przekonaniem, wykorzystując wszelkie możliwości dla człowieka, o którym wiesz, że zamordował.

– Czy kiedykolwiek spytał pan Carla o szyfrowane wpisy w pamiętniku?

– Oczywiście. Jak już wspominałem, John próbował przekonać Carla, żeby zrezygnował z żądania przyspieszonego procesu. Kłóciliśmy się o to, bo uważaliśmy, że złamanie kodu może dostarczyć nam ważnych dowodów.

– Co powiedział Carl?

– Trudno to wyjaśnić. Większość osób, które są winne zarzucanego im

czynu, przyjmuje propozycje przyznania się w zamian za złagodzenie kary. On odmówił zmiany kryterium kwalifikacji czynu na morderstwo drugiego stopnia. Większość osób, które są niewinne, stara się odwlec proces, żeby przygotować się do sprawy. A on zażądał przyspieszonego procesu. Próbowaliśmy złamać szyfr, ale odnosiliśmy wrażenie, że Iverson stara się działać przeciwko nam. Powiem szczerze, Joe, wszystko wskazywało na to, że Carl Iverson chciał pójść do więzienia.

Podszedłem do Carla i usiadłem na krześle obok niego. Tylko rzucane z ukosa ukradkowe spojrzenia były oznaką, że zauważył moje przybycie. Wreszcie powiedział:

- Piękny dzień.
- Owszem – przyznałem.

Zawahałem się, zanim podjąłem wywiad. Nie zamierzałem zaczynać od tego, na czym skończyliśmy ostatnio – rozmawialiśmy o dniu, w którym dostał powołanie do wojska. Zamiast tego chciałem się dowiedzieć, dlaczego zażądał przyspieszonego procesu i nie zależało mu na rozszyfrowaniu pamiętnika. Podejrzewałem, że mój dobór tematów zepsuje Carlowi resztę tego pięknego dnia, lecz próbowałem zagaić rozmowę.

- Rozmawiałem dziś z Berthelem Collinsem.
- Z kim?
- Z Berthelem Collinsem. Był jednym z twoich adwokatów.

– Moim adwokatem był John Peterson – odparł. – A on umarł wiele lat temu, przynajmniej tak słyszałem.

– Collins był praktykantem w kancelarii i uczestniczył w przygotowaniach twojej sprawy.

Carl zamyślił się przez chwilę, najwyraźniej próbując przypomnieć sobie Collinsa, po czym rzekł:

– Chyba pamiętam dzieciaka, który siedział w pokoju podczas kilku wizyt. To było tak dawno temu. Jest teraz prawnikiem?

- Głównym obrońcą publicznym w Minneapolis.
- To dobrze – mruknął. – A dlaczego rozmawiałeś z panem Collinsem?
- Staram się poznać treść zaszyfrowanych wpisów w pamiętniku Crystal Hagen.

Ani na chwilę nie oderwał wzroku od balkonu mieszkania naprzeciwko. Nie wydawał się poruszony tym, że wspomniałem o pamiętniku, jakby potraktował moje słowa lekceważącym beknięciem.

- A więc jesteś teraz jeszcze detektywem?
- Nie – odrzekłem – ale lubię dobre zagadki. A ta wydaje się stanowić prawdziwe wyzwanie.

– Potrzebujesz ciekawej zagadki? – zapytał. – Obejrzyj zdjęcia.

Nie chciałem, żeby nasza rozmowa zesłała na ten temat.

- Widziałem zdjęcia – odparłem, a w pamięci przemknęły mi obrazy zwłok

Crystal Hagen. – Omal nie zwymiotowałem. Nie mam ochoty ponownie ich oglądać.

– O nie... Nie te zdjęcia – powiedział, odwracając się tak, że wreszcie mógł na mnie spojrzeć. Twarz miał mocno pobladłą. – Ja... ee... przykro mi, że musiałeś oglądać te zdjęcia. – Po wyrazie jego twarzy zorientowałem się, że mimo upływu lat wciąż widział w myślach te fotografie; brzemień trzydziestu lat było dla niego naprawdę przytłaczające. – Były straszne. Nikt nie powinien ich oglądać. Nie, miałem na myśli zdjęcia pożaru zrobione przed przybyciem policji. Widziałeś je?

– Nie. Co z nimi?

– Czytałeś w dzieciństwie „Highlights”?

– „Highlights”?

– Tak, można było je znaleźć w poczekalni u lekarza albo u dentysty. Pismo dla dzieci.

– Nie przypominam sobie – odparłem.

Carl uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Były w nich zdjęcia na pierwszy rzut oka identyczne, ale zawierały drobne różnice. Chodziło o to, żeby odnaleźć te szczegóły.

– Jasne – mruknąłem. – Bawiłem się w takie rzeczy w podstawówce.

– Jeżeli lubisz rozwiązywać zagadki i łamigłówki, znajdź zdjęcia, które zrobiono przed przyjazdem straży pożarnej i potem, i dobrze im się przyjrzyj. Poszukaj różnic. Zobacz, czy zdołasz je znaleźć. Są trudne do zauważenia. Mnie odnalezienie ich zajęło całe lata, ale nie miałem takich wskazówek jak ty. Podpowiedziałem ci coś i dodam tylko, że to, co zauważysz, będzie też patrzeć na ciebie.

– Miałeś te zdjęcia w więzieniu?

– Adwokat przesłał mi kopie większości tego, co znajdowało się w aktach. Miałem całą wieczność, by zapoznać się z tymi materiałami, gdy mnie skazali.

– Dlaczego nie wykazywałeś większego zainteresowania sprawą, zanim cię skazali? – spytałem.

Carl spojrział na mnie, jakbym wykonał niespodziewany ruch w grze w szachy. Może zorientował się, co chciałem w ten sposób zasugerować; subtelność nie była moją mocną stroną.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Collins powiedział, że zażądałeś przyspieszonego procesu.

Zamyślił się przez chwilę.

– To prawda – przyznał.

– Dlaczego?

– To długa historia – odrzekł.

– Collins mówił, że potrzebowali więcej czasu, ale ty nalegałeś na rozpoczęcie procesu.



- To prawda – potwierdził Carl.
- Uważa, że chciałeś pójść do więzienia.

Carl nie odpowiedział, tylko skierował wzrok w stronę okna.

– Chcę wiedzieć – nie odpuszczałem – dlaczego nie walczyłeś, by uniknąć więzienia.

Zawahał się, zanim odpowiedział.

- Myślałem, że to uciszy koszmary.

Nareszcie do czegoś dochodzimy, pomyślałem.

- Koszmary?

Widziałem, jak znów się zawahał i gwałtownie przełknął ślinę. Wreszcie cichym, spokojnym głosem, który zdawał się dobiegać z głębi jego duszy, wyznał:

– Robiłem rzeczy... rzeczy, z którymi, jak mi się wydawało, jestem w stanie żyć... ale się myliłem.

– To jest twoje oświadczenie umierającego – powiedziałem, próbując przeniknąć jego myśli w nadziei, że zdołam poruszyć zardzewiałe tryby mechanizmu, co zapoczątkuje katharsis. – To dlatego opowiadasz mi swoją historię, bo chcesz zrzucić z barków jej brzemień.

Dostrzegłem rezygnację w jego oczach, pragnienie opowiedzenia mi całej historii. Chciałem krzyknąć, żeby się przyznał, ale zamiast tego wyszeptałem coś innego, żeby go nie spłoszyć:

- Wysłucham cię. Obiecuję nie osądzać.

– Przeszedłeś tu, by przynieść mi odpuszczenie grzechów? – zapytał niemal szeptem.

– Nie odpuszczenie grzechów – odparłem. – Ale opowiedzenie mi, co się stało, może pomóc. Mówi się, że wyznanie win przynosi ulgę duszy.

– Tak się mówi? – Powoli znów przeniósł uwagę na mnie. – Zgadzasz się z tym? – zapytał.

– Jasne. Myślę, że jeśli coś nie daje spokoju... opowiedzenie o tym komuś jest dobrym rozwiązaniem.

- Powinniśmy spróbować – powiedział. – Przekonamy się, czy to prawda?

- Czemu nie – przytaknąłem.

- Wobec tego opowiedz mi o swoim dziadku – zaproponował.

Poczułem ucisk w piersiach i to mnie oszołomiło. Odwróciłem na chwilę wzrok i spróbowałem uspokoić myśli.

- Ale co o dziadku? – spytałem.

Carl nachylił się do mnie, a potem półgłosem wyjaśnił:

– Pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy, wspomniałeś o nim przelotnie. Spytałem, jak umarł, a ciebie замуrowało. Spochmurniałeś. Dostrzegłem coś w twoich oczach. Opowiesz mi, co się z nim stało?

- Umarł, kiedy miałem jedenaście lat. To wszystko.

Carl milczał przez dłuższą chwilę, pozwalając, by brzemień hipokryzji spoczęło całym ciężarem na moich barkach. Wreszcie westchnął i wzruszył ramionami.

– Rozumiem – powiedział. – Jestem tylko szkolnym zadaniem na zaliczenie.

W głowie usłyszałem niespokojny głos podsycany poczuciem winy; ten głos szeptał do mnie, nakłaniał, żebym zdradził Carlowi swoją tajemnicę. Dlaczego mu tego nie opowiesz? Za parę tygodni i tak zabierze twoją tajemnicę do grobu. Poza tym byłaby to forma rewanzu, odpłacenia mu w dobrej wierze za wyznanie, które mi poczyni. Wtedy jednak inny, cichszy głos powiedział, że odpłacenie w dobrej wierze nie ma nic wspólnego z powodem, dla którego powinienem zdradzić Carlowi swój sekret. Chciałem mu o tym opowiedzieć.

Carl spojrzał na swoje dłonie.

– Nie musisz mi tego mówić – szepnął. – Nie taki mieliśmy układ...

– Widziałem, jak umiera mój dziadek. – Te słowa wypłynęły z moich ust, zanim zdążyłem się pohamować.

Carl spojrzał na mnie zaskoczony tym, że jednak się odezwałem.

Jak skoczek, który rzuca się ze szczytu klifu do wody i w chwili, gdy jego stopy oderwą się od podłoża, nie ma już odwrotu, tak i ja swoimi słowami zapoczątkowałem coś, czego nie byłem w stanie zatrzymać. Patrzyłem przez okno, tak jak to zwykle robił Carl, i przywoływałem w pamięci strzępki wspomnień. Kiedy na dobre pozbierałem myśli, ponownie się odezwałem.

– Nigdy nikomu tego nie powiedziałem – zacząłem niepewnie – ale to była moja wina, że umarł.

Jeżeli chodzi o mojego dziadka, najlepiej zapamiętałem jego dłonie – mocne, masywne jak łapy buldoga, o krótkich grubych palcach poruszających się szybko i pewnie, gdy naprawiał niewielkie silniki, co było jego pracą. Pamiętałem, jak trzymał mnie za rękę, gdy byłem mały, i że przepelniało mnie to spokojem, upewniało, że wszystko będzie w porządku. Pamiętałem, jak przemierzał świat z poczuciem niezmaconej cierpliwości, poświęcając całą uwagę każdemu zadaniu, którego się podejmował, czy chodziło o wytarcie okularów, czy pomoc mojej matce, kiedy miała kolejny kiepski dzień. Był, odkąd pamiętałem. Jego szepty zagłuszały jej krzyki, a jego dłoń na jej ramieniu była w stanie uspokoić najgorszą burzę. Zawsze cierpiała na chorobę dwubiegunową, to nie jest coś, co można złapać jak grypę, ale dopóki dziadek Bill żył, fale jej nastrojów nigdy nie zmieniały się w wielkie wzburzone grzywacze.

Opowiadał mi historie o łowieniu ryb w rzece Minnesota niedaleko Mankato, gdzie dorastał, o łodziach pełnych sumów i zębaczy po udanym połowie i marzyłem o dniu, kiedy będę mógł wybrać się z dziadkiem na ryby. Wreszcie nadszedł ten dzień. Miałem wtedy jedenaście lat. Dziadek pożyczył łódź od kolegi i wypłynęliśmy z przystani w Judson w dół rzeki, podążając z jej powolnym, lecz silnym prądem, aby zgodnie z planem przed zmierzchem dotrzeć do Mankato.

Tej wiosny wody rzeki wezbrały po roztopach, jednakże w lipcu, kiedy popłynęliśmy na ryby, było już spokojnie. Po powodzi zostało wiele zeschniętych zwalonych topoli wystających z dna rzeki; ich gałęzie sterczały nad wodą jak palce kościotrupów. Dziadek Bill prowadził niewielką łódź motorową powoli, żeby móc w razie konieczności wymijać zatory na rzece. Od czasu do czasu słyszałem, jak ukryte tuż pod powierzchnią drewniane gałęzie ze zgrzytem ocierają się o aluminiowe burty, zarysowując je. Początkowo ten dźwięk mnie przerażał, ale dziadek zachowywał się tak, jakby ten odgłos był równie naturalny co szum wiatru wśród liści. Dodało mi to otuchy. Poczuję się bezpieczny.

W ciągu godziny złowiłem swoją pierwszą rybę i rozpromieniłem się od ucha do ucha. Nigdy dotąd nie złapałem żadnej ryby i uczucie, jakie temu towarzyszyło, widok drgającej wędki i tego, co trzepotało się na haczyku, przepelnił mnie ekscytacją. Byłem wędkarzem. Dzień upływał szybko, niebo było czyste, błękitne, dziadek złapał jeszcze kilka ryb, ja również. Chyba łowił czasami bez zakładania przynęty, żebym mógł go wyprzedzić w naszej małej rywalizacji.

Do południa mieliśmy całkiem spore naręczce ryb. Dziadek polecił, żebym rzucił kotwicę, byśmy mogli zjeść lunch, obserwując nasze wędki. Kotwica,

przymocowana do dziobu łodzi, gdzie siedziałem, przez dłuższą chwilę dragowała po dnie, dopóki nie zahaczyła o coś i nie zatrzymała łodzi w połowie szerokości rzeki. Umyliśmy ręce wodą z manierki, a dziadek Bill wyjął z reklamówki kanapki z serem i szynką. To były najpyszniejsze kanapki, jakie jadłem, popijane zimnym piwem korzennym wprost z butelki. Wspaniały lunch spożywany na środku rzeki w południe tego idealnego dnia.

Kiedy dziadek zjadł, zmiął papierową torebkę i umieścił w reklamówce, która stała się workiem na śmieci. Włożył do niej również butelkę, gdy dopił piwo korzenne. Podał mi reklamówkę, żebym mógł zrobić to samo.

– Zawsze trzeba dbać o czystość na łodzi – powiedział. – Nie zostawiaj walających się śmieci ani otwartego pudełka z przynętami i haczykami. To z takich zaniedbań biorą się wypadki.

Słuchałem go tylko jednym uchem, sącząc piwo.

Gdy je dopiłem, dziadek Bill nakazał mi wybrać kotwicę, czego również nigdy dotąd nie robiłem. Sam zajął się silnikiem: pompował małą kulkę w przewodzie paliwowym, by przygotować go do rozruchu. Nie widział, że położyłem pustą butelkę na dnie łodzi. Uznałem, że wyrzucę ją później. Schwyciłem nylonową linę przymocowaną do kotwicy i pociągnąłem. Kotwica nawet nie drgnęła. Szarpnąłem mocniej i poczułem, że łódź zaczęła obracać się z prądem, ale kotwica wciąż się nie poruszyła. Łódź miała szeroką płaską dziobnicę. Zaparłem się o nią obiema nogami i podciągałem łódkę w stronę kotwicy, wybierając sznur ręką za ręką, ale w pewnym momencie nie mogłem zrobić już nic więcej. Dziadek Bill zauważył, że mocuję się ze sznurem, i podpowiedział, bym spróbował szarpać na boki, aby obluzować i uwolnić kotwicę, lecz to nie pomogło. I wtedy z tyłu za mną usłyszałem, że dziadek się poruszył. Łódź się zakołysała. Gdy obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem, że postanowił mi pomóc. Przesząpił ponad ławeczką, która nas rozdzielala, i nadepnął na pozostawioną przeze mnie pustą butelkę. Jego noga w kostce skrzywiła się, stopa wygięła się w bok. Stracił równowagę i runął do tyłu, uderzając udem o burtę łodzi i wymachując rękami. Równocześnie obrócił górną połowę ciała, by zmienić pozycję przed wpadnięciem do wody. Strugi rozbryźniętej wody zalały mnie od stóp do głów, gdy odmetry rzeki pochłonęły dziadka.

Zawołałem go po imieniu, gdy zniknął w mętnej wodzie. Krzyknąłem jeszcze dwa razy, zanim wypłynął na powierzchnię; chciał złapać się łodzi, lecz nie udało mu się to.

Od krawędzi burty dzieliła go odległość równa zaledwie średnicy pięciocentowej monety. Jego kolejna próba była jeszcze mniej udana. Porwał go prąd, odciągając ode mnie, gdy tak siedziałem, trzymając się tej kretyńskiej liny kotwicznej, nie zdając sobie sprawy, że gdybym puścił linę, łódź popłynęłaby z prądem w tę samą stronę co mój dziadek przynajmniej na odcinku sześciu,

siedmiu metrów, bo tyle wynosił luz sznura. Zanim dziadek znów się zatrzymał, był już za daleko od łodzi, nie miał szans, nawet gdybym zdecydował się puścić linę.

Krzyczałem, modliłem się i błagałem, żeby zaczął płynąć. Wszystko działo się tak szybko.

I wtedy sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Dziadek Bill zaczął szamotać się w wodzie, wymachując gwałtownie rękami i rozpaczliwie szukając oparcia, kiedy coś, co było ukryte w mrocznych odmętach, schwyciło go za nogę. Później szeryf powie mojej matce, że obuta stopa dziadka zaczepiła się między gałęziami zwalonej topoli leżącej tuż pod powierzchnią wody.

Patrzyłem, jak się miota i walczy, by utrzymać głowę ponad powierzchnią wody, gdy niewzruszony prąd ścigał go w dół. Nie zapiął kamizelki ratunkowej. Zaplątała się wokół jego ramion i wypierała je w górę, ponad jego głowę, a górną połowę ciała prąd ścigał w dół, ku uwięzionej stopie. Dopiero wtedy zaświtało mi w głowie, że powinienem puścić linę. Zrobiłem to i zacząłem wiosłować, aż lina znów się naprężyła jakieś dziesięć metrów od mojego dziadka. Widziałem, jak on się szarpie i próbuje zerwać z ramion krępującą mu ruchy kamizelkę ratunkową. Nie mogłem wykonać żadnego ruchu. Nie mogłem myśleć. Po prostu stałem, patrzyłem i krzyczałem, aż dziadek przestał się poruszać i unosił się już, zupełnie bezwładnie, poddając się nurtowi rzeki.

Opowiedziałem Carlowi moją historię, tłumiąc łzy i wielokrotnie przerywając, żeby się uspokoić. Dopiero gdy skończyłem, zdałem sobie sprawę, że Carl położył rękę na moim ramieniu dla dodania mi otuchy. Trochę mnie to zdziwiło, ale nie próbowałem się od niego odsunąć.

– Wiesz, że to nie była twoja wina – powiedział.

– Nie wiem – odparłem. – To wielkie kłamstwo, do którego próbuję przekonać sam siebie przez ostatnie dziesięć lat. Mogłem włożyć tę pustą butelkę do reklamówki. Mogłem puścić tę linę, kiedy wpadł do wody. W skrzynce z przynętami miałem nóż. Mogłem przeciąć linę i uratować dziadka. Uwierz mi, rozważałem możliwości w nieskończoność. Mogłem zrobić mnóstwo rzeczy inaczej. Ale nie zrobiłem kompletnie nic.

– Byłeś jeszcze dzieckiem – zauważył Carl.

– Mogłem go ocalić. Miałem wybór: podjąć próbę albo poprzestać na obserwacji. Dokonałem złego wyboru. To wszystko.

– Ale...

– Nie chcę więcej o tym mówić – uciałem.

Janet postukała mnie w ramię, a ja odwróciłem się gwałtownie.

– Przykro mi, Joe, ale jest po godzinach odwiedzin.

Spojrzałem na zegar na ścianie i zobaczyłem, że jest już dziesięć po ósmej. Przez całą wizytę to ja mówiłem i czułem się wyczerpany. Kręciło mi się w głowie,

a wspomnienie tamtego straszego dnia kotłowało mi się w niej wyzwolone z pętających je okowów przez Carla Iversona. Czułem się oszukany, bo nawet nie porozmawialiśmy na temat sprawy Carla. Ale też czułem swego rodzaju ulgę, że podzieliłem się z kimś swoim sekretem.

Wstałem i przeprosiłem Janet, że się zasiedziałem. Potem skinąłem głową Carlowi na pożegnanie i wyszedłem. Przy wyjściu z holu odwróciłem się, by jeszcze na niego spojrzeć. Siedział w bezruchu, patrząc na swoje odbicie w ciemnej szybie, oczy miał zamknięte, powieki mocno zaciśnięte, jakby przepelnił go silny ból, a ja przez chwilę zastanawiałem się, czy to znów rak dał znać o sobie, czy może chodziło o coś zupełnie innego.

Aby się uspokoić, w drodze do domu puściłem sobie z podniszczonego samochodowego stereo wiązaną klasycznych rockowych przebojów. Śpiewałem kolejne, doskonale mi znane utwory wraz z ich wykonawcami, a w myślach rozwiązywałem zagadkę, o której wspomniał Carl. Oczywiście łamigłówka mnie zaintrygowała, ale jeszcze bardziej ucieszyłem się z tego, że miałem pretekst, by spędzić trochę czasu z Lilią.

Po powrocie do mieszkania przetrząsnąłem pudło i znalazłem dwie teczki ze zdjęciami płonącego składziku. Pół godziny zajęło mi upewnienie się, że mam właściwe fotografie, po czym wcisnąłem akta pod pachę i pomaszerowałem do Lili.

– Lubisz zagadki? – spytałem ją.

– To zależy – odparła – co konkretnie masz na myśli.

Jej odpowiedź zbiła mnie z tropu i przez chwilę wydawało mi się, że dostrzegłem na ustach Lili figlarny, zalotny uśmieszek. Prawie zapomniałem, po co przyszedłem. Odpowiedziałem również uśmiechem i zająknąwszy się, wyjaśniłem:

– Przyniosłem kilka zdjęć.

Wyglądała na bardzo zaskoczoną; ruchem głowy zaprosiła mnie do stołu w pokoju.

– Większość facetów przynosi kwiaty – powiedziała.

– Nie jestem taki jak większość. Jestem jedyny w swoim rodzaju.

– To fakt – przyznała.

Rozłożyłem fotografie na blacie stołu – było ich siedem. Pierwsze trzy ukazywały szalejącą pożogę; strażacy nie dotarli jeszcze na miejsce. Były kiepsko skadrowane, niedoświetlone, a jedna wyjątkowo nieostra. Druga seria zdjęć przedstawiała strażaków walczących z pożarem i została wykonana przez lepszego fotografa. Jedno ukazywało strażaków rozciągających przyniesiony z wozu szlauch, a w tle widać było płonący składzik. Następne uwieczniło strugę wody uderzającą w ścianę płonącej szopy. Na dwóch kolejnych strażacy polewali składzik wodą z dwóch stron równocześnie; ostatnie z tych dwóch zdjęć widziałem dołączone do artykułu gazetowego w bibliotece.

– Na czym polega zagadka? – zapytała Lila.

– Te zdjęcia tutaj... – powiedziałem, wskazując na pierwsze trzy – pochodzą z akt świadka Oscara Reida. Mieszkał po sąsiedzku, przy tej samej ulicy co Carl i Lockwoodowie. Zobaczył ogień i wezwał straż pożarną. Kiedy czekał na jej przybycie, zgarnął stary aparat fotograficzny i pstryknął kilka fotek.

– Zamiast, bo ja wiem... nabrać wody do wiadra i pobiec gasić pożar?

– Powiedział detektywowi, że przyszło mu na myśl, iż mógłby sprzedać zdjęcia któreś z gazet.

– Nie ma to jak wrażliwość ludzka – skwitowała Lila. – A te? – Wskazała na cztery pozostałe.

– Zrobił je zawodowy fotograf z gazety Alden Cain. Został wezwany i przyjechał.

– No dobra... czego właściwie mam szukać? – spytała.

– Pamiętasz, jak w podstawówce nauczyciele dawali dzieciom dwie z pozoru jednakowe fotografie i prosili o znalezienie różniących je szczegółów?

– Na tym to polega?

– Właśnie na tym – odparłem, układając zdjęcia obok siebie. – Co widzisz?

Przyjrzelśmy się uważnie. Na pierwszych zdjęciach płomienie buchały z okna składziku zwróconego w stronę ulicy i fotografa. Dach składziku był nienaruszony, a gęsty czarny dym bił z miejsc, gdzie drewniane krokwie dachu dotykały ścian, wspierając się na nich. Na późniejszych zdjęciach ogień wznosił się w górę jak niepohamowany wir bijący z otworu w dachu. Zjawili się strażacy i właśnie zaczęli polewać składzik wodą, żeby stłumić płomienie. Cain stał prawie w tym samym miejscu co Reid, bo kąta i tła na wszystkich zdjęciach były podobne.

– Nie widzę żadnych różnic – stwierdziłem. – Poza obecnością strażaków.

– Ja też nie – przyznała Lila.

– Carl mówił, że należy patrzeć na rzeczy, które na wszystkich zdjęciach powinny być jednakowe, więc nie patrz na ogień, bo płomienie się zmieniają, w miarę jak pożar się rozprzestrzenia.

Uważnie lustrowaliśmy tło w poszukiwaniu jakichkolwiek różnic. Widać było coraz silniejszą pożogę, ale dom Carla na każdym zdjęciu wyglądał tak samo. Wreszcie spojrzałem na dom Lockwoodów na fotografiach Reida: standardowy jednopiętrowy budynek, dom ludzi pracy, z niewielkim gankiem na tyłach, ciągiem trzech okien na piętrze i oknami po obu stronach tylnych drzwi. Popatrzyłem na dom Lockwoodów na zdjęciach Caina. Też wyglądał jaśniej za sprawą płomieni, ale poza tym nie dostrzegłem żadnych różnic. Przeniosłem wzrok z jednej fotografii na drugą, zastanawiając się, czy Carl nie zrobił mi głupiego kawału.

I wtedy Lila to zobaczyła. Zdjęła dwa zdjęcia ze stołu, jedno autorstwa Caina i jedno Reida, i je porównała.

– Spójrz – powiedziała – na to okno po prawej stronie tylnych drzwi domu Lockwoodów.

Wziąłem od niej fotografie i skierowałem wzrok na okno, popatrując raz na zdjęcie Reida, raz na zdjęcie Caina, aż w końcu dostrzegłem to samo co Lila. Okno po prawej stronie tylnych drzwi miało miniżaluzje przesłaniające je od góry do dołu. Na zdjęciu Reida żaluzje były opuszczone do samego końca. Na fotografii zrobionej przez Caina żaluzje uniesiono na kilka centymetrów. Przybliżyłem



zdjęcie do oczu i dostrzegłem jakby zarys głowy i może nawet twarz widoczną przez szczelinę.

– Co, u licha? – zdziwiłem się. – Kto to jest?

– Dobre pytanie – zauważyła Lila. – Wygląda na to, że ktoś patrzy przez szparę pod uniesionymi żaluzjami w oknie.

– Ktoś był w domu? – spytałem. – Obserwował pożar?

– Wszystko na to wskazuje.

– Kto?

Zauważyłem, że Lila pogrąża się w zadumie, jakby próbowała przywołać z pamięci fragmenty zeznań rodziny Lockwoodów.

– Możliwości jest niewiele.

– Powiedziałbym, że tyle samo co w dowcipie o stolarzu i piwie.

– O stolarzu i piwie? – zdziwiła się Lila.

– No wiesz, przychodzi stolarz do knajpy i zamawia pięć piw, ale podnosi tylko dwa palce, bo trzech mu brakuje. – Zachichotałem, ale zabrzmiało to sztucznie.

Lila wywróciła oczami i podjęła przerwany wątek.

– Ojczym Crystal, Douglas Lockwood, powiedział, że tego wieczoru był z synem w swoim salonie sprzedaży aut. Zajmował się papierkową robotą, a Danny przyjmował samochody. Powiedział, że wrócili do domu dopiero wtedy, gdy pożar został ugaszony.

– Mama Crystal pracowała na nocną zmianę w Dillard's Café – dodałem to, co sobie przypomniałem.

– Zgadza się – przytaknęła Lila, jakby chciała podkreślić, że lepiej ode mnie zna wszystkie szczegóły. – Potwierdził to jej szef Woody.

– Jej szef Woody? Chyba coś zmyślasz.

– Sam to sprawdź. – Uśmiechnęła się.

– Zostaje więc już tylko jej chłopak, jak mu tam?

– Andrew Fisher. Zeznał, że przywiózł Crystal po szkole do domu, wjechał w zaułek, tam ją wysadził i odjechał.

– Do jakich wniosków to prowadzi? – spytałem.

Lila zamyśliła się i w końcu zaczęła odliczać na palcach.

– Widzę cztery możliwości: po pierwsze, że przez to okno wcale nikt nie wygląda, ale ponieważ muszę wierzyć w to, co widzę, odrzucam tę ewentualność.

– Ja też widzę tam jakąś postać – przyznałem.

– Po drugie, to Carl Iverson...

– Czemu Carl Iverson miałby zabić ją w swoim domu, a potem obserwować pożar z domu Lockwoodów?

– Nie mówię, że tak było, wymieniam tylko możliwości. Że jeśli Carl wiedział o pamiętniku, to chciał go znaleźć, i dlatego po podłożeniu ognia

w składziku udał się do domu Lockwoodów. Choć to raczej bez sensu, żeby podłożył ogień, zanim zaczął rozglądać się za pamiętnikiem.

– Tak, kompletnie bez sensu – przyznałem.

– Po trzecie, mamy człowieka zagadkę, kogoś, kogo policja nigdy nie brała pod uwagę i kto w ogóle nie jest wymieniony w aktach.

– A po czwarte?

– Po czwarte, trzeba wziąć pod uwagę, że ktoś skłamał, składając zeznania na policji.

– Na przykład... Andrew Fisher?

– Na przykład – powiedziała Lila, robiąc znaczący wydech.

Wiedziałem, że bardzo chce trwać w przeświadczeniu, iż to Carl Iverson zamordował Crystal Hagen. Zrozumiałem jednak, że stara się też być otwarta na nowe hipotezy i jest gotowa przyjąć do wiadomości, iż przed trzydziestoma laty ktoś popełnił niewyobrażalną pomyłkę.

Siedzieliśmy w milczeniu, nie wiedząc, co mamy myśleć o tym odkryciu, i żadne z nas nie wspomniało o drzeniu, które czuliśmy, a które przenikało ziemię pod naszymi stopami. Zupełnie jakbyśmy ujrzeli szczelinę pojawiającą się na powierzchni tamy, ale nie pojmowaliśmy ogromu tego wszystkiego, co sobą zapowiadała. A przecież już wkrótce szczelina zacznie się powiększać i buchną z niej strugi wody.

Zanim wróciłem do Hillview Manor, doszedłem do siebie po wyznaniu dotyczącym śmierci dziadka i poczułem się ożywiony tajemnicą, jaką kryły zdjęcia. Carl był mi winien wyznanie – a przynajmniej tak uważałem. Przełamałem się, by opowiedzieć mu swoją historię, i teraz to on musiał udzielić mi odpowiedzi na kilka ważnych pytań.

Wyglądał zdrowiej niż dotychczas. Był ubrany w czerwoną flanelową koszulę zamiast w matowy niebieski szlafrok i miał gładko ogolone zapadnięte policzki. Uśmiechnął się słabo, jak ktoś, kto na imprezie spotyka swoją byłą dziewczynę. Chyba wiedział, co się szykuje. Nadszedł czas, by się otworzył. Zbliżał się termin złożenia przez mnie pracy, musiałem napisać o punkcie zwrotnym w życiu Carla i za tydzień oddać tekst wykładowcy. Pora wykopać szkielety z bezimiennych grobów i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Cześć, Joe. – Ruchem ręki wskazał mi krzesło obok siebie. – Spójrz tylko – powiedział, skinąwszy głową w stronę okna.

Zlustrowałem wzrokiem balkony mieszkań naprzeciwko, ale nic się tam nie zmieniło.

– Co jest? – spytałem.

– Śnieg – odparł. – Pada śnieg.

Zwróciłem uwagę na prószący lekko śnieg, kiedy tu jechałem, ale nie przejąłem się tym, pomijając krótką chwilę zastanowienia, czy mój rzęch przetrwa kolejną zimę w Minnesocie. Karoseria była tak przeżarta rdzą, że woda z kałuż na ulicach przesiąkała wykładzinę bagażnika po każdym deszczu i wewnątrz samochodu cuchnęło starymi mokrymi szmatami. Na szczęście nie nagromadziło się jeszcze dostatecznie dużo śniegu.

– Cieszysz się, że pada? – zainteresowałem się.

– Przesiedziałem trzydzieści lat w więzieniu, z czego większość spędziłem w izolatce segregacyjnej. Rzadko miałem okazję widzieć śnieg. Uwielbiam śnieg.

Carl śledził wzrokiem pojedyncze płatki przelatujące za oknem, porywane podmuchami wiatru i znów opadające, by zniknąć pośród traw. Dałem mu kilka minut spokoju, pozwalając, by nacieszył się tym widokiem. W końcu zaczął:

– Był tu dziś rano Virgil. Mówił, że odbyliście poważną rozmowę.

– Owszem.

– I co jeszcze mówił?

Wyjąłem z plecaka mały dyktafon i postawiłem na tyle blisko, by nagrał głos Carla.

– Mówił, że jesteś niewinny, że nie zabiłeś Crystal Hagen.

Carl zamyślił się nad tym przez chwilę, po czym spytał:

– Wierzysz mu?

– Czytałem twoje akta sądowe – odparłem. – Zapoznałem się z transkrypcją procesu i pamiętnikiem Crystal.

– Rozumiem – Przeszedł wyglądać przez okno i wlepił wzrok w wyświechtany dywan leżący przed nim. – Czy Virgil mówił ci, dlaczego tak mocno wierzy w moją niewinność?

– Opowiedział mi o tym, jak uratowałeś mu życie w Wietnamie. Mówił, że pobiegłeś bez wahania naprzeciw wrogim kulom, ukląkłeś między nim a ludźmi, którzy próbowali go zabić. Mówił, że zostałeś tam, dopóki atak Wietkongu nie został odparty.

– Musiałeś polubić Virgila. – Carl zachichotał pod nosem.

– Dlaczego? – spytałem.

– Umrze w przekonaniu, że jestem niewinny z powodu tego, co wtedy zrobiłem, choć źle to wszystko zinterpretował.

– Nie uratowałeś mu życia?

– Och, podejrzewam, że faktycznie go ocaliłem, ale nie dlatego przypuściłem wtedy tę szaleńczą szarżę.

– Nie rozumiem.

Uśmiech Carla stał się nieco bardziej melancholijny, gdy powracał pamięcią do tamtego dnia w Wietnamie.

– Byłem wtedy katolikiem – powiedział. – Moja wiara zabrania odebrania sobie życia. To jeden z grzechów, których nie można wybaczyć. Ksiądz powiedział, że jeśli popełniasz samobójstwo, idziesz prosto do piekła, i nie ma żadnych wyjątków. Biblia stanowi przy tym, że nie ma większej ofiary niż oddanie życia za swojego brata. A Virgil był moim bratem.

– I dlatego gdy zobaczyłeś, że Virgil został ranny...

– Pomyślałem, że nadarza się okazja. Zasłonię Virgila własnym ciałem i przyjmę kulę, która była przeznaczona dla niego. To trochę tak jak upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Mogłem ocalić życie Virgila i równocześnie położyć kres mojemu.

– Ale nie wyszło? – spytałem z lekkim naciskiem.

– To właśnie było w tym wszystkim najgorsze. Zamiast kuli w łeb dostałem medale: Purpurowe Serce i Srebrną Gwiazdę. Wszyscy uznali, że wykazałem się bohaterstwem i odwagą. A ja tylko chciałem umrzeć. Widzisz, wiara Virgila we mnie i jego lojalność są oparte na kłamstwie.

– A więc jedyna osoba, która wierzy w twoją niewinność, myli się? – spytałem, kierując delikatnie rozmowę na interesujący mnie temat.

Za oknem zaczęło sypać jak wewnątrz śnieżnej kuli, wilgotne płatki

wielkości prażonej kukurydzy wirowały w powietrzu. Musiałem zadać dręczące mnie pytanie, ale w odpowiedzi usłyszałem jedynie ciszę. Dlatego patrzyłem na śnieg, trwając w postanowieniu, że nie odezwę się ponownie, że dam Carlowi tyle czasu, ile potrzebuje, by mógł pozbierać myśli i odpowiedzieć.

– Pytasz mnie, czy zamordowałem Crystal Hagen – rzekł w końcu.

– Pytam, czy ją zabiłeś, zamordowałeś lub w jakikolwiek inny sposób doprowadziłeś do tego, że straciła życie. Tak, o to właśnie pytam.

Usłyszałem, jak gdzieś z tyłu za mną tyka zegar, odmierzając kolejne sekundy, podczas których Carl ponownie milczał.

– Nie – odparł prawie niesłyszalnym szeptem. – Nie zrobiłem tego.

Opuściłem głowę w wyrazie rozczarowania.

– W dniu, kiedy cię poznałem, kiedy wygłosiłeś mi kazanie o uczciwości, powiedziałeś, że jesteś zarówno zabójcą, jak i mordercą. Pamiętasz? Powiedziałeś, że zabicie człowieka to nie to samo co morderstwo, a ty popełniłeś jedno i drugie. Myślałem, że to było oświadczenie umierającego, szansa na oczyszczenie. A teraz mówisz mi, że nie doprowadziłeś w żaden sposób do jej śmierci?

– Nie liczę na to, że mi uwierzysz. Do licha, nikt mi nie uwierzył, nawet mój adwokat.

– Przeczytałem akta, Carl. Przeczytałem pamiętnik. Tego dnia kupiłeś pistolet. Nazywała cię zbokiem, bo stale ją obserwowałeś.

– Wiem, na co wskazują dowody, Joe – powiedział z niewzruszonym spokojem. – Wiem, co zostało wykorzystane przeciwko mnie w sądzie. Przeżywałem tę historię każdego dnia przez ostatnie trzydzieści lat, ale to nie zmienia faktu, że jej nie zamordowałem. Nie potrafię tego udowodnić ani tobie, ani nikomu innemu. Nawet nie zamierzam próbować. Powiem ci prawdę. Możesz w to uwierzyć lub nie. Dla mnie to bez znaczenia.

– A co z tą drugą historią o Wietnamie? – spytałem.

Carl spojrzał na mnie lekko zaskoczony, a potem, jakby chcąc przejrzeć, czy blefuję, spytał:

– O jakiej historii mówisz?

– Virgil powiedział, że tylko ty możesz ją opowiedzieć. Mówi, że jest ona dowodem na to, że nie zabiłeś Crystal Hagen.

Carl osunął się na wózku. Przyłożył palce do ust, jego dłonie leciutko drżały. A więc była inna historia, teraz to zrozumiałem i poszedłem za ciosem.

– Powiedziałeś, że wyjawisz mi całą prawdę, Carl. Nie poznam jej, dopóki nie usłyszę całej historii. Chcę wiedzieć wszystko.

Znów wlepił wzrok w przestrzeń. Wpatrywał się w coś za oknem, za śniegiem i za balkonem domu naprzeciwko.

– Opowiem ci o Wietnamie – powiedział wreszcie. – Zdecydujesz, czy to czegoś dowodzi, czy nie. Ale mogę obiecać, że będzie to prawda.

Przez następne dwie godziny nie odezwałem się ani słowem. Słuchałem, jak Carl Iverson cofa się pamięcią do czasów wojny w Wietnamie.

Kiedy skończył, wstałem, uścisnąłem mu rękę i podziękowałem. Następnie wróciłem do domu i spisałem tę część historii, która dotyczyła dramatycznego punktu zwrotnego w jego życiu.

Joe Talbert

Fakultet z języka angielskiego

Biografia: Opisanie punktu zwrotnego w czyimś życiu

Dwudziestego trzeciego września 1967 roku szeregowy Carl Iverson opuścił pokład lockheeda C-141 – wojskowego samolotu transportowego – i po raz pierwszy postawił stopę na obcej ziemi, w Da Nang w Republice Wietnamu. W prowizorycznych barakach, gdzie rozlokowano żołnierzy, spotkał innego peżeta – pieprzonego żółtodzioba – nazwiskiem Virgil Gray z Baudette w Minnesocie. Ponieważ Carl pochodził z South St. Paul, byli praktycznie sąsiadami, nieważne, że odległość między Baudette a South St. Paul wynosiła tyle co przejazd między sześcioma stanami na Wschodnim Wybrzeżu. Zrządzeniem losu przydzielono ich do tego samego plutonu i wysłano do tej samej bazy operacyjnej na pylistym wzgórzu znajdującym się na północnozachodnim krańcu Doliny Que Son, przywodzącym na myśl tyłek pawiana.

Dowódca oddziału Carla, niski, ordynarny sierżant Gibbs, pod maską okrucieństwa ukrywał duże blizny po poważnych ranach na psychice. Żył jednakową pogardę dla oficerów i poborowych, krytykując rozkazy i traktując peżetów jak roznoszące zarazę szczury. Najbardziej brutalnie odnosił się do Wietnamczyków, nazywanych żółtkami. W świecie Gibbsa byli oni przyczyną wszelkiego zła, a dowództwo stosowało jedynie półśrodki, by ich wyplenić, co odbijało się na nim.

Kiedy Carl i Virgil przybyli do ich nowego domu, Gibbs odprowadził ich na bok, by wyjaśnić, że wojna na wyczerpanie, doktryna prezydenta Johnsona, oznacza, iż „musimy wybić ich więcej, niż oni wybiją naszych”. Strategia ta opierała się na liczbie ofiar. Generałowie puszczały oko do pułkowników, którzy szturchali majorów i kapitanów, ci z kolei szeptali porucznikom, którzy dawali sygnał sierżantom, by ci wydawali bezpośrednio rozkazy szeregowym. „Jeżeli zobaczycie uciekających żółtków – powiedział Gibbs – albo będą to członkowie Wietkongu, albo jego sympatycy. Tak czy owak nie stójcie wtedy z fajfusem w garści. Zastrzelcie takiego gnoja bez chwili wahania”.

Po czterech miesiącach w tym kraju Carl miał dość wojny do końca życia.

Dostatecznie napatrzył się na jej okrucieństwa. Urządzał zasadzki, widział, jak żołnierze Wietkongu wylatują w powietrze w chmurze rozbryźniętej krwi wskutek eksplozji min przeciwpiechotnych Claymore, i trzymał za rękę faceta, którego nazwiska nie znał, a który wydał przy nim ostatnie tchnienie, gdy mina pułapka zwana Podskakującą Betty urwała mu nogi. Przywykł do ciągłego brzęczenia moskitów, ale nie do rozlegających się od czasu do czasu odgłosów pocisków moździerzowych, którymi Charlie, jak nazywali Wietkong, zasypywał ich w środku nocy. Pierwsze Boże Narodzenie bez śniegu świętował skulony w pajęczym dole.

Rysa na skorupie świata Carla Iversona, ta, która sprawiła, że zapragnął umrzeć w Wietnamie, pojawiła się po raz pierwszy pewnego spokojnego zimowego poranka na początku lutego 1968 roku. Jasne chmury przesłaniające horyzont przed świtem, senność i spokój otaczającej doliny zdawały się przeczyć potwornościom nadciągających wydarzeń. To jasne niebo przypomniało Carlowi poranek, który spędził w chatce swojego dziadka w lasach na północy, poranek sprzed lat, kiedy w jego życiu nie obowiązywała zasada, że musisz zabijać albo sam zostaniesz zabity.

Walka stała się dla Carla potężnym brzemieniem, czuł się staro. Opierając się plecami o szaniec z worków z piaskiem, wrzucił niedopałek papierosa do łuski po pocisku wielkości termosu, zapalił kolejnego papierosa i obserwował wschód słońca.

– Cześć, Hoss – powiedział nadchodzący pylistą ścieżką Virgil.

– Czołem, Virg. – Carl nie odrywał wzroku od horyzontu, tylko przyglądał się, jak bursztynowa poświata z wolna wypełnia niebo.

– Na co tak patrzysz?

– Na jezioro Ada.

– Co?

– Taki sam wschód słońca widziałem nad jeziorem Ada, gdy miałem szesnaście lat, Siedziałem wtedy na tylnym ganku chatki mojego dziadka. Słowo daję, że niebo było tak samo czerwone.

– Jesteś daleko od jeziora Ada, Hoss.

– To fakt. Pod każdym względem.

Virgil usiadł obok Carla.

– Nie pozwól, żeby to tobą zawładnęło, stary. Za osiem miesięcy zabiorą nas stąd. Ani się obejrzysz, jak znajdziemy się w domu. *Di di mau.*

Carl rozparł się na workach z piaskiem i zaciągnął dymem z papierosa.

– Nie czujesz tego, Virg? Nie widzisz, że wszystko się sypie?

– Co mam czuć? Niby co się sypie twoim zdaniem, Hoss?

– Nie wiem, jak mam to wyjaśnić – odrzekł Carl. – Za każdym razem, gdy wchodzę do tej dżungli, mam wrażenie, jakbym stawał na granicy, której nie



powiniennem przekroczyć. Tak czuję. A w mojej głowie rozlega się wrzask jak wycie potępieńca i coś mnie szarpie, ciągnie, próbuje zmusić, żebym przekroczył tę granicę. Wiem jednak, że jeśli ją przekroczę, stanę się taki jak Gibbs. A wtedy powiem sobie: pieprzyć ich, to tylko żółtki, pierdolić ich wszystkich.

– Taa – mruknął Virgil. – Wiem. Też to czuję. Tego dnia, kiedy Levitz kopnął w kalendarz, miałem chęć rozwalić każdego żółtogębego w tej okolicy.

– Levitz?

– Ten gość, którego Podskakująca Betty rozerwała na pół.

– Ach... tak się nazywał? Nie wiedziałem.

– Ale, Hoss, jeśli przekroczysz tę granicę, nie będzie już powrotu. I tamten szesnastolatek siedzący na ganku domu dziadka, obserwujący wschód słońca przestanie istnieć.

– Czasami zastanawiam się, czy w ogóle jeszcze istnieje.

Virgil odwrócił głowę, żeby Carl mógł dostrzec wyraz powagi i zatroskania w jego oczach.

– Nie mieliśmy wpływu na to, czy tu przyjedziemy, i w dużej mierze nie mamy wpływu na to, jak opuścimy to miejsce. Ale możemy zadbać o to, jaką część naszej duszy pozostawimy w tym bajzlu. Nigdy o tym nie zapominaj. Wciąż mamy wybór.

Carl wyciągnął rękę, a Virgil mocno ją ścisnął.

– Masz rację, kolego – powiedział Carl. – Musimy wyjść z tego bez szwanku.

– Otóż to – przytaknął Virgil.

Od strony latryn ktoś nadszedł. Rozległy się ciężkie kroki zmierzające w stronę szańca z workami z piaskiem.

– Cześć, chłopaki – zawołał Tater Davis.

Davis, ochotnik z Tennessee, dołączył do kompanii tuż po świętach i od tamtej pory prawie nie odstępował Virgila na krok jak kaczątko podążające za matką. Niski, drobny, Tater miał delikatną skórę upstrzoną piegami i uszy odstające jak u Pana Kartoflana Głowa. Rodzice nazywali go Ricky, a Virgil – Kartoflana Głowa. Ksywka przyjęła się w całym plutonie i utrzymywała do dnia, kiedy Ricky wziął udział w ciężkiej potyczce i utrzymał pozycję mimo silnego ostrzału. Od tamtej pory nazywano go po prostu Tater.

– Kapitan mówi, że wkrótce nas przenoszą *di di mau* – powiedział.

– Nic się nie martw, Tater, bez ciebie nie odejdą – rzekł Carl.

– Taa – dodał Virgil. – Kapitan wie, że bez ciebie nie wygra tej wojny.

Tater uśmiechnął się, a na jego policzkach pojawiły się głębokie bruzdy.

– O co mogło chodzić kapitanowi, kiedy powiedział, że zapuścimy się dziś w głąb terytorium Indian? – zapytał.

Carl i Virgil wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Nie miałeś historii w szkole? – zapytał Virgil.  
– Rzuciłem szkołę. Nie mówili tam niczego, co naprawdę chciałbym usłyszeć.

– Słyszałeś kiedykolwiek o generale Sheridanie albo Mackenzie? – spytał Carl.

Tater spojrzał na niego tępym wzrokiem.

– A co wiesz o Custerze, zanim wybrał się na nieszczęsną wyprawę nad Little Bighorn? – odezwał się Virgil.

Nadal nic.

– Cóż, powiedzmy, że zanim zdobyto Dziki Zachód – próbował wytłumaczyć Carl – na tamtych terenach mieszkały inne ludy i musieliśmy ich zmusić do porzucenia tych ziem.

– Owszem, ale co to ma wspólnego z Wietnamem? – spytał Tater.

– A to, że pułkownik postanowił, że powinniśmy rozszerzyć naszą strefę działań bojowych – wyjaśnił Virgil. – Problem polega na tym, że w pobliżu leży wioska, nazwijmy ją Oxbow, i będziemy musieli przenieść tę wioskę, żeby znalazła się poza strefą naszych działań taktycznych. Nie chciałbyś chyba, żeby w strefie działań bojowych znalazła się jakaś wioska. Rozszerzenie strefy działań bojowych polega na tym, że możesz na jej obszarze strzelać do wszystkiego, co się rusza.

– A więc musimy przenieść tych ludzi? – spytał Tater.

– Zachęcimy ich, aby znaleźli lepszą lokalizację dla swojej wioski – wyjaśnił Carl.

– Tak jak to zrobiliśmy z Indianami – dodał Virgil.

Carl raz jeszcze zaciągnął się dymem, wrzucił niedopałek do łuski po pocisku kaliber 105 i wstał.

– Chyba nie powinniśmy kazać trepom czekać.

Wszyscy trzej zarzucili plecaki. Zawiesili na ramionach M-16 i ruszyli w stronę, gdzie spokój poranka mąciły rotory pierwszego helikoptera. Śmigłowce Huey przetransportowały żołnierzy do strefy lądowania, poruszając się szybko i na niskim pułapie, by mogły wylądować na skraju pola, gdzie bawoły wodne pożywiały się w towarzystwie żółtych krów. Jakies sto metrów dalej w górę rzeki znajdowała się niewielka chata z przybudówką, wyglądająca jak szałas bimbrownika, z ustawionym obok niej korytem. Kolejne sto metrów dalej można było dostrzec skupisko chatynek składających się na wioskę określoną kryptonimem Oxbow.

– Wy dwaj, do mnie. – Gibbs wskazał na Carla i Virgila. – Reszta pierwszego oddziału niech wyjdzie na drogę. Oczyszćcie ją jak należy. Zbierzcie żółtków w samym środku Oxbow i czekajcie na porucznika Maasa.

Gibbs poprowadził Carla i Virgila w stronę chaty, gdzie było koryto, tymczasem reszta oddziału pomaszerowała pylistą drogą w kierunku Oxbow. Gdy

znaleźli się w połowie drogi między strefą lądowania a chatą, splachetek trawy słoniowej na skraju poletka nagle ożył. Carl przyłożył kolbę karabinka do ramienia i wycelował w falującą trawę.

– Strzelaj, Iverson! – zawołał Gibbs.

Carl oparł palec wskazujący na języku spustowym, ale przeniósł go na obudowę spustu, bo z gąszczy traw wybiegła nastoletnia dziewczynka i popędziła w stronę szałas.

– Wydałem wam rozkaz.

– To cywil.

– Ona ucieka, a więc należy do Wietkongu.

– Ona biegnie do chaty, sierżancie.

– Iverson – warknął Gibbs – wydałem wam cholerny rozkaz. Jeżeli jeszcze raz zlekceważycie polecenie służbowe, wpakuję wam kulę w łeb. Czy to jest jasne?

– Z kącików jego ust ściekał sok tytoniowy, gdy wydzierał się na Carla.

Dziewczynka, mająca mniej niż piętnaście lat, dobiegła do chaty, a Carl usłyszał, jak rozmawia z kimś, kto znajduje się wewnątrz; używała dziwnego wietnamskiego dialektu, który miał okazję słyszeć tyle razy, że kojarzył mu się ze znajomą piosenką o niezrozumiałej treści. Gibbs przeniósł uwagę na chatę i przyglądał się jej przez chwilę.

– Wy dwaj, zastrzelcie te krowy – zawołał Gibbs. – A potem spalcie przybudówkę. Ja zajrzę do chaty.

Virgil i Carl wymienili spojrzenia. W podręczniku działań polowych były takie strony, które w terenie nadawały się jedynie do tego, by podetrzeć sobie nimi tyłek. Ale pewne procedury wymagały wykonania zgodnie z ustalonymi regułami. Jedna z tych reguł mówiła, że nigdy nie wolno wchodzić do nieznanego szałas bądź chaty w pojedynkę.

– Sierżancie? – zapytał Virgil.

– Wykonać, do cholery! – warknął na niego Gibbs. – Chyba nie chcecie, żebym i was sobie zapamiętał? Wydałem rozkaz. A teraz zastrzelcie krowy.

– Tak jest.

Carl i Virgil ruszyli w stronę pastwiska, unosząc karabinki szturmowe, i zaczęli strzelać do niczego niepodejrzewających pasących się tam zwierząt. W niecałą minutę krowy były martwe, a Carl przeniósł uwagę na chatę. W oddali dostrzegł resztę oddziału wyganiającą wieśniaków z domostw i prowadzącą ich pylistą drogą w stronę centralnego placu wioski. Gibbsa nigdzie nie było widać.

– Coś jest nie tak – rzekł Carl.

– Gdzie sierżant? – zapytał Virgil.

– No właśnie. To nie powinno tak długo trwać.

Dwaj mężczyźni ruszyli w stronę chaty z karabinami gotowymi do strzału. Virgil stanął tak, żeby osłaniać Carla, gdy ten podkradł się w stronę drzwi, stąpając

ostrożnie po miękkiej trawie, by nie zdradził go chrzęst kroków na pylistej ubitej ziemi. Spowolnił oddech, wsłuchując się w stłumione posapywanie dochodzące zza trzciny ściany. Carl pokiwał głową, odliczył do trzech i wparował do wnętrza.

– Chryste Panie! – Carl poślizgnął się, wpadając do środka, odruchowo uniósł lufę i z trudem zachował równowagę. – Sierżancie! Co tu się dzieje, do cholery?

Gibbs unieruchamiał dziewczynkę leżącą na brzuchu z kolanami na podłodze z desek i opartą górną połową ciała o bambusowe posłanie; była prawie naga. Ubranie zostało z niej brutalnie zdarte. Gibbs klęczał za nią z tyłu, spodnie miał opuszczone do połowy ud, a jego włochate blade pośladki naprężyły się w rytm kolejnych pchnięć.

– Przesłuchuję zwolenniczkę Wietkongu – odparł przez ramię.

Wykręcił dziewczynce ręce do tyłu i przytrzymał ją jedną dłonią za nadgarstki, napierając na nią i przygniatając całym ciężarem do posłania. Walczyła o oddech, gdy potężny kałdun mężczyzny naciskał na jej ciało. W kącie chaty na boku leżał martwy staruszek; na jego twarzy, w poprzek nosa i lewej kości policzkowej widniało wgłębienie od kolby karabinu, z pustego oczodołu sączyła się krew.

Brutalnie i gniewnie Gibbs zakończył spółkowanie i podciągnął spodnie. Dziewczynka nie poruszyła się.

– Twoja kolej – zwrócił się do Carla.

Carl nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Nie mógł się poruszyć.

Gibbs postąpił krok w jego stronę.

– Iverson, macie przesłuchać tę zwolenniczkę Wietkongu. To rozkaz.

Carl z trudem powstrzymywał mdłości. Dziewczynka nieznacznie uniosła głowę i spojrzała na niego, jej usta drżały ze strachu, gniewu, a może jednego i drugiego naraz.

– Słyszeliście? – warknął Gibbs, wyciągając służbowy pistolet z kabury i przeładowując, by wprowadzić pocisk do komory. – Powiedziałem: to rozkaz.

Carl spojrzał na twarz dziewczynki, na wyraz rezygnacji malujący się w jej oczach. Usłyszał, jak Gibbs przeładowuje czterdziestkępiątkę, ale nie dbał o to. Stawi czoło uporowi. Opuści Wietnam, nie tracąc tutaj duszy, albo umrze, pozostawiając duszę nietkniętą.

– Odmawiam – rzekł.

Oczy Gibbsa poczerwieniały. Lufą pistoletu stuknął Carla w głowę.

– Nie wykonaliście rozkazu. Już nie żyjecie.

– Co pan robi, sierżancie? – zawołał od drzwi Virgil.

Gibbs spojrzał na Virgila, a potem raz jeszcze na Carla.

– Sierżancie, tak się nie robi – powiedział Virgil. – Proszę się dobrze zastanowić.

Gibbs przyłożył broń do skroni Carla, sapiąc przez rozdęte nozdrza jak koń po długim, forsownym biegu. Cofnął się o krok od Carla, ale wciąż celował w jego głowę.

– Jest lepszy sposób, żeby to załatwić.

Schował pistolet do kabury i wyjął nóż z pochwy przypiętej do uda. Odwrócił się do dziewczyny, która wciąż leżała naga, na wpół oparta na pościeli, na wpół wyciągnięta na podłodze. Chwytną ją brutalnie za włosy, zmusił, by dźwignęła się na kolana.

– Gdy następnym razem wydam wam rozkaz, żebyście zastrzelili żółtka... – Przeciągnął nożem po gardle dziewczyny, tnąc głęboko, by rozplatać chrząstki i tkanki, aż tryskająca krew zachlapała Carlowi buty. – To lepiej, kurwa, wykonajcie rozkaz.

Dziewczyna zaczęła się trząść i dygotać, gdy krew wypełniała jej płuca. Oczy wywróciły się jej w oczodołach, a Gibbs puścił wiotczące już ciało, by osunęło się na podłogę.

– A teraz spalcie tę chatę. – Gibbs przestąpił ponad ciałem i gniewnie spojrzał na Carla. – To rozkaz.

Gibbs wyszedł na zewnątrz, ale Carl nie mógł się ruszyć.

– Chodź, Hoss. – Virgil pociągnął Carla w stronę drzwi. – To nie jest nasze Alamo. Musimy wydostać się stąd, nie tracąc dusz. Pamiętasz?

Carl przetarł oczy rękawem bluzy mundurowej, a Virgil podszedł do chaty, trzymając w ręce zapalniczkę.

Wioska na północ stąd stanęła cała w ogniu, kolumna wieśniaków, teraz już uchodźców, maszerowała niczym skazańcy pylistą drogą, która pozwoli im znaleźć się poza rozszerzonym obszarem działań ogniowych. Carl otworzył zapalniczkę Zippo, zakręcił kółkiem i przytknął ją tak, by płomyk dosięgnął wyschniętych palmowych liści i słomianej trawy, z której sklecono prymitywną chatę. W kilka sekund ogień zajął pokryty trzcina dach i buchnęły gęste kłęby gryzącego dymu.

Carl odsunął się, gdy żarłoczne płomienie zaczęły spływać z dachu po ścianach w kierunku dwóch ciał spoczywających na podłodze z prostych desek. Właśnie wtedy zobaczył coś, co sprawiło, że poczuł w piersi wielką lodową kulę. Dłoń dziewczynki rozwarła się i jej palce wyprężyły się, przywołując Carla. Palce zadrżały, gdy dziewczynka wyciągnęła rękę ku niemu, próbując go dosięgnąć. I zaraz znów zacisnęły się w pięść, gdy płonący dach runął, przygniatając jej ciało.

Patrzyłem, jak Lila czyta moją pracę i krzywi się przy fragmencie o Gibbse gwałcącym dziewczynkę. W jej oczach dostrzegłem niedowierzenie, gdy czytała o poruszającej się dłoni dziewczynki, zanim zawałił się na nią dach płonącej chaty.

– Teraz już wiadomo, dlaczego Virgil tak niewzruszenie wierzy w niewinność Carla – powiedziałem.

– Czy to prawda? – spytała Lila, unosząc moją pracę w dłoni.

– Co do joty – odparłem. – Virgil to potwierdził. Był tam. Powiedział, że od tamtego dnia Carl zmienił się nie do poznania.

– Łał – rzuciła Lila. – A zwróciłeś uwagę, że dziewczynka w Wietnamie została spalona w swojej chacie tak jak Crystal w starym składziku?

– Tylko tyle z tego wywnioskowałaś?

– To coś więcej niż zbieg okoliczności, nie uważasz?

– Sierżant przyłożył mu pistolet do głowy. Facet wolał umrzeć niż zgwałcić tę dziewczynkę. O to chodzi w tej historii. Jak tamten człowiek z Wietnamu mógłby być tym samym, który zabił Crystal Hagen? Gdyby faktycznie był gwałcicielem i mordercą, przeszedłby na ciemną stronę już wtedy w Wietnamie.

– Uważasz, że jest niewinny? – spytała Lila bardziej dociekliwym niż oskarżycielskim tonem.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Ale skłaniam się ku temu. Bo przecież to jest możliwe, prawda?

Lila zastanawiała się długo nad moim pytaniem, zanim odpowiedziała, i raz jeszcze przeczytała ostatni fragment mojej pracy, tę część, w której Carl odmówił wykonania rozkazu Gibbisa. Dopiero wtedy odłożyła pracę.

– Przyjmijmy, że Carl nie jest zabójcą. Co to oznacza?

Myślałem przez dłuższą chwilę.

– To oznacza, że zabił ktoś inny.

– Oczywiście, że tak – powiedziała. – Ale kto?

– To mógł być ktokolwiek – odparłem. – Jakiś przypadkowy facet, który właśnie przechodził i zobaczył, że jest w domu sama.

– Nie wydaje mi się – zaoponowała.

– A to czemu?

– Pamiętnik – zauważyła. – Owszem, możliwe, że zabił ją jakiś przypadkowy mężczyzna. Jeśli jednak pamiętnik ma mieć jakiegokolwiek znaczenie, wynika z niego, że Crystal grożono. Jakiś facet zmuszał ją do robienia różnych rzeczy. A to znaczy, że Crystal знаła napastnika.

– Skoro to nie Carl – powiedziałem – ani przypadkowy mężczyzna...

– Skoro to nie Carl – powtórzyła Lila – ale wcale nie mam co do tego pewności i nie wykluczam tego, pozostaje nam Doug, ojczym, Danny, przyrodni brat, i chłopak, Andy. – Wyliczała na palcach. – To wciąż może być ktoś, kogo nie znamy, ktoś, kogo znała Crystal, a czyjego imienia nie ma w jej pamiętniku albo jest zaszyfrowane.

– Mamy akta – wtrąciłem. – Mamy wszystkie dowody w sprawie. Może to rozgryziemy.

Lila odwróciła się na kanapie, żeby na mnie spojrzeć, i podciągnęła stopy pod pośladki.

– Tę sprawę prowadzili gliniarze, oficerowie śledczy, ludzie, którzy z tego żyją. Nie zdołamy niczego rozgryźć. Minęło trzydzieści lat.

– Mówiąc czysto hipotetycznie – kontynuowałem – gdybyśmy mieli zająć się sprawą morderstwa Crystal, od czego powinniśmy zacząć?

– Gdyby to zależało ode mnie, zacząłabym od jej chłopaka – odparła Lila.

– Andy’ego Fishera?

– Był ostatnią osobą, która widziała ją żywą.

– O co mielibyśmy go zapytać?

– Wciąż mówisz „my” – rzekła Lila, a na jej ustach przez moment pojawił się uśmiech niedowierzania. – Nie ma żadnego „my”. To twój pluton egzekucyjny.

– Nie wiem, czy już się zorientowałaś, ale z nas dwojga to ty jesteś tą bystrzejszą – zażartowałem.

– Wobec tego ty jesteś tym ładniejszym? – spytała.

– Nie, to akurat także twój atut – odparłem, oczekując na jej reakcję: uśmiech, mrugnięcie okiem, jakiś znak, że usłyszała mój komplement. Ale nic takiego się nie stało.

Tańczyłem wokół Lili od pierwszego razu, gdy zobaczyłem ją w holu, próbując przeniknąć mur, którym się otoczyła i dzięki któremu trzymała mnie na dystans, ten mur, który zburzyła dla Jeremy’ego w dniu, gdy się poznali. Chciałem zobaczyć, jak się śmieje i żartuje ze mną tak jak z Jeremym. Jednak moje subtelne komplementy i próby rozbawienia trafiały w próżnię. Rozważałem bardziej bezpośrednie podejście, takie, które będzie wymagało zdecydowanej odpowiedzi. Zamierzałem zaprosić Lilę na randkę. I gdy żartobliwie skomplementowałem ją, że jest ładna, uznałem, iż nadarzyła się właściwa okazja. Wstałem i poszedłem do kuchni, choć nie miałem po temu żadnego istotnego powodu poza stosowaną przeze mnie taktyką odwlekania wszystkiego i grania na czas. Kiedy odległość między mną a Lilą nieco się powiększyła, zacząłem niepewnie.

– Wiesz co... tak się zastanawiałem... czy nie moglibyśmy... wybrać się gdzieś razem – wykrztusiłem.

Kompletnie ją zaskoczyłem; usta Lili rozchyliły się, jakby chciała coś

powiedzieć, ale zmitygowała się, bo zabrakło jej słów albo nie była pewna, co chce powiedzieć.

– Znaczą się proponujesz mi randkę? – spytała.

– Nie musimy nazywać tego randką.

– Joe, ja nie bardzo... – Wlepiała wzrok w stół do kawy, a jej ramiona nieznacznie obwisły, gdy zaczęła skubać palcami materiał spodni dresowych. – To miała być tylko kolacja ze spaghetti, pamiętasz? Nic więcej.

– Możemy pójść do włoskiej restauracji. I to nadal będzie kolacja ze spaghetti.

Cisza wypełniła pokój. Zauważyłem, że wstrzymałem oddech, oczekując na odpowiedź Lili. Wreszcie spojrzała na mnie i powiedziała:

– Mogę zdobyć dodatkowe punkty, jeśli pójdę na przedstawienie w ramach zajęć z literatury amerykańskiej. Wystawiają je w weekend Świąta Dziękczynienia. Mogę zdobyć dwa bilety na piątek. To nie będzie randka, tylko wyjście do teatru na zaliczenie. Odpowiada ci taki układ?

– Uwielbiam teatr – odparłem. Prawdę mówiąc, z przedstawieniami teatralnymi miałem do czynienia tylko z okazji prób kółka teatralnego w moim liceum. – Jaki jest tytuł sztuki?

– *Szklana menażeria*.

– Świetnie – powiedziałem. – No to jesteśmy umówieni... ale nie na randkę.



Znaleźliśmy Andy'ego Fishera dzięki stronie społecznościowej na Facebooku zrzeszającej jego kolegów z liceum. Andy, który teraz posługiwał się bardziej dojrzałą wersją swojego imienia – Andrew, odziedziczył po ojcu agencję ubezpieczeniową w centrum handlowym we wschodniej części Golden Valley w Minnesocie. Nie zestarzał się korzystnie. Nie miał już chłopięcych loków, lecz tonsurę na niemal całym wierzchołku czaszki, biegnącą od tyłu do przodu głowy, z pozostawionym cienkim pasemkiem przerzuconym przez czoło jak stary płot lub mur graniczny. Jego spory brzuch przelewał się nad mocno podniszczonym skórzanym paskiem, pod oczami widniały ciemne sińce. Siedział w gabinecie wyłożonym tanią boazerią, a na ścianach wisały niezbyt okazałe trofea myśliwskie i wędkarskie.

Kiedy weszliśmy do środka, Andrew Fisher pojawił się w pustej recepcji, żeby przywitać się z nami i uścisnąć mi energicznie dłoń.

– Czym mogę służyć? – zapytał z entuzjazmem sprzedawcy. – Nie, zaczekajcie, niech sam zgadnę. – Wyrzwał przez szybę na mojego zżeranego przez rdzę rżęcha i uśmiechnął się. – Zamierzacie nabyć nowy wóz i chcecie wykupić ubezpieczenie.

– Właściwie mieliśmy nadzieję, że porozmawia pan z nami o Crystal Hagen – odparłem.

– Crystal Hagen? – Uśmiech znikł z jego twarzy. – Kim jesteście?

– Nazywam się Joe Talbert. Studiuję na uniwersytecie, a to jest... ee...

– Jestem Lila, jego koleżanka ze studiów.

– Piszemy pracę na temat śmierci Crystal – wyjaśniłem.

– Ale po co? – zapytał Andrew Fisher. – To było dawno temu. – Przez chwilę wydawał się zasmucony, lecz zaraz odegnał od siebie przykre wspomnienia.

– Zostawiłem to wszystko za sobą. Nie lubię o tym rozmawiać.

– To ważne – nalegałem.

– Jak to ważne? – zapytał. – To już historia. Złapali tego gościa. Carla Iversona. Był jej sąsiadem. Myślę, że powinniście już iść.

Odwrócił się do nas plecami i ruszył w stronę swojego gabinetu.

– A gdybym powiedziała, że Carl Iverson może być niewinny – rzuciła bez namysłu Lila.

Wymieniliśmy spojrzenia, a Lila wzruszyła ramionami. Fisher zatrzymał się w drzwiach gabinetu, wziął głęboki oddech, ale nie odwrócił się do nas.

– Chcemy tylko, żeby poświęcił nam pan odrobinę czasu – powiedziałem.

– Czemu to nie może się skończyć? – wyszeptał do siebie Andrew, przestępując próg gabinetu.

Siedział za biurkiem, otoczony przez głowy martwych zwierząt, unikając nawiązania kontaktu wzrokowego z nimi. Czekaliśmy. Wreszcie, nie patrząc w naszą stronę, uniósł dwa palce i zaprosił nas do gabinetu. Weszliśmy i usiedliśmy na krzesłach dla gości, po drugiej stronie biurka. Nie wiedzieliśmy, od czego mamy zacząć tę rozmowę. Wreszcie to Andrew się odezwał:

– Wciąż zdarza się, że widuję ją w snach taką, jaka była wtedy... cudowną i młodą. A potem sen staje się mroczniejszy i przenosimy się na cmentarz. Ona zapada się w głąb ziemi i woła mnie po imieniu. Budzę się wtedy zlany zimnym potem.

– Woła pana po imieniu? – spytałem. – Dlaczego? Nie zrobił pan nic złego, prawda?

Spojrzał na mnie lodowatym wzrokiem.

– Ta sprawa spieprzyła mi życie.

Wiem, że powinienem okazać więcej współczucia, ale gdy usłyszałem, jak ten facet zaczyna uzalać się nad sobą, podziałało to na mnie jak płachta na byka.

– Crystal Hagen też miała spieprzone życie – stwierdziłem. – Nie uważa pan?

– Synu. – Andrew uniósł palec wskazujący i kciuk tak, że prawie się stykały, i powiedział: – O, tyle dzieli cię od tego, żebyś wyleciał stąd na kopniakach.

– Musiało być panu bardzo ciężko – wtrąciła pocieszającym tonem Lila; najwyraźniej uznała, że lepiej udobruchać tego niedźwiadka odrobiną miodu, zamiast go rozjuszać.

– Miałem szesnaście lat – zaczął Andrew. – To nieistotne, że nie zrobiłem nic złego. Ludzie traktowali mnie, jakbym był trędowaty. Mimo że aresztowano tego faceta, Iversona, krążyły plotki, że to ja ją zabiłem.

Mięśnie żuchwy Andrew zadrżały, gdy przez jego policzki przemknęła fala emocji.

W dniu pogrzebu przyszedłem na cmentarz, by rzucić garść ziemi na jej trumnę, kiedy opuszczano ją do grobu. Jej matka posłała mi tak lodowate spojrzenie, że zamarłem w bezruchu, jakbym był winien śmierci Crystal.

Kąciki ust Andrew opadły, jakby miał się zaraz rozpląkać. Potrzebował chwili, żeby wziąć się w garść.

– Nigdy nie zapomniałem tego spojrzenia, tego oskarżycielskiego wyrazu jej oczu. Właśnie to pamiętam najlepiej z dnia pogrzebu Crystal.

– A więc ludzie uważali, że to pan ją zabił – powiedziałem.

– Ludzie są głupi – odparował. – Poza tym gdybym miał kogoś zabić, to raczej tego cholernego obrońcę.

– Cholernego obrońcę? – spytałem.

– To on rozpuszczał plotki, że ja ją zabiłem. Powiedział przysięgłym, że to byłem ja. Co za skurwiel. Napisali o tym w gazetach. Miałem wtedy tylko szesnaście lat, na miłość boską.

– Był pan ostatnią osobą, która widziała ją żywą – zauważyłem.

Andrew spojrział na mnie, lekko mrużąc oczy, a ja zacząłem się zastanawiać, czy nie powiedziałem o jedno zdanie za dużo.

– Czytaliśmy transkrypcję z procesu – dodałem.

– Wobec tego wiecie, że podrzuciłem Crystal do domu i odjechałem. Żyła, gdy odjeżdżałem.

– Zgadza się – przyznała Lila. – Podrzucił ją pan do domu i o ile sobie przypominam, mówił pan, że była w domu sama.

– Nigdy nie powiedziałem, że była sama, mówiłem, że nie sądzę, aby w domu był jeszcze ktoś. To zasadnicza różnica. Dom wydawał mi się pusty, to wszystko.

– Wie pan, gdzie był jej ojczym? – spytała Lila. – Albo jej przyrodni brat?

– Skąd mógłbym to wiedzieć? – mruknął.

Lila zajrzała do swoich notatek, udając, że chce odświeżyć pamięć.

– Cóż, zgodnie z zeznaniem Douga Lockwooda, ojczyma Crystal, on i Danny byli w należącym do niego salonie sprzedaży używanych samochodów, gdy zamordowano Crystal.

– Brzmi przekonująco – stwierdził Andrew. – Stary handlował używanymi autami. Załatwił dla mamy Crystal i Danny’ego papiery pracowników salonu i sprzedawców, żeby mogli korzystać z każdego auta, jakie było aktualnie na stanie. Wystarczyło założyć firmowe tablice.

– Danny też był sprzedawcą?

– Tylko na papierze. Kiedy skończył osiemnaście lat, otrzymał prawko i dokumenty sprzedawcy. Urodził się pod koniec roku kalendarzowego. Takie dzieciaki jak on zawsze były najmłodsze w klasie albo najstarsze, jeśli posłano je do szkoły rok później. – Andrew rozsiadł się wygodniej w fotelu. – Zawsze uważałem, że Danny to matoł.

– Dlaczego? – spytałem.

– Po pierwsze, jego rodzice często się kłócili. Mama Crystal i ojczym stale na siebie krzyczeli i zwykle przez Danny’ego. Nie podobało mu się, że jego ojciec poślubił mamę Crystal. Crystal mówiła mi, że Danny źle traktuje jej mamę, i to było powodem kłótni. No i jeszcze te samochody.

– Samochody? – zdziwiła się Lila.

– Ponieważ jego ojciec miał salon, Danny mógł korzystać z każdego auta znajdującego się na stanie, żeby dojeżdżać do szkoły. Kiedy Danny był w drugiej klasie, ojciec podarował mu wiśniowego pontiaca grand prix jako wcześniejszy prezent pod choinkę. To było świetne auto, ale... co innego szpanować wozem,

który się kupiło i odszykowało samemu, za własne pieniądze, bo to mówi coś o tym, jaki jesteś. To twoja bryka, zasłużyłeś na nią. A on szpanował furą, którą dostał od tatusia. No sam nie wiem. Moim zdaniem tylko frajer może się szczycić czymś takim.

– Jaki był ten ojczym? – spytała Lila.

– Prawdziwy oszołom – odrzekł Andrew. – Zgrywał ultrareligijnego, ale mam wrażenie, że wykorzystywał Biblię, aby narzucać swoje stanowisko w każdym sporze. Któregoś razu mama Crystal dowiedziała się, że jej mąż odwiedza kluby ze striptizem. Wyobraźcie sobie, że na swoje usprawiedliwienie zaczął jej opowiadać, że Jezus spotykał się z cudzołożnicami i celnikami, jakby to było stosowne wytłumaczenie wtykania banknotów za stringi striptizerek.

– Jak się dogadywał z Crystal? – wtrąciłem się.

Andrew wzruszył lekko ramionami i wzdrygnął się, jakby ugryzł niedosmażonego pstrąga.

– Nienawidziła go. Często jej przygadywał, posiłkując się cytatami z Biblii. Zazwyczaj w ogóle nie rozumiała, o co mu chodzi. Któregoś razu powiedział, że powinna się cieszyć, że on nie jest jak Jefte. Sprawdziliśmy to.

– Jefte... To z Biblii?

– Tak, z Księgi Sędziów. Złożył córkę w ofierze Bogu w ramach dziękczynienia za wygraną bitwę. Do licha ciężkiego, kto mówi takie rzeczy nastoletniej dziewczynce?

– Czy kiedykolwiek rozmawiał pan z Dannym albo Dougiem o tym, co się wydarzyło tego dnia? – spytała Lila.

– Nigdy z nikim o tym nie rozmawiałem. Złożyłem zeznanie na policji i starałem się udawać, że to się w ogóle nie wydarzyło. Więcej o tym nie rozmawiałem aż do procesu.

– Obserwował pan proces? – spytałem.

– Nie. Złożyłem tylko zeznanie i to wszystko.

Wlepił wzrok w swoje biurko i wyglądał teraz jak Jeremy, kiedy nie chciał odpowiadać na jakieś pytanie.

– Nie zajrzał pan ani razu, żeby zobaczyć, jak toczy się postępowanie? – naciskałem.

– Byłem obecny przy mowach końcowych – odparł. – Urwałem się ze szkoły, żeby zobaczyć końcówkę procesu. Myślałem, że przysięgli raz-dwa ogłoszą werdykt, tak jak to robią w telewizji.

Próbowałem sobie przypomnieć, czy przeczytałem mowy końcowe zawarte w transkrypcji.

– Zakładam, że prokurator w mowie końcowej wspomniał o pamiętniku Crystal – powiedziałem.

Nagle z policzków Andrew odpłynęła krew, a jego twarz przybrała kolor

surowego ciasta.

– Pamiętam ten pamiętnik – zniżył głos do szeptu. – Nawet nie wiedziałem, że Crystal prowadziła pamiętnik, dowiedziałem się o nim tego dnia, kiedy prokurator podsumowywał wszystko w mowie do przysięgłych.

– Prokurator argumentował, że pan Iverson zmuszał Crystal do różnych czynności... seksualnych, bo przyłapał was dwoje, gdy... no wie pan...

– Pamiętam – odrzekł Andrew.

– Czy Crystal kiedykolwiek z panem o tym rozmawiała? O przyłapaniu albo o tym, że pan Iverson jej groził? Jakoś nie widzę w tym sensu. Prokurator stale o tym mówił. Przysięgli to kupili, ale pan tam był. Jak to wyglądało?

Andrew wychylił się do przodu, przecierając oczy dłońmi i dotykając palcami łysej czaszki. Powoli przesunął palcami w dół twarzy, po oczach i policzkach, po czym na wysokości ust złączył je w piramidkę. Popatrywał to na Lilę, to na mnie, jakby zastanawiał się, czy ma podzielić się z nami tym, co tak bardzo ciążyło mu na sercu.

– Pamiętacie, mówiłem wam, że budziłem się zlany zimnym potem – powiedział w końcu.

– Tak – odparłem.

– To z powodu tego pamiętnika. Prokurator źle wszystko zinterpretował.

Lila wychyliła się do przodu.

– Proszę nam to opowiedzieć – rzekła słodkim, pocieszającym głosem, nakłaniając Andrew, żeby zdjął z siebie ciężące na nim brzemie.

– Nie sądziłem, że to ważne, to znaczy... to nie powinno być ważne. Dopóki nie poszedłem na proces i nie wysłuchałem mowy końcowej, nie miałem pojęcia, jak interpretowano fakt, że pan Iverson nas przyłapał... Crystal i mnie...

Andrew zamilkł. Wciąż patrzył w naszą stronę, ale odwracał wzrok, jakby wstydził się sekretu, który skrywał.

– O co chodziło z panem i Crystal? – spytała Lila.

– To prawda, że nas przyłapał – przyznał Andrew. – Crystal była tym przerażona. Ale podczas procesu prokurator rozdmuchał tę sprawę, twierdząc, że Crystal uważała, że jej życie będzie zrujnowane, po tym jak zostaliśmy przyłapani na... no wiecie... na czym. Powiedział przysięgłym, że dwudziestego pierwszego września zamieściła w pamiętniku wpis, w którym wyraźnie stwierdza, że miała naprawdę fatalny dzień. Powiedział, że była roztrzęsiona, ponieważ pan Iverson ją szantażował, czy coś takiego. Ten wpis nie miał nic wspólnego z tym, że zostaliśmy przyłapani na uprawianiu seksu.

– Skąd pan wie? – zaciekałem się.

– Dwudziestego pierwszego września były urodziny mojej matki. Crystal zadzwoniła do mnie tego wieczoru. Chciała się ze mną spotkać. Ja nie chciałem. Nie mogłem. Mieliśmy przyjęcie z okazji urodzin mamy. Crystal odchodziła od

zmysłów.

– Czy Crystal powiedziała panu, dlaczego odchodziła od zmysłów? – zapytałem.

– Tak. – Andrew zamilkł i obróciwszy się razem z fotelem, wyjął ze znajdującego się za nim barku szklanę i niewielką butelkę szkockiej whisky, napełnił naczynie na trzy palce i wypił połowę jednym haustem. Potem postawił szklanę i butelkę na biurku, złączył dłonie i mówił dalej: – Ojczym Crystal miał na parkingu przy swoim salonie sporo świetnych bryk, ale jedna była wyjątkowa: pontiac GTO rocznik tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt, brązowy, ze spojlerem z tyłu. Piękne auto.

Upił kolejny łyk szkockiej.

– Ktoregoś wieczoru w połowie września Crystal i ja rozmawialiśmy o tym samochodzie. Powiedziałem jej, że bardzo chciałbym poprowadzić taki wóz i jak niesprawiedliwe było moje życie. No wiecie, miałem na myśli życie zwykłego licealisty. A ona na to, że powinniśmy wybrać się tym pontakiem na przejażdżkę. Wiedziała, gdzie jej ojczym trzyma zapasowe kluczyki do gabinetu i gdzie w gabinecie chowa kluczyki do samochodów. Musieliśmy tylko zwrócić wóz w nienaruszonym stanie. Pojechaliśmy moim rozklekotanym fordem galaxy pięćset na parking przy salonie jej ojczyma i zrobiliśmy tak, jak powiedziała. Znaleźliśmy kluczyki do pontiaca i wybraliśmy się na przejażdżkę.

– Był pan wtedy w drugiej klasie? – próbowała ustalić Lila.

– Tak. Też jestem z drugiej połowy roku, jak Danny. Dostałem prawko w sierpniu, kiedy skończyłem szesnaście lat.

– Kradzież auta? – spytałem. – Tym się tak martwiła?

– Nie tylko – odparł. Wziął jeszcze jeden głęboki oddech i westchnął przeciągle. – Jak powiedziałem, miałem prawko zaledwie od miesiąca i nigdy nie prowadziłem auta o tak dużej mocy. Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zacząć ścigać się od jednych świateł do drugich. Świetnie się bawiliśmy, aż... – Dopił szkocką i zlizął ostatnie krople z warg. – Pędziłem wzdłuż Central Avenue jakieś sto dziesięć, sto dwadzieścia na godzinę. Boże, ale byłem głupi. Opona pękła. Próbowałem zapanować nad samochodem, ale zniosło mnie na sąsiedni pas i uderzyliśmy w bok innego auta – policyjnego radiowozu, pustego, stojącego przed supermarketem. Później przeczytałem w gazecie, że gliniarze byli wtedy na tyłach supermarketu, gdzie badali sprawę włamania, i nie zorientowali się nawet, że uderzyliśmy w ich radiowóz.

– Czy ktokolwiek ucierpiał? – spytała Lila.

– Nie mieliśmy zapiętych pasów – odrzekł Andrew. – Oboje nieźle się poobijaliśmy. Ja miałem posiniaczoną klatkę piersiową od uderzenia w kierownicę, a Crystal wpadła twarzą w deskę rozdzielczą. Rozbiła okulary...

– Okulary? – wtrąciłem się. – Crystal nosiła okulary? Widziałem zdjęcia

w dokumentacji z procesu. Na żadnym z nich nie miała okularów.

– Zwykle używała szkielek kontaktowych. Ale czasami miała podrażnione oczy i wtedy nosiła okulary. To, co się stało, przeraziło ją nie na żarty. Podczas kolizji wypadło jedno ze szkielek w okularach. Nie od razu to zauważyliśmy. Po wypadku po prostu zgarnęła okulary z podłogi i uciekliśmy tak szybko, jak tylko się dało. Gdy się zorientowała, że w okularach brakuje jednego szkła, było już za późno. Powrót do mojego auta zajął nam prawie godzinę. Wpadłem na pomysł, żeby stłuc szybę przy wejściu do salonu, by wyglądało, że ktoś się włamał i ukradł kluczyki od pontiaca. Następnego dnia o całej sprawie zrobiło się głośno. Mówiono o tym w radiu i telewizji. Była z tego niezła afera, bo wpadliśmy na policyjny radiowóz.

– Tego właśnie tak bardzo bała się Crystal? – spytałem. – Że znajdą szkło z jej okularów?

– Nie tylko – odparł Andrew. – Crystal ukryła uszkodzone okulary. Zamierzaliśmy kupić jej nową parę i chcieliśmy, żeby miała identyczne oprawki. Ale tego dnia, gdy do mnie zadzwoniła, w urodziny mojej mamy, Crystal powiedziała, że okulary zniknęły. Uznała że ktoś znalazł dowód na to, że zwinęliśmy tę brykę, a potem ją rozbiliśmy. Właśnie dlatego wpadła w panikę.

– Gdzie je ukryła? W domu? W szkole?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Nigdy mi nie powiedziała. Od tamtej pory zachowywała się dziwnie, była smutna i zdystansowana. Jakby chciała trzymać się ode mnie z daleka.

Andrew przerwał, by zaczerpnąć kolejny oddech i uspokoić emocje.

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie usłyszałem mowy końcowej... dopóki nie zacytowano fragmentów jej pamiętnika o tym, że była... no, sami wiecie...

– I nie wspomniał pan nikomu o tym, że wpisy z pamiętnika zostały mylnie zinterpretowane? – spytała Lila.

– Nie. – Andrew opuścił wzrok.

– Dlaczego nie powiedział pan o tym jego adwokatowi? – spytałem.

– Ten palant zmieszał mnie z błotem. Prędzej splunąłbym mu w twarz, niż z nim porozmawiał. Nie macie pojęcia, jakie to uczucie, gdy w gazecie czytasz, że mecenas obrony oskarża cię o zgwałcenie i zamordowanie twojej dziewczyny. Przez tego skurwiela musiałem pójść na terapię. Poza tym w liceum uprawiałem wyczynowo trzy dyscypliny sportowe. Byłem na tyle dobry, że otrzymałem stypendium baseballowe z Mankato State. Gdybym powiedział komukolwiek o kradzieży auta, zostałbym aresztowany, zawieszony w prawach ucznia i wywalony z drużyny. Straciłbym wszystko. Cała ta sprawa niezłe mi dopięprzyła.

– Niezłe dopięprzyła? – wycodziłem, czując, jak wzbiera we mnie gniew. – Niech mi pan pozwoli to uporządkować: żeby nie stracić szansy na karierę

sportową, pozwolił pan na to, by przysięgli uwierzyli w kłamstwo.

– Było całe mnóstwo dowodów obciążających tego Iversona. Co to zmieniało, że mylnie zinterpretowano treść pamiętnika? Nie zamierzałem nadstawiać karku za tego gościa. Przecież zabił moją dziewczynę, prawda?

Andrew spoglądał to na mnie, to na Lilę, czekając, aż któreś z nas odpowie. Nie odezwaliśmy się słowem. Patrzyliśmy, jak nerwowo przełyka ślinę. Czekaliśmy, aż jego słowa odbiją się echem od ścian i powrócą do niego jak oskarżycielskie dźwięki serca z opowiadania Edgara Allana Poe'go. Lila i ja trwaliliśmy w milczeniu, aż w końcu Andrew wbił wzrok w blat biurka i powiedział:

– Powinienem być komuś powiedzieć. Wiem, że powinienem był to zrobić. Zawsze to wiedziałem. Chyba czekałem na właściwy moment, żeby zrzucić z barków to brzemie. Sądziłem, że kiedyś o tym zapomnę, ale nie zapomniałem. Nie potrafię zapomnieć. Jak mówiłem, wciąż dręczą mnie koszmary.



W telewizji widziałem, że ludzie ubierali się odświętnie do teatru, ale ja nie miałem żadnych eleganckich ciuchów. Przyjechałem na studia z jedną sportową torbą wypełnioną dżinsami, szortami i koszulkami w większości bez kołnierzyka. Dlatego w tygodniu, w którym mieliśmy się wybrać do teatru, zrobiłem wyprawę do sklepu z odzieżą używaną, gdzie znalazłem spodnie khaki i porządną koszulę na guziki. Były tam też eleganckie buty, ale szew nad noskiem prawego z nich okazał się pęknięty. Przepchnąłem spinacz do papieru przez otwory szwu i w ten sposób naprawiłem uszkodzenie, a wystający kawałek spinacza odciąłem.

O wpół do siódmej byłem już gotowy do wyjścia, ale wciąż pocily mi się dłonie. Kiedy Lila otworzyła drzwi, zamurowało mnie. Czerwony sweterek opinał jej talię i tors, podkreślając krągłości, z których istnienia nie zdawałem sobie sprawy, a do tego włożyła obcisłą błyszczącą spódniczkę, która spływała w dół jej ud gładko jak płynna czekolada. Miała makijaż, czego wcześniej nie robiła; jej policzki, oczy i usta bezgłośnie domagały się mojej uwagi. Zupełnie jakbyś umył okna i nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że szyby były tak brudne. Z trudem powstrzymywałem uśmiech cisnący mi się na usta. Chciałem ją pochwycić, przytulić i pocałować. Bardziej jednak niż cokolwiek innego pragnąłem spędzić z nią czas, spacerować, rozmawiać i obejrzeć przedstawienie teatralne.

– No, no, ale się odpicowałeś – powiedziała. – Nieźle wyglądasz.

– Ty też – uśmiechnąłem się zadowolony z tego, że mój trud został doceniony. – Idziemy? – spytałem, wskazując ręką w głąb korytarza.

Był piękny wieczór, w sam raz na spacer, przynajmniej jak na koniec listopada w Minnesocie – kilka stopni powyżej zera, pogodnie, bez deszczu, wichury czy śniegu – i bardo dobrze, bo mieliśmy do pokonania dziesięć przecznic do Racing Center, gdzie wystawiano przedstawienie. Po drodze przeszliśmy przez Northrop Mall, najstarszą i najwspanialszą część kampusu, a potem przez most spinający dwa brzegi Missisipi.

Większość studentów wyjeżdżała do domu na przerwę z okazji Święta Dziękczynienia. Pomyślałem, że mógłbym zajrzeć z tej okazji do Jeremy'ego, ale minusów tego planu, jak zwykle, było więcej niż plusów. Spytałem Lilę, dlaczego nie wybiera się do domu. Pokręciła tylko głową i nic nie odpowiedziała. Zrozumiałem, że powinienem odpuścić ten temat. Poza tym postanowiłem spojrzeć na to pozytywnie – teraz, gdy kampus świecił pustkami, nasz spacer wydawał się bardziej intymny, prawie jak randka. Szedłem z rękami wciśniętymi w kieszenie kurtki i wystawionym w bok ugiętym w łokciu ramieniem, na wypadek gdyby Lila

zechciała wziąć mnie pod ramię. Nie zrobiła tego. Nic nie wiedziałem o *Szklanej menażerii*. Gdybym wiedział, pewnie nie poszedłbym na to przedstawienie, chociaż straciłbym szansę na randkę z Lila.

W pierwszej scenie facet imieniem Tom wszedł na scenę i zaczął do nas mówić. Mieliśmy miejsca pośrodku sali, a ten gość od samego początku kierował swój monolog bezpośrednio do mnie. W pierwszej chwili uznałem to nawet za całkiem fajne, że aktor wypowiada swoją kwestię, jakby zwracał się bezpośrednio do mnie. Później poznaliśmy jego siostrę Laure, której osłabiająca, introwertyczna natura wydała mi się dziwnie znajoma, a także jego matkę Amandę, która żyła w świecie fantazji, czekając na przybycie wymyślanego wybawcy – dżentelmena, który miał ocalić ich wszystkich. Poczulem strużki potu spływające po klatce piersiowej, gdy rozgrywały się kolejne sceny jakby wyjęte z życia mojej popieprzonej rodzinki. Kiedy pierwszy akt zbliżał się do końca, usłyszałem na scenie moją matkę, to znaczy Amandę karzącą Toma: „Ty, ty, ty, potrafisz myśleć tylko o sobie”. Widziałem, jak Tom krąży wewnątrz swojej klatki, czterech ścian mieszkania, uwiązany mocą uczucia, jakie żywił do swojej siostry. W teatrze z każdą kolejną wypowiedzianą kwestią robiło się coraz cieplej. Podczas przerwy musiałem napić się wody, więc Lila i ja wyszliśmy do foyer.

– No i jak ci się podoba przedstawienie? – spytała.

Poczulem lekki ucisk w piersiach, ale uśmiechnąłem się uprzejmie.

– Jest wspaniałe. Nie wiem, jak oni to robią, że zapamiętują wszystkie kwestie. Ja nigdy nie mógłbym zostać aktorem.

– Chodzi o coś więcej niż tylko nauczenie się kwestii na pamięć – powiedziała. – Nie czujesz, jak wciągają cię do tego świata, jacy są przekonujący w swoich rolach? Nie odbierasz tych wszystkich emocji?

Napiłem się jeszcze wody.

– To zdumiewające – skwitowałem.

Miałem na ten temat znacznie więcej do powiedzenia, ale zachowałem te myśli dla siebie.

Gdy światła przygasły i rozpoczynał się drugi akt, położyłem dłoń na podłokietniku między nami w nadziei, że Lila zechce w którymś momencie wziąć mnie za rękę, choć nie miałem większych złudzeń. Wreszcie w sztuce pojawił się wyczekiwany dżentelmen, przynosząc nadzieję na szczęśliwe, w moim mniemaniu, zakończenie. Pomyliłem się jednak; wszystko się posypało. Okazało się, że wspomniany dżentelmen był już zaręczony i zamierzał poślubić inną kobietę. Scena eksplodowała gniewem i wzajemnymi oskarżeniami, a Laura wycofała się na powrót do swojego świata małych szklanych figuerek, swojej szklanej menażerii.

Aktor grający Toma wszedł na skraj sceny, postawił kołnierz płaszcza, zapalił papierosa i zaczął opowiadać widzom, jak wyjechał z St. Louis, porzucając matkę i siostrę.

Poczułem, że coś ściska mnie w piersiach i w gardle, zaczęło brakować mi tchu. Do oczu napłynęły mi łzy. To tylko aktorzy, powiedziałem sobie w duchu. To tylko kwestie, które aktor wykuł na pamięć. Ot i wszystko. Tom ubolewał, że wciąż słyszy głos Laury i widzi jej twarz w kolorowym szkłe buteleczek z perfumami. Gdy to mówił, przed oczami stanął mi Jeremy patrzący przez frontowe okno, gdy odjeżdżałem sprzed domu, mój brat, który nie poruszył się ani nie pomachał mi na pożegnanie, w którego spojrzeniu kryło się oskarżenie i błaganie, żebym go nie zostawiał.

Ten sukinsyn na scenie spojrzał wprost na mnie i powiedział: „Lauro, próbowałem cię porzucić, ale jestem wierniejszy, niż to sobie zamierzyłem”.

Nie mogłem pohamować łez spływających mi po twarzy. Nie uniosłem ręki, żeby je wytrzeć, bo tylko zwróciłbym na siebie uwagę. Dlatego nic nie zrobiłem. Pozwoliłem, by łzy płynęły. I wtedy poczułem, jak dłoń Lili delikatnie zacisnęła się na moich palcach. Nie popatrzyłem na nią – nie potrafiłem się na to zdobyć. Ona też na mnie nie spojrzała. Po prostu trzymała mnie za rękę, dopóki mężczyzna na scenie nie przestał mówić, aż ból w mojej klatce piersiowej powoli osłabł.

Po przedstawieniu poszliśmy z Lilą do Seven Corners, centrum pubów i jadłodajni na zachodnim brzegu kampusu, nazwanego tak z powodu wprowadzającego w błąd skupiska przecznic. Po drodze opowiedziałem Lili o mojej wyprawie do Austin, o tym, jak zostawiłem Jeremy'ego z matką i Larrym, o siniaku na plecach Jeremy'ego i o rozkwaszonym nosie Larry'ego. Uznałem, że powinienem jej wyjaśnić, dlaczego ta sztuka zrobiła na mnie aż takie wrażenie.

– Uważasz, że Jeremy jest bezpieczny? – spytała.

– Nie wiem – odparłem. Ale chyba wiedziałem. Na tym właśnie polegał problem. Dlaczego ta sztuka tak mnie poruszyła. – Czy źle zrobiłem, wyjeżdżając z domu? Popełniłem błąd, idąc na studia?

Lila nie odpowiedziała.

– Przecież nie mogę zostać w domu na zawsze. Nikt nie może tego ode mnie żądać. Mam prawo do własnego życia, zgadza się?

– Jesteś jego bratem – odparła. – Czy ci się podoba, czy nie, to jednak coś znaczy.

Nie to chciałem usłyszeć.

– Czy to znaczy, że powinienem rzucić studia i swoje pragnienia?

– Wszyscy dźwigamy jakieś brzemię – powiedziała. – Każdy ponosi w życiu jakieś straty.

– Łatwo ci mówić – mruknąłem.

Zatrzymała się i spojrzała na mnie z ogniem w oczach zarezerwowanym głównie dla kłócących się kochanków.

– Wcale nie jest mi łatwo – odparła. – Ani trochę.

Odwróciła się i ruszyła dalej, a jej policzki zaróżowiły się od listopadowego chłodu. Nadciągał zimny front, który zwykle pojawiał się w środku mroźnej zimy. Szliśmy jakiś czas w milczeniu, aż w końcu Lila wzięła mnie pod rękę i lekko ścisnęła. Chyba w ten sposób chciała dać do zrozumienia, że wolałaby zmienić temat, a ja nie miałem nic przeciwko temu.

Napotkaliśmy bar, w którym było kilka wolnych stolików, a muzyka grała o parę decybeli ciszej, niż to było konieczne, byśmy mogli swobodnie porozmawiać. Zlustrowałem wzrokiem salę, poszukując ustronnego stolika, i odnalazłem łożę z dala od wszelkiego hałasu. Kiedy usiedliśmy, rozpocząłem luźną pogawędkę.

– A więc jesteś na trzecim roku?

– Nie, dopiero na drugim – odpowiedziała.

– Ale masz dwadzieścia jeden lat?  
– Miałam rok przerwy przed pójściem na studia.  
Zjawiała się kelnerka. Ja zamówiłem jacka daniel'sa z colą, a Lila 7up.  
– Widzę, że pijasz tylko naprawdę mocne napoje? – rzuciłem.  
– Nie piję – odrzekła Lila. – Kiedyś piłam, ale teraz już nie.  
– Dziwnie się czuję, pijąc samotnie.  
– Nie jestem abstynentką – powiedziała. – Nie mam nic przeciwko picciu. To mój wybór, i tyle.

Kiedy kelnerka postawiła nasze napoje na stoliku, w rogu knajpy rozległ się głośny ryk; to grupka podpitych imprezowiczów przekrzykiwała się między sobą, prowadząc intensywną dyskusję na temat futbolu. Kelnerka wywróciła oczami. Obejrzałem się przez ramię, by spojrzeć na grupkę mężczyzn popychających się wzajemnie i przekomarzających się w żartobliwy sposób, który jednak, gdyby wypili kilka kieliszków za dużo, mógłby przerodzić się w prawdziwą bójkę. Wykidajło przy drzwiach też miał na nich oko. Usiadłem wygodniej. Kelnerka oddaliła się i zaczęliśmy rozmawiać o sztuce, przy czym najwięcej mówiła Lila. Była wielką miłośniczką Tennessee Williamsa. Upiłem łyk drinka i słuchałem, jak mówi, a potem się śmieje. Nigdy dotąd nie widziałem jej równie ożywionej, z taką pasją opowiadającej o czymkolwiek. Jej słowa płynęły, tworząc skomplikowane arabeski przeplatane jazzowymi nutami. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo zatraciłem się w naszej rozmowie, aż nagle Lila przerwała w pół słowa, przenosząc wzrok na coś, co znajdowało się za moimi plecami. Cokolwiek to było, sprawiło, że zupełnie zamilkła.

– O Boże – powiedział ktoś za mną. – Bezwstydna Nash.

Odwrociłem się i zobaczyłem, jak jeden z mężczyzn siedzących przy głośnym stoliku zatrzymuje się kilka metrów od naszej łoży, a szklanka z piwem drży w jego dłoni, bo facet wyraźnie ma kłopoty z utrzymaniem pionu. Drugą ręką wskazywał na Lilę, pokrzykując gromkim głosem:

– Bezwstydna Nash. Kurwa, nie do wiary. Pamiętasz mnie?

Lila pobladła, jej oddech stał się płytszy. Spojrzała na szklankę, którą trzymała drżącymi palcami.

– Co? Nie pamiętasz? Może teraz sobie przypomnisz.

Opuścił dłoń do krocza, jakby trzymał w niej kulę do kręgli. A potem zaczął energicznie poruszać biodrami. Uniósł głowę, przygryzł dolną wargę i przymrużył oczy.

– O tak! O tak! Rób to bezwstydnie.

Lila zaczęła się trząść, choć nie wiedziałem, czy ze wstydu, czy z wściekłości.

– Może tak urządzilibyśmy sobie mały powrót do przeszłości? – zapytał opój, po czym spojrział na mnie z uśmiechem. – Nie mam nic przeciwko

współpracy, wystarczy, że ją poprosisz.

Lila wstała i wybiegła z baru. Nie wiedziałem, czy powinienem pobiec za nią, czy dać jej odrobinę swobody. Właśnie wtedy facet znów się odezwał, tym razem do mnie:

– Lepiej leć za nią, chłopie. Może się załapiesz. Uwierz mi, warto.

Poczułem, że zaciskam dłoń w pięść. Ale zaraz ją rozluźniłem.

Kiedy zacząłem pracować w Piedmont Clubie, kumpel, wykidajło Ronnie Gant, pokazał mi technikę, którą nazywał zmyłką Ronniego, a która podobnie jak większość sztuczek iluzjonisty polegała na odwróceniu uwagi. Wstałem z miejsca, spojrzałem na opoja i uśmiechnąłem się od ucha do ucha. Tamten był o trzy kroki ode mnie. Podszedłem do niego, pokonując te trzy kroki bardzo swobodnie, jakbym zbliżał się do kumpla, z którym zamierzam się przywitać, i rozłożyłem obie ręce na boki w przyjaznym geście. Facet się uśmiechnął, jakby bawił go żarcik zrozumiały tylko dla nas. Zaklinałem w duchu, żeby stracił czujność.

Przy drugim kroku pokazałem mu uniesione kciuki, zaśmiałem się i mój uśmiech go rozbroił i zbił z tropu. Facet był ode mnie wyższy o jakieś dziesięć centymetrów i pewnie o piętnaście kilogramów cięższy, na co wskazywał jego obfity brzuch. Sprawilem, że skupił wzrok na mojej twarzy, a jego przytępiony piwem mózg nie zaoponował. Facet nie zauważył, jak opuściłem prawą rękę do pasa i ugiąłem ją w łokciu.

Przy trzecim kroku wszedłem w przestrzeń osobistą opoja, stawiając prawą stopę między jego stopami. Wyrzuciłem lewą rękę w górę pod prawą pachą opoja, złapałem go za koszulę na wysokości łopatki i zamachnąwszy się prawą ręką, z całej siły wbiłem pięść w jego brzuch. Trafiłem go poniżej mostka tak mocno, że niemal poczułem, jak jego żebra zamykają się wokół mojej pięści. Uderzenie wydusiło mu powietrze z płuc z siłą eksplodującego balonu. Chciał zgiąć się wpół, ale ja trzymałem go lewą ręką za koszulę i łopatkę i przyciągałem go do siebie.

Kolana ugięły się pod nim i usłyszałem świst, z jakim jego płuca walczyły o choćby odrobinę powietrza.

Kluczem do powodzenia techniki Ronniego była subtelność wykonania. Gdybym walnął gościa w szczękę, to upadając do tyłu, narobiłby sporego zamieszania. Jego kumple od stolika rzuciliby się na mnie w okamgnieniu. Kilku jego kolegów już teraz mi się przyglądało. Ale dla osoby z zewnątrz wyglądałem raczej jak samarytanin pomagający usiąść podpitemu imprezowiczowi. Podprowadziłem faceta do łoży, w której siedziałem z Lilą, i zdążyłem go tam posadzić, zanim puścił pawia.

Dwaj jego kumple ruszyli w naszą stronę. Wykidajło także się mną zainteresował. Pokazałem mu uniwersalny gest sugerujący, że ktoś za dużo wypił – wyprostowany mały palec i kciuk, mające imitować kufel, uniesione do ust.

Bramkarz pokiwał głową i podszedł, by zająć się rzygającym pijakiem.

Otarłem spocone dłonie o spodnie na udach i opuściłem bar spokojnym, niespiesznym krokiem, jakby wieczór w knajpie zwyczajnie mnie znudził. Kiedy znalazłem się na zewnątrz, zacząłem biec. Gość wkrótce odzyska oddech i opowie kumplom, co się stało. Nie miałem wątpliwości, że puszcza się za mną w pościg. Ruszyłem w stronę kładki przy Washington Avenue łączącej zachodni i wschodni brzeg kampusu. Zanim skręciłem za róg, z baru wybiegli dwaj faceci i mnie dostrzegli. Miałem nad nimi przewagę przecznicy. Jeden z nich był wielki i masywny jak zawodowy futbolista, lecz powolny niczym żółw. Jednak jego kolega okazał się szybki; może w liceum grał w drużynie jako skrzydłowy albo napastnik? Z tym mógłbym mieć problem. Krzyczał coś, czego nie zrozumiałem pośród szumu wiatru i dudnienia krwi w uszach.

Od razu zorientowałem się, że nie dobiegnę na drugą stronę kładki, że skrzydłowy mnie dogoni na długim i prostym odcinku. Poza tym na kładce mogła być Lila. Jeżeli tamci widzieli ją w knajpie, mogliby ją rozpoznać i zamiast za mną puścić się w pościg za nią. Pognałem w stronę skupiska budynków stojących wokół Biblioteki Wilsona; dotarłem do pierwszego z nich, Humphrey Center, gdy mój prześladowca zbliżył się do mnie na kilkadziesiąt metrów. Powstrzymałem się przed szybszym biegiem, by tamten myślał, że to wszystko, na co mnie stać. Gdy skręciłem w boczną uliczkę, przyspieszyłem, lawirując między kolejnymi budynkami – Heller Hall, Blegen Hall, a następnie Ośrodkiem Nauk Społecznych i Biblioteką Wilsona. Zanim zrobiłem drugie okrążenie wokół Ośrodka Nauk Społecznych, nie widziałem już za sobą ani nie słyszałem tupotu kroków skrzydłowego.

Napotkałem parking i skryłem się za pikapem, żeby chwilę odpocząć, bo moje płuca płonęły żywym ogniem, napełniając się na nowo tlenem. Położyłem się na asfalcie, by odzyskać siły po wyczerpującej ucieczce, a przy okazji, patrząc pod samochodami, bacznie wypatrywałem swoich prześladowców. Po dziesięciu minutach zauważyłem tego, który mnie ścigał: zbliżył się do Dziewiętnastej Alei, przecznicę stąd, po czym zawrócił w stronę Seven Corners i baru. Kiedy zniknął mi z oczu, wziąłem głęboki oddech, otrzepałem się z pyłu i kurzu, a następnie potruchtałem w kierunku kładki i mieszkania, gdzie, miałem nadzieję, powinna na mnie czekać Lila.

Podchodząc do budynku, dostrzegłem słabe światło sączące się z mieszkania Lili. Przystanąłem przy wejściu, żeby zebrać się w sobie i odzyskać oddech po truchcie do domu. Następnie wspiałem się po wysokich schodach, przeszedłem przez korytarz i zapukałem delikatnie do drzwi Lili. Bez odpowiedzi.

– Lila – powiedziałem przez drzwi. – To ja, Joe.

Wciąż nic.

Zapukałem ponownie i usłyszałem charakterystyczny szcęk zasuwki. Czekałem, aż drzwi się otworzą, ale tak się nie stało, więc odrobinę je uchyliłem i ujrzałem Lilę na kanapie, odwróconą do mnie plecami, z kolanami podciągniętymi do piersi. Przebrała się, zamieniła sweter i spódniczkę na szary dres, bluzę i workowate spodnie. Wszedłem do jej mieszkania, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

– Dobrze się czujesz? – spytałem.

Nie odpowiedziała. Podeszedłem do kanapy i usiadłem obok Lili; jedną rękę położyłem na oparciu, a drugą lekko dotknąłem jej ramienia. Zadrżała.

– Pamiętasz – zapytała łamiącym się, niepewnym głosem – jak ci mówiłam, że przed pójściem na studia zrobiłam sobie roczną przerwę? – Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić, zanim zaczęła mówić dalej. – Miałam trudny okres. W liceum coś się wydarzyło, zrobiłam coś, z czego nie jestem dumna.

– Nie musisz...

– W liceum prowadziłam... dość swobodne życie. Na imprezach upijałam się i robiłam różne głupstwa. Chciałabym ci powiedzieć, że robiłam to, bo wpadłam w złe towarzystwo, ale to nie byłaby prawda. Początkowo były to drobne głupstwa w rodzaju tańczenia na stołach albo siadania różnym facetom na kolanach. No wiesz, taki rodzaj flirtu. Chyba podobało mi się, jak na mnie patrzyli.

Przerwała, by zdobyć się na odwagę, i zaczerpnąwszy powietrza, zrobiła długi, nerwowy wydech.

– Potem to się przerodziło w coś więcej niż flirt. Jeszcze w pierwszej klasie straciłam dziewictwo z facetem, który powiedział, że jestem piękna. A potem zaczął opowiadać wszystkim, że jestem łatwa. Od tamtej pory było wielu innych facetów i wiele innych historii.

Trzęsła się tak, że nie była w stanie nad tym zapanować.

– Pod koniec pierwszej klasy zaczęli nazywać mnie Bezwstydłą Nash. Nie mówili mi tego prosto w oczy, ale słyszałam ich. A najsmutniejsze jest to, że... nie przestałam tego robić. Chodziłam na imprezy, upijałam się i łądowałam w łóżku



jakiegoś faceta lub na tylnym siedzeniu jakiejś zdezelowanej bryki. A kiedy już skończyli, wyrzucali mnie na ulicę bez chwili wahania.

Pocierała palcami ramię, ugniatając je jak Jeremy, gdy w chwili zdenerwowania rozciera palcami kłykcie. Znowu przerwała, by uspokoić drżący głos, zanim ponownie się odezwała.

– Wreszcie, tuż przed końcem roku, na jednej z imprez kompletnie odleciałam. Ktoś dosypał mi czegoś do drinka. Następnego ranka obudziłam się na tylnym siedzeniu auta na samym środku pola fasoli. Niczego nie pamiętałam. Niczego. Byłam cała obolała. Wiedziałam, że zostałam zgwałcona, ale nie wiedziałam, kto to zrobił i ilu ich było. Policja wykryła w moim krwiobiegu ślady rohypnolu. To tak zwana pigułka gwałtu. Sprawia, że nie jesteś w stanie się bronić i w dodatku nic nie pamiętasz. Nikt z obecnych na tej imprezie również niczego nie pamiętał. Nikt nie widział, z kim wyszłam ani kiedy. Chyba mi nie uwierzyli, kiedy powiedziałam, że zostałam zgwałcona. A tydzień później ktoś wysłał mi zdjęcie z lewego konta mejlowego.

Lila znowu zaczęła dygotać, jej oddech stał się płytszy. Schwyciła mnie za rękę, jakby chciała się czegoś przytrzymać.

– Na tym zdjęciu byłam ja... i dwóch facetów... z rozmazanymi twarzami... oni mnie... oni... – przerwała i rozplakała się.

Chciałem coś powiedzieć, by złagodzić jej ból, ale wiedziałem, że mi się to nie uda.

– Nie musisz mówić nic więcej – zapewniłem. – To dla mnie nieistotne.

Wytarła oczy rękawem i powiedziała:

– Muszę ci coś pokazać.

Nerwowym ruchem schwyciła kołnierz bluzy dresowej i pociągnęła za niego, odsłaniając sześć wąskich blizn – sześć prostych śladów po żyletce – ciągnących się od barku w dół. Przesunęła po nich palcami, żeby zwrócić na nie moją uwagę. A potem opuściła głowę i oparła ją o kanapę, jakby chciała zasłonić przede mną zapłakaną twarz.

– Zamiast pójść na studia, zrobiłam sobie rok przerwy... Przez ten czas chodziłam na terapię. Widzisz, Joe – na jej ustach pojawił się niepewny uśmiech – ja też mam za sobą pewne przejścia.

Otarłem policzek o jej miękkie delikatne włosy, a potem objąłem ją jedną ręką w pasie, drugą zaś ująłem ją pod kolana i podniosłem z kanapy. Zaniósłem ją do sypialni, ułożyłem na łóżku, przykryłem kocem aż pod samą szyję, a potem pochylilem się i pocałowałem ją w policzek, na którym pojawił się drobny, wywołany przez uśmiech, dołeczek.

– Nie boję się przejść – powiedziałem, pozwalając, by te słowa dotarły do niej, zanim wyprostowałem się i wyszedłem, choć wcale nie chciałem stamtąd wychodzić.

I wtedy usłyszałem, jak prawie niesłyszalnie wyszeptała:

– Nie chcę zostać sama.

Ukryłem zaskoczenie i zawahałem się tylko chwilę, zanim podszedłem do łóżka z drugiej strony. Zdjąłem buty, położyłem się i delikatnie objąłem Lilę ramieniem. Ścisnęła mnie za rękę, przyciągnęła ją do piersi i trzymała kurczowo jak pluszowego misia. Leżałem za nią, chłonąc jej zapach i czując delikatne bicie jej serca pod palcami, gdy próbowałem przyłgnąć do niej całym ciałem. I choć znalazłem się w łóżku z Lilą z powodu trawiącego ją bólu i smutku, poczułem, że przepełniają mnie osobliwa radość i szczęście, miałem wrażenie przynależności, jakiego nigdy nie doświadczyłem, i było to tak cudowne, że prawie sprawiało mi ból.

Upajałem się tym doznaniem, aż zmorzył mnie sen.

Następnego ranka obudził mnie dochodzący z łazienki Lili szum włączonej suszarki. Wciąż leżałem w jej łóżku, wciąż miałem na sobie spodnie khaki i koszulę i wciąż nie wiedziałem, co właściwie nas łączy. Usiadłem, sprawdziłem, czy nie mam śliny w kącikach ust, po czym wstałem i podążyłem za aromatem świeżo parzonej kawy. Zanim dotarłem do kuchni, zatrzymałem się przed oprawionym w ramki plakatem, by przejrzeć się w szkło i zobaczyć, jak wyglądam. Włosy sterczały mi na wszystkie strony, jakbym spędził noc w kurniku. Zmoczyłem dłonie pod kranem w kuchni i przyglądałem trochę fryzurę na mokro. W tej właśnie chwili Lila wyszła z łazienki.

– Przepraszam – powiedziała. – Obudziłam cię?

Przebrała się w przydużą koszulę i jedwabne workowate spodnie od pizamy.

– Bynajmniej – odparłem. – Dobrze spałaś?

– Cudownie – odrzekła.

Podeszła do mnie, dotknęła dłonią mojego policzka, wspięła się na palce i pocałowała mnie w usta, delikatnie, powoli, gorąco i tak czule, że aż zabołało. Kiedy skończyła, cofnęła się dwa kroki, popatrzyła mi w oczy i powiedziała:

– Dziękuję.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, odwróciła się i wyjęła z kredensu dwa kubki. Podała mi jeden, a drugi zakręciła na palcu, gdy czekaliśmy, aż ekspres do kawy zakończy swoje czary. Czy wiedziała, że wciąż czułem na ustach smak jej pocałunku, na policzku dotyk jej palców, a zapach skóry przyciągał mnie do niej jak magnes?

Wydawała się nieporuszona energią, która mnie paraliżowała. Ekspres sygnałem dźwiękowym obwieścił sukces, a ja napelniłem kubki, najpierw Lili, potem swój.

– To co mamy na śniadanie? – zapytałem.

– Ach, śniadanie – westchnęła. – Tu, u Lili, oferujemy wspaniałe menu śniadaniowe. Specjalność dnia to płatki Cheerios. Na życzenie mogę też szybko przygotować płatki Special K.

– Jak to, w karcie nie ma naleśników?

– A jeżeli życzysz sobie mleka do płatków, będziesz musiał wyskoczyć po nie do sklepu.

– Masz jajka?

– Owszem, kilka, ale nie mam ani bekonu, ani kiełbasy.

– Weź jajka i chodźmy do mnie – zaproponowałem. – Usmażę naleśniki.

Lila wyjęła jajka z lodówki i udała się w ślad za mną do mojego mieszkania. Gdy wyjąłem z kredensu dużą miskę i wszystkie potrzebne mi składniki, podeszła do stolika kawowego, na którym leżały rozłożone na pliki dokumenty sprawy Carla Iversona.

– To kim zajmiemy się teraz? – spytała, przeglądając papiery, ale nie szukając niczego konkretnego.

– Chyba powinniśmy poszukać sprawcy – odparłem.

– Czyli kogo?

– Nie wiem – stwierdziłem, wkładając poszczególne składniki ciasta na naleśniki do miski. – Kiedy się temu przyglądam, mózg mi się lasuje.

– No cóż, wiemy, że Crystal zginęła po powrocie ze szkoły z Andym Fisherem, a przed dotarciem na miejsce wozów straży pożarnej. Wiemy, że wpisy w pamiętniku dotyczyły skradzionego samochodu, a nie tego, że Carl przyłapał Crystal i Andy’ego Fishera, jak zabawiali się w zaułku. Tak więc ktokolwiek szantażował Crystal, musiał wiedzieć, że to oni rozbili pontiaca.

– Lista potencjalnych kandydatów jest bardzo krótka.

– Oczywiście wiedział o tym Andrew.

– Tak, ale nie powiedziałby nam tego, gdyby to jego dotyczyły wpisy w pamiętniku. Poza tym pamiętnik sugeruje, że domyślił się tego ktoś inny.

– Salonem sprzedaży używanych aut kierował tatko Doug – zauważyła Lila.

– Może nie kupił bajeczki o włamaniu i kradzieży.

– Możliwe również, że Andrew pochwalił się komuś, może wygadał się przed kimś, że to on i Crystal skasowali policyjny radiowóz. Gdybym ja odwalił taki numer, na pewno korciłoby mnie, żeby powiedzieć o tym kolegom. W szkole stałby się prawdziwym idolem rówieśników.

– Nie, nie przekonuje mnie to.

– Mnie też nie – przyznałem.

– W tych zapiskach musi być coś, co mogłoby przybliżyć nas do rozwiązania zagadki.

– Na pewno tam jest – mruknąłem.

– Na pewno? – Lila wychyliła się do przodu, siedząc na kanapie.

– Jasne, że tak. Musimy tylko złamać ten szyfr.

– Bardzo zabawne.

Naszą rozmowę przerwało pukanie do drzwi; zmniejszyłem ogień pod naleśnikami. W pierwszej chwili pomyślałem, że gość z wczorajszego wieczoru albo któryś z jego kumpli zdołał mnie namierzyć. Z kuchennej szuflady wyjąłem latarkę i trzymając ją w prawej ręce, przysunąłem stopę do drzwi, zostawiwszy kilkanaście centymetrów luzu. Lila patrzyła na mnie, jakbym postradał rozum. Nie powiedziałem jej, że dołożyłem tamtemu typowi w knajpcie ani że gonilo mnie dwóch jego kumpli. Otworzyłem i zobaczyłem stojącego w korytarzu Jeremy’ego.

– Ej, kolego, a co ty... – Uchyliłem drzwi szerzej i zobaczyłem stojącą przy nim mamę. – Mama?

– Cześć, Joey – powiedziała, lekko popychając Jeremy'ego, aby przestąpił próg. – Musisz popilnować Jeremy'ego przez kilka dni.

Wykonała nieznaczny ruch, jakby miała się odwrócić i odejść, ale przystanąła na widok Lili siedzącej na kanapie i ubranej w coś, co wyglądało jak piżama.

– Mamo! Nie możesz tu wpadać bez uprzedzenia... – zaprotestowałem.

– Teraz już rozumiem – powiedziała. – Widzę, co się tu dzieje.

Lila wstała, żeby się przywitać.

– Gzisz się z tą małą lalunią, a brata i mnie zostawiłeś, żebyśmy sami musieli się o siebie martwić.

Lila wróciła na kanapę. Schwyciłem matkę, zanim zdążyła wparować do środka, i wypchnąłem ją na korytarz, zatrzaskując za nami drzwi.

– Jak śmiesz... – zacząłem.

– Jestem twoją matką.

– Nie daje ci to prawa do obrażania mojej przyjaciółki.

– Przyjaciółki? Tak to się teraz nazywa?

– Mieszka po sąsiedzku i... nie muszę ci niczego wyjaśniać.

– Świetnie. – Wzruszyła ramionami. – Rób, co chcesz, ale musisz popilnować Jeremy'ego.

– Nie możesz tu wpadać i po prostu go zostawiać. To nie stary bucior, który rzucasz, gdzie popadnie.

– To za to, że nie odpowiadasz na moje telefony – odparła, odwracając się, by odejść.

– Dokąd się wybierasz?

– Jedziemy do kasyna Treasure Island – odrzekła.

– My?

Zawahała się.

– Larry i ja.

Zaczęła schodzić, zanim zdążyłem ją zrugać za to, że wciąż zadaje się z tym dupkiem.

– Wracam w niedzielę – rzuciła przez ramię.

Wziąłem głęboki oddech, żeby się uspokoić, a potem, z uwagi na Jeremy'ego, uśmiechnąłem się szeroko, gdy wróciłem do mieszkania.

Dokończyłem robić naleśniki dla nas trojga, a potem zjedliśmy je w pokoju. Lila żartowała z Jeremym, nazywając mnie kamerdynerem Jeevesem, gdy podawałem im śniadanie. Choć byłem wściekły na matkę, że bez uprzedzenia podrzuciła mi Jeremy'ego, nie mogłem zaprzeczyć, że cieszyła mnie jego obecność, gdy tak siedział ze mną i Lilą w jednym pokoju, zwłaszcza że wciąż

miałem wyrzuty sumienia wywołane przez przedstawienie. Wywracałem oczami, kiedy ludzie mówili mi, że tęsknię za domem. Myśl, że mógłbym tęsknić za cuchnącym wilgocią mieszkaniem mojej matki, była dla mnie równie niezrozumiała jak przebijanie sobie stopy gwoździem ot tak, dla frajdy. Jednak tego ranka, gdy patrzyłem, jak Jeremy śmieje się z Lilą, nazywa mnie Jeevesem i pałaszuje moje naleśniki, zrozumiałem, że tęskniłem, ale nie za domem, lecz za bratem.

Po śniadaniu Lila poszła do siebie po laptop, bo musiała odrobić zaległą pracę domową. Nie miałem żadnych płyt DVD ani nawet warcabów, więc zagrałem z Jeremym w wojnę, siedząc na kanapie i używając zamiast stołu położonej na płask poduszki.

W którymś momencie Lila zaczęła stukać w klawiaturę z prędkością pianistki koncertowej. Jeremy przerwał grę w karty, żeby na nią popatrzeć, wyraźnie zahipnotyzowany stukaniem w klawisze. Po kilku minutach Lila uniosła wzrok znad klawiatury i przestała w nią stukać.

– Może jesteś świetną maszynistką, Lilo – powiedział Jeremy.

Lila uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję. To miłe, co powiedziałeś. Umiesz pisać na maszynie?

– Może chodziłem na zajęcia z maszynopisania u pana Warnera – odrzekł Jeremy.

– A lubisz maszynopisanie? – zapytała.

– Myślę że pan Warner był zabawny. – Jeremy uśmiechnął się szeroko. – Może pan Warner kazał mi napisać „mężny bądź, chroń pułk twój i sześć flag”.

Jeremy zaśmiał się, Lila i ja również.

– Otóż to – powiedziała Lila. – To wzorcowe zdanie, które musisz nauczyć się pisać. Mężny bądź, chroń pułk twój i sześć flag.

Jeremy zaśmiał się jeszcze głośniej.

Lila wróciła do pracy na laptopie, a Jeremy do gry w wojnę, używając do zbijania moich kart swojej jednej i tej samej. A potem następnej.

Po kilku minutach Lila przestała pisać i uniosła wzrok z wyrazem olśnienia. Zrobiła to tak gwałtownie, jakby coś ją ugryzło.

– Zawiera wszystkie litery alfabetu – stwierdziła.

– Ale co?

– Mężny bądź, chroń pułk twój i sześć flag. To zdanie jest wykorzystywane podczas nauki maszynopisania, ponieważ zawiera wszystkie litery alfabetu.

– Tak – mruknąłem.

– Crystal Hagen zaczęła używać szyfru we wrześniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku... w pierwszej klasie liceum, kiedy uczęszczała na zajęcia z maszynopisania z Andym Fisherem.

– Nie sądzisz chyba... – powiedziałem.

Lila wyjęła notes i napisała na kartce zdanie, przypisując każdej z liter kolejną liczbę.

MĘŻNYBA DŹCHRON P U Ł K T W Ó J I S P R Z E Ś Ć F L A G  
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19 20 21 22 23 24 25 26 27 28  
29 30 31 32

Odnalazłem pamiętnik Crystal i podałem Lili pierwszą stronicę z szyfrowanym wpisem, na jaki się natknąłem przy dacie 28 września. Lila zaczęła zastępować liczby literami: D-J-Z-N... Wzruszyłem ramionami; kolejna ślepa uliczka, pomyślałem. A-L-A-Z-Ł... Trochę się wyprostowałem, bo wreszcie zobaczyłem zrozumiałe słowo... M-O-J-E-O-K-U-L-A-R-Y.

– DJ znalazł moje okulary! – zawołała Lila, podsuwając kartkę w moją stronę. – Tu jest napisane: DJ znalazł moje okulary. Zrobiliśmy to! Jeremy tego dokonał. Jeremy, złamałeś szyfr!

Zerwała się na nogi i złapała mojego brata za ręce, zmuszając go, by wstał z kanapy.

– Złamałeś szyfr, Jeremy!

Podskakiwała z radości i Jeremy zaraz do niej dołączył, ciesząc się, choć nie wiedział wcale dlaczego.

– Kim jest DJ? – spytałem.

Lila przestała podskakiwać i oboje sięgnęliśmy równocześnie do pudła, żeby wyjąć z niego tomy transkrypcji. Ona wybrała ten z zeznaniami Douglasa Lockwooda, a ja z zeznaniami Danny’ego. Na początku każdy zeznający musiał podać swoje pełne imię, nazwisko i datę urodzenia. Nerwowo wertowałem strony, aż odnalazłem zapis przesłuchania Danny’ego.

– Daniel William Lockwood – przeczytałem na głos. Zamknąłem transkrypcję i spojrzałem na Lilę. – Na drugie ma William. To nie Danny.

– Douglas Joseph Lockwood – powiedziała rozpromieniona, z trudem powstrzymując podniecenie.

Spojrzeliliśmy na siebie, próbując pojąć ogrom tego, co właśnie odkryliśmy. Ojczym Crystal Hagen miał inicjały DJ. DJ to osoba, która znalazła okulary Crystal Hagen. Osoba, która znalazła okulary Crystal, przymuszała ją szantażem do seksu. A osoba, która szantażem przymuszała ją do seksu, była również osobą, która ją zabiła. To była prosta dedukcja. Odnaleźliśmy mordercę.

Ponieważ musieliśmy się zająć Jeremym, zaczekaliśmy do poniedziałku z przekazaniem policji zdobytych przez nas informacji. A tymczasem we trójkę uczciliśmy nasze małe Święto Dziękczynienia. Z tłuczonymi ziemniakami, żurawiną, ciastem z dyni i kornwalijskimi kurami, wmawiając Jeremy'emu, że to miniindyki. Było to chyba najwspanialsze Święto Dziękczynienia w całym moim życiu. Jeremy'ego zapewne również. Do niedzieli wieczorem matka przepuściła pieniądze w kasynie i wróciła, żeby odebrać Jeremy'ego. Widziałem, że brat nie chce z nią pójść. Siedział na kanapie, ignorując ją, aż w końcu stała się bezwzględna i srogim tonem rozkazała mu, żeby wstał. Kiedy poszli, Lila i ja poukładaliśmy strony pamiętnika i transkrypcji, które zamierzaliśmy zanieść na policję nazajutrz po zajęciach. Z trudem tłumiliśmy ekscytację.

Wydział Zabójstw Policji Minneapolis miał komendę w ratuszu miejskim, starym gmazysku przypominającym zamek, stojącym w centrum miasta. Ozdobne łukowate sklepienia przydawały wejściu do budynku rys klasycznej Richardsonowskiej architektury, korytarze jednak bardziej przywoływały na myśl termy rzymskie niż budynek w stylu neoromańskim. Wzdłuż ścian biegły wysokie na półtora metra marmurowe płyty. Powyżej ktoś pomalował tynki na kolor stanowiący melanz odcienia fuksji z barwą zupy pomidorowej. Korytarz ciągnął się przez całą długość przecznicy, skręcał w lewo i pokonywał kolejne pół przecznicy, aż dochodził do pokoju 108, gdzie miał swoją siedzibę wydział zabójstw. Podaliśmy nasze nazwiska recepcjoniście siedzącemu za kuloodporną szybą i sami usiedliśmy, żeby poczekać. Po jakichś dwudziestu minutach do poczekalni wszedł mężczyzna z glockiem kalibru 9 mm w kaburze przy biodrze i odznaką przypiętą do paska po lewej stronie. Był wysoki, miał szeroką klatkę piersiową i bicepsy wyrzeźbione jak na więziennej siłowni.

Jednak pełne współczucia oczy łagodziły jego surowy wygląd, a głos okazał się o ton czy dwa delikatniejszy, niż się spodziewałem. W poczekalni oprócz nas dwojga nie było nikogo więcej.

– Joe? Lila? – zapytał, wyciągając rękę.

Uścisnęliśmy ją po kolei.

– Tak, proszę pana – potwierdziłem.

– Jestem detektyw Max Rupert – rzekł. – Powiedziano mi, że macie jakieś informacje w sprawie zabójstwa?

– Tak, proszę pana – odparłem. – Chodzi o morderstwo Crystal Hagen.

Detektyw Rupert odwrócił wzrok, jakby odczytywał nazwisko z listy, którą



miał w głowie.

– Nic mi nie mówi to nazwisko.

– Zabito ją w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku – wtrąciła Lila.

Rupert zamrugał gwałtownie kilka razy, przekrzywiając głowę na bok jak pies, który usłyszał niespodziewany dźwięk.

– Powiedziałaś w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym?

– Wiem, że może pan uważać nas za parę świrów, ale proszę poświęcić nam tylko dwie minuty swojego cennego czasu. Jeżeli po dwóch minutach uzna pan, że opowiadamy bzdury, po prostu sobie pójdziemy. Ale jeśli nasza historia pana przekona, choćby tylko trochę, będzie pan musiał przyjąć do wiadomości, że być może na wolności jest niebezpieczny morderca.

Rupert spojrział na zegarek, westchnął i pstryknął palcami, dając znak, żebyśmy podążyli za nim. Przeszliśmy przez salę pełną małych boksów i weszliśmy do pokoju, gdzie znajdowały się prosty metalowy stół i cztery drewniane krzesła. Lila i ja usiedliśmy przy stole z jednej strony i otworzyliśmy teczkę.

– Dwie minuty – rzucił Rupert, wskazując na zegarek. – Zaczynajcie.

– Ee... ee... – Nie sądziłem, żeby faktycznie mogło mi to zająć dwie minuty, i trochę się speszyłem. Pozbierałem myśli i zacząłem: – W październiku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku czternastoletnia Crystal Hagen została zgwałcona i zamordowana. Jej ciało spalono w składziku na narzędzia należącym do jej sąsiada Carla Iversona, którego oskarżono o to morderstwo. Jednym z kluczowych dowodów obciążających był pamiętnik dziewczyny. – Wskazałem na teczkę, a Lila wyjęła z niej pamiętnik.

– To pamiętnik Crystal – rzekła, dotykając stronic. – Prokurator wykorzystał pewne wpisy z tego pamiętnika, by zasugerować, że Carl Iverson prześladował Crystal i zmuszał do uprawiania z nim seksu. Użył zapisów z tego pamiętnika, by przekonać przysięgłych do uznania Iversona winnym zarzucanego mu czynu. Ale było tam kilka zaszyfrowanych wpisów.

Otworzyła pamiętnik na pierwszym szyfrowanym zapisie.

– Skąd to macie? – Rupert wziął do ręki pamiętnik i zaczął go wertować. – Widzicie te numery? – Wskazał na liczbę odcisniętą u dołu każdej strony. – Te stronic zostały urzędowo opieczetowane – wyjaśnił. – Stanowiły dowód w sprawie.

– Właśnie to próbujemy panu powiedzieć – odparłem. – Otrzymaliśmy te materiały od adwokata Iversona. Pochodzą z procesu.

– Proszę spojrzeć na ten szyfr – dodała Lila, pokazując Rupertowi zakodowane zapisy. – Crystal zaczęła się nim posługiwać we wrześniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Niezbyt często, od czasu do czasu. Szyfr nie został złamany, chociaż te zapiski mogły zostać wykorzystane podczas procesu.

Rupert przeglądał treść pamiętnika, koncentrując się zwłaszcza na stronach z szyfrem.

– No dobrze... I co dalej? – zapytał.

– A to – odparłem, spoglądając na Lilę – że złamaliśmy ten szyfr. A konkretnie ona to zrobiła.

Wskazałem na Lilę, która wyjęła z teczki kartkę z wszystkimi zakodowanymi zapisami zaopatrzonymi poniżej w rozszyfrowany tekst. Przesunęła kartkę w stronę detektywa Ruperta.

*21 września – Straszny dziś dzień. 4, 23, 26, 1, 13, 32, 2, 25, 4, 31, 30, 26, 9, 28, 1, 13, 23, 10, 11, 13, 18, 16, 30, 31, 12, 21, 20. Jestem przerażona. Jest bardzo, naprawdę bardzo źle.*

*21 września – Straszny dziś dzień. Nie mogę znaleźć moich okularów. Jestem przerażona. Jest bardzo, naprawdę bardzo źle.*

*28 września – 8, 22, 25, 4, 31, 30, 31, 25, 17, 1, 13, 22, 26, 13, 18, 16, 30, 31, 12, 5. Jeżeli nie zrobię tego, czego chce, on powie wszystkim. Zrujnuje mi życie.*

*28 września – DJ znalazł moje okulary. Jeżeli nie zrobię tego, czego chce, on powie wszystkim. Zrujnuje mi życie.*

*30 września – 25, 12, 13, 6, 23, 17, 31, 1, 8, 22, 8, 13, 6, 12, 25, 26, 12, 2, 18, 7. Nienawidzę go. Jest mi niedobrze.*

*30 września – Zrobiłam DJ dobrze ręką. Nienawidzę go. Jest mi niedobrze.*

*8 października – 8, 22, 4, 23, 26, 10, 11, 10, 26, 1, 23, 13, 8, 8, 31, 28, 13, 18, 16, 30, 31, 12, 21, 20. On wciąż mi grozi. 10, 11, 10, 26, 3, 26, 6, 5, 1, 25, 12, 13, 6, 23, 17, 31, 1, 16, 8, 13, 8, 12, 25, 26, 16, 24, 19, 31, 1, 23.*

*8 października – DJ nie chce mi oddać okularów. On wciąż mi grozi. Chce, żebym zrobiła mu dobrze ustami.*

*9 października – 25, 12, 13, 6, 23, 17, 31, 1, 10, 25, 26, 32, 13, 10, 11, 10, 23, 31, 17, 8, 22. Zmusił mnie. Chcę się zabić. Chcę zabić jego.*

*9 października – Zrobiłam, czego chciał DJ. Zmusił mnie. Chcę się zabić. Chcę zabić jego.*

*17 października – 8, 22, 25, 1, 16, 24, 23, 17, 1, 4, 23, 26, 3, 26, 6, 5, 1, 25, 4, 21, 20, 19, 13, 25, 12, 13, 6, 23, 17, 31, 6, 5, 17, 6, 12, 16, 19, 31, 30, 4, 5, 19, 13, 6, 13, 30, 31, 17, 13.*

*17 października – DJ zmusił mnie, żebym znów to zrobiła. Był brutalny. To bolało.*

*29 października – 19, 13, 32, 20, 31, 17, 19, 8, 22, 1, 4, 23, 26, 32, 20, 31, 17, 10, 23. Pani Tate tak powiedziała. Mówiła, że ze względu na różnicę wieku on na pewno trafi do więzienia. To się dzisiaj skończy. Jestem taka szczęśliwa.*

*29 października – To gwałt. DJ mnie gwałci. Pani Tate tak powiedziała. Mówiła, że ze względu na różnicę wieku on na pewno trafi do więzienia. To się dzisiaj skończy. Jestem taka szczęśliwa.*

– O co chodzi z tymi zaginionymi okularami? – zapytał Rupert.

Opowiedziałem mu o naszej rozmowie z Andrew Fisherem, o tym, jak on i Crystal ukradli samochód, rozbili go i zostawili dowód swojego przestępstwa w postaci szkła z okularów Crystal.

– Widzi pan – podsumowałem – ktokolwiek je znalazł, musiał wiedzieć o skradzionym aucie i okularach. Wiedział, że ma coś, czym może ją szantażować... przymusić ją, żeby była mu... powolna.

Rupert rozsiadł się wygodniej na krześle i wlepił wzrok w sufit.

– I ten Carl został skazany po części na podstawie treści tego pamiętnika?

– Tak – odparłem. – Prokurator powiedział ławie przysięgłych, że Iverson przyłapał Crystal w kompromitującej sytuacji i wykorzystał ten fakt, żeby zmusić Crystal do uprawiania z nim seksu.

– Bez złamania szyfru nie sposób się zorientować, kto tak naprawdę ją gwałcił – dodała Lila.

– Wiecie, kim może być ten DJ? – zapytał detektyw.

– To ojczym dziewczyny – odparła Lila. – Nazywa się Douglas Joseph Lockwood.

– I uważacie, że to on, bo nazywa się Douglas Joseph?

– Między innymi dlatego – odparłem – ale to nie wszystko. To on był właścicielem salonu sprzedaży używanych aut, skąd Crystal ukradła pontiaca, a zatem mógł wiedzieć o znalezionym szkłe z okularów. Gliniarze prowadzący sprawę kradzieży na pewno o tym wspomnieli, gdy z nim rozmawiali.

– Mamy również zdjęcia – powiedziała Lila i wyjęła jedną fotografię ukazującą opuszczone żaluzje i drugą, gdzie ktoś wyglądał przez okno w domu, w którym rzekomo nikogo wówczas nie było.

Rupert przyjrzał się im przez szkło powiększające, które wyjął z szuflady; przez kilka chwil studiował uważnie każde z nich. Wreszcie odłożył zdjęcia na blat, złączył dłonie koniuszkami palców i stukając nimi delikatnie, zapytał:

– Wiecie, w którym więzieniu przebywa obecnie Iverson?

– Nie przebywa w więzieniu – odpowiedziałem. – Umiera na raka, więc zwolniono go warunkowo i umieszczono w domu opieki w Richfield.

– A więc nie próbujecie wyciągnąć tego człowieka z więzienia?

– Panie Rupert, Carlowi Iversonowi zostało zaledwie kilka tygodni życia. Chciałbym oczyścić jego imię, zanim umrze.

– To tak nie działa – rzekł Rupert. – Nie znam was. Nie znam tej sprawy. Przychodźcie tu z opowieścią o pamiętniku i szyfrze i chciecie, żebym oczyścił tego Iversona z wszelkich zarzutów. Nie jestem papieżem. Ktoś musi wygrzebać akta z piwnic, przejrzeć je i zweryfikować, czy to, co mówicie, jest prawdą. Kto zagwarantuje, że nie mylicie się co do DJ-a? Nie wiem, jakie mogą być inne dowody. Może pamiętnik nic nie znaczy, może jest jakieś wyjaśnienie dla tego

zdjęcia. Proście, żebym otworzył ponownie śledztwo sprzed trzydziestu lat, w którym oskarżony został skazany decyzją ławy przysięgłych i uznany za winnego ponad wszelką wątpliwość. Co więcej, ten człowiek nie przebywa w więzieniu, lecz w domu opieki.

– Ale jeśli mamy rację – zauważyłem – to trzydzieści lat temu prawdziwy morderca uniknął kary.

– Czytacie gazety? – spytał Rupert – Wiecie, ile mieliśmy zabójstw w tym roku?

Pokręciłem głową.

– Jak dotąd trzydzieści siedem: trzydzieści siedem zabójstw tylko w tym roku. A w zeszłym roku tylko i aż dziewiętnaście. Nie mamy dostatecznie dużo ludzi, żeby się zajmować rozwiązywaniem morderstw, które wydarzyły się trzydzieści dni temu, a co dopiero tymi sprzed trzydziestu lat.

– My już rozwiązaliśmy tę sprawę – powiedziałem. – Wystarczy to jedynie zweryfikować.

– To nie takie proste. – Rupert zaczął składać papiery, jakby chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że nasza rozmowa dobiegła końca. – Dowody muszą być dostatecznie mocne, żeby przekonać mojego szefa do ponownego otwarcia sprawy. Następnie mój szef musi przekonać prokuratora hrabstwa, że jego biuro pokpiło sprawę i trzydzieści lat temu skazało niewinnego człowieka, posyłając go za kratki. Potem musicie iść z tym do sądu i przekonać sędziego, żeby unieważnił wyrok. Mówicie, że temu Iversonowi zostało zaledwie kilka tygodni życia. Nawet gdybym wam uwierzył – a wcale nie mówię, że tak jest – nie ma szans na unieważnienie wyroku i oczyszczenie go z zarzutów przed śmiercią.

Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Lila i ja byliśmy tacy zaaferowani, kiedy złamaliśmy szyfr. Prawda zdawała się wyskakiwać z tych stron i krzyżeć do nas. Wiedzieliśmy, że Carl był niewinny. Podejrzywałem, że detektyw Rupert też to sobie uświadomił, i dlatego trudno mu było tłumaczyć się przed nami brakiem ludzi do zajęcia się tą sprawą. Znałem akta Carla dostatecznie dobrze, by wiedzieć, jak wielu ludzi zaangażowano do działania, kiedy uważano, że Carl był winny, teraz jednak, gdy mogliśmy udowodnić jego niewinność, cały system okazywał się zardzewiały. Wydawało się to nieuczciwe. Rupert oddał mi papiery.

– To nie w porządku – orzekłem. – Nie jestem jakimś świrem, który przychodzi tu i mówi, że ten człowiek jest niewinny, bo powiedział mi o tym pies albo miałem wizję podczas pałaszowania porannej porcji płatków. Przynieśliśmy konkretne dowody. A pan nie zamierza nic z tym zrobić, bo macie za mało ludzi? To jakieś bzdury.

– Ejże, ejże... chwileczkę... proszę posłuchać.

– Nie, raczej niech pan posłucha – przerwałem mu. – Gdyby pan uznał, że

plotę trzy po trzy, i wywalił mnie za drzwi, zrozumiałbym to. Ale pan nie zamierza zająć się tą sprawą, bo byłoby z nią za dużo zachodu?

– Tego nie powiedziałem...

– A więc zajmie się pan tą sprawą?

Rupert uciszył mnie, unosząc dłoń. Spojrzał na leżącą przede mną teczkę. A potem opuścił dłoń i oparł się o blat stołu.

– Zrobimy tak – zaproponował. – Mam przyjaciela, który pracuje w Innocence Project. – Sięgnął do kieszeni, wyjął jedną ze swoich wizytówek i napisał na odwrocie nazwisko. – Boady Sanden. Jest wykładowcą prawa w Hamline Law School. – Podał mi wizytówkę. – Wydobędę nasze stare akta z archiwum, zakładając, że jeszcze tam są, a wy skontaktujcie się z Boadym, może zdoła wam pomóc. Zrobię, co w mojej mocy, ale nie miejcie wielkich nadziei. Jeżeli ten wasz facet jest niewinny, Boady będzie w stanie pomóc, żeby nowe dowody zostały uznane i zatwierdzone przez sąd.

Spojrzałem na wizytówkę z nazwiskiem Ruperta po jednej stronie i profesora Sandena na odwrocie.

– Niech Boady do mnie zadzwoni – dodał detektyw. – Powiem mu, co mamy w aktach, jeśli cokolwiek znajdę.

Lila i ja wstaliśmy, szykując się do wyjścia.

– Jeszcze jedno, Joe – powiedział Rupert. – Jeśli każesz mi wyprawić się z motyką na słońce, odpłacę ci za to. Nie lubię, gdy ktoś próbuje mną manipulować. Czy to jasne?

– Jak słońce – odparłem krótko.

Carl nie spodziewał się mojej wizyty.

Po spotkaniu z detektywem Maxem Rupertem podrzuciłem Lilę do domu i pojechałem do Hillview Manor, żeby przekazać Carlowi dobrą wiadomość. Wydawało mi się, że zastanę go siedzącego na wózku inwalidzkim przy oknie, ale tak nie było. Przez cały dzień nie wstawał z łóżka – nie był w stanie się podnieść. Wyniszczająca choroba tak go osłabiła, że konieczne było podłączenie go pod kroplówkę i założenie mu maski tlenowej.

Pani Lorngren początkowo wahała się przed wpuszczeniem mnie do Carla, ale ustąpiła, gdy opowiedziałem jej o dokonanym przez nas przełomie. Pokazałem jej nawet zaszyfrowane wpisy z pamiętnika oraz ich treść już po rozszyfrowaniu. Gdy wyjaśniłem, że Carl był niewinny, zmartwiła się.

– Obawiam się, że nie byłam zbyt dobrą chrześcijanką – wyznała.

Posłała Janet, by sprawdziła, jak się miewa Carl i czy może mnie przyjąć. Minutę później odprowadziły mnie do jego drzwi. Pokój Carla był wyposażony w łóżko, nieduży stolik, drewniane krzesło i szafę z komódką oraz pojedyncze okno, przez które niewiele było widać. Ściany w kolorze mchu ozdobione były jedynie instrukcjami dotyczącymi zachowania higieny. Carl leżał w łóżku z plastikową rurką maski tlenowej w nosie i igłą kroplówki w przedramieniu.

– Przepraszam, że wpadam bez zapowiedzi – odezwałem się – ale mam coś, czym chciałem się z tobą podzielić.

– Joe – powiedział – miło cię widzieć. Myślisz, że dziś będzie padać śnieg?

– Nie sądzę – odparłem, wyglądając przez okno na zeschnięte gałęzie niepielęgowanych krzaków bzu przesłaniających widok. – Byłem dziś na spotkaniu z detektywem.

– Chciałbym, żeby spadł śnieg – ciągnął – żeby, zanim umrę, spadł jeszcze raz naprawdę wielki śnieg.

– Wiem, kto zabił Crystal Hagen – wypaliłem.

Carl zamilkł i spojrzał na mnie, jakby próbował zmienić tok swoich myśli.

– Nie rozumiem – stwierdził.

– Pamiętasz pamiętnik, który prokurator wykorzystał, żeby cię skazać?

– O tak – odparł z melancholijnym uśmiechem. – Pamiętnik. Zawsze sądziłem, że była naprawdę cudowną dziewczyną, ćwiczyła do układów cheerleaderek na podwórzu za domem i cały czas miała mnie za zбочeńca pedofila. Tak, pamiętam.

– A pamiętasz wpisy z liczbami? Zasyfrowane informacje?

Rozszyfrowałem je... a raczej dokonaliśmy tego wspólnie, mój brat, ja i Lila.

– A niech mnie. – Carl uśmiechnął się. – Jesteście naprawdę niesamowici.

I co tam było napisane?

– Wszystko, co zamieściła w pamiętniku na temat tego, że przymuszano ją do seksu i jej grożono, nie dotyczyło ciebie. Tylko kogoś, kto nazywał się DJ.

– DJ? – powtórzył.

– Douglas Joseph Lockwood – wyjaśniłem. – Crystal mówiła nie o tobie, lecz o swoim ojczymie.

– O swoim ojczymie. Biedna dziewczyna.

– Jeśli uda mi się wznowić twoją sprawę, będę mógł doprowadzić do uwolnienia cię od wszelkich zarzutów – powiedziałem. – A jeśli gliny nie zechcą zainteresować się tym, co naprawdę się wydarzyło, sam się tym zajmę.

Carl westchnął, opuścił głowę na poduszkę i skierował wzrok na zeszcły krzak bzu za oknem.

– Nie rób tego. Nie chcę, żebyś się dla mnie narażał. Poza tym zawsze wiedziałem, że nie ja ją zabiłem. A teraz ty także to wiesz. To mi wystarczy.

Jego słowa zbiły mnie z tropu. Nie mogłem uwierzyć, że mówił to z takim spokojem. Ja nie posiadałbym się z radości.

– Nie chcesz, żeby ludzie się dowiedzieli, że nie ty ją zabiłeś? – spytałem. – Żeby oczyszczono twoje imię? Żeby wszyscy zrozumieli, że prokurator popełnił straszliwy błąd, posyłając cię do więzienia?

Uśmiechnął się ciepło.

– Pamiętasz, jak mówiłem, że zostało mi już niewiele godzin życia? – spytał.

– Ile tych godzin powinienem zmarnować, przejmując się tym, co stało się trzydzieści lat temu?

– Ale przecież przesiedziałeś w więzieniu trzydzieści lat za zbrodnię, której nie popełniłeś – zauważyłem. – To nie w porządku.

Carl odwrócił się do mnie, oblizał bladym językiem spierzchnięte wargi i patrząc na mnie, powiedział:

– Nie mogę żałować, że mnie aresztowano i wtrącono do więzienia. Gdybym tej nocy nie został aresztowany, nie byłoby mnie tu dzisiaj.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zdziwiłem się.

– Wiesz, że tego dnia, gdy zabito Crystal, kupiłem pistolet. Nabyłem tę spluwę, żeby skończyć ze sobą, a nie żeby użyć jej przeciwko tej biednej dziewczynie.

– Żeby skończyć ze sobą?

Jego głos stał się cichy, Carl musiał odchrząknąć, zanim mógł mówić dalej.

– Nie zamierzałem dożyć następnego dnia. Chciałem skończyć ze sobą jeszcze tamtej nocy. To nie tak miało być. Dwa czy trzy razy przyłożyłem pistolet do skroni, ale zabrakło mi jaj, żeby pociągnąć za spust. Wyjąłem z kredensu

butelkę whisky. Potrzebowałem alkoholu, żeby przytępił moje zmysły i dodał mi odwagi. Ale wypłem za dużo, a kiedy się obudziłem, dwóch wielkich gliniarzy wywlekało mnie z domu. Gdyby mnie nie aresztowali, dokończyłbym to, co postanowiłem.

– Nie zabiłeś się w Wietnamie, bo nie chciałeś trafić do piekła, pamiętasz?

– Zanim kupiłem spluwę, Bóg i ja nie byliśmy w najlepszej komitywie. Ja już byłem w piekle. Nie dbałem o nic. Wszystko przestało mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Nic się nie liczyło. Nie mogłem żyć z tym, co zrobiłem. Nie potrafiłem przeżyć sam ze sobą kolejnego dnia.

– Wszystko dlatego, że nie byłeś w stanie uratować tej dziewczyny w Wietnamie?

Carl odwrócił ode mnie wzrok. Oddech miał coraz płytszy. Ponownie oblizał popękane wargi, przez chwilę próbował pozbierać myśli.

– To nie wszystko – powiedział. – Od tego się zaczęło, ale nie był to koniec tej historii.

Milczałem. Obserwowałem go, czekając na wyjaśnienia. Poprosił o wodę i podałem mu szklankę. Upił kilka łyków, by zwilżyć spękane usta.

– Powiem ci coś – rzekł łagodnie. – Coś, czego nigdy nikomu nie mówiłem, nawet Virgilowi. Powiem ci to, bo obiecałem, że będę wobec ciebie szczery. Miałem niczego przed tobą nie ukrywać.

Carl ułożył głowę na poduszce i wlepił wzrok w sufit. Patrzyłem, jak trudne i bolesne wspomnienia odciskają się na jego twarzy. Chciałem oszczędzić mu tego cierpienia, powiedzieć, że może zachować tę tajemnicę dla siebie, ale nie mogłem. Pragnąłem to usłyszeć. Musiałem to usłyszeć. Gdy zebrał siły, mówił dalej.

– Po potyczce, w której Virgil i ja zostaliśmy ranni, Virgila odesłano do domu, a ja spędziłem miesiąc na rekonwalescencji w Da Nang, zanim wróciłem do swojej jednostki. Wietnam był znośny, kiedy byli tam ze mną Virgil i Tater, ale bez nich... no cóż... nie potrafię opisać słowami, jak nisko upadłem. I gdy już myślałem, że gorzej być nie może, okazało się, że jednak się myliłem.

Wzrok mu się zamglił, gdy znów wrócił do Wietnamu.

– W lipcu sześćdziesiątego ósmego wyruszyliśmy na rutynową misję zwiadowczo-likwidacyjną, czyli przetrząsnąć jakąś wioskę bez nazwy w poszukiwaniu żywności i amunicji, to co zwykle. Było diabelnie gorąco, upał zwał z nóg, a moskity wielkości wałek wysysały z nas całą krew. Zastanawiałem się, czemu ktokolwiek mógłby chcieć mieszkać w tym zapomnianym przez Boga zakątku świata albo czemu, u licha, ktokolwiek mógłby chcieć o to miejsce walczyć. Gdy przeszukiwaliśmy wioskę, zobaczyłem dziewczynę biegnącą ścieżką nieopodal. Wpadła do jednej z chat. Ujrzałem też Gibbsa, który ją obserwował i szedł za nią. Zapowiadała się powtórka z Oxbow.

Usta Carla zadrżały, gdy upił łyk wody, zanim ponownie podjął swoją



opowieść.

– W tym momencie odniosłem wrażenie, że wojna wokół mnie nagle ustała. Cały ten szajs, krzyki, upał, dobro i zło rozpląły się gdzieś, pozostawiając tylko mnie i Gibbsa. Liczyło się dla mnie tylko to, żeby go powstrzymać. Gdy wszedłem do chaty, Gibbs miał już spuszczone spodnie. Pobił dziewczynę do krwi i przyłożył jej nóż do gardła. Uniosłem karabin i wymierzyłem w jego głowę, dokładnie między oczy. Spojrzał na mnie, splunął mi na but sokiem tytoniowym i powiedział, że zajmie się mną za moment. Zawołałem, żeby przestał, ale tego nie zrobił. „Zastrzel mnie, ty pieprzony tchórze – wycedził. – Zastrzel mnie, a postawię cię przed plutonem egzekucyjnym”. Miał rację. Byłem gotowy umrzeć w Wietnamie, ale nie w ten sposób. Kiedy odłożyłem karabin, Gibbs zaśmiał się, kpiąc ze mnie, dopóki nie zobaczył, że wyciągnąłem nóż. Oczy zrobiły mu się wielkie jak kurze jajka, gdy wbiłem mu nóż prosto w serce i patrzyłem, jak wykrwawia się przy mnie na śmierć. Wydawał się zaskoczony, nie wierzył, że go to spotkało.

Głos Carla wyrównał się, był spokojny i wydobywał się z jego ust łagodnie jak samolot, który opuszcza strefę groźnych burz.

– Widzisz, Joe, zamordowałem sierżanta Gibbsa. Zamordowałem go z zimną krwią.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Carl zamilkł. Dotarł do końca swojej opowieści. Wyjawiał mi prawdę. Cisza, jaka zapadła, ścisnęła mi klatkę piersiową z taką siłą, że myślałem, iż lada moment serce stanie mi w piersi, czekałem jednak, aż Carl zacznie mówić dalej.

– Pomogłem tej dziewczynie się ubrać, wyprowadziłem ją z chaty i kazałem uciekać *di di mau* do dżungli. Potem odczekałem chwilę i oddałem kilka strzałów w powietrze, żeby wezwać posiłki. Powiedziałem, że widziałem, jak ktoś biegnie w stronę dżungli.

Znów przerwał i popatrzył na mnie.

– A więc jak widzisz, Joe, jednak jestem mordercą.

– Ale ocaliłeś życie tej dziewczynie – odparowałem.

– Nie miałem prawa odebrać go Gibbsowi. W Stanach miał żonę i dwoje dzieci, a ja go zamordowałem. W Wietnamie zabiłem wielu wspaniałych ludzi... naprawdę wielu... ale oni byli żołnierzami. Żołnierzami wroga. Wykonywałem swoją robotę. Natomiast zamordowałem Gibbsa i w moim odczuciu zamordowałem też tamtą dziewczynę w Oxbow. Nie poderżnąłem jej gardła, ale i tak ją zamordowałem. Kiedy więc aresztowano mnie pod zarzutem zamordowania Crystal Hagen... jakaś część mnie uznała, że już czas, bym spłacił swój dług. Zanim poszedłem do więzienia, każdej nocy przed snem widziałem twarz tej biednej wietnamskiej dziewczyny. Widziałem jej palce poruszające się kurczowo, przywołujące, żebym zbliżył się do niej, żebym jej pomógł. Niezależnie ile whisky wypłem, nie byłem w stanie przyćmić tego wspomnienia.

Carl zamknął oczy i pokręcił głową, wspominając.

– Boże, ależ ja piłem. Chciałem zagłuszyć w sobie ten ból.

Widziałem po twarzy Carla, jak opuszczają go siły, słowa z coraz większym trudem wypływały z jego ust. Napił się jeszcze wody i odczekał, aż odzyska swobodniejszy oddech.

– Myślałem, że więzienie pozwoli mi uciszyć moje demony, pogrzebać tę część mojego życia, to, co zrobiłem w Wietnamie. Ale żaden dół nie jest dość głęboki. – Spojrzał na mnie. – Niezależnie jak bardzo się starasz, przed pewnymi rzeczami nie sposób uciec.

Coś w jego oczach powiedziało mi, że dostrzegał także moje brzemienie winy. Zacząłem wiercić się nerwowo na krześle, gdy cisza po wyznaniu Carla stała się niezręczna i nieprzyjemna.

– Jezu, ten cholerny rak boli jak skurwysyn – powiedział.

– Mam kogoś wezwać? – spytałem.

– Nie – odparł przez zaciśnięte zęby. – To minie. Zaciśnął dłonie w pięści i znieruchomiał, aż jego oddech odzyskał spokojny płytki rytm. – Chcesz wiedzieć, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze? – odezwał się znowu.

– Jasne – odparłem.

– Po tym okresie, gdy chciałem umrzeć i szukałem śmierci, dopiero w więzieniu zrozumiałem, że pragnę żyć.

– Spodobało ci się w więzieniu?

– Oczywiście, że nie – zachichotał pomimo bólu. – Nikt nie lubi więzień. Ale zacząłem czytać, myśleć i spróbowałem zrozumieć samego siebie oraz moje życie. Pewnego dnia leżałem na pryczy i zastanawiałem się nad zakładem Pascala.

– Zakładem Pascala?

– Filozof Blaise Pascal powiedział, że jeśli mamy wybór: wierzyć w Boga albo nie wierzyć, lepiej jednak jest w niego uwierzyć. Bo jeśli będziesz wierzył w Boga i okaże się, że się pomyliłeś, to nic się nie stanie. Po prostu umrzesz, rozplywając się w nicości wszechświata. Ale jeśli nie będziesz wierzył w Boga i okaże się, że popełniłeś błąd, na całą wieczność trafisz do piekła, a przynajmniej tak twierdzą niektórzy.

– Taki sobie powód, żeby obudzić w sobie przekonania religijne – skwitowałem.

– W sumie tak – przyznał. – Otaczały mnie setki mężczyzn czekających, aż ich życie dobiegnie końca, i mających nadzieję, że po śmierci spotka ich coś lepszego. Czuję się tak samo. Chciałem uwierzyć, że po drugiej stronie jest coś lepszego. W więzieniu zabijałem czas, oczekując pójścia na tamten świat. I wtedy pomyślałem o zakładzie Pascala, ale z pewną drobną modyfikacją. A jeśli się mylę? Jeżeli nie ma lepszego świata po tamtej stronie? Jeśli pośród eonów wieczności ten czas był jedynym okresem, kiedy mogę poczuć, że żyję? Jak

w takim razie powinienem przeżyć swoje życie? Rozumiesz, o co mi chodzi? A jeśli to życie jest wszystkim, co mamy?

– Cóż, chyba wielu martwych kapłanów musiało być naprawdę nielicho rozczarowanych – odparłem.

Carl zachichotał.

– Otóż to. Ale znaczy to również, że ten świat jest naszym niebem. Każdego dnia otaczają nas cudowności życia, cuda niepojęte, które przyjmujemy bez zastanowienia jako coś naturalnego. Tego dnia postanowiłem, że przeżyję swoje życie najlepiej jak się da, że nie zniżę się do zwykłej wegetacji. Jeśli umrę i odkryję po tamtej stronie niebo, cóż, będzie wspaniale i na pewno się ucieszę. Jeśli jednak nie przeżyję swojego życia tak, jakbym już był w niebie, a po śmierci czeka mnie tylko pustka... wówczas... okaże się, że zmarnowałem swoje życie. Że zmarnowałem jedyną okazję w dziejach, żeby naprawdę żyć.

Carl zamilkł, obserwując sikorkę, która przysiadła na gałęzi bzu. Obaj przyglądaliśmy się ptaszкови przez kilka minut, aż wreszcie sikorka odleciała, a Carl ponownie przeniósł uwagę na mnie.

– Przepraszam – powiedział. – Gdy powracam do przeszłości, zdarza się, że zaczynam filozofować.

Znów przyłożył dłonie do brzucha, a spomiędzy jego ust wydobył się cichy jęk bólu. Zamknął oczy i zacisnął zęby. Fala bólu, zamiast minąć, wciąż narastała. Carlowi zdarzały się już dłuższe chwile cierpienia, ale nigdy dotąd nie widziałem, żeby było aż tak źle. Odczekałem kilka sekund; twarz Carla wykrzywił grymas udreki, jego nozdrza wydęły się, gdy próbował zaczerpnąć powietrza. Czy tak to się skończy? Czy Carl właśnie umierał? Wypadłem na korytarz, żeby wezwać pielęgniarkę. Przybiegła do pokoju ze strzykawką w dłoni. Oczyściła wlot kroplówki i zaaplikowała Carlowi morfinę. Po kilku sekundach jego mięśnie zaczęły się rozluźniać, szczęki zwiotczały, głowa ciężko opadła na poduszkę. Był strzępem człowieka kompletnie pozbawionym sił. Balansował na granicy życia i śmierci. Starał się nie zasnąć, ale oczy mu się zamykały. Był ledwie żywy.

Czuwałem przy nim chwilę, zanim zapadł w sen, i zastanawiałem się, ile dni mu jeszcze zostało – albo raczej ile godzin. I ile czasu zostało mnie, żebym mógł zrobić to, co musiałem.

Gdy wróciłem do domu, wyjąłem z portfela wizytówkę Maxa Ruperta z nazwiskiem profesora Boady'ego Sandena na odwrocie i zadzwoniłem. Profesor Sanden wydał mi się miłym facetem i umówił się ze mną na spotkanie nazajutrz o czwartej po południu. W czwartek miałem zajęcia z ekonomii, które kończyły się wpół do czwartej. Gdybym wiedział, że wykład będzie powtórzeniem słowo w słowo tego, co miałem w podręczniku, odpuściłbym go sobie i wcześniej wybrałbym się na Uniwersytet Hamline. Wsiadłem z autobusu w St. Paul i miałem do przejścia dziewięć przecznic i tylko sześć minut, by dotrzeć na miejsce na czas. Pokonałem pierwszych siedem przecznic biegiem, a dwie ostatnie przeszedłem w rozpiętym płaszczu, żeby chłodny zimowy wiatr osuszył moje spocone ciało. Dotarłem do drzwi gabinetu profesora Sandena punktualnie.

Spodziewałem się, że profesor prawa będzie starszkiem, siwiuteńkim jak gołąbek, noszącym tweedową marynarkę i muszkę, ale Sanden, który przywitał mnie w drzwiach, miał na sobie dżinsy, flanelową koszulę i mokasyny. Mógł poszczycić się drobną bródką, a kasztanowe włosy miał przyprószone siwizną jedynie na skroniach. Uścisnął mi rękę energicznie, z siłą robotnika pracującego od lat na budowie.

Zabrałem ze sobą teczkę z materiałami, tę samą, którą pokazałem detektywowi Rupertowi. Profesor Sanden zrobił trochę miejsca na zagraconym blacie biurka i zaproponował mi kawę. Od razu go polubiłem. Nie powiedziałem mu, że Carl został zwolniony warunkowo z więzienia, bo przypomniałem sobie, że ta informacja stłumiła entuzjazm Maxa Ruperta. Nie chciałem, żeby profesor Sanden zbył mnie pod pretekstem, że Carl już nie przebywa w więzieniu.

Rozpocząłem prezentację sprawy od zdjęć okna w domu Lockwoodów.

– To ciekawe – stwierdził Sanden.

– Będzie jeszcze ciekawiej – zapewniłem.

Wyjąłem z teczki stronicę z pamiętnika i ułożyłem je przed nim, żeby wyjaśnić, jak prokurator wykorzystał zapiski, by odmalować fałszywy obraz Carla Iversona i go skazać. Potem pokazałem mu rozszyfrowane wpisy zawierające nazwisko zabójcy. Przekrzywił głowę, gdy przeczytałem o DJ-u.

– DJ. Douglas Joseph. To ma sens – powiedział profesor. – Jak udało ci się złamać szyfr?

– Nie mnie, tylko mojemu autystycznemu bratu – wyjaśniłem.

– Jest sawantem? – zapytał.

– Nie – odparłem. – Miał po prostu szczęście. Crystal Hagen tamtej jesieni

uczęszczała na zajęcia z maszynopisania i oparła swój szyfr na wzorcowym zdaniu... no wie pan, tym, które zawiera wszystkie litery alfabetu.

Profesor Sanden zamyślił się przez chwilę.

– Coś o tym, że trzeba być mężnym?

– Tak – odparłem. – To był jej szyfr, jej enigma, maszyna szyfrująca, a gdy odkryliśmy klucz do szyfru, odpowiedź ukazała się czarno na białym. Jak się zorientowaliśmy, Doug przekonał Danny’ego, by zeznał, że obaj byli w salonie sprzedaży samochodów. Danny nie znosił macochy i wiedzieliśmy, że małżeństwo nie było udane. Może Doug powiedział Danny’emu, że w ten sposób tuszuje co innego.

– Na przykład co? – spytał Sanden.

– Andrew Fisher, ówczesny chłopak Crystal, powiedział, że pan Lockwood w tajemnicy przed żoną chodził do klubów ze striptizem. Może Doug przekonał Danny’ego, by skłamał, ponieważ Danny myślał, że w ten sposób ratuje ojca przed kłopotami. Poza tym nikt nie podejrzewał Douga. Policja od razu przyskrzyniła Carla Iversona. Wszyscy uważali, że to Carl zabił.

– Wydaje się sensowne, że zrobił to ojczym – przyznał Sanden.

– Dlaczego?

– Był blisko niej, mieszkał w tym samym domu. Nie łączyły ich więzy krwi, mógł zatem usprawiedliwić swoje uczucia do niej. Wykorzystał tajemnicę, którą odkrył, by zyskać władzę i kontrolę nad ofiarą. Jednym z kluczowych celów każdego pedofila jest odizolowanie ofiary, wzbudzenie w niej strachu, żeby nie mogła nikomu powiedzieć o tym, co się z nią dzieje. Wywołanie przeświadczenia, że ujawnienie prawdy zniszczyłoby jej rodzinę i wszyscy obwinialiby za to wyłącznie ją. On właśnie to robił. Zaczął od okularów, posłużyły mu za pretekst, by zyskać nad nią władzę, by zmusić ją, żeby go dotknęła. Potem rozszerzał zakres żądań, powolutku, małymi krokami. Najsmutniejsze jest to, że do śmierci Crystal przyczyniło się jej odkrycie, że może odwrócić tę sytuację i postawić się ojczymowi. Nie mógł dopuścić, żeby uwolniła się spod jego wpływu.

– Jak możemy dopaść tego typu? – spytałem.

– Czy na miejscu odkryto jakieś płyny ustrojowe? Krew, ślinę, nasienie?

– Koroner ustalił, że została zgwałcona, w jej ciele odkryto ślady spermy.

– Gdyby wciąż mieli te próbki, moglibyśmy na tej podstawie ustalić DNA.

Jedyny problem polega na tym, że to było trzydzieści lat temu. Wtedy nie robiono badań DNA. Możliwe, że próbka się nie zachowała, a jeśli nawet, może być tak zniszczona, że nie zdołamy jej już wykorzystać. Płynne próbki nie przechowują się dobrze. Jeżeli próbka krwi jest sucha, DNA jest w stanie przetrwać wiele dekad.

Profesor Sanden wcisnął przycisk głośnomówiący i wybrał numer w telefonie.

– Zadzwońmy do Maxa i przekonajmy się, co dla nas ma.

– Boady? – rozległ się grzmiący głos Maxa Ruperta. – Co u ciebie?  
– Znasz mnie, Max, wciąż walczę. A co u ciebie?  
– Jeśli zlecą mi kolejną sprawę o morderstwo, to chyba kogoś ukatrupię – odparł ze śmiechem.

– Max, przełączyłem cię na głośnik. Jest tu ze mną dzieciak, niejaki Joe Talbert.

– Cześć, Joe. – Te słowa płynące z głośnika zabrzmiały ciepło, jakbyśmy byli starymi kumplami.

– Czołem... detektywie – odpowiedziałem.

– Przejrzałem dowody, które mi dostarczył Joe – rzekł profesor Sanden. – Chyba faktycznie na coś trafił.

– Zawsze tak mówisz, Boady – powiedział Rupert. – Wydobyłem nasze akta z piwnicy i zadałem sobie trud, żeby je przejrzeć.

– Jakież płyny? – spytał Sanden.

– Ciało dziewczyny zostało spalone w składziku, szopie na narzędzia albo garażu. Jej nogi spłonęły niemal doszczętnie, płyny w ciele zagotowały się. Laboratorium potwierdziło obecność spermy, ale próbka była zbyt zniszczona, żeby dało się ustalić coś więcej. W nasieniu nie było krwi. O ile mi wiadomo, nie zachowały się żadne próbki. Skontaktowałem się z BZP i oni też nic nie mają.

– BZP? – spytałem.

– Biuro Zatrzymań Przystępców – wyjaśnił profesor Sanden. – To taka nasza wersja CSI. – Ponownie przeniósł uwagę na telefon. – Żadnych śladów krwi? Śliny?

– Całe jej ubranie spłonęło w pożarze – odrzekł Max.

– A co się stało z paznokciem? – spytałem.

– Z paznokciem? – Profesor Sanden wyprostował się na krześle. – Z jakim paznokciem?

Nagle poczułem się jak pełnoprawny uczestnik tej rozmowy.

– Dziewczyna miała sztuczne paznokcie. Jeden z nich znaleziono na tylnym ganku domu Carla Iversona. Doug musiał go tam podrzucić, żeby zrobić Carla.

– Jeżeli ofiara straciła paznokcie podczas walki, mogą być na nim komórki skóry – stwierdził Sanden.

– W aktach nie ma żadnego paznokcia – rzekł Rupert.

– Pewnie będzie w skarbcu B – wtrącił Sanden.

– W skarbcu B? – spytałem.

– Tam przechowywane są dowody dopuszczone przez sąd do wykorzystania podczas procesu – odrzekł Sanden. – To sprawa o morderstwo, więc musiały zostać zachowane.

Poślemy gońca, żeby pobrał wymaz od Iversona i zdobędziemy nakaz sądowy, by wydano nam ten paznokieć. Jeżeli na paznokciu są ślady DNA, albo

dowiedzie to winy Iversona, albo da nam pretekst do ponownego otwarcia sprawy.

– Prześle ci spis materiałów dowodowych, jakimi dysponujemy – powiedział Rupert.

– Doceniam twoją pomoc, Max – stwierdził Sanden.

– Drobiazg, Boady. Przygotuję co trzeba – zapewnił detektyw.

– Widzimy się w piątek na pokerku?

– No jasne.

Sanden zakończył połączenie. Wydawało mi się, że zrozumiałem, co się teraz stanie, ale chciałem to potwierdzić.

– A więc, profesorze...

– Mów mi Boady.

– Dobrze, Boady, jeżeli na tym paznokciu są komórki skóry, to eksperci będą mogli pozyskać z nich DNA?

– Oczywiście i być może także próbkę krwi. Wygląda na to, że był przechowywany w suchym miejscu. Nie ma pewności, że pozyskają DNA, ale jeżeli tak się stanie – i okaże się, że nie jest to DNA Carla Iversona – w połączeniu z tym pamiętnikiem i wszystkim, co udało ci się ustalić, powinniśmy doprowadzić do wznowienia procesu i zapewne także do uniewinnienia tego człowieka.

– Jak szybko możemy się o tym przekonać?

– Podejrzewam, że wyniki testu DNA będą znane za jakieś cztery miesiące, dodajmy do tego jeszcze dwa, zanim sprawa trafi do sądu...

Zrobiło mi się ciężko na sercu i pochyliłem głowę.

– On nie ma tyle czasu – powiedziałem. – Umiera na raka. Może być martwy już za cztery tygodnie, a co dopiero mówić o czterech miesiącach. Muszę oczyścić jego imię, zanim umrze.

– To twój krewny?

– Nie. Po prostu facet, którego poznałem. Ale muszę to zrobić.

Odkąd Lila złamała szyfr, wspomnienie dziadka ginącego w odmętach rzeki nawiedzało mnie w snach, mącąc moje myśli za każdym razem, gdy byłem przekonany że udało mi się je uspokoić. Wiedziałem, że nie odmienię przeszłości, ale to nie miało znaczenia. Musiałem to zrobić. Dla Carla? Dla dziadka? Dla siebie? Nie wiedziałem. Ale po prostu musiałem to zrobić.

– Cóż, to może być trudne. – Profesor Sanden postukał palcami w blat biurka, zastanawiając się. – Moglibyśmy skorzystać z usług prywatnego laboratorium, dzięki czemu uzyskalibyśmy wyniki szybciej niż od BZP, ale nawet wtedy nie ma żadnych gwarancji. – Znów stukał palcami. – Mogę spróbować pociągnąć za pewne sznurki, poprosić ludzi, by wyświadczyli mi przysługę, ale nie robiłbym sobie większych nadziei. – Spojrzał na mnie z powagą i wzruszył ramionami. – Chyba mogę stwierdzić jedynie, że zrobię, co w mojej mocy.

– Czy moglibyśmy zrobić coś jeszcze oprócz badania DNA? Mam na myśli

na przykład pamiętnik.

– Pamiętnik jest świetny – odparł. – Ale nie wystarczy. Jeżeli ten Lockwood nie przyjdzie z własnej woli do sądu i nie wyzna otwarcie swoich win, nie możemy zrobić nic więcej, tylko cierpliwie czekać na wyniki testów DNA.

– Przyznanie się do winy... – powiedziałem półgłosem, gdy w mojej głowie zaczęła formułować się mroczna, ryzykowna myśl, która będzie mi towarzyszyć przez całą drogę do domu i nękać mnie z zjadłością rozzłoszczonego dziecka. Wstałem i sięgnąłem ponad biurkiem, by ucisnąć dłoń Boady’ego. – Bardzo dziękuję.

– Nie dziękuj mi jeszcze. Aby to wszystko się udało, musi nam sprzyjać wiele okoliczności.

Przez kilka następnych dni, gdy rozpaczliwie próbowałem nadrobić zaległości z innych zajęć, borykałem się z dwiema myślami, które uparcie objęły się w mojej głowie jak rzucana raz po raz moneta. Owszem, mogłem zaczekać. Profesor Sanden wprowadził w ruch sprawę Carla i ten wózek, kiedy już wyjęto kliny spod jego kół, powoli zaczynał się toczyć. Paznokiec zostanie przesłany w celu zbadania go na obecność DNA. Jeżeli Crystal walczyła z napastnikiem, DNA powinno należeć do Douga Lockwooda i ten dowód w połączeniu z pamiętnikiem pozwoli na uwolnienie Carla od zarzutów i oczyszczenie jego imienia. Ale to potrwa – a Carl Iverson nie miał tyle czasu. Wysiłki profesora Sandena uważałem za odpowiednik odmówienia kilku zdrowasiek i niewiele więcej. Jeżeli nie zdoła uzyskać w porę wyniku testów DNA, Carl umrze jako morderca, a ja zawiodę na całej linii.

Oczywiście było inne rozwiązanie – jak zawsze, gdy rzucamy monetą. Musiałem wiedzieć, że uczyniłem wszystko, co mogłem, żeby Carl Iverson odszedł z tego świata jako niewinny człowiek. Nie zniósłbym, gdyby umarł uważany za mordercę, zwłaszcza jeśli wiedziałem, że mogę to wszystko zmienić. Nie chodziło już o otrzymanie najwyższej oceny za pracę pisemną. Nie chodziło nawet o naiwną wiarę w to, że dobro i zło powinny znaleźć się w równowadze. Nie wiedzieć czemu w tej całej sprawie zaczęło chodzić o mnie, o to, że jako jedenastolatek byłem świadkiem śmierci swojego dziadka. Mogłem coś zrobić, ale tego nie uczyniłem. Powinienem być przynajmniej spróbować. Teraz, stojąc przed wyborem – działać albo czekać – czułem, że nie mam wyjścia. Musiałem działać. A jeśli na paznokciu nie było żadnych śladów DNA? Wtedy czas poświęcony na czekanie okazałby się czasem straconym.

W mojej głowie zaczęła kiełkować myśl maleńka jak ziarenko truskawki zasiane w niej przypadkiem przez profesora Sandena. A gdyby tak udało mi się skłonić Lockwooda, żeby przyznał się do winy?

Włączyłem laptop i zacząłem przeczesać internet w poszukiwaniu Douglasa Josepha Lockwooda. Na jednej stronie znalazłem policyjny raport



z aresztowania go za prowadzenie samochodu po pijanemu, a na innej sprawozdanie z biura komisarza policji na temat spotkania, na którym władze hrabstwa udzieliły Douglasowi Josephowi Lockwoodowi oficjalnego upomnienia i ostrzeżenia za wystawianie na terenie swojej posesji zdezelowanych pojazdów. Obie strony internetowe podawały ten sam adres w prowincjonalnym hrabstwie Chisago, na północ od Minneapolis. W raporcie o prowadzeniu pod wpływem alkoholu podano wiek i to się zgadzało. Zapisałem adres na świstku, który położyłem na blacie w kuchni. Leżał tam przez trzy dni, a ja niemal widziałem, jak pulsuje niczym bijące serce, gdy próbowałem przekonać samego siebie – albo może odwieść siebie od tego pomysłu – że powinienem odnaleźć Douglasa Lockwooda na własną rękę.

Ostatecznie facet od prognozy pogody sprawił, że podjąłem decyzję.

Włączyłem wiadomości, żeby mieć jakieś dźwięki w tle, gdy będę odrabiał pracę domową, i wtedy usłyszałem, jak facet od pogody zapowiada nadejście wielkich, niespotykanych od lat opadów śniegu. Spodziewano się, że będą naprawdę obfite, miało spaść pół metra śniegu. Te prognozy sprawiły, że pomyślałem o Carlu, o tym, że pragnie przed śmiercią zobaczyć jeszcze jedną naprawdę wielką śnieżycę. Postanowiłem się z nim spotkać, ujrzeć radość w jego oczach wywołaną widokiem sypiącego się z nieba białego puchu. I postanowiłem, że zanim pojedę do niego, odnajdę Douglasa Lockwooda i spróbuję go nakłonić, by przyznał się do winy.

Podszedłem do planu spotkania z Douglasem Lockwoodem, jak niektórzy mogliby próbować podejść do śpiącego byka. Długo chodziłem tam i z powrotem, rozważając możliwości, opracowując różne warianty i próbując pozbawić się resztek odwagi. Tego dnia na uczelni aż mnie nosiło. Błądziłem gdzieś daleko myślami, nie potrafiłem się skupić na wykładzie.

Po zajęciach poszedłem do Lili, żeby opowiedzieć jej o swojej decyzji dotyczącej odnalezienia Lockwooda. Może liczyłem na to, że spróbuje mnie od niej odwieść. Nie zastałem jej w domu. Zadzwoiłem do detektywa Ruperta. Odezwała się poczta głosowa, rozłączyłem się więc i włożyłem telefon do plecaka. Tłumaczyłem sobie, że po prostu pojedę do domu Lockwooda i rozejrzę się trochę, żeby sprawdzić, czy wciąż tam mieszka. Potem mógłbym złożyć raport Rupertowi, choć wątpiłem, żeby detektyw zechciał podjąć jakiegokolwiek działania na podstawie moich ustaleń. Na pewno będzie czekał na rezultat testów DNA. Będzie działał zgodnie z regulaminem, dlatego uzyska wyniki, gdy Carl Iverson odejdzie z tego świata. Tak więc uzbrojony w cyfrowy dyktafon, plecak i bez sprecyzowanego planu udałem się na północ.

Po drodze słuchałem muzyki, głośno, by piosenki zagłuszyły moje wątpliwości. Staralem się nie myśleć o tym, co robię, gdy sześciorasmówka zmieniła się w cztero-, a następnie dwupasmówkę, aż w końcu asfalt szosy ustąpił miejsca żwirowemu podjazdowi prowadzącemu do domu Douglasa Lockwooda. W ciągu trzydziestu minut, bo tyle zajęło mi dotarcie tam, drapacze chmur w tle zostały zastąpione przez drzewa, pole i wiejskie farmy. Cienkie szare chmury zasnuły późnopołudniowe niebo, a słabe grudniowe słońce zaczęło osuwać się ku zachodowi. Lekka mżawka ustąpiła miejsca śniegowi z deszczem, temperatura zaś spadła gwałtownie, gdy północny wiatr obwieścił nadejście zimowej śnieżycy.

Mijając dom Lockwooda, starą farmę nadgryzioną zębem czasu, o ścianach zbutwiałych i przechylających się ze starości, zwolniłem. Trawnik od frontu nie był ani razu skoszony latem i wyglądał raczej jak łąka niż podwórze przed domem, na żwirowym podjeździe zaś stał, niszczyjąc z wolna, stary ford taurus z plastikową plandeką zamiast tylnej szyby.

Zawróciłem przy wjeździe na pole tuż za domem i ruszyłem z powrotem. Gdy zbliżałem się do podjazdu, dostrzegłem postać poruszającą się za oknem. Przebiegł mnie dreszcz. Za tą szybą swobodnie krążył mężczyzna, który zamordował Crystal Hagen. Zaczął we mnie narastać gniew, gdy pomyślałem o grzechu Lockwooda kalającym dobre imię Carla. Wielokrotnie powtarzałem

sobie, że będzie to prosty wypad w teren, misja zwiadowcza w celu odnalezienia domu. Ale gdzieś w głębi zawsze wiedziałem, że będzie to coś więcej. Żółwym tempem wjechałem na podjazd przy domu Lockwooda; pod kołami mojego samochodu chrząścił żwir, moje dłonie zaciśnięte na kierownicy były coraz bardziej spocone. Zaparkowałem za zdezelowanym taurusem i wyłączyłem silnik. Na ganku było ciemno. Wewnątrz domu też panował półmrok, jedyne światło napływało gdzieś z jego wnętrza.

Włączyłem cyfrowy dyktafon i wszedłem na ganek, by zapukać do frontowych drzwi.

Nie zauważyłem żadnego ruchu ani nie usłyszałem niczyich kroków. Ponownie zapukałem. Tym razem z oświetlonego pomieszczenia na tyłach domu wynurzyła się niewyraźna postać, włączyła światło na werandzie i otworzyła frontowe drzwi.

– Douglas Lockwood? – spytałem.

– To ja – odparł, otaksowując mnie wzrokiem od stóp do głów, jakbym przestąpił niewidzialną granicę, której nie powinienem był przekroczyć.

Miał jakieś metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, a jego szyję, policzki i podbródek pokrywał mniej więcej trzydniowy zarost. Cuchnął alkoholem, papierosami i skwaśniałym potem.

Odchrząknąłem.

– Nazywam się Joe Talbert. Piszę pracę na temat śmierci pańskiej pasierbicy Crystal. Jeśli to możliwe, chciałbym z panem porozmawiać.

Na moment jego oczy rozszerzyły się i zaraz zwężyły w szparki.

– Ale... to już zamknięta sprawa – powiedział. – W czym rzecz?

– Piszę pracę na temat Crystal Hagen – powtórzyłem – a także na temat Carla Iversona i tego, co wydarzyło się w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym.

– Jesteś dziennikarzem?

– Wie pan, że Carl Iverson został wypuszczony z więzienia? – spytałem, próbując odwrócić jego uwagę i zasugerować, że zająłem się tą sprawą, ponieważ Carl wyszedł na warunkowe.

– Co takiego?

– Chciałbym z panem o tym pomówić. To zajmie tylko kilka minut.

Douglas obejrzał się przez ramię na podniszczone meble i pokryte zaciekami ściany.

– Nie spodziewałem się gości – powiedział.

– Mam do pana tylko kilka pytań.

Wymamrotał coś pod nosem i wszedł do środka, zostawiając otwarte drzwi. Gdy przestąpiłem próg, zobaczyłem pokój zasłany stertą porzucanych ubrań, pustymi opakowaniami po produktach żywnościowych i różnym szajsem, który można znaleźć na kiepskiej wyprzedaży garażowej. Zdążyliśmy zrobić za ledwie

kilka kroków, gdy Lockwood nagle się zatrzymał i odwrócił do mnie.

– To nie obora – rzekł, spoglądając na moje przemoczone buty.

Ja zaś popatrzyłem na sterty śmieci walające się od wejścia i chciałem zaoponować, ale ostatecznie zdjąłem buty i wszedłem za nim do kuchni, gdzie na blacie stołu leżały stare gazety, koperty z pismami od firm windykacyjnych i stos brudnych naczyń nagromadzonych co najmniej od tygodnia. Pośrodku stołu jak świąteczna ozdoba tkwiła na wpół opróżniona butelka jacka daniel'sa. Ostrożnie, by Lockwood nie zobaczył dyktafonu w kieszeni mojej koszulki, zdjąłem kurtkę i przerzuciłem ją przez oparcie krzesła, zanim usiadłem.

– Zastałem pańską żonę? – spytałem.

Spojrzał na mnie, jakbym splunął mu w twarz.

– Danielle? Ta suka? Od dwudziestu pięciu lat nie jest już moją żoną. Rozwiodła się ze mną.

– Przykro mi to słyszeć.

– Ja tam nie żałuję – odparł. – Lepiej mieszkać w pustyni niż z żoną kłótliwą, mrukliwą. Księga Przysłów rozdział dwudziesty pierwszy, wers dziewiętnasty[\*].

– Okej. Zakładam, że to ma sens – powiedziałem, próbując wrócić do zasadniczego tematu. – O ile sobie przypominam, Danielle zeznała, że tej nocy, kiedy zabito Crystal, była w pracy? Czy to prawda?

– Taa... A co to ma wspólnego z tym, że Iwersona wypuszczono z więzienia?

– Pan natomiast powiedział, że pracował do późna w swoim biurze w salonie sprzedaży używanych samochodów, zgadza się?

Zacisnął mocno usta, przyglądając mi się z uwagą.

– Do czego zmierzasz?

– Próbuję to zrozumieć, to wszystko.

– Co zrozumieć?

Mniej więcej w tym momencie stało się jasne, że nie mam żadnego sprecyzowanego planu, to było jak dysonans pojedynczego źle nastrojonego klawisza fortepianu, który zakłócał harmonię nienagannej jak dotąd kompozycji. Chciałem być subtelny. Chciałem być sprytny. Chciałem zastawić pułapkę, dzięki której wydobędę od Lockwooda przyznanie się do winy, zanim on zorientuje się, co się stało. A tymczasem przełknąłem mocno ślinę i rzuciłem bezceremonialnie:

– Próbuję zrozumieć, dlaczego skłamałeś, mówiąc o tym, co się stało z twoją pasierbicą.

– Co, u diabła? – zawołał. – Za kogo ty się, do cholery...

– Znam prawdę! – wrzasnąłem. Chciałem uciszyć wszelkie protesty, zanim jeszcze jakiegokolwiek słowa zdążyły wypłynąć z jego ust. Chciałem, by zrozumiał, że to koniec. – Znam prawdę o tym, co się stało z Crystal.

– Dlaczego ty... – Lockwood zgrzytnął zębami i wychylił się na krzesło do przodu. – Crystal padła ofiarą gniewu bożego. Sama to na siebie sprowadziła. –

Rąbnął pięścią w stół. – A na jej czole wypisane imię – tajemnica: Wielki Babilon. Macierz nierządnic i obrzydliwości ziemi.

Chciałem wejść z nim w spór, ale ten cytat wytrącił mnie z równowagi. Lockwood wyrzucał z siebie coś, co zapewne wmawiał sobie od lat, coś, co miało złagodzić jego winę. Zanim zdołałem zebrać się w sobie, odwrócił się do mnie z płonąącym wzrokiem i zapytał:

– Kim jesteś?

Sięgnąłem do tylnej kieszeni i wyjąłem kopię stronic z pamiętnika. Położyłem je przed Douglasem Lockwoodem z zaszyfrowaną wersją na wierzchu.

– Carl Iverson został skazany, bo przysięgli zostali przekonani, że te wpisy w pamiętniku Crystal dotyczyły właśnie jego. Pamiętasz ten szyfr, liczby, które pojawiały się w jej pamiętniku?

Spojrzał na kartkę leżącą przed nim na stole, przeniósł wzrok na mnie i znów popatrzył na kartkę.

Następnie pokazałem Lockwoodowi rozszyfrowaną wersję, ten fragment, który wymieniał go jako mężczyznę zmuszającego Crystal do seksu. Gdy odczytywał te słowa, jego dłonie zaczęły dygotać. Widziałem, jak twarz mu blednie, oczy wychodzą mu z orbit, a mięśnie pod skórą drgają spazmatycznie.

– Skąd je masz? – zapytał.

– Złamałem jej szyfr – odparłem. – Wiem, że pisała o tobie. To ty zmuszałeś ją do robienia tych rzeczy. Gwałciłeś swoją pasierbicę. Wiem, że to robiłeś. Chciałem tylko dać ci szansę, żebyś się wytłumaczył, zanim pójde z tym na policję.

Coś mu przyszło do głowy i spojrzał na mnie z mieszaniną strachu i zrozumienia.

– Nie... Ty nie rozumiesz...

Sięgnął po butelkę jacka daniel'sa. Spiąłem się, czekając, aż się na mnie zamachnie, i byłem gotów zablokować cios, aby zaraz przejść do błyskawicznej kontry. Ale on tylko odkręcił butelkę i pociągnął duży łyk whisky. Ręka mu się trzęsła, gdy ocierał usta rękawem.

Trafiłem w czuły punkt. To, co powiedziałem, sprawiło, że wylądował na linach. Postanowiłem pójść za ciosem.

– Zostawiłeś na jej paznokciu ślady DNA.

– Ty nie rozumiesz – powtórzył.

– Chcę zrozumieć – odparłem. – Po to tu przyjechałem. Wytłumacz mi.

Znowu się napił, otarł kropelki śliny z kącików ust i spojrzał na pamiętnik. A potem przemówił cichym, drżącym głosem, wypowiadając słowa monotonicznie jak tekst wykuty na pamięć albo jakby recytował myśli, które zamierzał zachować dla siebie.

– To kwestia biblijna – powiedział – miłość między rodzicem a dzieckiem. A ty przychodzisz tu po tylu latach... – Rozmasowywał skronie energicznymi

ruchami, jakby próbował usunąć myśli i głosy, które kołatały się w jego mózgu.

– Pora to naprawić – oznajmiłem. Spróbowałem łagodnie, tak jak Lila wyciągała informacje z Andrew Fishera. – Rozumiem. Naprawdę. Nie jesteś potworem. Po prostu sytuacja wymknęła się spod kontroli.

– Ludzie nie rozumieją miłości – rzekł, jakby nie było mnie już w pokoju. – Nie zdają sobie sprawy, że dzieci są dla człowieka nagrodą od Boga.

Popatrzył na mnie, poszukując – bezskutecznie – błysku zrozumienia w moich oczach. Upił kolejny łyk whisky z butelki i zaczął ciężko oddychać, jego powieki zatrzępotały, a gałki oczne wywróciły się w oczodołach. Miałem wrażenie, że facet zaraz zemdleje. Ale on tylko zamknął oczy i znów się odezwał, tym razem zdając się sięgać i wydobywać słowa z jakiejś mrocznej, głębokiej jaskini wewnątrz swojego ciała. Słowa sączyły się z niego gęste i lepkie jak stara magma.

– Sam nie rozumiem swoich czynów – wyszeptał. – Bo nie robię tego, co chcę, tylko to, czego tak bardzo nienawidzę.

Łzy napłynęły mu do oczu. Kłykcie mu zbiełały, gdy zacisnął palce na szyjce butelki, trzymając ją jak kamizelkę ratunkową.

Zamierzał się przyznać, czułem to. Dyskretnie spojrziałem na dyktafon w kieszeni koszuli, by upewnić się, że nic nie zasłaniało małego mikrofonu. Musiałem zarejestrować wyznanie Lockwooda, który własnymi słowami przyznawał się do tego, co zrobił.

Uniosłem wzrok i zobaczyłem butelkę whisky na chwilę przed tym, zanim rąbnęła mnie w głowę. Ten cios sprawił, że spadłem z krzesła i uderzyłem głową o ścianę. Instykt nakazał mi biec w stronę frontowych drzwi, ale podłoga domu Lockwooda zaczęła wirować jak karuzela. Zachwiany zmysł równowagi sprawił, że zatoczyłem się w lewo na telewizor. Dostrzegłem frontowe drzwi na końcu długiego ciemnego tunelu. Próbowałem pohamować wirowanie pokoju, żeby się tam dostać.

Lockwood rąbnął mnie w plecy patelnią albo krzesłem – w każdym razie czymś twardym – i powalił mnie na podłogę tuż przed drzwiami. Rzuciłem się w ich stronę ostatkiem sił. Poczułem pod palcami klamkę i ją nacisnąłem. W tej samej chwili kolejny cios trafił mnie w tył głowy. Stoczyłem się z ganku i wylądowałem w sięgającej do kolan wysokiej trawie. Pochłonęła mnie ciemność, jakbym wpadł do głębokiej studni; pławiłem się w tym mroku, dostrzegając nad sobą niewielki krąg światła. Popłynąłem w kierunku tego światła, walcząc z otchłanią, która ściągała mnie w dół, i starając się nie stracić przytomności. Gdy dotarłem do tego światła, mroźne grudniowe powietrze znów wypełniło moje płuca i poczułem pod policzkami chłód oszronionej trawy. Oddychałem. Ból w potylicy przenikał moją głowę na wskroś, a po szyi spływała struzka cieplej krwi.

Gdzie się podział Lockwood?

Ręce miałem jak z kamienia, bezużyteczne, bezwładne, leżały wykrzywione

nienaturalnie przy moim boku. Skupiłem całą energię i świadomość na poruszeniu palcami. Zmusiłem je, żeby zadrżały, po czym wprawiłem w ruch nadgarstki, łokcie i ramiona. Wsunąłem obie ręce pod ciało, opierając dłonie na zimnej ziemi i podnosząc głowę i tors spomiędzy traw. Usłyszałem z tyłu za mną jakieś poruszenie, szmer trawy ocierającej się o drelich, ale wzrok wciąż miałem zamglony i wszystko wokoło było rozmazane.

Poczułem pas, parciany albo może płócienny, zaciskający się na mojej szyi, wpijający się w ciało i odcinający dopływ powietrza. Próbowałem podnieść się z ziemi, podźwignąć na kolana, ale ciosy w głowę coś w niej odłączyły. Ciało wyraźnie ignorowało moje rozkazy. Sięgnąłem za siebie, poczułem jego kłykcie wzmacniające chwyt w kurczowym, szaleńczym uścisku, gdy desperacko ściągał końce paska. Nie mogłem oddychać. Resztką sił, jaką jeszcze miałem, odpłynęła z mojego ciała. Poczułem, że znów opadam w głąb czarnej studni, w otchłań nieprzeniknionej ciemności.

Kiedy moje ciało zwiotczało, w umyśle pojawiła się przez moment fala rozczarowania, byłem zde gustowany własną naiwnością, tym, że nie zorientowałem się w porę, gdy tamten zmienił chwyt na szyjce butelki, i tym, że zakończę życie bezceremonialnie i po cichu, leżąc twarzą do dołu na zapuszczonym pobielonym szronem trawniku.

Pozwoliłem na to, by ten starzec – ten przesiąknięty whisky pedofil – mnie pokonał.

\* Cytaty z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia, wyd. Pallottinum, Kraków 1999 (przyp. tłum.).

Powróciłem do życia poprzez sen.

Stałem samotnie pośrodku falującego pola, a lodowaty wiatr chłostał moje ciało. Czarne chmury przetaczały się nad moją głową, kłębiąc się we wzbierającej furii i tworząc ogromny wir, który szykował się, by opaść ku ziemi i mnie porwać. Gdy tak stałem niewzruszenie, stawiając czoło zagrożeniu, chmury rozstały się, opadły małymi płatkami w moją stronę, równocześnie rosnąc, porastając piórami, wypuszczając skrzydła, dzioby i oczy, aby ostatecznie przemienić się w chmury kosów. Spływały w dół wrogo nastawioną gromadą, lądując na lewej stronie mojego ciała, dziobiąc mnie w ramię, biodro, udo i lewą część twarzy. Próbowałem je odganiać i pobiegłem przez pole, jednak nic nie było w stanie odeprzeć ich ataku, gdy odrywały fragmenty mojej skóry.

Właśnie wtedy poczułem, że świat się zakołysał. Ptaki zniknęły, pole również. Próbowałem się zorientować w tej nowej rzeczywistości, ale moje oczy widziały tylko ciemność, w uszach rozbrzmiewał ryk silnika i jęk opon toczących się po asfalcie. Ból rozsadzał mi czaszkę, cała lewa strona ciała płonęła jak u ryby na wpół odartej z łusek. Wnętrze gardła miałem obolałe, jakby potraktowano je tępym heblem.

W miarę jak ból się nasilił, pamięć mi wróciła i przypomniałem sobie butelkę whisky, którą oberwałem w głowę, pasek wrzynający mi się w szyję i woń zgnilizny wdzierającą się w nozdrza. Leżałem w pozycji płodowej w jakimś zimnym, ciemnym, hałaśliwym miejscu. Lewą rękę miałem uwieczoną pod ciałem, ale mogłem poruszać palcami prawej i poczułem, że dotykają moich dżinsów. Dotknąłem palcami uda. A potem przesunąłem dłoń po biodrze i cienkiej koszulce okrywającej mój tors, by poszukać dyktafonu. Zniknął. Opuściłem rękę, by obmacać podłogę dokoła, i wyczułem fragment wykładziny, wilgotnej, zmarzniętej i wrzynającej się w lewą stronę mojego ciała; to były kosy z mojego snu. Znałem tę wykładzinę. To była mata z wnętrza bagażnika w moim aucie, zawsze wilgotna, przesiąknięta wodą, która wpadała do środka przez przeżarte od rdzy dziury w nadkolach.

Chryste Panie, pomyślałem. Byłem w bagażniku mojego samochodu, bez kurtki, bez butów, z koszulą i dżinsami z lewej strony przesiąkniętymi lodowatą wodą, i jechałem diabli wiedzą dokąd. Co się dzieje? Zacząłem dygotać w niekontrolowany sposób, a szczęki zaciskały mi się tak, że omal nie połamałem wszystkich zębów. Próbowałem ułożyć się na plecach, by nieco ulżyć lewemu bokowi, ale nie mogłem tego zrobić. Coś blokowało mi kolana. Sięgnąłem



ostrożnie w dół; drżące delikatne palce sondowały ciemność, by dotknąć szorstkiej powierzchni pustaka, który wpijał się w moje kolano. Sięgnąłem niżej i napotkałem drugi pustak połączony z pierwszym solidnym łańcuchem. Okazało się, że łańcuch był mocno owinięty dwa razy wokół moich kostek i łydek i odpowiednio zabezpieczony. Pustaki przywiązane łańcuchem do moich nóg. W pierwszej chwili wydało mi się to bezsensowne. Dopiero po jakimś czasie wszystko stało się jasne. Nie miałem związanych rąk ani ust zaklejonych taśmą, ale do kostek przywiązano mi pustaki. Lockwood najwyraźniej uznał, że nie żyję. To jedyne sensowne wytłumaczenie. Zamierzał wywieźć mnie gdzieś i wrzucić moje ciało do wody, do rzeki lub jeziora.

Ogarnęło mnie przerażenie, zagłuszając myśli w przypiływie nagłej paniki. Zadygotałem ze zgrozy i z zimna. On zamierzał mnie zabić. Sądził, że już mnie zabił. Świadomość tego nieco mnie uspokoiła. On myślał, że nie żyję. Trup nie może walczyć, nie może uciekać, nie może pokrzyżować planów myszy i ludzi. Ale to był mój samochód. Lockwood popełnił błąd, wkraczając na moje pole bitwy: znałem bagażnik jak własną kieszeń, nawet w zamkniętymi oczami mogłem znaleźć wszystko, co w nim było.

Pamiętałem niewielkie plastikowe panele wielkości książki w broszurowej oprawie, zakrywające tylne światła i oddzielające je od wnętrza bagażnika; w zeszłym roku wymieniałem oba kierunkowskazy. Gmerałem w ciemnościach przez sekundę lub dwie, aż odnalazłem niewielki zatrzask pozwalający mi zdjąć panel przy prawym migaczu. Zdecydowanym ruchem wyrwałem żarówkę z obsady, wypełniając wnętrze bagażnika niebieskim blaskiem. Otuliłem żarówkę dłońmi, żeby ciepło ogrzało moje lodowate bezwładne kłykcie. Następnie obróciłem górną połowę ciała, żeby dosięgnąć lewego migacza, na tyle ostrożnie jednak, by nie wykonać zbyt gwałtownego ruchu i nie narobić hałasu, który mógłby zaniepokoić Douglasa Lockwooda i uświadomić mu, że jego ofiara nadal żyje. Zdjąłem oprawę i wyłuskałem żarówkę z lewej obsady, przez co wóz nie miał już tylnych świateł, za to w bagażniku zrobiło się jasno jak w dzień.

Łańcuch wokół moich kostek był zabezpieczony hakiem. Lockwood musiał nieźle się wysilić, żeby spiąć łańcuch. Zacząłem się mocować, aby uwolnić się z pęt; moje zmarznięte palce były bezwładne i sztywne jak u chorego cierpiącego na artretyzm, kciuk miałem wiotki jak płatek kwiatu. Znów ścisnąłem mocno żarówkę, aż zaczęła mnie parzyć. Rozpalona do białości, zdawała się parować w zetknięciu z moją lodowato zimną skórą. Spróbowałem ponownie pozbyć się pustaków i łańcucha, ale nie byłem w stanie go poluzować. Potrzebowałem jakiegoś narzędzia.

Nie miałem zbyt wiele narzędzi, ale ponieważ byłem właścicielem starego rżęcha, wszystkie potrzebne rzeczy trzymałem w bagażniku: dwa śrubokręty, niedużą żabkę, klucz szwedzki, kombinerki, rolkę taśmy izolacyjnej oraz puszkę

WD-40, starannie owinięte zatłuszczonym ręcznikiem. Ująłem śrubokręt niepewną prawą ręką, wcisnąłem główkę nasadki pomiędzy hak a ogniwo łańcucha i zacząłem napierać, milimetr po milimetrze wpychając koniec śrubokręta coraz głębiej. Gdy zyskałem dostatecznie dużo luzu, by wykorzystać śrubokręt jako dźwignię, pchnąłem rękojeść narzędzia ku górze, żeby zdjąć ogniwo łańcucha z haka. Łańcuch spadł na podłogę z hałasem, który zdawał się odbić potężnym echem w ograniczonej przestrzeni bagażnika. Zagryzłem wargi, gdy do zdrętwiałych nóg zaczęło mi wracać krążenie i poczułem ból tak silny, że miałem ochotę zawyć na całe gardło. Wstrzymałem oddech na kilka sekund, czekając, czy Lockwood jakoś zareaguje. Usłyszałem cichą muzykę dochodzącą z radia w desce rozdzielczej. Lockwood nie zatrzymał auta.

Minęło co najmniej dziesięć minut, odkąd wydłubałem żarówki z uchwytów. Gdyby w pobliżu był jakiś policjant, na pewno zatrzymałby mój wóz. Zakręty na szosie były węższe i ostrzejsze niż na autostradzie, a napotykanie co pewien czas nierówności mogły sugerować, że znajdowaliśmy się na jakiejś drugorzędnej drodze, prowincjonalnej dojazdówce, gdzie panował słaby ruch, zwłaszcza że zbliżała się naprawdę silna śnieżycą.

Rozważałem możliwości. Mogłem zaczekać, aż zatrzyma nas glina z drogówki, ale szanse na to były nikłe. Mogłem zaczekać, aż Lockwood dojedzie do celu i otworzy bagażnik, a potem się wkurzy, gdy zobaczy mnie żywego, ale do tego czasu równie dobrze mogłem umrzeć z wyziębienia. Mogłem się też stąd wydostać. Doszedłem do wniosku, że bagażniki zaprojektowano tak, by uniemożliwić potencjalnemu intruzowi wdarcie się do środka, a nie wydostanie się na zewnątrz osobie, którą tam zamknięto. Zbadałem klapę bagażnika, żeby odnaleźć trzy nieduże sześciokątne nakrętki mocujące mechanizm zamka. Uśmiechnąłem się przez zaciśnięte zęby.

Przygarnąłem narzędzia i wyjąłem klucz szwedzki; zmarznięta rączka zapiekła mnie w rękę, jakby była zrobiona z suchego lodu. Owinąłem ją ręcznikiem i wyregulowałem szerokość szczęk klucza, aby pasowały do średnicy nakrętki.

Palce odmawiały mi posłuszeństwa. Wetknąłem prawy kciuk do ust, by go ogrzać, a lewą dłonią wyjąłem żarówkę w tym samym celu. Samochód zwolnił, jakby miał się zaraz zatrzymać. Ścisnąłem klucz w prawej ręce, szykując się do wyskoczenia z bagażnika. Zamierzałem rzucić się na Lockwooda i go zabić. Ale honda accord ruszyła dalej, skręcając w prawo i przyspieszając gwałtownie.

Znów spróbowałem dopasować rozstaw klucza. W końcu się udało i klucz zacisnął się na nakrętce. Trzymałem go obiema rękami, palce miałem skostniałe i zdrętwiałe z zimna. Musiałem się skupić, jakbym był małym dzieckiem, które porwało się na zadanie dalece wykraczające poza jego możliwości; dłonie trzęsły mi się tak bardzo, że samo nałożenie klucza na nakrętkę zajęło mi mnóstwo czasu.

Zanim zająłem się trzecią nakrętką, moje ciało przestało dygotać. Czy

sprawił to spokój wywołany wysiłkiem i koncentracją na dokończeniu zadania, czy wejściem w nowy etap hipotermii, tego nie wiedziałem. W końcu trzecia nakrętka odpadła, a wieko kufra uchyliło się odrobinę. Teraz na przeszkodzie do całkowitego otwarcia bagażnika stanął mi drut łączący blokadę zamka z dźwigenką zwalniającą przy siedzeniu kierowcy, lecz mogłem go przeciąć kombinerkami, które miałem pod ręką.

Uchyliłem wieko bagażnika na kilka centymetrów i blask ze środka wypłynął na zewnątrz. Szybko zamknąłem klapę. Zapomniałem o świetle. Czekałem, nasłuchując, czy mój błąd zwrócił uwagę Lockwooda, ale on ani trochę nie zwolnił. Wykręciłem żarówkę, zasłoniłem pozostałe i ponownie uchyliłem bagażnik. Szosa przesuwiała się pode mną z prędkością jakichś stu kilometrów na godzinę, znikając w mroku, gdzie nie było widać świateł żadnych innych aut, domów czy miast. Chciałem się wydostać, ale nie uśmiechało mi się wyskakiwać na drogę przy takiej prędkości.

Znów zacząłem się trząść; mięśniami moich łydek, ramion i pleców targały skurcze. Musiałem działać, i to szybko, zanim byłbym zbyt odrętwiały, żeby cokolwiek uczynić, bo wtedy bym umarł. Rozerwałem przetłuszczony ręcznik na trzy równe części i dwie z nich złożyłem na prostokątne pasy wielkości moich stóp. Przymocowałem do nich od spodu kawałki taśmy izolacyjnej i takim prowizorycznym obuwiem osłoniłem gołe stopy. Trzeci kawałek ręcznika owinałem wokół rękojeści klucza szwedzkiego, by wcisnąć go do otworu rury wydechowej. Pospiesznie oderwałem jeszcze jeden pas taśmy izolacyjnej, metrowej długości, i przełożyłem jeden jej koniec przez otwór w klapie bagażnika, gdzie znajdował się zamek. Umieściłem żarówki z powrotem w uchwytach, żeby światło nie wysączyło się na zewnątrz. Potem kombinerkami przeciąłem przewód zwalniający i przymknąłem pokrywę bagażnika, pociągając za taśmę. Sprawdziłem swój właz uciezkowy, uchylając go jedną ręką na kilka centymetrów i ściągając za pomocą taśmy trzymanej w drugiej dłoni.

Pora wiać. Poluzowałem odrobinę taśmy, żeby bagażnik uniósł się na jakieś trzydzieści centymetrów, tyle, bym mógł przecisnąć przez tę szczelinę tors i ramiona, ale jednocześnie by nie zwróciło to uwagi Lockwooda. Wysunąłem głowę na zewnątrz i wypełzłem dalej, czując na plecach dotyk klapy przytrzymywanej taśmą, którą ścisnąłem w prawej ręce, podczas gdy w lewej trzymałem owinięty kawałkiem ręcznika klucz szwedzki.

Mroźne powietrze zapało mi dech w piersiach.

Z całej siły wbiłem klucz w wylot rury wydechowej. Zatłuszczona szmata skutecznie zablokowała wypływ spalin. Przytrzymałem ją tak długo, aż silnik zaczął się dławić, krztusić i w końcu zgąsł, a auto potoczyło się bezgłośnie siłą napędową w stronę pobocza.

Gdy już zaledwie się turlało, wyskoczyłem z bagażnika i pobiegłem

najszybciej jak tylko mogłem w swoich prowizorycznych łapciach w stronę lasu przy drodze. Kiedy dotarłem do linii drzew, usłyszałem trzaśnięcie drzwiczek. Biegłem dalej. Jeszcze kilka kroków, tymczasem Lockwood zawołał coś niewyraźnie. Nie rozumiałem słów, ale wychwyciłem zawarty w nich ładunek wściekłości. I biegłem dalej. Jeszcze kilka kroków i wtedy rozległ się huk pierwszego wystrzału.

Nigdy wcześniej do mnie nie strzelano. Nie spodziewałem się, że po tym, co mnie spotkało tego wieczoru – po tym, jak mnie duszono do utraty przytomności, przywiązano łańcuchem do pustaków i jak omal nie zamarzłem na śmierć w bagażniku własnego auta – może być jeszcze gorzej.

Pochyliłem głowę i zakosami gnałem na oślep przez las. Pierwsza kula wryła się w pień sosny dziesięć metrów na prawo ode mnie, dwie kolejne rozcięły mroźne nocne powietrze nad moją głową. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem Douglasa Lockwooda w blasku świateł stopu, z uniesioną prawą ręką i bronią wymierzoną w moim kierunku.

Zanim zdążyłem się przejąć kolejnymi strzałami, straciłem grunt pod nogami i wpadłem do żlebu. Zeschłe gałęzie i krzewy rozcinały moją odrętwiałą z zimna skórę. Zerwałem się na nogi, przytrzymując się gałęzi brzozy dla równowagi, i nasłuchiwałem przez chwilę; wysoko nad moją głową przeleciała następna kula.

A potem zrobiło się cicho.

Gdy się wyprostowałem, mogłem wyjrzeć ponad krawędzią żlebu. Moja honda stała pięćdziesiąt metrów dalej, a snopy światła z reflektorów rozjaśniały szosę. Lockwood celował w stronę, skąd dobiegł odgłos mojego upadku, ale nie wiedział, gdzie konkretnie się znajduję. Czekał na kolejny dźwięk, trzask gałązki albo chrzęst liści, aby wymierzyć broń w tym kierunku. Nasłuchiwał, ale ja stałem w miejscu, trzęsąc się na całym ciele, bo teraz, kiedy zaprzestałem biegu, było mi zimno. Lockwood spojrzał na tył mojego auta, schylił się i wyrwawszy z rury wydechowej klucz szwedzki, cisnął go w krzaki. Poszedł do drzwiczek kierowcy. Gdy odblokował rurę wydechową, mógł ruszyć dalej, silnik powinien zaskoczyć. Reflektory działały, w ich blasku mógł przepatrywać okolicę. Wypełzłem ze żlebu i wbiegłem głębiej w las, uchylając się przed tym, przed czym mogłem się uchylić, lecz większe i mniejsze gałęzie, których nie zdołałem w porę zobaczyć, chłostały mnie po całym ciele i kaleczyły skórę. Zanim Lockwood zdążył wykręcić i obrócić samochód, byłem już w głębi lasu. Od szosy dzieliło mnie ponad sto metrów. Światła samochodu nie były w stanie przeniknąć tej gęstwiny. Zsunąłem się w dół niewielkiego zbocza i reflektory znikły za horyzontem.

Na pewno zaczniesz przeszukiwać las, w każdym razie ja bym tak zrobił. Nie mógł pozostawić mnie przy życiu. Nie mógł pozwolić na to, bym wrócił do cywilizacji i opowiedział, co zdołałem ustalić. Nie zatrzymywałem się ani na chwilę, choć przy każdym kroku moje stopy przenikał dojmujący ból; oczy na tyle przywykły do ciemności, że byłem w stanie omijać zwalone drzewa i leżące

gałęzie. Przystanąłem, by złapać oddech, i nasłuchiwałem kroków. Niczego nie usłyszałem. Ale on musiał tam gdzieś być. Gdy znów wyteżyłem słuch, zakręciło mi się w głowie, myśli zaczęły na przemian kłębić się i rozpraszać. Coś było nie tak. Próbowałem złapać się młodego drzewka, ale dłoń odmówiła mi posłuszeństwa. Upadłem.

Moja skóra wydawała się gorąca. Uczyłem się o tym w szkole. Co się ze mną działo? Czy to było to? Tak. Ludzie umierający wskutek hipotermii mają wrażenie, że jest im gorąco, i pozbywają się ubrania. Czy umierałem? Musiałem się ruszyć, musiałem iść dalej, żeby krew mogła znów zacząć krążyć w moich żyłach. Musiałem wstać. Podparłem się na łokciach, żeby podźwignąć się na kolana. Już ich nie czułem. Ani zmarzniętej ziemi pod skórą. Czy ja umieram? Nie. Nie pozwolę na to.

Nogi ugiwały się pode mną jak u nowo narodzonego źrebaka, ale jednak udało mi się wstać. W którą stronę biegłem? Nie pamiętałem, każdy kierunek wydawał się równie obcy, równie groźny. Musiałem zacząć się ruszać – w przeciwnym razie czekała mnie śmierć. Czułem wiatr wiejący w plecy. Wybrałem kierunek i zacząłem iść, a lodowaty wiatr mnie popychał. Równie dobrze mogłem wracać w stronę Lockwooda. To nie miało znaczenia. Śmierć od kuli mogła się okazać bardziej litościwa niż z wychłodzenia.

Nie zauważyłem kolejnego uskołu i spadłem, a raczej sturlałem się po stromym zboczu, odbijając się od ziemi jak worek ziemniaków, po czym wylądowałem pośrodku leśnego traktu, na którym widniały koleiny wyżłobione przez opony ciężarówek. Ten widok dodał mi sił. Podniosłem się i pokuśtykałem przed siebie. Kolana ugiwały się pode mną i trzęsły przy każdym kroku, miałem wrażenie, że lada moment upadnę.

Kiedy już myślałem, że osiągnąłem granicę wytrzymałości mojego ciała, że teraz mogę co najwyżej się przewrócić, kilka kroków przede mną dostrzegłem błysk. Zamrugałem, by odzyskać ostrość wzroku, gdyż byłem przekonany, że to zmacony umysł drwi sobie ze mnie w niewybredny sposób. A jednak wzrok mnie nie mylił. Światło księżyca, którego rogalik wyłonił się właśnie zza chmur, pomknęło jak celna strzała ku ziemi, by odbić się od przybrudzonej szyby w oknie chatki myśliwskiej – gdzie mogłem znaleźć schronienie, może również koc – albo jeszcze lepiej, piec, przy którym mógłbym się ogrzać.

Odnalazłem w sobie rezerwy sił, o których istnieniu nie miałem pojęcia, kurczowo chwytając się woli życia. Powłócząc nogami, ruszyłem wzdłuż zrytego koleinami traktu.

Chatka miała metalowe drzwi, które były zamknięte na klucz, ale okno tuż obok dało się wybić bez większego problemu. Znalazłem kamień, jednak moje palce okazały się zbyt zdrętviałe i musiałem podnieść kamień, używając w tym celu przegubów i przedramion. Rzuciłem kamień, zwałając się całym ciałem na

ścianę chaty, i udało mi się wybić szybę w dolnej, narożnej części okna. Wsunąłem rękę przez otwór, sięgając do wewnątrz i próbując uchwycić klamkę na tyle mocno, żeby ją przekręcić. Moja dłoń bezwładnie obijała się o klamkę. Ratunek był tak blisko, ale co mi po nim, skoro nie mogłem się dostać do środka.

Znów zakręciło mi się w głowie. Prawa noga ugięła się pode mną i upadłem na ścianę chatki, lecz próbowałem utrzymać równowagę, stając na lewej nodze. Usiłowałem utrzymać się w pionie. Odchyliłem głowę do tyłu i uderzyłem czołem w szybę, roztrzaskując szkło w drobny mak – odłamki posypały się na podłogę. Łokciami wytłukłem pozostałe fragmenty szkła z framugi i wczołgałem się przez otwór, po czym spadłem na podłogę; kilka odłamków szkła wbiło mi się w brzuch, rozcinając skórę.

Pełzłem na łokciach i kolanach po podłodze, starając się zorientować w nowym otoczeniu na tyle, na ile pozwalało mi słabe światło księżyca: zlew, stolik karciany z czterema krzesłami, tapczan i... piec opalany drewnem. Bingo! Myśliwi zostawili przy piecu niewielki zapas drewna opałowego; znalazłem tam też starą gazetę i metalowy pojemnik wielkości puszki napoju gazowanego oraz dwie zapalki z długimi drewnienkami. Ująłem jedną zapalkę zgrabiętymi palcami i potarłem główką o ściankę żelaznego piecyka. Tak się trząsałem, że zbyt mocno przytknąłem główkę zapalki do piecyka i drewnienko pękło na pół, a siarczana główka wpadła do żelaznej kozy.

– K-k-urwa! – wykrztusiłem. To były pierwsze słowa, jakie z siebie wydusiłem, odkąd oberwałem po głowie butelką whisky. Wypływając z mojego obolałego gardła, zabrzmiały dość mizernie.

Włożyłem drugą zapalkę między palce lewej dłoni i przyłożyłem przegub do brzucha, aby ustabilizować dłoń. Przytknąłem główkę zapalki do metalowej ścianki pieca i szarpnąłem tułowiem w bok, sprawiając, że zapalka uderzyła o metal na tyle mocno, by skrzesać iskrę i zapłonąć, nie łamiąc się przy tym. Odchyliłem zapalkę i czekałem, aż płomyk urośnie. Zapaliłem róg gazety. Płomyk zajadle lizał suchy papier, piał się szybko w mojej dłoni, żar ognia mnie nasyczał i pochłaniałem go z żarłocznością żebraka. Kiedy blask płonącej gazety wypełnił mały pokój, obok drewna opałowego znalazłem kawałki sosnowej kory. Ułożyłem je na gazecie i patrzyłem, jak zajmują się ogniem. Wkrótce miałem namiastkę prawdziwego ognia. Po korze przyszła kolej na patyki, a następnie na kłody i zaledwie kilka minut później siedziałem przy piecu, w którym buzował wesoło ogień, obracając powoli ciało; ogrzewałem każdą jego część niemal do bólu, zanim znowu wykonałem skręt. Obracałem się jak na wyimaginowanym rożnie, a moja skóra powoli odtajała, zmysły powracały do życia i dały o sobie znać liczne skaleczenia. Miałem ich mnóstwo na rękach i nogach. Wyjąłem parę odłamków szkła, które wbiły mi się w podbrzusze. Do jednego wyjątkowo paskudnego zadrapania na ramieniu wciąż były przyklepione sosnowe igły. Skóra na szyi, w miejscu, gdzie

pasek Lockwooda odciął mi dopływ powietrza, płonęła żywym ogniem, uświadamiając mi, jak bliski byłem śmierci. Odwinąłem taśmę ze stóp, a gdy krew znów zaczęła znajdować dopływ do naczyń krwionośnych i włosowatych w moich palcach, poczułem, jakby ktoś polał je wrzątkiem. Równocześnie rozcierałem łydki, tors i mięśnie twarzy, które targane były skurczami wywołanymi przez nieustające dreszcze i raz po raz powodowały nawroty dojmującego bólu.

Kiedy moje stawy odtajały na tyle, że mogłem stanąć na nogi, podszedłem do okna z pogrzebaczem w dłoni, by wypatrywać i nasłuchiwać nadejścia Douglasa Lockwooda. Wiatr, który wiał mi w plecy, gdy biegłem przez las, przybrał na sile, zmieniając się w prawdziwą wichurę. Szarpał grubą bawełnianą zasłoną i zawodził, kołyszając rosnącymi przed chatą strzelistymi sosnami. Te dźwięki brzmiały złowieszczo, ale wiatr był dla mnie jak dar od Boga, bo wiał w przeciwnym kierunku do tego, z którego miał nadejść mój prześladowca, i unosił ze sobą zapach dymu z komina. Nie zauważyłem ani śladu Lockwooda. Nie usłyszałem jego kroków. Miał broń, ale nie mógł strzelać do tego, czego nie potrafił znaleźć. Zasłoniłem okno materiałem, żeby na zewnątrz nie było widać blasku ognia z pieca. Nasłuchiwałem i czekałem. Zmuszę Lockwooda, by wszedł do chatki, jeżeli chce mnie zabić. Teraz, gdy byłem przygotowany, będzie musiał się natrudzić, żeby mnie załatwić. Nie zamierzałem poddać się bez walki.

Warowałem przy oknie prawie godzinę, wyężdżając słuch, żeby wychwycić odgłos kroków, i wypatrując lufy broni wsuwającej się przez otwór w wybitym oknie. Po godzinie zacząłem wierzyć, że Lockwood nie znajdzie mnie w tej myśliwskiej chatce. Gdy wyjrzałem na zewnątrz, zobaczyłem zapowiadaną przez meteorologów śnieżycę. Płatki śniegu wielkości kulek bawełny niesione wiatrem ograniczały widoczność prawie do zera. Teraz Lockwood na pewno mnie nie znajdzie. Nie był aż tak szalony, by zostać w lesie podczas burzy śnieżnej. Wykorzystałem poduszkę z tapczanu, by zabezpieczyć nią otwór w wybitym oknie, i dalej czuwałem.

Zlustrowałem wnętrze chatki rozjaśnione cudownym blaskiem ognia i stwierdziłem, że składało się na nią jedno pomieszczenie wielkości przyczepy kempingowej albo wagonu towarowego bez łazienki, elektryczności czy telefonu. Na haczyku przy zlewie wisiały wysokie, sięgające aż po klatkę piersiową, wędkarskie wodery. Przeszedłem po tłuczonym szkle, zdjąłem dżinsy, które były całe wilgotne i zmarznięte, po czym włożyłem wodery, a dżinsy powiesiłem nad piecem na kij od szczotki. Znalazłem dwa duże ręczniki, a w szufladzie nóż do patroszenia. Zdjąłem koszulę, powiesiłem obok dżinsów i zarzuciłem ręczniki na ramiona, otulając się nimi jak szalem. Wziąłem nóż, sprawdziłem kciukiem ostrość i przez chwilę dźgałem nim ciemność, raz po raz zabijając w myślach Lockwooda. Miałem ciuchy, tapczan, dach nad głową i było mi ciepło. Czułem się jak król. Wierzyłem, że udało mi się uciec. Wierzyłem, że jestem bezpieczny, że uwolniłem



się od tego szalonego mężczyzny, który zanim próbował mnie zabić, cytował z pamięci fragmenty Pisma Świętego. Kiedy jednak położyłem się na tapczanie, w jednej ręce ścisnąłem nóż do patroszenia ryb, a w drugiej pogrzebacz, a mentalnie przygotowywałem się na czekającą mnie jeszcze jedną walkę.

Tej nocy spałem czujnie jak zając pod miedzą. Każdy trzask płomieni w piecu budził mnie ze snu i biegłem do okna, by zlustrować las w poszukiwaniu jakichkolwiek znak obecności Lockwooda. Z nastaniem nowego dnia śnieżycy osiągnęła apogeum, a wiatr hulający na zewnątrz tworzył oślepiającą ścianę bieli, której widok mógłby zniechęcić najbardziej zawziętego psa zaprzęgowego. O pierwszym brzasku wyszedłem na zewnątrz i brnąc przez trzydziestocentymetrowy śnieg, szukałem pompy. W chacie był zlew, ale brakowało kranu. Pompy nie znalazłem, stopiłem więc trochę śniegu w garnku na kozie. Było dość drewna na kilka dni, a dopóki miałem ogień, mogłem przeżyć.

Przebrałem się w dzinsy i koszulę, które przez noc zdążyły wyschnąć, i przy dziennym świetle spenetrowałem wnętrze chatki. Myśliwi nie trzymali tu zapasów żywności. Znalazłem tylko puszkę gulaszu wołowego, którego data przydatności do spożycia minęła dawno temu, paczkę makaronu i trochę przypraw, dość, żebym miał czym napełnić żołądek, zanim śnieżycy ustanie. Aby wyjść z lasu, potrzebowałem płaszcz, zebrałem więc wszystkie materiały, jakie udało mi się znaleźć, i przystąpiłem do roboty. Rękawy wykonałem z dwóch ręczników, zwijając je w rulony i łącząc brzegi żyłką wędkarską i wygiętym na płask haczykiem, który posłużył mi za igłę. Rękawy sięgały od przegubów do barków, a po połączeniu końcówek między jednym ręcznikiem a drugim pozostał otwór, przez który mogłem włożyć głowę. Ponownie naciągnąłem wodery; osłaniały moje ciało aż do klatki piersiowej, szelki zaś przerzuciłem nad ręcznikami, by przytrzymały moje prowizoryczne rękawy. Potem przeszedłem się po pomieszczeniu, przeciągając się i sprawdzając użyteczność tego projektu. Nie kryłem zadowolenia ze swojej kreatywności. Część pierwsza płaszcz była gotowa.

Przed południem ugotowałem połowę makaronu i zjadłem go z osobliwymi dodatkami: curry, papryką i solą, popijając to wszystko ciepłą wodą. Nie pamiętałem, bym kiedykolwiek jadł smaczniejszy posiłek. Po obiedzie wróciłem do mojego płaszczu. Gruba bawełniana tkanina zasłaniająca jedyne okno chatki, ozdobiona jaskrawym czerwonym wzorem w szachownicę przywodziła na myśl obrus w restauracji. Wyciąłem otwór pośrodku zasłony, zmieniając ją w ponczo. Z oparcia tapczanu wykroiłem materiał, żeby zrobić z niego czapkę. Wyściółki z oparcia zamierzałem użyć do wypełnienia woderów na klatce piersiowej, dzięki czemu zyskałbym warstwę izolacyjną, a do związania poncza i czapki miał mi posłużyć sznur od zasłon. Pod koniec dnia miałem zimowy strój, którego mogli mi pozazdrościć uczestnicy wyprawy Donnera.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, ponownie sprawdziłem pogodę. Choć wciąż sypało, śnieg nie był już tak gęsty i nie padał tak poziomo jak wcześniej. Wyszedłem na zewnątrz. Zasy sięgały mi po kolana i uświadomiłem sobie, że potrzebuję rakiet śnieżnych. Zastanawiałem się nad tym, szykując kolację – otwierając nożem do ryb puszkę z gulaszem, który następnie podgrzałem na piecyku.

Po kolacji usiadłem przy kozie i w blasku ognia zmajstrowałem całkiem zręczne rakiety śnieżne z sosnowych desek, które odhupałem ze ściany. Wykorzystałem nylonowe linki z wnętrza tapczanu, by przywiązać deski do kaloszy woderów. Kiedy skończyłem, uśmiechnąłem się zadowolony z siebie i zwinąłem w kłębek, żeby na tym, co pozostało z tapczanu, spędzić drugą noc w chacie.

Rankiem ugotowałem i zjadłem resztę makaronu, pociąłem poduszki na pasy, wypchałem tak uzyskaną izolacją wodery, po czym nałożyłem bawełniane ponczo i czapkę. Zgasilem ogień, przysypując go śniegiem, a przed wyjściem na dwór kawałkiem zwęglonego drewna z piecyka napisałem na karcianym stoliku wiadomość dla właściciela: „Przepraszam za bałagan. Ta chatka uratowała mi życie. Zapłacę za szkody. Joe Talbert”. Na koniec przytroczyłem do ubrania nóż. Przymocowałem go na biodrze. Nie wyobrażałem sobie, że Lockwood wciąż mnie szuka w lesie, ale butelki whisky także się nie spodziewałem. On chciał mnie zabić. Musiał mnie zabić. Mogłem go posłać do więzienia za to, że próbował mnie zabić, nawet gdyby nie udało się dowieść przed sądem, że zamordował Crystal Hagen. Jeżeli myślał tak jak ja, powinien być gdzieś w lesie zaczajony i z karabinem w garści czekać, aż wystawię się na cel.

Chociaż dorastałem w Minnesocie, gdzie po śniegu chodziło się równie często jak po trawie czy betonie, nigdy nie używałem rakiet śnieżnych, a zwłaszcza prowizorycznych, zrobionych z sosnowych desek. Potrzebowałem odrobiny praktyki, zanim nabrałem w tym wprawy; przy każdym kroku zapadałem się do pół łydki, co było przyjemną odmianą, bo bez rakiet zapadałbym się aż po kolana. Odłamałem dwa długie patyki ze zwalonego drzewa i wykorzystałem je jak kijki narciarskie do utrzymywania równowagi. Każdy krok wymagał koncentracji, musiałem go skoordynować z przeniesieniem ciężaru ciała. Po dwudziestu minutach przeszedłem zaledwie czterysta metrów, ale nie przejąłem się zbyt wolnym tempem. Było mi ciepło, pogoda się poprawiła, a w lesie najwyraźniej nie czaił się Douglas Lockwood. I chociaż groźba śmierci nie sprzyjała dobremu nastrojowi, widok lasu w zimowej szacie zapierał dech w piersiach.

Wiedziałem, że tak jak wąska strużka wody prowadzi ku rzece, tak zryty koleinami trakt wiódł do drogi ku cywilizacji. Po godzinie marszu, pokonawszy mniejszy dystans, niż się spodziewałem, dotarłem do drogi. Była to w zasadzie przecinka wśród drzew, wąska, kręta i nieodsnieżona, zapewne zwykła żwirowa dojazdówka. Promienie słońca przesączające się między chmurami na lewo ode mnie uświadomiły mi, że droga biegnie ze wschodu na zachód. Ponieważ uciekając przed Lockwoodem, miałem północno-zachodni wiatr w plecy, uznałem, że jeśli będę się kierował na zachód, powinienem wrócić do asfaltowej szosy. Droga była prosta, prowadziła ku najwyższemu punktowi wzgórza. Pomaszerowałem w tym kierunku, nucąc w myślach piosenkę gwardzistów *Złej Czarownicy z Czarnoksiężnika z krainy Oz*, którzy, idąc do jej zamku, śpiewali: „Oo-ee-jaa, ee-oo-ach”. Od czasu do czasu przystawałem, żeby odpocząć, zaczerpnąć tchu, poszukać śladów ludzi i napawać się urokami pięknego dnia: dnia, który Douglas Lockwood próbował mi odebrać. Z tyłu za mną teren opadał stopniowo ku widocznej w oddali rzece, dość szerokiej, ale nie zdołałem jej rozpoznać. Mogła to być Missisipi, St. Croix, Minnesota albo Red River, nie miałem pojęcia, bo nie wiedziałem, jak długo leżałem w bagażniku i w jakim kierunku zmierzaliśmy.

Gdy znalazłem się na szczycie wzgórza, ujrzałem pierwsze od dwóch dni ślady cywilizacji – asfaltową drogę, starannie odsnieżoną i ciągnącą się aż po horyzont. Mniej więcej pięć kilometrów dalej dostrzegłem farmę ze srebrnym dachem obory lśniącym pośród drzew tuż obok silosa na ziarno – nie mogłem sobie wymarzyć wspanialszego widoku, nawet gdybym ujrzał w oddali Szmaragdowy Gród. Do farmy wciąż miałem szmat drogi i wiedziałem, że dotarcie tam zajmie mi

jeszcze co najmniej godzinę. Zdawałem sobie również sprawę z tego, że niewiele zjadłem i gdybym spróbował biec, to by mnie wykończyło. Ale mimo tego, co podpowiadał mi zdrowy rozsądek, pobiegłem. Oglądałem kiedyś nagranie przedstawiające w zwolnionym tempie albatrosa próbującego poderwać się do lotu z piaszczystej wydmy, jego łapy udeptywały płasko grunt, ciało kołysało się z boku na bok, usiłując trzymać pion, niezdarne skrzydła rozpostarły się, by zrównoważyć kołysanie i przechylił torsu. Wyobraziłem sobie, że mój bieg w dół zbocza w śniegu po kolana musiał wyglądać podobnie, bo z prowizorycznymi raketami śnieżnymi z desek poruszałem się raczej zygzakiem niż po prostej. Dawałem kolejne susy z rozłożonymi szeroko rękami przedłużonymi przez kijki, którymi wymachiwałem w powietrzu, by utrzymać równowagę.

Gdy dotarłem do asfaltu, upadłem na wznak w śnieg, wyczerpany, śmiejąc się i ciesząc ze strużek potu ściekających mi po twarzy, choć mroźny wiatr natychmiast je chłodził. Zdjąłem z nóg deski i szosą udałem się w stronę farmy, niemal cały czas biegnąc truchtem lub idąc, gdy musiałem trochę odpocząć. Sugerując się pozycją słońca na niebie, ustaliłem się, że będę na farmie dobrze po południu.

Gdy zbliżyłem się do domu, pies wystawił łeb przez uchylne drzwiczki i zaczął czekać jak oszalały. Nie próbował podejść, co mnie zaskoczyło, biorąc pod uwagę mój wygląd – sięgające aż do piersi zielone wodery z wystającą spod nich wyściółką, która przywodziła na myśl słomę wyłazącą ze stracha na wróble, rękawy z ręczników i ponczo z kraciastej czerwonej zasłony spięte w pasie kawałkiem sznurka. Na miejscu tego psa też zacząłbym ujadać, gdybym zobaczył takie dziwadło. Podszedłem do ganku i psa, a wtedy otworzyły się drzwi i na werandę wyszedł staruszek ze strzelbą.

– Poważnie? Pan chyba żartuje. – Moje słowa zdradzały wyraźne rozdrażnienie.

– Ktoś ty? – spytał staruszek. Miał łagodny głos, nie tyle gniewny co dociekliwy.

Skierował dubeltówkę w ziemię pomiędzy nami.

– Nazywam się Joe Talbert – powiedziałem. – Zostałem uprowadzony, ale zdołałem uciec. Czy mógłbym zadzwonić po szeryfa? Mogę poczekać tu, na zewnątrz, jeśli pan chce.

Pies wycofał się do domu, gdy w drzwiach za mężczyzną pojawiła się starsza kobieta o tak szerokich biodrach, że zdawały się blokować prawie całe wejście. Położyła dłoń na ramieniu staruszka, dając mu do zrozumienia, żeby usunął się na bok, i tak właśnie zrobił.

– Zostałeś uprowadzony? – spytała.

– Tak, proszę pani – odparłem. – Wyskoczyłem z samochodu dwie noce temu, tuż przed nadejściem śnieżycy. Ukryłem się w małej chatce w lesie, o tam. –

Wskazałem kciukiem ponad ramieniem. – Możecie mi państwo powiedzieć, gdzie ja właściwie jestem?

– Dziesięć kilometrów od North Branch w Minnesocie – powiedziała kobieta.

– A co to za rzeka niedaleko stąd? – spytałem.

– St. Croix – wyjaśniła.

Zrozumiałem, że Lockwood przywiązał mi do nóg pustaki, bo zamierzał wrzucić moje ciało do St. Croix. Przeszedł mnie dreszcz na samą myśl o tym, jak niewiele brakowało, by udało mu się zrealizować ten plan. Wpłynąłbym pod lód, a moje kości zostałyby oczyszczone z ciała, które pożarłyby drapieżne ryby, aż w końcu prąd uwolniłby moje szczątki z łańcucha, urywając mi stopy na wysokości kostek. Potem prąd uniósłby to, co by ze mnie zostało, w dół, by roznieść moje truchło na strzępy na znajdujących się w nurcie rzeki kłodach i gałęziach stąd aż do Nowego Orleanu.

– Jesteś głodny? – zapytała kobieta.

– Bardzo – odparłem.

Kobieta szturchnęła staruszką, który usunął się na bok, choć nadal nie odłożył broni. Wprowadziła mnie do domu, nakarmiła chlebem z mąki kukurydzianej i mlekiem, a potem zaczęła ze mną na przyjazd szeryfa.

Szeryf był potężnym mężczyzną z łysą głową i gęstą czarną kozią bródką. Poprosił uprzejmie, bym zajął miejsce z tyłu w radiowozie, ale wiedziałem, że nie pozostawił mi w tej kwestii żadnego wyboru. Opowiedziałem mu swoją historię od początku do końca. Kiedy skończyłem, przekazał moje nazwisko do dyspozytorki w centrali, żeby sprawdzić, czy nie jestem poszukiwany listem gończym. Nie byłem. Nie zgłoszono jednak również mojego zaginięcia. Nie powiedziałem Lili, dokąd się wybieram. Pewnie sądziła, że pojechałem do Austin załatwić sprawy rodzinne z matką i Jeremym.

– Dokąd jedziemy? – spytałem szeryfa, kiedy uruchomił silnik i wyprowadził radiowóz na szosę.

– Zabieram cię na komendę policji w Center City – oparł.

– Zabiera mnie pan do więzienia?

– Nie jestem pewien, co mam z tobą zrobić. Chyba mógłbym cię aresztować za włamanie do chatki myśliwskiej. To się kwalifikuje jako włamanie trzeciego stopnia.

– Włamanie? – spytałem głosem podniesionym w przypiływie złości. – Lockwood próbował mnie zabić. Musiałem się włamać.

– To ty tak twierdzisz. Ale ja nic o tobie nie wiem. Nigdy nie słyszałem o tym Lockwoodzie. Nie figurujesz na liście osób zaginionych, nikt nie zgłosił, że zniknąłeś, i dopóki nie rozgryzę tego wszystkiego, muszę umieścić cię gdzieś, gdzie będę mógł mieć cię na oku.

– Och, na miłość boską! – Skrzyżowałem ramiona w wyrazie oburzenia.

– Jeżeli twoja opowieść się potwierdzi, nie będę cię zatrzymywał, ale nie mogę cię puścić, dopóki nie ustalę co i jak.

Przynajmniej nie zakuł mnie w kajdanki, pomyślałem. W ciasnym wnętrzu tylnej części radiowozu poczułem kwaśną woń ręczników, wyściółki z tapczanu i woderów, na którą wcześniej nie zwróciłem uwagi. Kiedy tak się obwąchiwałem, nagle coś mi przyszło do głowy. Znałem kogoś, kto mógł przekonać szeryfa, że mówię prawdę.

– Proszę zadzwonić do Maxa Ruperta – powiedziałem.

– Do kogo?

– Do detektywa Maxa Ruperta. Pracuje w wydziale zabójstw w Minneapolis. Wie wszystko o mnie i Lockwoodzie. Poręczy za mnie.

Szeryf włączył radio i poprosił centralę o połączenie z Maxem Rupertem z Minneapolis. Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, szeryf pogwizdywał za

kierownicą, a ja rozpaczliwie czekałem, aż dyspozytorka potwierdzi, że nie jestem świrem ani włamywaczem. Gdy szeryf zajechał przed areszt przy komendzie w Center City, dyspozytorka poinformowała go przez radio, że Max Rupert nie ma dziś służby, ale spróbują go zlokalizować i skontaktować się z nim.

Zrezygnowany opuściłem głowę.

– Przykro mi – rzekł szeryf – ale będę musiał cię zatrzymać na jakiś czas.

Zaparkował radiowóz, otworzył drzwiczki i zakuł mnie w kajdanki, wykręcając mi ręce do tyłu. Poprowadził mnie do izby zatrzymań, gdzie oficer dyżurny kazał mi się przebrać w pomarańczowy kombinezon aresztanta, a gdy zamknął za mną drzwi celi, poczułem dziwne zadowolenie. Było mi ciepło, byłem bezpieczny i żywy. Godzinę później zjawiała się pielęgniarka, żeby opatrzyć i oczyścić moje skaleczenia, założyć opatrunki na głębsze rany i nałożyć maść z antybiotykiem na pozostałe.

Palce dłoni i stóp wciąż miałem zdrętwiałe od odmrożeń, ale powiedziała, że te obrażenia nie powinny być trwałe. Kiedy wyszła, położyłem się na pryczy, żeby odpocząć. Nie pamiętam, kiedy zasnąłem. Obudziła mnie jakiś czas później przyciszona rozmowa.

– Wygląda tak spokojnie. Aż nie chcę go budzić – powiedział głos, który wydał mi się znajomy.

– Chętnie zatrzymalibyśmy go tutaj na kilka dni – odezwał się inny głos, należący do szeryfa.

Usiadłem na pryczy, przetarłem zaspane oczy i zobaczyłem Maxa Ruperta stojącego w drzwiach mojej celi.

– Witaj, śpiący królewiczu. Powiedziano mi, że możesz tego potrzebować. – Rzucił mi bluzę od dresu, kurtkę i parę zimowych butów za dużych o trzy numery.

– Co pan tu robi? – spytałem.

– Odwożę cię do domu – odparł. – Mamy do pogadania.

Odwrócił się i poszedł z szeryfem w stronę dyspozytorni, a ja się przebrałem. Dziesięć minut później siedziałem w nieoznakowanym wozie Ruperta, ale tym razem z przodu, a nie z tyłu. Opuszczaliśmy Center City i zmierzaliśmy w stronę Minneapolis. Słońce już zaszło, ale jego gasnąca poświata wciąż barwiła horyzont na zachodzie. Opowiedziałem Rupertowi, co się wydarzyło, a on słuchał cierpliwie, choć byłem pewien, że szeryf udzielił mu wyjaśnień w tej sprawie.

– Chyba zamierzał wrzucić mnie do rzeki – oznajmiłem.

– Można tak przypuszczać – odrzekł Rupert. – Kiedy usłyszałem, że wyszedłeś z lasu jak obłąkany człowiek z gór, twierdząc, że zostałeś uprowadzony przez Lockwooda, sprawdziłem kilka rzeczy. Zasięgnąłem informacji na temat twojego samochodu. Wczoraj wypisano na niego mandat, a następnie go odholowano. Stał przy drodze dojazdowej w Minneapolis. Zanim tu przyjechałem, zajrzałem na parking policyjny. – Sięgnął na tylne siedzenie i podał mi kluczyki



i plecak z moją komórką. – To było w twoim wozie.

– Nie znalazł pan przypadkiem portfela albo cyfrowego dyktafonu?

Rupert pokręcił głową.

– Nie, ale na tylnym siedzeniu znaleźliśmy ręczny świder do lodu i młot kowalski. Mogę się założyć, że nie są twoje.

– Nie są – przyznałem.

– Zapewne zamierzał wepchnąć cię pod łód w odmęty St. Croix. Nigdy byśmy cię nie znaleźli.

– Chyba sądził, że nie żyję.

– Pewnie tak – mruknął Rupert. – Kiedy kogoś dusisz, ta osoba traci przytomność wskutek odcięcia dopływu krwi do głowy, ale nie jest jeszcze martwa. Ponieważ chłód obniżył temperaturę twojego ciała, Lockwood musiał uznać, że ma do czynienia z trupem.

– Rzeczywiście omal nie umarłem – odparłem. – Mówił pan, że mój wóz został odnaleziony na drodze dojazdowej?

– Tak, był zaparkowany przeczną od dworca autobusowego – wyjaśnił Rupert. – Lockwood mógł wsiąść do autobusu jadącego dokądkolwiek.

– On ucieka?

– Całkiem możliwe. A może chce, byśmy myśleli, że próbuje uciekać. Sprawdziliśmy, czy dokonywał jakichś zakupów przy użyciu karty kredytowej, ale nic takiego nie odkryliśmy. Może nabył bilet na autobus za gotówkę. Kilku funkcjonariuszy przegląda nagrania z kamer monitoringu na dworcu. Jak dotąd nie odnaleźli Lockwooda na taśmach. Wystawiliśmy za nim list gończy.

– List gończy?

– Tak.

– A więc wierzy mi pan? – spytałem. – Wierzy pan, że to on zabił Crystal Hagen?

– Wszystko na to wskazuje. Mam dość powodów, żeby go aresztować za uprowadzenie ciebie, co pozwoli nam zdobyć próbkę jego DNA... gdy go znajdziemy.

– Możemy pojechać do jego domu – powiedziałem. – Pił whisky wprost z butelki. Powinno być na niej jego DNA. Możemy też zabrać stamtąd jego szczoteczkę do zębów.

Rupert wydał wargi i westchnął.

– Wysłałem już ekipę do domu Lockwooda. Kiedy tam dotarła, strażacy właśnie zwijali sprzęt. Cały dom spłonął doszczętnie. Komendant straży jest przekonany, że to było podpalenie.

– Puścił z dymem własny dom?

– Próbuje tuszować ślady, usunąć wszystkie tropy, które mogą prowadzić do niego. Nie zdołaliśmy znaleźć ani jednego niedopałka papierosa czy butelki po

piwie, nic, na czym mogłoby znajdować się jego DNA.

– To co teraz zrobimy? – spytałem.

– Nie ma żadnego „my” – rzucił karcącym tonem Rupert. – Ty się już w to nie będziesz mieszał. Nie chcę, żebyś szukał Douglasa Lockwooda. Czy wyraziłem się jasno? Wszczęliśmy oficjalne śledztwo. To tylko kwestia czasu.

– Ale czas jest kluczowym...

– Ten człowiek omal cię nie zabił – rzekł Rupert. – Wiem, że chcesz zakończyć tę sprawę, zanim umrze Iverson. Też tego chcę, naprawdę. Ale najwyższa pora, żebyś przestał się narażać.

– On już nie będzie próbował mnie dopaść, nie teraz, gdy wy włączyliście się w tę sprawę – odparłem.

– Zakładasz, że Lockwood myśli racjonalnie, że nie będzie chciał cię zabić tylko po to, by wyrównać rachunki – ciągnął Rupert. – Spotkałeś się z nim. Czy powiedziałbyś że zachowywał się racjonalnie?

– Cóż, niech no się zastanowię – odparłem z sarkazmem. – Przez kilka chwil, które spędziłem w towarzystwie Douglasa Lockwooda, krzyczał, rzucał wyrwanymi z kontekstu cytatami z Biblii, wałnął mnie butelką whisky w głowę, dusił, wrzucił do bagażnika i próbował zastrzelić. Myślę, że możemy wykluczyć racjonalne zachowanie.

– O to właśnie mi chodziło – przyznał Rupert. – Musisz mieć się na baczności. Jeżeli on wciąż jest w pobliżu, istnieje poważne ryzyko, że jednak będzie próbował cię dopaść. Uzna cię za źródło wszystkich swoich problemów. Zakładam, że zna twoje nazwisko i adres. Były w twoim portfelu, zgadza się?

– Szlag.

– Jest jakieś miejsce, gdzie mógłbyś zostać przez pewien czas, gdzie nie próbowałby cię szukać? Może u rodziców?

– Mogę się zatrzymać u Lili – odparłem pospiesznie. – Poznał ją pan. – Nie wspominałem, że Lila mieszka po sąsiedzku, za ścianą. Nie chciałem wracać do Austin.

Rupert sięgnął do schowka między nami i wyjął swoją wizytówkę.

– Na wypadek, gdyby się pokazał. Masz tu numer mojej prywatnej komórki. Gdybyś chciał się pilnie ze mną skontaktować, dzwoń pod ten numer w nocy o północy, świątek, piątek czy niedziela.

Słowa Ruperta, bym przestał mieszać się w tę sprawę, sprawiły, że poczułem głęboki niesmak. To ja wygrzebałem tę sprawę spod ziemi. To ja mu ją podsunąłem, choć wcale nie chciał się nią zająć. A teraz, gdy byliśmy tak blisko, gdy Lockwood był na wyciągnięcie ręki, Rupert chciał wyłączyć mnie z dalszego dochodzenia. Powiedział: „wszczęliśmy oficjalne śledztwo”. Ale ja usłyszałem zamiast tego: dołączyliśmy tę sprawę do setki innych prowadzonych przez nas dochodzeń i jeśli Lockwood raczy się pojawić, wtedy go aresztujemy.

Zamknąłem oczy i w moim umyśle pojawiła się nieprzyjemna wizja. Zobaczyłem Carla miotającego się w rzece, znikającego pod wodą z kamizelką ratunkową dziadka owijającą się wokół jego uniesionych ramion. W tej wizji trzymałem linę kotwiczną, nie puszczałem jej, nie próbowałem go ratować. Nigdy więcej, powiedziałem sobie. Jeszcze z tym nie skończyłem. Znajdę sposób, żeby popchnąć tę sprawę naprzód. Zrobię to, co było konieczne, by śledztwo potoczyło się w szybszym tempie i by Lockwood trafił do więzienia, zanim Carl Iverson umrze.

Zadzwoiłem do Lili i poprosiłem, żeby odebrała mnie sprzed ratusza. Policja zatrzymała mój samochód jako materiał dowodowy; mieli oprószyć go proszkiem daktyloskopijnym, żeby poszukać odcisków palców. Przez telefon opowiedziałem Lili pokrótce o tym, co się wydarzyło. Dokończyłem, gdy odwoziła mnie do domu. Dotknęła mojej głowy w miejscu, gdzie rozcięła ją butelka jacka daniel'sa, i pozwoliłem, by opuściła rękę i przesunęła koniuszkami palców po otartej przez pasek szyi. Poprosiła, żebym powtórzył słowa Lockwooda, które wypowiedział po przeczytaniu pamiętnika. Próbowałem je sobie przypomnieć.

– Chyba nazwał Crystal nierządnicą babilońską. Bredził, że nie zdołam zrozumieć jego miłości do niej... że to było coś biblijnego... Mówił, że dzieci są dla człowieka nagrodą od Boga. A potem powiedział, że robi rzeczy, których nienawidzi, i rąbnął mnie butelką.

– To brzmi jak rojenia szaleńca – powiedziała.

– Nie przeczę.

W drodze do domu uważnie się rozglądałem, przypatrując się twarzy każdego mijanego mężczyzny. Kiedy zaparkowaliśmy, zlustrowałem całą okolicę, poszukując kierowców siedzących w sąsiednich autach albo twarzy wychylającej się nad deską rozdzielczą. Latarnia migocząca na końcu przecznicy sprawiła że cienie zdawały się poruszać. Przez chwilę wydawało mi się, że dostrzegam obwisłe ramiona Douglasa Lockwooda ukrywającego się za kontenerem na śmieci, lecz okazało się, że to stara opona. Nie wyjawilem Lili powodu swojej nowo nabytej paranoi, ale chyba zrozumiała.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo byłem zmęczony po doświadczeniach ostatnich dni, dopóki nie wszedłem po wąskich schodach do swojego mieszkania. Moje ciało dopiero teraz dało mi znać o sobie, jego części zdawały się płonąć żywym ogniem, łydki, barki i plecy były targane niekończącymi się konwulsyjnymi dreszczami. Na tułowiu, ramionach i udach miałem tak dużo skaleczeń i otarć, jakbym próbował mocować się gołymi rękami z wielkim odyńcem. Na schodach, zanim doczłapałem na górę, przystanąłem, żeby w myślach sporządzić rejestr wszystkiego, co mnie boli.

Nie musiałem prosić Lili, by została ze mną na noc w swoim mieszkaniu – sama to zaproponowała. Zaoferowała też, że ugotuje rosół. Skwapliwie przystałem na jedno i drugie. Potem zaprowadziła mnie do łazienki, odkręciła wodę pod prysznicem i wyszła. Cudownie było poczuć wodę obmywającą moje ciało, rozluźniającą zbite węzły mięśni, zmywającą zaschniętą krew z włosów i brud

z ran. Pozostałem pod prysznicem dłużej niż zazwyczaj i pewnie jeszcze bym posiedział, gdyby nie to, że Lila ugotowała dla mnie zupę. Wytarłem się do sucha, starając się nie pootwierać skaleczeń ani otarć. Gdy wyszedłem spod prysznica, znalazłem czyste ubranie ułożone starannie na opuszczonej klapie sedesu; Lila wyjęła z kieszeni moich spodni klucz od mojego mieszkania i wróciła z czystymi bokserkami, podkoszulkiem i szlafrokiem. Przyniosła także moją maszynkę do golenia i szczoteczkę do zębów, żebym mógł ogolić się i umyć zęby po raz pierwszy od trzech dni.

Gdy wyszedłem z łazienki, nalewała zupę z rondelka do miski. Miała na sobie ulubioną dżersejową koszulę, różowe spodnie od piżamy i kapcie takiego samego koloru. Lubilem tę dżersejową koszulę.

– Wyglądasz, jakbyś bardzo cierpiał – rzekła Lila.

– Tak, jestem trochę obolały – przyznałem.

– Połóż się – powiedziała, wskazując w stronę sypialni. – Przyniosę zupę.

– Poczuję się lepiej, gdybyś pozwoliła mi spać na kanapie – odparłem.

– Nie kłóć się ze mną. – Ponownie wskazała na drzwi sypialni. – Masz za sobą ciężkie przeżycia. Będiesz spać w moim łóżku. I koniec gadania.

Nie próbowałem dłużej oponować. Nie mogłem się doczekać, żeby zasnąć w łóżku z poduszką, prześcieradłem i ciepłym kocem. Oparłem poduszkę o wezglowie, ułożyłem się na łóżku i przymknąłem na chwilę oczy, by nacieszyć się miękkością łóżka w zetknięciu z moim obolałym ciałem. Lila przyniosła zupę, a do tego krakersy i szklankę mleka. Usiadła na brzegu łóżka i porozmawialiśmy jeszcze trochę o moich perypetiach. Opowiedziałem jej o tym, jak rozpałem ogień w chatce, i o stroju, który zaprojektowałem, a następnie wykonałem dla siebie, bym mógł przejść przez las, o płaszczu, rękawach i całej reszcie. Gdy dokończyłem zupę, Lila zabrała miseczkę, talerz i szklankę, a ja przysłuchiwałem się odgłosom, jakie towarzyszyły odkładaniu przez nią naczyń do zlewu. Potem przez chwilę panowała cisza, zanim Lila wróciła do sypialni.

Gdy weszła, na jej widok zaparło mi dech. Rozpięta koszulę prawie do pępka, krągłe piersi wyzierały spod materiału, poły dżerseju ledwie przysłaniały jej jedwabiste gołe nogi. Serce tak mocno tłukło mi się w piersiach, że musiała to usłyszeć. Chciałem się odezwać, ale nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu. Po prostu patrzyłem, chłonąc jej piękno.

Powoli, z gracją uniosła rękę i zsunęła koszulę z prawego ramienia, materiał opadł aż do łokcia, odsłaniając jej prawą pierś. Zaraz potem zsunęła koszulę z lewego ramienia, pozwalając, by spadła na podłogę. Teraz Lila miała na sobie tylko czarne koronkowe majteczki.

Odgarnąwszy koc, wślizgnęła się obok mnie i zaczęła całować skaleczenia na mojej piersi, zadrapania na ramieniu, a potem otarcia na szyi. Osunęła się delikatnie w dół mojego ciała, całując rany, pieszcząc zbolące mięśnie i dotykając

mnie z czułością, jakiej nigdy dotąd nie zaznałem. Uniosła usta do moich ust i pocałowaliśmy się delikatnie, a gdy wplotłem palce w jej krótkie włosy, przyłgnęła do mnie. Drugą ręką zacząłem gładzić jej plecy i biodra, badając palcami wspaniałości jej ciała.

Tej nocy kochaliśmy się – nie był to ociekający potem, niezdarny seks zrodzony z nadmiaru alkoholu i hormonów, z obijaniem się o ściany, lecz powolny, upajający rodzaj kochania się, przywodzący na myśl cudowne niedzielne poranki. Lila poruszała się nade mną jak wiatr, jej smukłe gibkie ciało w moich ramionach było lekkie jak w stanie nieważkości.

Pieściliśmy się, głaskaliśmy i całowaliśmy, aż w którymś momencie dosiadła mnie, wijąc się i kołysząc powoli. Rogalik księżycy wychynął przez szczelinę między zasłonami i srebrzysty blask padł na jej ciało, plecy wygięte w łuk, dłonie wsparte na moich udach, odchyłoną do tyłu głowę i zamknięte oczy. Patrzyłem jak urzeczony, napawając się tym widokiem, pragnąc zatrzymać ten obraz w sekretnym zakamarku umysłu, gdzie na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

Obudziłem się przed wschodem słońca. Lila wciąż leżała w moich ramionach, opierając się plecami o moją klatkę piersiową, jej biodra i uda dotykały moich. Pocałowałem ją w kark i poruszyła się leciutko, ale nie obudziła się. Delikatnie chłonałem zapach jej ciała; przymknąłem oczy, żeby odtworzyć w myślach wydarzenia minionej nocy i pozwolić, by wspomnienia ponownie utuliły mnie do snu. Obudził mnie dopiero dźwięk komórki o wpół do dziewiątej. Potrzebowałem kilku chwil, by odnaleźć spodnie pozostawione w łazience Lili, i wyjąłem z kieszeni telefon.

– Halo? – powiedziałem, wracając do łóżka.  
– Joe Talbert?  
– Tak – odparłem, przecierając oczy.  
– Mówi Boady Sanden z Innocence Project. Nie obudziłem cię chyba? – zapytał.

– Nie – skłamałem. – Coś się stało?  
– Nie uwierzysz, jak bardzo dopisało nam szczęście.  
– A konkretnie?  
– Słyszałeś może o laboratorium kryminalistyki hrabstwa Ramsey?  
– Nic mi to nie mówi.  
– St. Paul ma własne laboratorium kryminalistyki hrabstwa Ramsey niezależne od BZP. Kilka miesięcy temu trzech spośród ich ekspertów zeznało podczas procesu, że nie mają protokołu dotyczącego większości przeprowadzanych przez nich procedur. Obrońcy podnieśli larum i narobili w związku z tym niezłego smrodu. W tej sytuacji w hrabstwie zaprzestano przeprowadzania testów do czasu rozwiązania tego problemu.

– I gdzie tu upatrywać łutu szczęścia?  
– Przyszło mi na myśl, że nie podjęliby się przeprowadzenia badań DNA, jeśli nie dysponowaliby odpowiednio sprecyzowanymi protokołami procedur, bo każdy nawet niezbyt lotny obrońca mógłby doprowadzić do oddalenia tych dowodów w sądzie. Jednak w tym wypadku to obrona prosi o wykonanie badań. Prokuratorzy nie próbowaliby podważyć ich wiarygodności, bo w ten sposób dawaliby pośrednio do zrozumienia, że dowody, które wykorzystywali przez lata, są niezgodne z prawem.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.  
– Mamy laboratorium pełne ekspertów, którzy nic nie robią z przyczyn natury administracyjnej. Mam tam koleżankę i poprosiłem ją o zbadanie paznokcia.

W pierwszej chwili odmówiła, ale gdy wyjaśniłem, że pan Iverson jest na łożu śmierci, zgodziła się.

– Przeprowadziła badanie DNA?

– Tak. Mam już wyniki.

Zatkało mnie. Sanden chyba zwlekał z wyjawieniem mi wyników, żeby zbudować napięcie. Wreszcie wykrztusiłem:

– No i?

– Na paznokciu eksperci odkryli zarówno komórki skóry, jak i krew. DNA zarówno męskie, jak i żeńskie. Możemy założyć, że DNA żeńskie należało do Crystal.

– A co z męskim DNA? – spytałem.

– Męskie DNA nie należy do Carla Iversona. To nie była jego skóra ani krew.

– Wiedziałem – mruknąłem. – Wiedziałem, że nie będzie należeć do Carla. – Triumfalnie uniosłem zaciśniętą pięść.

– Teraz potrzeba nam tylko wymazu z próbką DNA Lockwooda – rzekł Sanden.

I w tej chwili cały mój entuzjazm prysnął.

– Nie rozmawiałeś z Maxem Rupertem, prawda?

– Z Rupertem? Nie. A czemu?

– Lockwood zbiegł. Spalił dom i dał nogę. Rupert powiedział, że zniszczeniu uległy wszelkie ślady jego DNA.

Nie powiedziałem profesorowi Sandenowi, dlaczego Lockwood uciekł. Przemilczałem swoją wizytę w jego domu i uprowadzenie. Wiedziałem, że moje działania, jakkolwiek podjęte w dobrej wierze, zmusiły Lockwooda do ucieczki. Zrobiło mi się niedobrze.

Lila usiadła na łóżku zaciekawiona moją rozmową. Włączyłem na głośnik, by mogła się przysłuchiwać.

– No cóż – powiedział Sanden. – Mamy pamiętnik, zdjęcia, Lockwood uciekł przed sprawiedliwością i puścił swój dom z dymem. To może wystarczyć, by spawa ponownie trafiła do sądu.

– Czy to wystarczy, by uniewinnić Carla i oczyścić jego imię? – spytałem.

– Nie wiem. – Profesor Sanden wydawał się mówić do siebie, rozważając w myślach wszystkie za i przeciw. – Przyjmijmy, że okaże się, iż DNA należy do Lockwooda. Mógłby po prostu powiedzieć, że pokłócił się tego dnia z Crystal, a ona go podrapała. Bądź co bądź mieszkali pod jednym dachem. Jego DNA mogło znaleźć się na paznokciu Crystal na wiele sposobów i nie musi świadczyć o tym, że Lockwood ją zabił.

– Powiedział że wrócił do domu dopiero po tym, jak została zabita – wtrąciła Lila. – Proszę chwilę poczekać.



Lila wygramoliła się z łóżka, narzuciła koszulę i wybiegła z sypialni.

– Kto to był? – zapytał Sanden.

– Moja dziewczyna Lila – odparłem. Miło było to powiedzieć.

Usłyszałem, jak na bosaka podreptała do mojego mieszkania. Po kilku chwilach wróciła, trzymając w ręce jeden z tomów transkrypcji sądowych, i uważnie przeglądała kolejne strony.

– Pamiętam, że Danielle... mama Crystal, zeznała... – Lila przewróciła kolejną stronę i przesuwając palcem w dół tekstu linijka po linijce. – O, już mam. Mama Crystal zeznała, że Crystal sprawiała wrażenie bardzo czymś przygnębionej, i pozwoliła jej tego ranka dłużej pospać. Kiedy Doug i Danny wyszli, obudziła Crystal... – Czytała po cichu przez kilka sekund, po czym odczytała odnaleziony fragment na głos: – Obudziłam Crystal i powiedziałam, żeby poszła się wykapać, bo zawsze bardzo długo zajmowało jej wyszykowanie się do szkoły.

– Wzięła prysznic, gdy Douga już nie było w domu – podsumowałem.

– Właśnie. – Lila zamknęła transkrypcję. – Dlatego, jeżeli DNA Douga Lockwooda faktycznie znalazło się na jej paznokciu, świadczy to o tym, że musiał widzieć się z nią po szkole.

– Jeżeli to rzeczywiście DNA Lockwooda – powiedział Sanden.

– A gdybyś miał pokusić się o wydanie opinii? – spytałem.

Sanden zamyślił się chwilę.

– Wówczas powiedziałbym, że mogę się założyć, iż na tym paznokciu znajduje się DNA Lockwooda – odparł.

– Powróćmy do mojego pierwotnego pytania – zaproponowałem. – Czy bez DNA dysponujemy dostatecznymi dowodami, by oczyścić imię Carla Iversona i go uniewinnić?

Sanden westchnął do telefonu.

– Może mamy dostatecznie dużo, by doprowadzić do rozprawy. Ale gdybyśmy zdołali ustalić, do kogo należy to DNA... Przecież ona mogła w szkole podrapać swojego chłopaka albo jakiegoś kolegę. Bez ustalenia tego, mamy za dużo możliwości.

– A więc potrzebujemy DNA Douga albo mamy przewalone – podsumowałem.

– Może znajdziemy go do rozpoczęcia procesu – rzekł Sanden.

Ponownie zwiesiłem głowę.

– Tak – przytaknąłem. – Może.

Następnego dnia Lila i ja odwiedziliśmy Carla. Musiałem opowiedzieć mu o DNA i o tym, że Lockwood zbiegł. Nie zamierzałem wspominać o tym, że Lockwood mnie porwał i próbował zabić. Ani o tym, że wciąż może chcieć mnie zabić i każdy mijający dzień niemal przyprawiał mnie o atak paniki. Weszliśmy do Hillview Manor, przywitaliśmy się z Janet i panią Lorngren, po czym ruszyliśmy w stronę pokoju Carla.

– Zaczekaj, Joe – zawołała pani Lorngren. – Jego już tam nie ma.

Serce zamarło mi w piersi.

– Co? Co się stało?

– Nic się nie stało – odparła. – Przenieśliśmy go do innego pokoju.

Klepnąłem się otwartą dłonią w pierś.

– Omal nie dostałem zawału.

– Przepraszam – powiedziała pani Lorngren. – Nie chciałam cię wystraszyć.

Poprowadziła nas korytarzem do narożnego przytulnego pokoiku, gdzie Carl leżał na łóżku zwróconym w stronę dużego okna, za którym widać było potężną sosnę uginającą się pod ciężarem nagromadzonego śniegu. Na ścianach zawieszono świąteczne łańcuchy i girlandy, ozdoby przyczepiono również taśmą do ścian i żaluzji. Na stoliku przy łóżku stały cztery kartki świąteczne na wpół wysunięte z kopert. Popatrzyłem na nie i zobaczyłem, że jedna była od Janet, a druga od pani Lorngren. Mimo że do świąt zostały jeszcze dwa tygodnie, wchodząc do pokoju, powiedziałem głośno:

– Wesołych świąt, Carl.

– Joe. – Uśmiechnął się. Wyrzucał z siebie słowa powoli wraz z krótkimi, urywanymi wydechami. Przez rurkę w nosie podawano mu tlen. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała w rytmie udreńczonych oddechów, płuca ledwie pracowały. – Czy to Lila? Jak miło.

Wyciągnął drżącą dłoń ponad krawędzią łóżka, a Lila czule ujęła jego rękę w dwie swoje.

– Cieszę się że mogę wreszcie pana poznać – powiedziała.

Carl spojrział na mnie i wskazał na moją twarz.

– Co się stało? – zapytał.

– Ach, to – odparłem, dotykając rozcięcia od butelki whisky. – Musiałem wprowadzić z knajpy opornego klienta.

Carl spojrział na mnie spod półprzymkniętych powiek, jakby potrafił przejrzeć moje kłamstwo. Zmieniłem temat.

– Mamy wyniki testów. Na paznokciu Crystal nie było twojego DNA.  
– Już to... wiedziałem. – Mrugnął do mnie. – A ty nie?  
– Profesor Sanden, który kieruje Innocence Project, mówi, że to wystarczy do ponownego otwarcia sprawy.

Carl zamyślił się nad tym przez chwilę, jakby potrzebował czasu, by słowa przebiły się przez mur, jaki wznosił wokół siebie przez ostatnie trzydzieści lat. Wreszcie uśmiechnął się, zamknął oczy i opuścił głowę na poduszkę.

– Zostanę... uniewinniony.

Gdy to powiedział, zrozumiałem, że mimo protestów jednak mu na tym zależało. Oczyszczenie imienia znaczyło dla niego więcej, niż można było przypuszczać, może nawet więcej, niż zdawało się jemu samemu. Poczułem brzemień przyniatające moje barki i sprawiające, że ramiona mi obwisły.

– Spróbują to zrobić – powiedziałem, patrząc na Lilę. – Będzie nowy proces. Teraz to już tylko kwestia czasu.

Wypowiedziałem te słowa, zanim zdołałem się zorientować, co właściwie zrobiłem.

Carl zachichotał słabo i spojrzał na mnie.

– To... coś... czego... akurat... nie mam. – Przeniósł wzrok w stronę okna.  
– Widziałeś... śnieg?

– Tak, widziałem. – Uśmiechnąłem się. Śnieg był dla Carla czymś cudownym i pięknym, ale mnie omal nie zabił. – Niezła śnieżycyca – przyznałem.

– Wspaniała – wyszeptał.

Spędziliśmy przy nim prawie godzinę, rozmawiając o śniegu, ptakach i przygiętej sośnie. Wysłuchaliśmy opowieści Carla o chatce jego dziadka nad jeziorem Ada. Rozmawialiśmy o wszystkim – tylko nie o jego sprawie. Zupełnie, jakbyśmy mówili o Układzie Słonecznym, nie wspominając ani słowem o Słońcu. Wszyscy wiedzieliśmy, że Carl nie zostanie oczyszczony z zarzutów za życia. Proces zakończy się zapewne długo po jego śmierci. Nagle znów poczułem się jak jedenastolatek patrzący na dziadka szamoczącego się w nurcie rzeki. Gdy Carl wyraźnie osłabł, pożegnaliśmy się z nim, nie wiedząc, czy zobaczymy go jeszcze żywego. Podając Carlowi rękę, starałem się ukryć przed nim swój smutek. W odpowiedzi uśmiechnął się do mnie ze szczerością, której nie rozumiałem.

Chciałem być tak pogodny i pewien swojego życia jak on w tamtej chwili. Zajrzeliśmy do gabinetu pani Lorngren, żeby podziękować jej za przeniesienie Carla do przytulnego pokoju. Poczęstowała nas pałeczkami miętowymi z pudełka, które stało na biurku, i poprosiła, byśmy usiedli.

– Przypadkiem usłyszałam, że wspominałeś coś o DNA – rzekła.

– Podczas szamotaniny ta dziewczyna straciła jeden ze sztucznych paznokci – wyjaśniłem. – Wciąż są na nim ślady DNA zabójcy. Przeprowadzono badanie i okazało się, że nie jest to DNA Carla.

– To cudownie – powiedziała. – Czy wiadomo czyje?  
– Prawdopodobnie ojczyma dziewczyny, ale nie mamy pewności. Jak na razie wiemy, że może to być DNA kogokolwiek oprócz Carla Iversona.

– Czy on nie żyje?

– Kto?

– Ojczym.

Wzruszyłem ramionami.

– Równie dobrze może nie żyć – odparłem. – Zniknął, więc nie możemy zdobyć próbki jego DNA.

– Ma syna? – spytała.

– Tak, czemu pani pyta?

– Nie słyszałeś o chromosomie Y? – zapytała pani Lorngren.

– Wiem, że istnieje coś takiego, ale nie bardzo rozumiem, w czym rzecz.

Pani Lorngren wychyliła się do przodu, łącząc palce dłoni jak nauczyciel, który zamierza udzielić wykładu tępemu uczniowi.

– Chromosom Y mają tylko mężczyźni – odparła. – Ojciec przekazuje swój kod genetyczny synowi za pośrednictwem chromosomu Y. Te geny są prawie identyczne. Istnieje niewielka różnica między DNA ojca i syna. Gdybyś zdobył próbkę DNA syna, mogłoby ono wykluczyć każdego mężczyznę, który nie jest z nim bezpośrednio i blisko spokrewniony.

Spojrzałem na nią i aż opadła mi szczęka ze zdumienia.

– Jest pani ekspertem od DNA?

– Jestem dyplomowaną pielęgniarką – odparła. – A żeby na to zasłużyć, trzeba dobrze rozumieć biologię. Ale... – uśmiechnęła się porozumiewawczo – o chromosomie Y dowiedziałam się sporo, oglądając *Tajemnice akt sądowych* w telewizji. To zdumiewające, czego można się nauczyć z tych seriali.

– A więc wystarczy, że zdobędziemy DNA męskiego krewnego? – zapytałem.

– To nie takie proste – rzekła pani Lorngren. – Musielibyście zdobyć DNA wszystkich męskich krewnych tego człowieka, którzy żyli trzydzieści lat temu – jego synów, braci, wujków, dziadka. I nawet wówczas jedynie zwiększylibyście prawdopodobieństwo stwierdzenia, że sprawcą jest ojczym.

– To wspaniały pomysł – powiedziałem. – Moglibyśmy wykazać w wyniku eliminacji, że DNA należy do Douga.

– Wydawało mi się, że Max Rupert zabronił ci mieszać się w tę sprawę – wtrąciła Lila.

– Powiedział, że mam trzymać się z daleka od Douglasa Lockwooda. – Uśmiechnąłem się do niej. – Nie zamierzam zbliżyć się do Douglasa Lockwooda. Zamierzam zbliżyć się do wszystkich oprócz niego.

Jeszcze w gabinecie pani Lorngren czułem się jak dziecko, które dostało

nowe sportowe buty i tak się cieszy, że aż się boi je włożyć. Ledwie byłem w stanie zapanować nad natłokiem myśli, które kłębiły mi się w głowie, gdy wracaliśmy z Lila do jej mieszkania. Kiedy włączyliśmy komputery, Lila zaczęła szukać informacji na temat chromosomu Y, a ja przeczesywałem internet, by znaleźć drzewo genealogiczne rodziny Lockwoodów.

Lila natrafiła na świetne strony o DNA – o ile pani Lorngren miała rację – dowiedziała się też, że w Walmarcie sprzedawano sterylne zestawy do pobierania DNA na użytek ustalenia ojcostwa; moglibyśmy z nich skorzystać do pobrania wymazu z jamy ustnej, by w ten sposób uzyskać próbkę DNA.

Ja znalazłem niewiele informacji o krewnych Lockwooda. Natrafiłem na mężczyznę nazwiskiem Dan Lockwood, z właściwą datą urodzin, zamieszkałego w Mason City w stanie Iowa i pracującego jako ochroniarz w centrum handlowym. To musiał być Danny, przyrodni brat Crystal. Wszedłem na jego stronę na Facebooku i w innych mediach społecznościowych, które przysły mi do głowy, jednak nie napotkałem żadnych informacji mogących świadczyć o tym, że miał męskiego krewnego, choćby ojca. Nie zaskoczyło mnie to. Na miejscu Danny'ego też chciałbym zatrzeć wszelkie ślady istnienia tego opętanego Biblią psychologa. Miałem nadzieję, że nie trzeba będzie szukać zbyt wielu mężczyzn z rodu Lockwoodów, aby uzyskać dowody wskazujące jednoznacznie na Douglasa.

– Jak twoim zdaniem powinienem zdobyć próbkę DNA Danny'ego? – spytałem Lili.

– Mógłbyś go o to poprosić.

– Tak po prostu? – mruknąłem. – Przepraszam, panie Lockwood, czy mógłbym pobrać od pana wymaz, żeby uzyskać dzięki temu dowód na to, że pański ojciec zabił pana przyrodnią siostrę?

– Jeżeli odmówi, to trudno, ale zawsze warto spróbować – powiedziała. – Ale nawet gdyby odmówił ... – Lila nie dokończyła, jakby rozważała już jakiś plan.

– To co? – naciskałem.

– Potrzebujemy tylko próbki jego śliny – wyjaśniła. – Wystarczy odrobina, z papierowego kubka po kawie albo niedopałka papierosa. Znalazłam artykuł z Kalifornii o facecie nazwiskiem Gallego. Gliny chodziły za nim, aż wyrzucił niedopałek papierosa. Zabrali pęta i zdobyli DNA tego gościa. Trafił do więzienia. Jeżeli wszystko inne zawiedzie, będziemy śledzić Danny'ego, aż wyrzuci do śmieci niedopałek papierosa albo kubek po kawie.

– My? Dlaczego mówisz w liczbie mnogiej? – spytałem.

– Nie masz samochodu – odrzekła Lila. – Wciąż znajduje się na parkingu policyjnym, pamiętasz? Stanowi materiał dowodowy. – Nachyliła się nad stołem i mnie pocałowała. – Poza tym nie pozwolę, żebyś dokończył tę sprawę beze mnie. Ktoś musi pilnować, żebyś znów nie dostał po głowie butelką whisky.



Dan Lockwood mieszkał w starszej, robotniczej części Mason City w stanie Iowa, przecznicę na północ od torów, w domu, który wyglądał jak wszystkie inne przy tej ulicy. Minęliśmy budynek dwa razy, dwukrotnie sprawdzając numer i porównując z tym, co znaleźliśmy w internecie. Kiedy przejechaliśmy drugi raz, skręciliśmy w uliczkę za domem, podskakując na wybojach, omijając zasy i wypatrując oznak życia. Dostrzegliśmy przepelniony kosz na śmieci, z którego wylewały się białe pękate worki, stojący obok tylnego wejścia. Zobaczyliśmy też, że ktoś oczyścił szuflę ścieżkę w sięgającym do kolan śniegu, wiodącą od domu do zaułka. Zapamiętaliśmy to i pojechaliśmy kilka przecznic dalej, by gdzieś zaparkować, a po drodze ostatni raz powtórzyliśmy nasz plan.

Zajrzeliśmy do Walmartu, gdzie kupiliśmy zestaw do testu na ojcostwo zawierający trzy bawełniane waciki, kopertę na próbki oraz instrukcję, jak pobrać wymaz z jamy ustnej. Lila miała go teraz w torebce. Postanowiliśmy działać bezpośrednio. Pójdziemy do domu Dana, zapytamy o wszystkich męskich krewnych żyjących w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, a następnie poprosimy o wymaz. Jeżeli to się nie uda, przejdziemy do planu B: będziemy go śledzić, aż wypluje gumę do żucia lub coś w tym rodzaju.

– Gotowa? – spytałem.

– Chodźmy na spotkanie z Danem Lockwoodem – zakomenderowała, uruchamiając silnik.

Zaparkowaliśmy pod domem, podeszliśmy do drzwi frontowych i nacisnąłem dzwonek. Otworzyła nam kobieta w średnim wieku. Twarz miała przedwcześnie postarzałą od palenia papierosów, których woń była naprawdę powalająca. Nosila turkusowy kombinezon i niebieskie kapcie, a jej włosy wyglądały jak pęk spalonych miedzianych drutów.

– Czy moglibyśmy porozmawiać z Danem Lockwoodem? – spytałem.

– Wyjechał – odparła ochryplym niskim głosem, jakby miała zamiar odchrząknąć. – Jestem jego żoną. Mogę w czymś pomóc?

– Nie – odrzekłem. – Musimy pomówić z panem Lockwoodem. Możemy wrócić...

– Chodzi o jego ojca?

Już mieliśmy odejść, ale pytanie kobiety sprawiło, że stanęliśmy jak wryci.

– Ma pani na myśli Douglasa Lockwooda? – wysiliłem się na oficjalny ton.

– Tak, jego ojca, który zaginął – potwierdziła.

– Właściwie – odezwała się Lila – to z jego powodu tu jesteśmy. Mieliśmy

nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać o tym z panem Lockwoodem. Kiedy pani zdaniem powinien wrócić?

– Przypuszczam, że niedługo – odparła. – Jedzie właśnie z Minnesoty. Możecie wejść i poczekać na niego, jeżeli chcecie. – Odwróciła się, wchodząc do domu i wskazując brązową kanapę obitą winylową tkaniną. – Rozgośćcie się.

Na stole stała popielniczka ze stosem niedopałków, kilka marlboro, ale większość virginia slims.

– Widzę, że lubi pani marlboro – zauważyłem.

– To Dana – odparła. – Ja palę slimy.

Wymieniliśmy z Lilą spojrzenia. Gdyby pani Lockwood choć na chwilę wyszła z pokoju, moglibyśmy zdobyć potrzebną nam próbkę DNA.

– Mówi pani, że pan Lockwood był w Minnesocie? – spytałem.

– Wydajecie się bardzo młodzi jak na policjantów – stwierdziła.

– Ee... nie jesteśmy z policji – wyjaśniła Lila – tylko z innej agencji.

– Znaczy się z opieki społecznej czy czegoś takiego? – dociekała pani Lockwood.

– Czy Dan pojechał do Minnesoty szukać ojca? – przeszedłem do rzeczy.

– Tak. Pojechał tam, kiedy dowiedział się o zaginięciu ojca. Kiedy zaczęła się śnieżyca.

Spojrzałem na Lilę zaskoczony słowami pani Lockwood.

– Czy Dan pojechał do Minnesoty, zanim rozpętała się śnieżyca, czy potem? – spytałem.

– W piątek, tuż przed wielką burzą śnieżną. Bardzo go zasypało i ugrzało. Zadzwoił kilka godzin temu, by powiedzieć, że właśnie wraca.

Dokonałem w głowie obliczeń. Doug Lockwood porwał mnie w piątek, śnieżyca przybrała na sile w nocy, gdy ukrywałem się w chatce myśliwskiej. Przeczekałem burzę przez sobotę i w niedzielę dotarłem na farmę. Z tego, co wiedziała policja Minnesoty, Doug Lockwood zaginął dopiero w niedzielę.

– Żebyśmy mieli jasność – odezwałem się. – Zanim tam pojechał, powiedział pani, że jego ojciec zaginął?

– Nie, w piątek odebrał telefon... o której to było?... późnym popołudniem... Nie pamiętam, która dokładnie była godzina. Bardzo się zdenerwował, powiedział, że musi pojechać do ojca. I zaraz potem wyszedł.

– Skąd więc pani wiedziała, że Douglas Lockwood zaginął? – wtrąciła się Lila.

– W niedzielę odebrałam telefon od jakiegoś gliniarza. Chciał pomówić z Danem. Odparłam, że Dana nie ma. Zapytał, z kim rozmawia i czy ostatnio widziałam Dana, na co odparłam, że nie.

– Czy ten policjant nazywał się Rupert? – spytałem.

– Nie jestem pewna – odrzekła. – Być może. I wtedy zadzwoniła ta



wiedźma, jego macocha – wycedziła pani Lockwood, wydymając usta.

– Macocha? Danielle Hagen? – zdziwiłem się.

– Tak. Nie rozmawiała z Danem od lat. Pewnie nawet by na niego nie splunęła, gdyby konał z pragnienia. Zadzwoiła w niedzielę, żeby zepsuć Danowi dzień.

– Co powiedziała? – spytałem.

– Nie rozmawiałam z nią. Pomyślałam, że to może znów ten policjant, i pozwoliłam, żeby włączyła się automatyczna sekretarka.

– Co się nagrało? – spytała Lila.

– Niech no sobie przypomnę... powiedziała jakoś tak... DJ, mówi Danielle Hagen. Chciałam ci tylko powiedzieć, że była u mnie policja, szukają twojego zasranego ojca. Powiedziałam im, że mam nadzieję, że on nie żyje. Mam nadzieję...

– Chwileczkę – przerwałem jej – chyba coś się pani pomyliło. Wydaje mi się, że ona zadzwoniła do pani, żeby powiedzieć, że DJ zaginął.

– DJ nie zaginął. Zaginął jego stary. To Doug zaginął.

– Ale... ale... – wykrztusiłem.

– Ale przecież Doug to DJ – natychmiast włączyła się Lila. – Douglas Joseph. Jego inicjały to DJ.

– Nie, Dan to DJ. – Pani Lockwood spojrzała na nas, jakbyśmy próbowali wmówić jej, że czarne jest białe.

– Dan ma na drugie William – powiedziałem.

– Tak, ale jego ojciec poślubił tę sukę Danielle, kiedy Dan był jeszcze mały. Lubiła, gdy ją nazywano Dani, choć raczej głupio to brzmiało. A ponieważ w rodzinie nie mogło być dwojga Dannych, ją wszyscy nazywali Dani, a jego Danny Junior. Ale bardzo szybko skrócono to do DJ.

Zakręciło mi się w głowie. Myliłem się we wszystkim. Lila spojrzała na mnie blada jak ściana, a jej oczy mówiły to, co już wiedziałem – znajdowaliśmy się w domu zabójcy Crystal Hagen.

– O, Dan właśnie wrócił – powiedziała pani Lockwood, wskazując na furgonetkę, która w tej chwili wjechała na podjazd.

Próbowałem myśleć, wykombinować jakiś plan, ale do głowy przychodziły mi jedynie przekleństwa. Furgonetka przejechała za oknem i zatrzymała się na podjeździe przy domu. Drzwiczki od strony kierowcy otworzyły się, a zachodzące słońce dawało dość światła, bym zobaczył faceta ubranego i zbudowanego jak drwal, o krótko obciętych włosach, który wysiadł z samochodu. Spojrzałem na Lilę błagalnym wzrokiem w nadziei, że może wymyśliła sposób na ucieczkę. Lila wstała, jakby przeszedł ją prąd.

– Formularze – powiedziała. – Zapomnieliśmy formularzy.

– Formularze – powtórzyłem.

– Zostały w samochodzie – rzekła Lila, wskazując głową na frontowe drzwi.

Stałem obok niej.

– Oczywiście – powiedziałem i oboje zaczęliśmy kierować się w stronę drzwi. – Bardzo przepraszamy. Musimy przynieść formularze z samochodu.

Mężczyzna wyłonił się zza rogu domu, zmierzając chodnikiem w stronę frontowego ganku. Lila zeszła po schodach z ganku, niemal wpadając na Dana Lockwooda. Mężczyzna przystanął przed schodami z wyrazem zdumienia na twarzy, czekając, aż ktoś mu wyjaśni, dlaczego wychodzimy z jego domu. Lila nic nie powiedziała, nie przywitała się, nie próbowała się tłumaczyć, po prostu go minęła, unikając kontaktu wzrokowego. Pospieszyłem za nią, próbując zrobić to samo, mimowolnie jednak na niego spojrzałem. Przypominał ojca, miał taką samą pociągłą bladą i szorstką twarz. Jego wąskie oczy obserwowały mnie, taksując wzrokiem opatrunek na mojej głowie i otarcia na szyi. Przyspieszyliśmy kroku, zmierzając w stronę samochodu Lili.

– Hej – zawołał za nami.

Szliśmy dalej.

– Ej, wy! – zawołał głośnie.

Lila wskoczyła za kierownicę, a ja wślizgnąłem się na fotel pasażera. Dopiero wtedy spojrzałem na Lockwooda stojącego przed gankiem ze zdziwioną miną. Czy Doug wspomniał mu o butelce whisky? O pasku? Czy dlatego tak mi się przyglądał? Lila ruszyła, a ja obserwowałem Lockwooda, by upewnić się, że nie pojedzie za nami.

– Danny zabił swoją siostrę – odezwała się Lila. – Kiedy obaj, Doug i Danny, skłamali, że byli w salonie używanych samochodów Douga, sądziłam, że Danny posunął się do kłamstwa, by chronić ojca, ale to Doug kłamał, by chronić syna. A pamiętnik...

– Danny tamtej jesieni skończył osiemnaście lat – wszedłem jej w słowo. – Tak mówił Adrew Fisher. W obliczu prawa był już pełnoletni. Był dorosły.

– Miał osiemnaście lat, a Crystal czternaście. To o to chodziło Crystal, gdy pisała o gwałcie.

– Chryste, to o to chodziło Dougowi – powiedziałem, klepiąc się dłonią w czoło. – Tamtej nocy, kiedy próbował mnie zabić, kiedy zaczął się zachowywać jak wariat, sypiąc cytatami z Biblii, myślałem, że jest po prostu chorym bydlakiem przyznającym się do molestowania Crystal. Ale jemu chodziło o ochronę syna. Wiedział, że Danny zabił Crystal. Powiedział glinom, że Danny był z nim wtedy, gdy zamordowano Crystal. Nie mógł skłamać w sprawie alibi, chyba że wiedział o wszystkim. Ochraniał Danny’ego przez te wszystkie lata i kiedy zjawiłem się w domu Douga z rozszyfrowanym pamiętnikiem, próbował mnie zabić, by ciągle go chronić.

– Telefon – rzekła Lila. – Ten, który Danny odebrał w piątek.

– Doug zadzwonił do Danny’ego, żeby powiedzieć mu o mnie – stwierdziłem. – Zatelefonował, bo myślał, że mnie zabił, i zastanawiał się, co ma zrobić ze mną, a raczej z moim ciałem.

– Cały czas za tym wszystkim stał Danny – powiedziała Lila, wzdrygając się. – Nigdy dotąd nie byłam tak blisko mordercy. – Jej oczy rozbłyły. – Jezu, załóż się, że to on spalił dom Douga, żeby zniszczyć wszelkie ślady jego DNA.

– Co? Ale...

– Pomyśl tylko. Pojechałeś do domu Douga przekonany, że to on, a nie Danny jest mordercą i że to DNA Douga znajduje się pod paznokciem Crystal. Kiedy uciekłeś, Danny zrozumiał, że sprowadzisz gliny, które zaczną szukać Douga. Policja zdobyłaby próbkę jego DNA czy to z butelki whisky, czy z czegoś innego znajdującego się w domu. Ale DNA Douga nie byłoby takie samo jak to z próbki z paznokcia Crystal. Miałoby zbliżony profil wskazujący na męskiego krewnego Douga.

– Sukinsyn – wycedziłem. – Danny niszczy wszystkie ślady DNA Douga, puszczając z dymem jego dom, byśmy nadal wierzyli, że to Doug jest zabójcą.

Pozwoliłem, by poszczególne elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce, a wtedy uświadomiłem sobie coś naprawdę potwornego, co kryło się za tym wszystkim.

– Ale nie mogłem pozbyć się całego DNA Douga, chyba że...

– Chyba że pozbył się Douga – dokończyła Lila.

– Zabił własnego ojca? To jakiś obłęd.

– Albo akt desperacji. Co byś zrobił, żeby uniknąć spędzenia reszty życia w więzieniu?

– Cholera. – Postukałem się palcami w udo. – Zanim wyszliśmy, powinienem był zabrać choć jeden niedopałek. Byliśmy tak blisko. Mogłem

sięgnąć i zgarnąć któryś z nich.

– Ja też spanikowałam – przyznała Lila. – Kiedy zobaczyłam wjeżdżającą na podjazd furgonetkę, zupełnie mnie sparaliżowało.

– Sparaliżowało cię? – powtórzyłem. – O czym ty mówisz? To ty nas stamtąd wyprowadziłaś. Byłaś niesamowita.

Wyjąłem komórkę i zacząłem grzebać w kieszeniach.

– Co robisz? – spytała Lila.

– Max Rupert dał mi numer swojej prywatnej komórki. – Wcisnąłem ręce do kieszeni, jakby wizytówka jakimś cudem mogła zmniejszyć się do rozmiarów znaczka pocztowego. – Szlag!

– Co się stało?

– Została w mieszkaniu, na stoliku do kawy.

Lila zahamowała i zjechała na pobocze.

– Musimy wrócić – powiedziała.

– Oszalałaś?

Włączyła bieg jałowy i odwróciła się do mnie.

– Jeżeli się nie mylimy, Danny spalił dom swojego ojca, a może nawet zabił ojca, żeby uniknąć więzienia. Teraz pewnie puści z dymem własny dom i zniknie. Zwieje do Meksyku, Wenezueli czy gdzieś i miną lata, zanim go znajdą, jeżeli w ogóle. Jeśli zdołamy zdobyć próbkę jego DNA, okaże się identyczna z profilem tej, którą znaleziono na paznokciu. Nie będzie co do tego żadnych wątpliwości. Gliny mogą dopaść Lockwooda prędzej czy później, ale na razie musimy doprowadzić do uniewinnienia Carla. Musimy działać już teraz. Musimy zdobyć to DNA.

– Nie wrócę tam i za cholerę nie pozwolę ci wejść do tego domu.

– A kto mówi o wchodzeniu do domu. – Lila uśmiechnęła się, ponownie wrzuciła bieg i samochód ruszył powoli. – Musimy tylko pobuszować trochę w śmietniku.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a ulice i alejki Mason City rozjaśnił blask latarni i iluminacji świątecznych. Nasz plan był prosty: pojedziemy z wyłączonymi światłami do zaułka za domem Lockwoodów, bacznie przepatrując drzwi i okna. Gdybyśmy dostrzegli w domu jakieś poruszenie, natychmiast byśmy stamtąd odjechali, kierując się do Minnesoty, żeby donieść Maxowi Rupertowi, co udało nam się ustalić. Gdyby jednak noc była spokojna i nigdzie nie zauważylibyśmy śladu Lockwooda, Lila miała zatrzymać wóz za garażem po sąsiedzku. A potem ja wymknę się z auta i bezszelestnie jak ninja podkradnę się do śmietnika, by zwinąć stamtąd leżącą na samej górze pękata torbę ze śmieciami.

Odblokowałem drzwiczki, gdy tylko wjechaliśmy do zaułka. Małe autko Lili kolebało się na wybojach drogi pokrytej śniegiem i lodem. Minęliśmy garaż sąsiada, by móc spojrzeć od strony tylnego podwórza na dom Lockwoodów. Ciemność rozcinał tylko wąski snop światła padający z okna kuchni. Wyteżałem wzrok, by dostrzec jakikolwiek ruch pośród cieni wywołanych przez świąteczną iluminację domu sąsiadów.

Minęliśmy tę posesję i nie dostrzegliśmy niczego, co mogłoby powstrzymać nas przed realizacją naszego planu. Lila zatrzymała samochód za następnym garażem i zakryła dłonią lampkę podsufitową. Otworzyłem drzwiczki, wysiadłem i podkradłem się do oczyszczonego przez panią Lockwood przejścia między domem a zaułkiem. Raz jeszcze przystanąłem na początku ścieżki. Nie usłyszałem niczego oprócz cichego szumu wiatru. Wszedłem na posesję Lockwooda, a cienka warstwa świeżego śniegu chrzęściła mi pod nogami. Stąpałem powoli i ostrożnie, jakbym szedł po linie. Dziesięć metrów... pięć... trzy. Prawie mogłem dotknąć śmietnika.

Nagle grudniową ciszę rozdarł dźwięk klaksonu, który rozległ się gdzieś na sąsiedniej ulicy, i serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Nie poruszyłem się – nie byłem w stanie. Zastygłem w bezruchu, spodziewając się zobaczyć w oknie znajomą twarz. Byłem gotów rzucić się do ucieczki, wyobrażałem sobie szaleńczy bieg do samochodu i tupot kroków ścigającego mnie mordercy. Ale nikt się nie pojawił; nikt nie wyrżał na zewnątrz.

Zebrałem się w sobie i zrobiłem ostatni krok. Pokrywa kosza leżała na wystającym ze śmietnika pękatym worku. Powoli uniosłem ją i położyłem na śniegu. Przez okno padało dość światła, żebym mógł dostrzec wierzch worka ze śmieciami. Podniosłem go powoli jak złodziej diamentów starający się nie zaalarmować czujników ruchu; miałem doskonały refleks, idealną równowagę,

ale... trochę zawiódł mnie wzrok.

Nie zauważyłem butelki po piwie opartej o worek ze śmieciami, dopóki w słabym świetle nie dostrzegłem, jak wypada z kosza. Obróciła się dwa razy w powietrzu, uderzyła o dolny drewniany stopień schodów ganku, odbiła się od niego i spadła na chodnik. Brzęk, z jakim roztrzaskała się w drobny mak, obwieścił wszem wobec moją obecność. Odwróciłem się i pobiegłem z powrotem, ściskając kurczowo w prawej ręce zdobyczny worek śmieci, wewnątrz którego pobrzękiwały metaliczne i szklane odpadki. Te dźwięki przywodziły na myśl dzwonki wiatrowe na jakimś szrocie. Dotarłem do rozwidlenia drogi dokładnie w chwili, gdy na ganku zapaliło się światło. Wpadłem rozpedzony na oblodzony fragment chodnika i wywinąłem orła – moje nogi wyleciały w powietrze i wylądowałem jak długi na ziemi, objijając sobie boleśnie łokieć i biodro. Podniosłem się i sprintem przebiegłem ostatni odcinek dzielący mnie od samochodu. Cały czas mocno trzymałem w dłoni torbę ze śmieciami.

Lila ruszyła, gdy tylko usiadłem na fotelu, nawet nie czekała, aż zamknę drzwiczki. Opony zabuksowały na oblodzonej drodze, a tyłem auta zarzuciło i omal nie zawadziła nim o pobliski garaż. Mroczna, niewyraźna postać widoczna w świetle lampy nad tylnymi drzwiami domu Lockwooda pędem ruszyła w naszą stronę. Opony auta Lili złapały pas żwirowej nawierzchni, odzyskując przyczepność, i pomknęliśmy w głąb zaułka, po czym wypadliśmy na sąsiednią ulicę, pozostawiając cień Dana Lockwooda daleko w tyle.

Żadne z nas się nie odezwało, dopóki nie wyjechaliśmy poza rogatki miasta. Raz po raz oglądałem się za siebie, spodziewając się ujrzeć zbliżające się do nas światła furgonetki. Ale się nie pojawiły. Zanim dotarliśmy do międzystanowej i skierowaliśmy się na północ, rozluźniłem się na tyle, żeby zajrzeć do worka na śmieci. Na samym wierzchu, obok starej butelki po keczupie i zatłuszczonego pudełka po pizzy, wałało się co najmniej dwadzieścia niedopałków marlboro.

– Mamy go – powiedziałem.

Zdobyliśmy niedopałki papierosów Lockwooda z jego DNA, ostatni element tej zmieniającej się bez przerwy układanki. DNA pozyskane z jednego z tych niedopałków okaże się zgodne z próbką DNA pozyskaną z paznokcia Crystal Hagen. Wszystko łączyło się w całość, by udowodnić, że to Daniel Lockwood – Danny junior, DJ – trzydzieści lat temu zamordował Crystal Hagen. Teraz wszystko do siebie pasowało.

Gdy zmierzaliśmy na północ autostradą międzystanową I-35, kierując się ku granicy między Iowa a Minnesotą, zachowaliśmy czujność: dwukrotnie zjechaliśmy z autostrady tylko po to, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie śledzi. Czekaliśmy, obserwując światła mijających nas aut. Dopiero po pewnym czasie wracaliśmy na autostradę. Niebawem wjechaliśmy do Minnesoty, gdzie zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, żeby zatankować i coś zjeść. Zamieniliśmy się miejscami, żeby Lila mogła trochę odpocząć. Gdy wróciliśmy na międzystanową, z mojej komórki dobiegł dźwięk tematu muzycznego z *Piratów z Karaibów*, który przypisałem do numeru Jeremy'ego. Dzwonił do mnie po raz pierwszy, odkąd nauczyłem go, jak ma korzystać z komórki. Dreszcz przebiegł mi po plecach.

– Co tam, kolego? – rzuciłem do telefonu. Nie było odpowiedzi. Usłyszałem oddech brata na drugim końcu łącza, więc znów się odezwałem: – Jeremy, wszystko w porządku?

– Może pamiętasz, co kazałeś mi zrobić? – powiedział z większym niż zwykle wahaniem.

– Pamiętam – odparłem grobowym głosem. – Powiedziałem, że masz do mnie zadzwonić, gdyby ktokolwiek próbował zrobić ci krzywdę.

Mocniej zacisnąłem dłoń wokół komórki.

– Jeremy, co się stało?

Nie odpowiedział.

– Czy ktoś cię uderzył?

Nadal nic.

– Czy to mama?

Cisza.

– Czy Larry cię uderzył?

– Może... może Larry mnie uderzył.

– Niech to szlag! – odsunąłem telefon od ust, klnąc przez zaciśnięte zęby. – Zabiję tego sukinsyna.

Wzięłem głęboki oddech i ponownie przyłożyłem telefon do ucha.

– Posłuchaj, Jeremy. Chcę, żebyś poszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi na klucz. Możesz to dla mnie zrobić?

– Może mogę – odparł.

– Powiedz mi, kiedy zamkniesz drzwi na klucz.

– Może już zamknąłem je na klucz – powiedział.

– Dobrze, a teraz zdejmij poszewki z poduszek i włóż do nich swoje rzeczy.

Wypchaj je ubraniami. Możesz to zrobić?

– Może mogę.

– Już do ciebie jadę. Czekać w swoim pokoju, dopóki nie dotrę na miejsce, dobra?

– Może przyjedziesz po zajęciach? – zapytał.

– Nie – odrzekłem. – Już jestem prawie na miejscu. Będę, zanim się obejrzysz.

– W porządku.

– Spakuj swoje rzeczy.

– W porządku.

– Widzimy się zaraz.

Rozłączyłem się w tej chwili, gdy zobaczyłem zjazd z międzystanowej I-35 na międzystanową I-90. Do Austin powinienem dotrzeć za dwadzieścia minut.



Zahamowałem z piskiem opon przed domem matki, przełączyłem dźwignię biegów w samochodzie Lili na tryb parkowania i wyskoczyłem z samochodu. W pięciu krokach pokonałem siedem metrów dzielące ulicę i ganek, po czym wpadłem przez frontowe drzwi i zaskoczyłem Larry'ego i moją matkę siedzących na kanapie i oglądających telewizję z puszkami piwa w dłoniach.

– Co mu zrobiłeś? – ryknąłem.

Larry zerwał się na nogi, ciskając mi w twarz puszką piwa. Odbiłem ją w bok, ani na chwilę nie zwalniając kroku. Uniósł zaciśniętą pięść, a ja tymczasem rąbnąłem go otwartymi dłońmi w klatkę piersiową, zbijając go z nóg i przewracając na oparcie kanapy. Mama zaczęła na mnie krzyczeć, ale wyminąłem ją i poszedłem do pokoju Jeremy'ego. Delikatnie zapukałem do drzwi, jakbym chciał po prostu powiedzieć mu dobranoc.

– Jeremy, to ja, Joe.

Rozległ się szcęk zamka. Jeremy stanął przy łóżku, a jego lewe oko we wszystkich kolorach tęczy, z przewagą granatu, żółci i czerni, było tak spuchnięte, że prawie całkiem się zamknęło. Obok na łóżku leżały poszewki wypchane ubraniami. Larry miał szczęście, że zbyt się spieszyłem, aby się nim zająć.

– Cześć, Jeremy – powiedziałem, podnosząc i ważąc w rękę poszewki. – Świetnie się spisałeś. – Podąłem mu je. – Pamiętasz Lilę, prawda? – Pokiwał głową. – Ona czeka w samochodzie przed domem. – Położyłem dłoń na plecach brata, wyprowadzając go z sypialni. – Zanieś jej te rzeczy. Zamieszkas z mną.

– Takiego wała – wychrypiała mama.

– Idź, Jeremy – powiedziałem. – Nic się nie bój.

Jeremy minął matkę, nawet na nią nie spojrzawszy, po czym pospiesznie przeszedł przez pokój i opuścił mieszkanie.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – rzuciła karcącym tonem matka.

– Co mu się stało w oko? – spytałem.

– To... nic takiego.

– Twój pieprzony fagas go pobił. To nie jest nic takiego. To napaść.

– Larry się zdenerwował. Tak już ma. On...

– Więc powinnaś wykopać stąd Larry'ego, nie uważasz?

– Jeremy gra Larry'emu na nerwach. Celowo go drażni.

– Jeremy jest autystykiem – zawołałem. – Nie może celowo nikogo drażnić.

Nie rozumie takich zachowań.

– To co miałam zrobić?

– Powinnaś go chronić. Powinnaś zachowywać się, jak przystało na matkę. Być jego matką.

– A więc nie mogę mieć własnego życia? To właśnie chcesz powiedzieć?

– Dokonałaś wyboru – odrzekłem. – Wybrałaś Larry’ego, więc Jeremy zamieszka ze mną.

– Nie dostaniesz jego zasiłku – wysyczała.

Zadygotałem z wściekłości, zaciskając dłonie w pięści i odczekałem chwilę, by trochę się uspokoić, zanim znów się odezwałem:

– Nie chcę pieniędzy. On nie jest kuponem żywnościowym. To twój syn.

– A co z twoimi cennymi studiami? – Jej głos aż ociekał sarkazmem.

Przez moment oczyma duszy widziałem, jak wszystkie moje plany na przyszłość spełzają na niczym. Wziętem głęboki oddech i westchnąłem.

– No cóż. Ja chyba też właśnie dokonałem wyboru.

Ruszyłem w stronę frontowych drzwi i zobaczyłem Larry’ego zagradzającego mi drogę i unoszącego dłonie zaciśnięte w pięści.

– Przekonajmy się, jaki jesteś twardy, gdy nie atakujesz z zaskoczenia – powiedział.

Larry stał bokiem, w niewygodnej pozycji bokserskiej, ze stopami ułożonymi równolegle, z lewą pięścią wysuniętą do przodu, a prawą przyciśniętą do klatki piersiowej. Nie mógłby stanowić dla mnie lepszego celu: wystawił na atak lewe kolano. Tak się składa, że budowa kolana sprzyja jego zginaniu się od przodu do tyłu. Jeżeli kopniesz kogoś pod kolano, ugnie się. Jeżeli kopniesz w kolano z przodu, stawi opór. Ale bok stawu kolanowego to zupełnie inna historia. Z boku kolano jest kruche jak uschnięta gałąź.

– Dobra, Larry – powiedziałem z uśmiechem. – Chodź.

Ruszyłem na niego, jakbym zamierzał wystawić się na prawy hak, którym chciał mnie uraczyć. Ale w ostatniej chwili zatrzymałem się, odchyliłem nogę do tyłu i rąbnąłem go piętą w kolano z boku najmocniej jak potrafiłem. Usłyszałem trzask kości, Larry wrzasnął i runął na ziemię jak rzucona niedbale szmata. Odwróciłem się, ostatni raz spojrzałem na matkę i wyszedłem.

Oparłem się czołem o szybę w drzwiczkach pasażera samochodu Lili i wpatrywałem się w światła mijanych po drodze stacji benzynowych i miasteczek. Widziałem, jak moja przyszłość się rozplywa, wzrok mi się zamglił, w miarę jak zwiększała się prędkość samochodu, ilość kropli deszczu rozpryskującego się na szybie i łez napływających mi do oczu. Nigdy nie wrócę do Austin w Minnesocie. Od tej pory będę odpowiedzialny za Jeremy'ego. Co ja zrobiłem? Wyszeptałem na głos słowa, które tłukły się w mojej głowie, odkąd opuściłem mieszkanie matki:

– Nie mogę podjąć studiów na kolejnym semestrze. Nie mogę opiekować się Jeremym i równocześnie studiować.

Wytarłem oczy, zanim znów spojrzałem na Lilę.

– Będę musiał podjąć normalną pracę.

Lila sięgnęła ręką w moją stronę, głaskała i rozcierała palcami wierzch mojej zacisniętej w pięść dłoni, aż rozwarłem ją, żeby mogła mnie wziąć za rękę.

– Może nie będzie tak źle – powiedziała. – Pomogę ci zająć się Jeremym.

– Nie jesteś za niego odpowiedzialna. To moja decyzja.

– Owszem, nie jestem za niego odpowiedzialna – przyznała. – Ale to mój przyjaciel.

Odwróciła się i spojrzała na Jeremy'ego, który zwinął się w kłębek na tylnym siedzeniu i zasnął, wciąż trzymając w ręku komórkę.

– Spójrz na niego. – Lila skinęła głową w stronę mojego brata. – Tak smacznie śpi. Jakby od wielu dni nie zmrużył oka. Wie, że jest już bezpieczny. Powinieneś być z siebie zadowolony. Jeremy ma naprawdę dobrego brata.

Uśmiechnąłem się do Lili, pocałowałem ją w rękę i odwróciłem się w stronę okna, by patrzeć na przesuwaną się za nim krajobraz i rozmyślać. I wtedy przypomniałem sobie, co usłyszałem od dziadka w dniu, kiedy zmarł, tego dnia, gdy pałaszowaliśmy kanapki podczas wyprawy łodzią na ryby. Słowa, które przez tyle lat wypierałem ze swojej pamięci: „Jesteś starszym bratem Jeremy'ego. Twoim obowiązkiem jest dbać o niego. Nadejdzie dzień, kiedy nie będzie mnie, żebym mógł pomóc, a Jeremy będzie cię potrzebował. Obiecuj mi, że się nim zaopiekujesz”.

Miałem jedenaście lat. Nie rozumiałem, o co chodzi dziadkowi. Ale on wiedział. Skądś wiedział, że ten dzień nadejdzie. I wraz z pojawieniem się tej myśli nieopisany spokój rozluźnił napięte mięśnie moich ramion. Zbliżaliśmy się do domu i zjazd z autostrady międzystanowej na zwykłą szosę miejską sprawił, że zmienił się melodyjny dźwięk opon toczących się po asfalcie, i Jeremy zaczął się

budzić. Usiadł i w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje. Zaczął się rozglądać, popatrując na nieznane budynki i mrugając powiekami, a jego czoło przecięły liczne zmarszczki.

– Już prawie jesteśmy w domu, kolego – powiedziałem.

Spuścił wzrok i zamyślił się.

– Jedziemy do mnie. Do mojego mieszkania. Pamiętasz?

– O tak. – Na jego twarzy zaczął rodzić się uśmiech.

– Za parę minut położymy cię do łóżka i będziesz mógł się przespać.

Znów się zasępił.

– Ee... może potrzebuję szczoteczki do zębów.

– Nie zabrałeś szczoteczki? – spytałem.

– Prawdę mówiąc – rzekła Lila – nie powiedziałeś mi, że się przeprowadza.

Kazałeś mi tylko spakować ubrania.

Zacząłem rozcierać palcami skronie, za którymi powoli narastały pierwsze oznaki nadchodzącego bólu głowy. Lila zatrzymała samochód przed domem.

– Wytrzymasz jedną noc bez umycia zębów? – spytałem.

Jeremy zaczął przesuwać kciukiem po kłykciach i zagryzać zęby, głośno przy tym cmokając.

– Może potrzebuję szczoteczki – powtórzył.

– Spokojnie, kolego – powiedziałem. – Coś wymyślimy.

Lila znów się odezwała miękkim, kojącym głosem:

– Jeremy, co powiesz na to, żebyśmy zaprowadzili cię do mieszkania Joego, byś mógł się tam urządzić, a Joe pójdzie dla ciebie po nową szczoteczkę. Może być?

Jeremy przestał rozcierać ręce, kryzys został zażegnany.

– W porządku.

– W porządku, Joe? – Lila uśmiechnęła się do mnie.

Odpowiedziałem uśmiechem.

Osiem przecznic stąd był niewielki sklepik, ot jeszcze jeden dodatkowy przystanek na długiej, pełnej objazdów drodze do celu. Podobało mi się, gdy Lila mówiła do Jeremy'ego, jej kojące zachowanie i to, że szczerze go lubiła. Podobało mi się również, jak Jeremy odwzajemniał te uczucia, w każdym razie na swój sposób, zupełnie jakby podkochiwał się w Lili, choć wiedziałem, że tak skomplikowane doznania były poza jego zasięgiem. Od razu poczułem się lepiej po tym wszystkim, co się wydarzyło. Nie byłem już Joem Talbertem studentem ani Joem wykidajką, ani nawet Joem uciekinierem. Od tej pory będę Joem Talbertem starszym bratem Jeremy'ego, moje życie będzie definiowane przez łańcuch drobnych kryzysowych sytuacji w świecie mojego brata, jak sprawa ze szczoteczką, o której zapomniał.

Lila zaprowadziła Jeremy'ego na górę, żeby przygotować go do snu, a ja

wskoczyłem za kierownicę, by pojechać po szczoteczkę do zębów. Znalazłem ją w pierwszym sklepie, do którego wszedłem. Szczoteczka była zielona, taka jak wszystkie szczoteczki Jeremy'ego. Gdyby w tym sklepie nie było zielonych szczoteczek, musiałbym się wybrać do innego. Kupiłem kilka dodatkowych rzeczy, zapłaciłem za wszystko i wróciłem do domu. W mieszkaniu było ciemno, paliła się tylko mała żarówka nad kuchennym zlewem. Usłyszałem Jeremy'ego, który spał w sypialni; stłumione pochrapywanie było oznaką, że niepokój wywołany brakiem szczoteczki ustąpił miejsca zmęczeniu. Położyłem nową szczoteczkę na nocnym stoliku i wyszedłem, żeby mógł się porządnie wyspać. Postanowiłem, że zajrzę po sąsiedzku, by dać Lili całusa na dobranoc.

Zapukałem lekko do drzwi, jeden raz wszystkimi kłykciami, i czekałem. Bez odpowiedzi. Uniosłem rękę, by zapukać raz jeszcze, ale znieruchomiałem i zaraz ją opuściłem. To był długi dzień, Lila zasłużyła na to, żeby się trochę przespać. Wróciłem do swojego mieszkania i usiadłem na kanapie. Na stoliku kawowym dostrzegłem wizytówkę Maxa Ruperta, tę z numerem jego prywatnej komórki. Wziąłem ją do ręki i zastanawiałem się przez chwilę, czy do niego zadzwonić. Dochodziła północ. Rzecz jasna dowody, które zebraliśmy z Lilą – prawdziwa bomba, kim był prawdziwy DJ – wydawały się na tyle ważne, by usprawiedliwić telefon o tak późnej porze. Uniosłem kciuk, by zacząć wpisywać numer Ruperta i zadzwonić do niego, zmitygowałem się jednak i postanowiłem zasięgnąć w tej sprawie porady Lili. Poza tym miałem dzięki temu doskonały pretekst, żeby pofatygować się do jej mieszkania i ją obudzić.

Wyszedłem na korytarz i już miałem zapukać do drzwi Lili, gdy zadzwoniła moja komórka i tak mnie to zaskoczyło, że mimowolnie drgnąłem. Spojrzałem na numer: kierunkowy 505 – z Iowy. Uniosłem telefon do ucha.

– Halo?

– Masz coś mojego – usłyszałem ochryply cichy szept.

Jezu, to niemożliwe.

– Kto mówi? – spytałem.

– Nie pogrywaj ze mną, Joe – rozległo się w odpowiedzi. Facet był wkurzony. – Wiesz dobrze, kto mówi.

– DJ – powiedziałem.

Zapukałem do drzwi mieszkania Lili, przykładając komórkę do policzka, żeby nie usłyszał, co robię.

– Wolę, gdy mówią mi Dan – odparł.

I wtedy coś sobie uświadomiłem.

– Skąd znasz moje imię? – spytałem.

– Wiem, jak masz na imię, bo powiedziała mi to twoja mała przyjaciółka.

Poczułem, jak moją pierś zalewają fale gorącej i lodowatej paniki. Nacisnąłem klamkę; drzwi do mieszkania Lili nie były zamknięte na klucz.

Pchnąłem je i otworzyłem, by ujrzeć przewrócony na bok stół kuchenny, porozrzucone podręczniki i papiery z pracą domową walające się na wyłożonej linoleum podłodze. Z trudem starałem się zrozumieć sens tego, co właśnie zobaczyłem.

– Jak już powiedziałem, Joe, masz coś, co należy do mnie... – Dan przerwał, jakby po to, by oblizać usta. – A ja mam coś twojego.

– Oto co się teraz stanie, Joe – powiedział Dan. – Wsiądziesz do samochodu i pojedziesz na północ międzystanową numer trzydzieści pięć, a potem oddasz mi łaskawie worek ze śmieciami, który mi ukradłeś.

Odwróciłem się i zbiegłem po schodach najszybciej, jak tylko nogi były w stanie mnie ponieść, przez cały czas przyciskając mocno telefon do ucha.

– Jeżeli coś zrobisz Lili...

– To co, Joe? – zapytał. – Powiedz. Chętnie się dowiem. Co mi zrobisz, Joe? Ale zanim mi powiesz, chciałbym, żebyś czegoś posłuchał.

Moich uszu dobiegł zduszony kobiecy głos. Nie zrozumiałem słów, to brzmiało raczej jak zdławiony jęk. A potem jęki przerodziły się w słowa.

– Joe! Joe, tak mi przykro... – Próbowwała powiedzieć coś więcej, ale ucichła, jakby wciśnięto jej do ust knebel.

– A teraz, Joe, powiedz mi, co...

– Jeżeli coś jej zrobisz, klnę się na Boga, że cię zabiję – wycedziłem, wskazując za kierownicę samochodu Lili.

– Och, Joe. – Pauza, a potem stłumiony krzyk. – Słyszałeś to, Joe? – zapytał. – Właśnie uderzyłem twoją śliczną przyjaciółkę w twarz, bardzo mocno. Przerwałeś mi. Zmusiłeś mnie, żeby ją uderzył. Jeżeli znowu mi przerwiesz, jeśli nie wypełnisz moich poleceń co do joty, twoja mała Lila poniesie tego konsekwencje. Czy wyraziłem się jasno?

– Wyraziłeś się jasno – odparłem.

Uruchomiłem silnik i poczułem gorzki posmak w gardle.

– To dobrze – mruknął. – Nie chcę jej więcej krzywdzić. Widzisz, Joe, ona nie chciała podać mi twojego imienia ani numeru telefonu. Musiałem ją przekonać, że to w jej dobrze pojmowanym interesie. Ta mała to naprawdę twarda zdzira.

Kolana ugięły się pode mną i coś ścisnęło mnie w żołądku na myśl o tym, co ten człowiek zrobił z Lilą. Czuję się kompletnie bezradny.

– Jak nas znalazłeś?

Nie wiem, dlaczego zadałem mu to pytanie. To, jak nas znalazł, nie miało znaczenia. Może chciałem, żeby do mnie mówił, chciałem go czymś zająć, wtedy nie mógłby jej krzywdzić.

– Znalazłeś mnie, Joe, pamiętasz? – powiedział. – Więc pewnie wiesz, że jestem ochroniarzem w centrum handlowym. Znam gliniarzy. Spisałem numery z tablicy rejestracyjnej, kiedy przejeżdżaliście moją ulicą. To sprowadziło mnie do miłej panny Lili, a ona przyprowadziła mnie do ciebie. Albo raczej powinienem

powiedzieć, że przyprowadzi cię do mnie.

– Już jadę. – Ponownie spróbowałem zwrócić na siebie jego uwagę. – Zjeżdżam na międzystanową trzydzieści pięć, jak powiedziałaś.

– Aby dopilnować, że nie zrobisz czegoś tak głupiego jak zadzwonienie na policję, przez całą drogę będziemy sobie gawędzić. I bądź pewien jednego, Joe, jeśli się rozłączysz, jeśli znajdziesz się w martwej strefie, jeżeli padnie bateria, jeżeli wydarzy się cokolwiek, co sprawi, że się rozłączymy... Cóż, powiedzmy, że będziesz musiał znaleźć sobie nową dziewczynę.

Pokonałem zjazd, jedną ręką trzymając kierownicę, a drugą przykładając do ucha komórkę, silnik wył, gdy przerzucałem biegi. Jeden pas był zablokowany przez wlokącą się ciężarówkę z przyczepą, więc dodałem gazu do dechy. Ciężarówka natychmiast przyspieszyła, jakby kierowca próbował zachować resztki źle pojmowanej, wynikającej z nadmiaru testosteronu dominacji. Ścisnąłem kierownicę tak mocno, że aż rozboleły mnie palce. Na moim pasie trochę się rozluźniło, gdy pędziłem w stronę kolejnego wiaduktu, tuż obok, za szybą, miałem obracające się szaleńczo koła ciężarówki. Omal nie zostałem zepchnięty na pobocze, gdy mój samochód o centymetry wyminął przedni zderzak ciężarówki. Zjechałem na środek szosy, znów prawie zahaczyłem o przedni zderzak pojazdu, a w odpowiedzi usłyszałem gniewny dźwięk klaksonu.

– Mam nadzieję, że prowadzisz ostrożnie, Joe – powiedział Dan. – Nie chcesz, żeby zatrzymała cię policja. To mogłoby się skończyć tragicznie.

Miał rację. Nie mogłem dopuścić do tego, żeby zatrzymała mnie drogówka. Co mi przyszło do głowy? Zwolniłem, by zrównać prędkość z innymi kierowcami, i wtopiłem się między pozostałe pojazdy.

– Dokąd jadę? – spytałem, gdy mój puls nieco spowolnił rytm.

– Pamiętasz, gdzie jest dom mojego ojca, prawda?

Wzdrygnąłem się na samą myśl o nim.

– Pamiętam.

– Pojedź tam.

– Myślałem, że spaliłeś ten dom.

– Więc o tym słyszałeś. Straszna sprawa – powiedział beznamiętnym tonem, jakbym był rozkapryszonym dzieckiem, które przeszkodziło mu w porannej lekturze.

Zacząłem się rozglądać, poszukując w samochodzie jakiejś broni, narzędzia, czegokolwiek, czego mógłbym użyć, żeby go zranić lub... zabić. W zasięgu mojej ręki nie było nic oprócz plastikowej skrobaczki do szyb. Zapaliłem lampkę podsufitową i rozejrzałem się raz jeszcze. Śmieci po jedzeniu z fast foodu, zapasowe rękawiczki zimowe, papiery z zajęć Lili, worek ze śmieciami Dana, ale żadnej broni. Usłyszałem brzęk butelek w worku na śmieci, kiedy uciekałem z domu Lockwooda. W razie konieczności mógłbym użyć jednej z nich. I wtedy



zobaczyłem jakiś błysk na tylnym siedzeniu, coś srebrnego, na wpół wciśniętego w szparę między oparciem a kanapą.

– Jakoś dziwnie zamilkłeś, Joe – powiedział Dan. – Nie nudzę cię, prawda?

– Nie, zamyśliłem się.

– Prawdziwy z ciebie myśliciel, no nie, Joe?

Przełączyłem komórkę na tryb głośnika i odłożyłem telefon na panel między fotelami, podkręcając dźwięk.

– Nie weszło mi to w nawyk, ale czasami się zdarza – odparłem.

Po cichu pociągnąłem za dźwigenkę odchylającą do maksimum oparcie siedzenia.

– Powiedz mi, o czym tak myślisz, Joe?

– Wspominałem wizytę u twojego ojca. Kiedy się rozstawaliśmy, wydawał się nieco wzburzony.

Odchyliłem się, przytrzymując kierownicę koniuszkami palców i czekając na prosty odcinek autostrady.

– Co u niego? Jak się czuje? – spytałem po części po to, by usłyszeć reakcję Dana, a po części po to, by to on mówił, gdyż właśnie zbliżał się wyczekiwany przeze mnie prosty odcinek autostrady.

– Chyba można powiedzieć, że bywało lepiej – odparł lodowatym tonem.

Puściłem kierownicę, opadłem na siedzenie i sięgnąłem po metaliczny przedmiot na tylnej kanapie. Ująłem go kciukiem i palcem wskazującym, a potem pociągnąłem. Palce mi się ześlizgnęły. Uchwyciłem mocniej i spróbowałem raz jeszcze. Była to komórka Jeremy'ego; wysunęła się spomiędzy poduszek i zatrzymała na skraju kanapy.

– Oczywiście – ciągnął Dan – jest dokładnie tak, jak się mówi, że nie należy posyłać starego pijaka, by wykonał prawdziwą męską robotę.

Wyprostowałem się i zobaczyłem, że auto zaczyna zjeżdżać z drogi na pobocze. Schwyciłem kierownicę i wyrównałem przy prawie niesłyszalnym pisku opon. Gdyby w pobliżu był jakiś glina, zatrzymałby mnie. Spojrzałem w lusterko wsteczne, wypatrując koguta. Patrzyłem, czekałem i nic. Odetchnąłem.

– Ale chciał dobrze – dokończył Dan.

– Chciał dobrze... próbując mnie zabić? – spytałem, aby mówić dalej.

Pociągnąłem za dźwigenkę, by podnieść oparcie fotela do pionu.

– Och, Joe – rzekł Dan. – Chyba nie jesteś naiwny, prawda?

Sięgnąłem po komórkę Jeremy'ego i ją włączyłem.

– Czy zabicie mnie to był jego pomysł? – spytałem. – Czy może twój?

Wygiąłem plecy w łuk, by wyjąć wizytówkę Maxa Ruperta.

– Przywalenie ci w głowę butelką to był jego pomysł.

Przyłożyłem palec do klawisza pierwszej cyfry numeru prywatnej komórki Ruperta, oparłem telefon o nogę i nacisnąłem klawisz.

– Wyobraź sobie moje zdziwienie – ciągnął – gdy zadzwonił do mnie, by powiedzieć, co odkryłeś w pamiętniku Crystal.

Naciskałem kolejne cyfry.

– Po tylu latach zdołałeś to odszyfrować – mówił dalej. – Naprawdę tęgi z ciebie mózgowiec, Joe, no nie?

Raz jeszcze sprawdziłem numer i wcisnąłem klawisz połączenia, przykładając komórkę do ucha i modląc się, by Rupert odebrał.

– Halo? – usłyszałem jego głos.

Przyłożyłem kciuk do głośnika komórki, żeby Dan Lockwood nie usłyszał Ruperta, ale by Rupert mógł usłyszeć moją rozmowę z Danem.

– Nie jestem taki bystry, jak myślisz – powiedziałem, odkładając komórkę Jeremy’ego obok mojego telefonu. – Cały czas sądziłem, że DJ oznacza Douglasa Josepha Lockwooda. Możesz sobie wyobrazić, jakie było moje zaskoczenie, kiedy twoja żona powiedziała, że to ciebie nazywano DJ-em. Byłem w szoku. Bo przecież nazywasz się Daniel William Lockwood. Kto by pomyślał, że mogłeś być nazywany DJ-em?

Starłem się, żeby to, co mówię, dało Rupertowi dość jasny obraz sytuacji, a równocześnie nie zdradziło Danowi mojego sekretnego planu. Musiałem mieć nadzieję, że Rupert słucha i rozumie, co się dzieje, i że potraktuje ten telefon w środku nocy jako coś więcej niż zwykłą pomyłkę. Próbowałem zmusić Dana, żeby zaangażował się w rozmowę i wyjawił swój sekret.

W ciągu tych kilku minut, kiedy jechałem na północ, by stanąć twarzą w twarz z Danem Lockwoodem, w mrocznych zakamarkach mojego umysłu pojawiła się zbląkana myśl, ulotna, nieukształtowana, kryjąca się za fasadą lęku. Wyczułem jej obecność, ale nie zwracałem na nią uwagi, skoncentrowany na opracowaniu planu, który pomógłby mi ocalić Lilę. Teraz, gdy zadzwoniłem do Ruperta i miałem nadzieję, że on wciąż przysłuchuje się mojej rozmowie z Danem Lockwoodem, trochę się uspokoiłem i poświęciłem więcej uwagi tej myśli, pozwalając, aby stała się dla mnie jasna i wręcz zaczęła krzyczeć – zrozumiałem, że Dan Lockwood nie miał wyjścia, musiał nas zabić.

Dlaczego wpadłem w panikę? Wiedziałem, co będzie dalej. On każe mi przyjechać w wybrane miejsce, a potem zabije nas oboje. Nie mógł pozostawić nas przy życiu, bo za dużo wiedzieliśmy. Ogarnął mnie dziwny spokój. Znałem jego plan i musiałem dać mu to do zrozumienia. Niech wie, że ja wiem.

– Dan, grałeś kiedykolwiek w Texas hold'em? – spytałem.

– Jasne – odparł. – Rozegrałem kilka partyjek tu i tam.

– Jest taki moment, kiedy ty masz swoje dwie karty i ja mam swoje, a potem rozdający wyklada flopa.

– No i...?

– Wchodzę w ciemno za wszystko. Wykładam swoje karty, a ty swoje. Wiem, co ty masz, a ty wiesz, co ja mam, i teraz czekamy tylko, aż rozdający odkryje dla nas karty, by przekonać się, kto wygra tę partię. Żadnych tajemnic.

– Mów dalej.

– Wchodzę w ciemno. I stawiam wszystko – powiedziałem.

– Nie bardzo rozumiem – rzekł Dan.

– Co się stanie, kiedy dotrę do domu twojego ojca? – spytałem. – Na pewno już wszystko sobie przemyślałeś.

– Mam parę pomysłów – odparł. – Zapytałbym raczej, czy ty wszystko przemyślałeś.

– Ściągasz mnie tam, żeby mnie zabić. Wykorzystujesz Lilę, by mieć pewność, że przyjadę, a gdy już mnie zabijesz, ją też zamordujesz. – Wziętem głęboki oddech. – I jak mi idzie?

– A mimo to tu jedziesz. Dlaczego?

– Uważam, że mam dwie możliwości – wyjaśniłem. – Mogę pojechać na policję, przekazać im próbkę DNA i powiedzieć, że zabiłeś swoją siostrę.

– Przyrodną siostrę.

– Przyrodnia siostrę – powtórzyłem.  
– Ale wtedy – powiedział – biedna mała Lila dzisiaj umrze. – Jego głos znów stał się lodowaty. – A jaka jest alternatywa?  
Wziąłem jeszcze jeden głęboki oddech.  
– Mogę pojechać tam i cię zabić – oznajmiłem.  
Po drugiej stronie łącza zapanowała cisza.  
– Widzisz – odezwałem się. – Wciąż do ciebie jadę, ponieważ masz Lilę. Gdyby umarła, zanim dotrę na miejsce, nie miałbym powodu, żeby się zatrzymać, zgadza się? Ty będziesz miał na sumieniu kolejne morderstwo, ale ja dopadnę ciebie. Gliny będą cię ścigać na koniec świata. Lila zostanie pomszczona. Zdechniesz w więzieniu, a ja naszczam na twój grób.  
– A więc zamierzasz mnie zabić? – zapytał.  
– Czy nie planujesz zrobić tego samego ze mną i Lilą?  
Chwila ciszy.  
– I co potem? – spytałem. – Wrzucisz nasze ciała do rzeki czy spalisz w szopie?  
– W stodole – odparł.  
– Ach tak, jesteś przecież podpalaczem. Chałupę ojca też sfajczyłeś, co?  
Znów zamilkł.  
– Mogę się założyć, że starego też zabiłeś, żeby ocalić swój tyłek.  
– Zabiję cię z dziką rozkoszą – oznajmił Dan. – I zrobię to naprawdę powoli.  
– Twój stary próbował posprzątać bałagan, jakiego narobiłeś, i chciał mnie zabić, tyle że w ten sposób stał się doskonałym kozłem ofiarnym. Opowiedział ci o DNA, o pamiętniku, o dowodach, które sprowadziły mnie do niego zamiast do ciebie. Idealna sytuacja. Dlatego zabiłeś go, ukryłeś jego ciało gdzieś, gdzie nikt go nigdy nie znajdzie, a potem spaliłeś jego dom, żeby policja nie mogła zdobyć próbek DNA tatuśka do analizy. Muszę przyznać, Dan, że to było całkiem sprytne, piekielnie pokręcone, ale zmyślne.  
– Och, będzie jeszcze lepiej – rzekł Dan. – Kiedy znajdą twoje ciało w stodole przy jego domu...  
Czekał, aż zrozumiem.  
– Przypiszą winę za to twojemu ojcu – dokończyłem. – O ile, rzecz jasna, ja nie zabiję cię pierwszy.  
– Chyba przekonamy się o tym za dziesięć minut – powiedział.  
– Za dziesięć minut?  
– Wiem, ile czasu powinno ci zająć dotarcie na miejsce. Jeżeli nie będzie cię tu za dziesięć minut, uznam, że popełniłeś kolosalny błąd i spróbowałeś ściągnąć gliny na nasze małe przyjęcie.  
– Bez obawy – zapewniłem. – Jadę do ciebie. I jeżeli nie zobaczę Lili żywej i stojącej o własnych siłach, gdy zjawię się na podjeździe, uznam, że to ty

popęniłeś kolosalny błąd. Odjadę, a potem sprawię, że świat zawali ci się na głowę.

– A więc zrozumieliśmy się – zakończył.

Ponieważ miałem dziesięć minut na pokonanie dystansu, na który potrzebowiałem zaledwie pięciu, nie musiałem się spieszyć. Zastanawiałem się, co jeszcze mogę zrobić, żeby się odpowiednio przygotować. Jechałem z kciukiem przytkniętym do głośnika komórki Jeremy'ego, aby głos Ruperta nie dobiegł uszu Lockwooda. Kiedy znalazłem się na wiejskiej drodze ciągnącej się wśród zmarzniętych moczarów, zwolniłem, dając Rupertowi czas, żeby do nas dołączył. Czy dostał ode mnie wystarczająco dużo niezbędnych wskazówek? Dan i ja rozmawialiśmy o domu jego ojca, tym, który spalił i przy którym stała stodoła. Rupert wiedział, gdzie jest ten dom, to on powiedział mi o pożarze. Był policjantem, detektywem. Na pewno połączy jedno z drugim. Ostrożnie podniosłem komórkę Jeremy'ego, odsunąłem kciuk, przyłożyłem telefon do ucha i nasłuchiwałem przez chwilę. Nic. Spojrzałem na wyświetlacz telefonu, na widniejący na niej numer komórki Ruperta. Znow przez chwilę nasłuchiwałem. Żadnego głosu. Żadnego oddechu. Żadnego białego szumu ani dźwięku silnika samochodu w tle. Przyłożyłem dłoń do komórki i wyszeptałem: Rupert, na wydechu, akcentując spółgłoski tak, żeby mógł mnie zrozumieć i odpowiedzieć.

Nie odpowiedział. Wstrzymałem oddech. Zadrżała mi ręka. Czy w jego komórce włączyła się automatyczna sekretarka? Rupert, wyszeptałem ponownie. Wciąż bez odpowiedzi. Upuściłem telefon Jeremy'ego na podłogę za fotelem pasażera i poczułem suchość w ustach. Nie miałem już planu ani żadnego pomysłu na ocalenie Lili.

Czułem woń śmieci Lockwooda, jego DNA i dowody jego zbrodni gniły we wnętrzu auta za moim fotelem. Jeżeli to wszystko nagrało się na pocztę głosową, detektyw po odsłuchaniu wiadomości będzie wiedział, że to Dan Lockwood nas zabił. Postanowiłem wyrzucić worek ze śmieciami do rowu. Gdyby sprawy przybrały niekorzystny obrót, Rupert będzie mógł znaleźć te śmieci i przygwoździć Lockwooda. Jako plan awaryjny była to raczej mizerna taktyka, ale nie miałem innego pomysłu. Sięgnąłem do tyłu, zgarnąłem worek ze śmieciami i położyłem go na kolanach z takim impetem, że znajdujące się wewnątrz puszki i szkło zabrzęczały głośno. Poczujęm denko butelki napierające na folię worka. Paznokciem rozerwałem worek, wyjąłem butelkę i położyłem obok siebie na fotelu.

- Pięć minut, Joe – zawołał Dan z głośnika mojej komórki.
- Chcę usłyszeć głos Lili.
- Nie ufasz mi?

– Co ci szkodzi? – powiedziałem z odrobiną frustracji, a może raczej rezygnacji w głosie. – Uznaj to za ostatnie życzenie.

Usłyszałem, jak Lila mamrocze, gdy Dan zdejmował jej knebel. Ponieważ nie trzymałem komórki przy uchu, mogłem wyrzucić worek z samochodu. Zwolniłem jeszcze bardziej, by ograniczyć szum wiatru w tle, i opuściłem szybę, a następnie, przytrzymując kierownicę kolanami, wysunąłem worek na zewnątrz i wyrzuciłem do zaśmieconego rowu.

– Joe? – wyszeptała Lila.

– Lila, nic ci nie jest?

– Dość tej pogawędki – warknął Dan. – Masz dwie minuty. Chyba nie zdążysz dojechać.

Zamknąłem okno, ponownie przyspieszyłem i pokonałem ostatnie wzniesienie, zanim skręciłem na zwirową drogę, przy której do niedawna mieszkał Doug Lockwood.

– Jeżeli jesteś przed domem ojca, powinieneś zobaczyć światła mojego auta. – Mrugnąłem nimi kilka razy.

– Wreszcie pojawia się bohater – powiedział Dan. – Za domem ojca jest polna droga, dojazd prowadzący do stodoły. Tam będę na ciebie czekać.

– Lila ma stać tak, żebym mógł ją zobaczyć – rzekłem.

– Ależ oczywiście – odparł z przekąsem. – Nie mogę się doczekać naszego spotkania.

Zjechałem na zwirową drogę, przepatrując ciemność w poszukiwaniu jakiegoś ruchu. Komin domu Douga Lockwooda wyglądał jak samotna iglica wznosząca się ze sterty popiołów. Wokoło jak zmarznięte pióra leżały splachetki lodu, pozostałości po działaniach zastępów straży pożarnej. Minąłem zgliszcza domu i przystanąłem na chwilę, zanim skręciłem na polną drogę. Podążyłem wzrokiem za śladami opon pozostawionymi na śniegu przez samochód terenowy Dana Lockwooda. Ścieżka ciągnęła się w stronę oddalonej o mniej więcej trzydzieści metrów zapuszczonej szarej stodoły, której zbutwiałe deski odpadały i sterczały krzywo jak zęby starej chabety.

Wiedziałem, że ugrzęznę w śniegu, zanim zdołam zbliżyć się do stodoły. Włączyłem długie światła i dodałem gazu, sunąc autkiem Lili przez śnieg. Kaskady białego puchu wystrzeliły w powietrze, śnieżne płatki zawirowały w świetle reflektorów. Przejechałem tak ze trzy metry, zanim samochód stanął; koła zaczęły obracać się bezsilnie, z każdą chwilą coraz bardziej grzęznąc w śniegu, silnik wył na pełnych obrotach, ale niczego to nie zmieniało. Zdjąłem stopę z pedału gazu i patrzyłem, jak ostatnie drobiny białego sypkiego śniegu są unoszone przez wiatr. W mojej głowie pojawiła się natarczywa myśl – i co teraz?

Blask reflektorów mojego samochodu padł na ośnieżone pastwisko, rozjaśniając widniejącą w oddali stodołę. Lila stała przed rozchwierutanyimi drzwiami, z rękami uniesionymi nad głową i związanymi w przegubach sznurem, który był przerzucony przez belkę do wciągania siana na strych. Wydawała się słaba, ale trzymała się na nogach. Dan Lockwood stał tuż obok, trzymając w jednej dłoni broń wymierzoną w jej głowę, a w drugiej komórkę. Od stodoły dzieliło mnie ponad dwadzieścia metrów ośnieżonego pola. Z jednej strony było ograniczone przez linię drzew ciągnącą się piętnaście metrów na lewo ode mnie, a po prawej stronie przez strumień. Zarówno linia drzew, jak i strumień biegiły od drogi i znikwały w oddali za stodołą. Mogły zapewnić osłonę. Ale idąc od strumienia, zbliżyłbym się na dziesięć metrów do Lockwooda.

Opuściłem szybę w aucie, zabrałem telefon i butelkę po piwie, po czym wyslizgnałem się przez okno – nie chciałem, żeby skrzypnięcie drzwiczek zdradziło moje zamiary. Przyłożyłem komórkę do policzka, by zasłonić wyświetlacz, i podkradłem się w stronę bagażnika, kierując się ku strumieniowi.

– Myślę, że powinieneś przynieść mi worek ze śmieciami – odezwał się Dan. Musiałem grać na zwłokę.

– Obawiam się, że nie mogę – powiedziałem, schodząc do strumienia. Długie światła oślepiały Dana i maskowały moje poczynania. – Śnieg jest za głęboki.

– Mam już dość twoich sztuczek – ryknął.

Lód zatrzeszczał pod moimi stopami, gdy zacząłem zbliżać się do stodoły. Przystanąłem na chwilę, by wyjrzeć ponad brzegiem strumienia i zobaczyć, że Dan wciąż wpatruje się w samochód. Śnieg pokrył się cienką warstewką lodu i chrząścił przy każdym kroku, ogłaszając moje przybycie pośród spokojnej nocy. Przyspieszyłem, gdy Dan mówił; miałem nadzieję, że dźwięk jego głosu zagłuszy dźwięki towarzyszące moim krokom.

– Wsiądź z tego pieprzonego auta i pofatyguj się tu na piechotę – wycedził.

– Myślę, że powinieneś sam po niego przyjść i go wziąć – odparłem.

– Myślisz, że masz tu cokolwiek do powiedzenia, ty parszywy gnoju? – Przystawił broń do głowy Lili. – Ja tu rządzę. I ja ustalam reguły.

Zacząłem podkradać się cichcem, podczas gdy on wciąż pokrzykiwał; posuwałem się naprzód z pochyloną głową i komórką mocno przyciśniętą do ucha.

– Rusz tyłek, ale raz-dwa, albo ją zabiję tu i teraz.

Byłem dostatecznie blisko, żeby mógł usłyszeć mój głos dochodzący od



strony strumienia zamiast przez komórkę. Zacząłem więc szeptać, co sprawiło, że moje słowa zabrzmiały groźniej, niż się spodziewałem.

– Jeśli ją zabijesz, znikam stąd. A kawaleria zacznie ci deptać po piętach, zanim jeszcze ucichnie echo wystrzału.

– Dobra – powiedział. – Nie chcę jej zabić. – Opuścił lufę broni w stronę jej kolana. – Jeżeli nie zobaczę cię za trzy sekundy, odstrzelę jej rzepki kolanowe, jedną po drugiej. Wiesz, jak bardzo boli postrzał w kolano?

Dotarłem wzdłuż strumienia tak daleko, jak to było możliwe.

– A potem – ciągnął – zajmę się innymi częściami jej ciała.

Jeślibym teraz zaatakował, byłoby po mnie już w chwili, gdy tylko znalazłbym się w świetle reflektorów. Jeżeli pozostanę w strumieniu, Lockwood zacznie odstrzeliwać Lili kolejne części ciała. Z tej odległości przez knebel, który miała w ustach, słyszałem jej okrzyki bólu.

– Jeden!

Zacząłem rozglądać się za lepszą bronią aniżeli butelka po piwie; mógł być to kamień, kij, cokolwiek.

– Dwa!

Z przeciwległego brzegu wystawało zwalone drzewo, jego zeschnięte gałęzie znajdowały się na wyciągnięcie ręki.

Upuściłem butelkę i schwyciwszy gałąź grubości poręczy przy schodach, szarpnąłem z całej siły, wkładając w to dodatkowo ciężar mojego ciała. Gałąź pękła z ogłuszającym trzaskiem. Przewróciłem się do tyłu. Z broni Dana padły dwa strzały: jedna kula trafiła w zwaloną topolę nade mną, druga uleciała w ciemność. Jęknąłem, jakbym oberwał kulkę, i cisnąłem moją komórką jak frisbee na zamrożoną połącz śniegu na przeciwległym brzegu strumienia, a blask ekranu wyświetlacza musiał być doskonale widoczny od strony stodoły.

Podkradłem się w górę po zboczach i znieruchomiałem ukryty za zwaloną topolą, z ułamaną gałęzią w garści. Czekałem, aż zjawi się Dan; miałem nadzieję, że skupi się na świetle mojej komórki.

– Muszę przyznać – zawołał Dan – że upierdliwy z ciebie gnój.

Uniosłem gałąź, oszacowując na podstawie głosu odległość, jaka dzieliła go ode mnie, i wsłuchując się w chrzęst zbliżających się kroków. Zatrzymał się tuż poza zasięgiem mojego kija, zapewne po to, by wzrok przyzwyczaił mu się do ciemności, gdyż dłuższy czas wpatrywał się w światła reflektorów mojego auta. Jeszcze dwa kroki, pomyślałem, tylko dwa kroki.

– Nic z tego nie będzie, Joe – powiedział, postępując jeszcze krok w stronę strumienia. Wciąż celował z pistoletu w kierunku mojego telefonu, a jego głos, brzmiący prawie jak szept, wwierał mi się w ucho. – Ja tu rządzę, pamiętasz?

Znów się zatrzymał.

Wyskoczyłem ze swojej kryjówki za drzewem i zamachnąłem się kijem,

mierząc w jego głowę. Uniósł rękę trzymającą pistolet i wycelował w moją pierś, gdy zwinnie uchylił się przed moim ciosem. Nie zdołałem go trafić. A przynajmniej nie tak, jak na to liczyłem. Ułamana gałąź zamiast w głowę rąbnęła go w ramię. Ale on też chybił. Nacisnął spust i kula trafiła mnie w udo; gorący ołów przeorał skórę, mięśnie i wrył się w kość, zmieniając moją nogę w bezwładny ciężar.

Upadłem twarzą w dół w sięgający do kolan śnieg.

Jeżeli przerwę atak, umrę. Lila też.

Podparłem się na rękach, ale zaraz znów opadłem w śnieg, bo Dan Lockwood wylądował całym ciężarem na moich plecach. Zanim zdążyłem zareagować, wykręcił mi prawą rękę do tyłu, zapinając na przegubie obręcz metalowych kajdanek. Dlaczego nie wpakował mi kulki w łeb? Dlaczego zachował mnie przy życiu? Starłem się nie dopuścić, by wykręcił mi drugą rękę, lecz jego ciężar przygniatający moje łopatki i kark uniemożliwił mi dalsze stawianie oporu. Wstał, schwycił mnie za kołnierz i powłókł po śniegu, a następnie oparł o sztachtetę płotu przy stodole. Jego pasek zaszeleścił, gdy wyciągał go ze szlufek.

Zarzucił mi pasek na szyję i przywiązał nim do sztachety. A potem cofnął się, podziwiając swoje dzieło, i kopnął mnie w twarz ośnieżonym butem.

– Przez ciebie mój tata nie żyje – powiedział. – Słyszysz? To nie była twoja sprawa. Po co się wmieszałeś.

– Pieprz się. – Splunąłem krwią. – Zabiłeś swojego ojca, bo jesteś cholernym wariatem. Zgwałciłeś i zabiłeś swoją siostrę, bo jesteś cholernym wariatem. Dostrzegasz w tym schemat?

Kopnął mnie w twarz drugą nogą.

– Na pewno zastanawiasz się, dlaczego cię po prostu nie zastrzeliłem – powiedział.

– Przeszło mi to przez myśl – wymamrotałem.

Poczułem przesuwający się w moich ustach poluzowany ząb. Ponownie splunąłem.

– Chcę, żebyś to widział – uśmiechnął się. – Zamierzam zgwałcić tę twoją małą przyjaciółczkę i chcę, żebyś patrzył, jak będę się zabawiał z nią na całego. Będziesz słuchał jej krzyków i błagań. One wszystkie krzyczały i błagały.

Uniosłem głowę, wzrok miałem zamglony, a w uszach wciąż mi szumiało od jego kopniaków.

– O tak, Joe – powiedział – były jeszcze inne.

Podszedł do Lili i uniósł jej podbródek obiema dłońmi. Dostrzegłem ślady czerwonych i fioletowych sińców na jej policzkach. Wydawała się słaba. Lockwood przesunął dłoń w dół jej szyi i odnalazłszy suwak bluzy, ujął go dwoma palcami i pociągnął w dół, żeby rozsunąć zamek.

Szarpałem pasek owinięty wokół mojej szyi, ciągnąłem za grubą skórę, usiłując go poluzować, zerwać albo wyszarpnąć sztachtetę z ziemi. Ani jedno, ani drugie nie chciało ustąpić.

– Nie uciekniesz, Joe, nie zdołasz uciec. Nie próbuj, bo tylko zrobisz sobie krzywdę.

Położył dłoń na piersi Lili, a ona ożyła, jakby ocknęła się z transu. Próbowwała unikać dotyku jego palców, ale uniemożliwiał jej to fakt, że była przywiązana. Próbowwała kopnąć go kolanem, jednak była za słaba, żeby jej wysiłki przyniosły jakikolwiek efekt. W nagrodę oberwała od Lockwooda pięścią w żołądek tak mocno, że aż zgięła się w pół. Cios wydusił jej powietrze z płuc. Jęknęła i zaczęła gorączkowo walczyć o kolejny oddech.

– Za parę minut będzie po wszystkim i spłoniecie w ogniu chwały.

Lockwood oblizał wargi, przysuwając się do Lili. Jedną ręką sięgnął do paska w jej spodniach, a drugą przystawił pistolet do jej ciała, dotykając nim kolejno piersi, brzucha i bioder. Musnął lufą broni szyję i policzek Lili, aż w końcu zatrzymał pistolet na wysokości jej skroni. Zaczął się nachylać, jakby chciał polizać ją po twarzy albo ugryźć, ale nagle znieruchomiał, bo trudno mu było jedną ręką rozpiąć jej pasek. Cofnął się o krok, żeby lepiej przyjrzeć się sprzączce. Pistolet, który trzymał w dłoni, oderwał się od skroni Lili i na sekundę uniósł pionowo.

Nagle od strony drzew huknęły trzy szybkie strzały. Pierwsza kula trafiła Dana Lockwooda w lewe ucho i wyszła z prawej strony czaszki pośród rozbryzgu kości, krwi i materii mózgowej. Druga przeszła mu gardło, z podobnym skutkiem. Lockwood był martwy, zanim trzecia kula wyryła dziurę z boku jego czaszki. Zwalił się na ziemię już jako bezwładna masa kości i tkanek.

Spomiędzy cieni na linii drzew wyszedł Max Rupert, cały czas celując z pistoletu w stertę łąjną, która do niedawna jeszcze była Danem Lockwoodem. Zbliżył się i kopniakiem przewrócił trupa na wznak. Oczy Lockwooda wpatrywały się w niego niewidzącym wzrokiem. Z cienia wyłoniły się kolejne dwie postacie: zastępcy szeryfa; każdy z nich miał na sobie brązowy zimowy płaszcz z odznaką na lewej piersi. Jeden z zastępców odezwał się do mikrofonu przypiętego do ramienia, a horyzont rozświetlił się na czerwono i niebiesko, jakby funkcjonariusz zawezwał własną, prywatną zorzę polarną. Niebawem radiowozy pokonały szczyt wzniesienia, a towarzyszący im jęk syren wypełnił noc.

Strzelanina przy stodole stała się sensacją w mediach i sprawa zaczęła nabierać rozgłosu zgodnie z efektem kuli śnieżnej. Prasa chciała wiedzieć, dlaczego człowiek z Iowy dostał trzy kule w głowę i dlaczego na miejscu tego zdarzenia było dwoje miejscowych studentów. Aby usprawiedliwić strzelaninę i oczyścić Maxa Ruperta od zarzutu nieuzasadnionego użycia broni, policja zadała sobie trud potwierdzenia tego wszystkiego, co zdołaliśmy odkryć z Lilą. W dwadzieścia cztery godziny nie tylko otworzyła na nowo sprawę morderstwa Crystal Hagen, ale nadała jej specjalny priorytet. Zanim następnego ranka ujawniono na użytek prasy pierwsze szczegóły, potwierdziła złamanie przez Lilę szyfru w pamiętniku Crystal i to, że w 1980 roku Dan Lockwood był nazywany przez Crystal i innych członków rodziny DJ-em.

Drugiego dnia po strzelaninie BZP z Minnesoty zapewniło, że DNA znalezione pod paznokciem Crystal Hagen należało do Dana Lockwooda. Co więcej, kiedy BZP przepuściło profil DNA Lockwooda przez CODIS, ogólnokrajową bazę danych DNA, okazało się, że trafili w dziesiątkę. Profil DNA Lockwooda pasował do profilu próbki z Davenport w stanie Iowa, gdzie młoda dziewczyna została zgwałcona i zabita, a jej zwłoki znaleziono w zgliszczach spalonej stodoły. Na konferencji prasowej policja ogłosiła, że to prawdopodobnie Dan Lockwood zabił Crystal Hagen w roku 1980, że zamierzał zamordować dwoje miejscowych studentów, ale został śmiertelnie postrzelony przez detektywa Ruperta. Policja i prasa połączyły siły, chwając Maxa Ruperta i odmalowując go jako bohatera, gdyż zabijając Lockwooda, uratował życie niewymienionej z nazwisk dwójce studentów Uniwersytetu Minnesoty, którzy niechybnie staliby się jego kolejnymi ofiarami.

Jedna z dziennikarek poznała moje nazwisko i dowiedziała się, że byłem na miejscu, kiedy Rupert zastrzelił Lockwooda. Zadzwoiła do mnie, gdy leżałem w szpitalu, ponieważ chciała mi zadać kilka pytań; nazywała mnie bohaterem i w ogóle mi kadziła. Nie czułem się jednak bohaterem. Lila omal przeze mnie nie zginęła. Powiedziałem dziennikarce, że nie chcę z nią rozmawiać i żeby do mnie więcej nie dzwoniła. Wykładowcy zaproponowali, żebym zdawał egzamin i złożył prace zaliczeniowe w późniejszym terminie. Przystąpiłem na to, lecz nie chciałem odkładać zaliczenia z biografii. Lila przyniosła mi do szpitala laptop i odtąd spędzałem całe godziny, pracując nad tekstem w łóżku. Przywiodła także Jeremy'ego; odwiedzała mnie z nim każdego dnia. Tamtej nocy spędziła kilka godzin na ostrym dyżurze, gdzie została zbadana przez kilku lekarzy, zanim

wypuszczono ją do domu z sińcami na twarzy, tułowiu i z otarciami od sznura na przegubach. Sypiała teraz na kanapie w moim mieszkaniu, a Jeremy w pokoju obok.

Lekarze zatrzymali mnie w szpitalu na cztery dni, wyszedłem dwa tygodnie przed świętami, zaopatrzony w kule i buteleczkę pigułek przeciwbólowych. Zanim mnie wypuszczono, napisałem biografię Carla Iversona obejmującą dwa razy więcej stron, niż było to konieczne na zaliczenie. Zakończyłem swój projekt. Brakowało tylko ostatniego rozdziału – oficjalnego uniewinnienia Carla od zarzutów i oczyszczenia jego imienia. Tego ranka, kiedy opuszczałem szpital, profesor Sanden spotkał się ze mną w holu. Wydawał się zdyszany, gdy podszedł, by się ze mną przywitać, i tylko się uśmiechnął, jakby wygrał właśnie na loterii.

– Wesółych świąt – powiedział.

A potem wręczył mi dokument: nakaz sądowy z oficjalną, wypukłą pieczęcią u dołu. Serce zabiło mi żywiej i zacząłem czytać formalnie brzmiący nagłówek: Stan Minnesota, oskarżyciel kontra Carl Albert Iverson, oskarżony. Czytałem treść dokumentu linijka po linijce, aż profesor Sanden przerwał mi i wskazał paragraf na ostatniej stronie:

NINIEJSZYM NAKAZUJE SIĘ wyrok wobec Carla Alberta Iversona, uznanego werdyktem ławy przysięgłych z dnia 15 stycznia 1981 roku za winnego morderstwa pierwszego stopnia i na tej podstawie skazanego prawomocną decyzją sądu, unieważnić w całości, oskarżonemu zaś przywrócić pełnię praw publicznych z chwilą podpisania niniejszego nakazu.

Dokument był podpisany przez sędziego sądu okręgowego i nosił dzisiejszą datę.

– Nie do wiary – powiedziałem. – Jak ci się udało...

– To zdumiewające, czego można dokonać, gdy w grę wchodzi zasady i chęci – odparł profesor Sanden. – Gdy sprawa strzelaniny została nagłośniona przez media, prokuratura hrabstwa ze szczerym zapałem przyspieszyła bieg sprawy.

– A więc to oznacza...

– Że Carl Iverson został oficjalnie i w pełni uniewinniony – dokończył Sanden, promieniejąc z radości.

Zadzwoiłem do Virgila Greya i zaprosiłem go, aby dołączył do nas, kiedy udamy się tego dnia w odwiedzinach do Carla. Janet i pani Lorngren także wybrały się z nami do pokoju Carla. Zastanawiałem się nad oprawieniem nakazu sądowego w ramki, ale ostatecznie tego nie zrobiłem, bo uznałem, że Carl by tego nie chciał. Po prostu wręczyłem mu dokument, wyjaśniając jego znaczenie i tłumacząc, że w oczach całego świata oficjalnie został uniewinniony i oczyszczony z zarzutu zamordowania Crystal Hagen. Carl potarł palcami tłoczoną oficjalną pieczęć u dołu dokumentu, zamknął oczy i uśmiechnął się melancholijnie. Łza spłynęła mu po

policzku, co sprawiło, że Janet i pani Lorngren też się rozplakały. Lila, Virgil i ja uroniliśmy łezkę. Tylko Jeremy miał suche oczy, ale cóż, taki właśnie jest Jeremy. Carl spróbował wyciągnąć do mnie rękę, a ja ująłem ją w dwie swoje i przytrzymałem.

– Dziękuję – wyszeptał. – Dziękuję... wam... wszystkim.

Zostaliśmy z Carlem, aż ze zmęczenia nie był w stanie utrzymać otwartych oczu. Życzyliśmy mu wesołych świąt i obiecaliśmy wrócić nazajutrz, ale tak się nie stało. Umarł jeszcze tej nocy. Pani Lorngren powiedziała, że wyglądało to tak, jakby po prostu uznał, iż przyszedł na niego czas. I odszedł. Powiedziała, że jeszcze nigdy nie widziała, by ktoś umarł tak spokojnie.

Nie licząc pastora, w pogrzebie Carla Iversona uczestniczyło trzynaścioro żałobników: Virgil Gray, Lila, Jeremy, ja, profesor Sanden, Max Rupert, Janet, pani Lorngren, dwie inne osoby należące do personelu Hillview Manor oraz trzech strażników z więzienia Stillwater, którzy wspominali go ciepło z czasów jego pobytu w zakładzie. Carl został pochowany na cmentarzu narodowym Fort Snelling, obok setek innych weteranów z Wietnamu. Pastor skrócił ceremonię na cmentarzu do minimum po części dlatego, że nigdy nie poznał Carla Iversona, a po części dlatego, że na otwartej polaci cmentarza hulał zimny grudniowy wiatr.

Po zakończonej ceremonii Max Rupert odjechał z Boadym Sandenem, ale wcześniej niemal wymusił na mnie i Lili, żebyśmy spotkali się z nim później na kawie w pobliskiej restauracji. Zorientowałem się, że mieli coś od omówienia, i chcieli to przedyskutować w cztery oczy. Podszedłem, by pożegnać się z Virgilem, który przez całą ceremonię przyciskał do piersi papierową torbę. Gdy zostaliśmy sami, otworzył torbę i wyjął przeszkloną dębową szkatułkę wielkości podręcznego słownika. Wewnątrz na wyściółce z czerwonego filcu znajdowały się medale Carla: dwa Purpurowe Serca i Srebrna Gwiazda. Pod medalami umieszczono naszywki na rękawy świadczące o tym, że przed odejściem z wojska Carl został awansowany do rangi kaprała.

– Chciał, żebym przekazał je tobie – rzekł Virgil.

Nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu. Przez co najmniej minutę mogłem jedynie patrzeć na szkatułkę i na błyszczące krawędzie umieszczonych wewnątrz odznaczeń; srebro i purpura odcinały się wyraźnie na krwistoczerwonym tle.

– Skąd pan je ma? – spytałem.

– Gdy Carla aresztowano, zakradłem się do jego domu i je wziąłem. – Virgil wzruszył ramionami, jakbym mógł oskarżyć go o kradzież. – Carl nie miał wielu rzeczy i pomyślałem, że któregoś dnia mógłby chcieć je odzyskać. To... – Virgil zacisnął wargi, by pohamować szloch – ... była jedyna rzecz, jaką posiadał. – Wyciągnął rękę, a ja ją ucisnąłem. Wtedy przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił. – Świetnie się spisałeś – wyszeptał. – Dziękuję.

Ja też podziękowałem Virgilowi, po czym odwróciłem się, żeby pójść do samochodu, w którym czekali Jeremy i Lila. Virgil pozostał przy grobie, najwyraźniej nie był jeszcze gotów, by opuścić swojego przyjaciela.

W restauracji ogrzewaliśmy sobie z Lilą dłonie o kubki z kawą, gdy zjawili się Max i Boady. Jeremy upił łyk gorącej czekolady, siorbiąc, bo chciał się dobrać do czekolady ukrytej pod warstwą pianki. Przedstawiłem Maxa i Boday'ego



Jeremy'emu. Uprzejmie się przywitał, jak był tego nauczony, a potem znów skupił uwagę na zawartości swojego kubka. W krótkich słowach wyjaśniłem, jak doszło do tego, że Jeremy zamieszkał ze mną, pominąłem jednak to, że złamałem Larry'emu kolano.

– Trudniej ci będzie na studiach – zauważył Boady.

Wlepiłem wzrok w stolik.

– Nie wracam na studia.

Po raz pierwszy wypowiedziałem te słowa na głos. Choć oficjalnie opuściłem wszystkie egzaminy w sesji zimowej i nie zacząłem uczęszczać na zajęcia w semestrze wiosennym, wypowiedzenie tych słów na głos przydało im prawdziwości. Gdy uniosłem wzrok, zobaczyłem, że Boady i Max wymienili spojrzenia i – ku mojemu zdziwieniu – uśmiechy.

– Chciałem ci coś pokazać – rzekł Max i wyjął z kieszeni marynarki złożoną na pół kartkę papieru, którą następnie mi podał.

Rozłożyłem kartkę, zobaczyłem mejl, który przysłał Maxowi szeryf hrabstwa Scott w stanie Iowa:

Zbadałem kwestię nagrody za rozwiązanie morderstwa Melissy Burns. Została ufundowana w 1992 roku i oferta pozostaje aktualna. Wydaje się pewne, że tę dziewczynę zamordował Lockwood. Pracował jako szef ochrony w centrum handlowym tu, w Davenport, i musiał uprowadzić Melisę, gdy wychodziła z galerii. Melissa była córką właściciela banku w tej okolicy i on ufundował nagrodę w wysokości stu tysięcy dolarów. Jeżeli prześlesz mi numer konta bankowego pana Talberta i panny Nash, mogę zwrócić się do banku o przelanie tej kwoty na wskazane konta, kiedy tylko nasza sprawa zostanie oficjalnie zamknięta.

Przestałem czytać i omal nie eksplodowała mi głowa, gdy zapoznałem się z ostatnim fragmentem mejla.

– Sto tysięcy dolarów? – spytałem głośniejszym głosem niż zamierzałem. – To jakiś żart?

Boady uśmiechnął się.

– Czytaj dalej – powiedział.

Mam świadomość tego, że pan Lockwood był również poszukiwany w związku z dwoma innymi uprowadzeniami i morderstwami, jednym w Colarville w stanie Iowa, a drugim w okolicy Des Moines. W obu wypadkach pojawia się taki sam *modus operandi* i prawdopodobnie sprawcą tych zabójstw także był Lockwood. Poinformowano mnie, że w każdej z tych spraw ufundowano nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Powinieneś powiadomić te osoby, że jeśli sprawy te zostaną oficjalnie zamknięte, będzie im przysługiwać prawo do tej nagrody.

Podaliśmy treść mejla Lili. Usłyszałem, jak wstrzymała oddech, gdy przeczytała o nagrodzie i napotkała w tekście swoje nazwisko. Gdy skończyła, uniosła wzrok i zapytała:

– Czy to prawda?

– Absolutnie – odparł Max. – Nagroda trafi do was obojga.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Kiedy wreszcie mi się to udało, wykrztusiłem:

– To dużo pieniędzy.

– Nagroda jest wyższa niż zazwyczaj, przyznaję – stwierdził Max. – Ale to nie zależy od nas, zwłaszcza że chodzi o śmierć córki bankiera. Jeżeli w tych trzech wypadkach sprawcą okaże się Lockwood, otrzymacie nagrodę w wysokości stu dwudziestu tysięcy dolarów.

Lila spojrzała na mnie.

– Chcę, żebyś to ty otrzymał tę nagrodę w całości – powiedziała. – Potrzebujesz tych pieniędzy, by móc opiekować się Jeremym.

– Mowy nie ma! – zaprotestowałem. – Omal nie zginęłaś!

– Nie potrzebuję tej forsy tak bardzo jak ty – argumentowała. – Chcę, żeby te pieniądze trafiły do ciebie.

– Rozdzielimy je po równo – odparłem. – Albo nie wezmę ani grosza. To nie podlega dyskusji.

Lila otworzyła usta, żeby wyrazić sprzeciw, ale zawahała się i po chwili powiedziała:

– Rozdzielimy je na trzy części. – Wskazała ruchem głowy na Jeremy'ego. – Gdyby nie on, nigdy nie złamalibyśmy szyfru. Jedna trzecia należy się jemu.

Już miałem odmówić, ale uniosła rękę i spojrzała mi w oczy z niewzruszoną powagą, po czym dodała:

– To nie podlega dyskusji.

Przeniósłem wzrok na Jeremy'ego, który uśmiechał się do mnie z wąsami ze słodkiej pianki. Nie przysłuchiwał się rozmowie. Uśmiechnąłem się do niego, a potem nachyliłem się i pocałowałem Lilę. Zaczął sypać gęsty śnieg i zanim wyszliśmy z restauracji, samochód Lili przykryła gruba na trzy centymetry warstwa białego puchu. Lila i Jeremy wsiedli do środka, a ja zostałem na zewnątrz, żeby przetrzeć szyby. Nie mogłem przestać się uśmiechać. Dzięki tym pieniądzom mogłem studiować i opiekować się Jeremym. Zrobiło mi się cudownie lekko, gdy różnymi ruchami odgarniałem śnieg z przedniej szyby. Do restauracji weszła para młodych ludzi, a na zewnątrz wypłynęła fala ciepłego powietrza przesyconego aromatem świeżego pieczywa. Ten zapach porwany wiatrem zawirował wraz z podmuchem powietrza wokół mojej głowy. I wtedy przypomniałem sobie coś, co powiedział mi Carl, że niebo może być właśnie tu, na ziemi.

Nabrałem trochę śniegu do ręki i trzymając na otwartej dłoni, patrzyłem, jak białe płatki się roztapiają. Poczułem ich chłód na ciepłej skórze i przyglądałem się krystalicznym płatkom, jak zmieniają się w kropelki wody i ściekają po moim nadgarstku, przechodząc w inny stan skupienia. Zamknąłem oczy i zasłuchałem się

w melodyjny szum wiatru kołyszącego gałęziami pobliskich sosen, przetykany od czasu do czasu świergotem sikorek ukrytych wśród zielonych igieł. Wziąłem głęboki oddech, chłonąc rześkie grudniowe powietrze, i stanąłem w kompletnym bezruchu, rozkoszując się tymi wrażeniami, odgłosami i zapachami otaczającego mnie świata, doznaniem, które przeszłyby niepostrzeżenie obok mnie, gdybym nie poznał Carla Iversona.

## Podziękowania

Pragnę wyrazić płynące prosto z serca wyrazy wdzięczności mojej agentce Amy Cloughley, która przeszła samą siebie i sprawiła, że ta książka stała się faktem. Chcę podziękować mojemu redaktorowi Danowi Mayerowi i wszystkim osobom z Seventh Street Book za pomoc i wsparcie.

Dziękuję także za opinie, jakie uzyskałem od moich czytelników beta: Nancy Rosin, Suzie Root, Billa Pattena, Kelly Lundgren, Carrie Leone, Chrisa Caina i wielu przyjaciół z Twin Cities Sisters in Crime.

Specjalne podziękowania składam Erice Applebaum z Minnesota Innocence Project za porady.

Głoś nowinę.

Mam nadzieję, że spodobało wam się *Pogrzebane życie*. Nie ma dla pisarza większego zaszczytu niż świadomość, że jego powieść sprawiła czytelnikowi wiele frajdy. Jeżeli spodobała się wam ta książka, powiedzcie o niej innym i zarekomendujcie ją na Facebooku, bo nie ma większego wsparcia dla debiutującego autora niż propagowanie go w coraz szerszym gronie wśród czytelników.

Zapraszam do lektury kolejnej mojej książki zatytułowanej wstępnie *Na ścieżce bestii*, będącej kontynuacją tej powieści. Powinna ukazać się drukiem jesienią 2015 roku. Odwiedźcie mnie również online pod adresem [www.alleneskens.com](http://www.alleneskens.com).

## **O autorze**

Allen Eskens dorastał w Jefferson City w stanie Missouri, zanim wyemigrował na północ, by podjąć studia na Uniwersytecie Minnesoty. Po uzyskaniu magisterium z dziennikarstwa studiował prawo i ostatecznie osiadł w Mankato w Minnesocie, gdzie rozpoczął praktykę prawniczą i założył rodzinę. Swoje twórcze umiejętności doskonalił, uczestnicząc w programie dla młodych literatów na Uniwersytecie Stanu Minnesota, w Loft Literary Center i podczas letniego festiwalu literackiego stanu Iowa. Wciąż wiesz spokojny żywot na prowincji niedaleko Mankato jako mąż Joely, ojciec Mikayli i opiekun całego mnóstwa rozmaitych zwierząt domowych.

